



Osobliwe
szczęście
Arthura
Peppera



Phaedra Patrick

O książce

Arthur Pepper ma 69 lat i wiecie proste życie.

Każdego dnia wstaje dokładnie o 7:30, ubiera się w przygotowane wcześniej rzeczy – koniecznie w musztardową kamizelkę – tak jak robił to za życia swojej żony, Miriam. I idzie podlać paprotkę, Fredericę, z którą zaczął rozmawiać po tym, jak Miriam umarła.

Czyli rok temu.

Ale los szykuje dla niego niespodziankę, która wywróci rutynę jego życia do góry nogami.

W rzeczach żony Arthur znajduje bowiem tajemniczą bransoletkę z przywieszkami, której nie widział u Miriam nigdy, przez 40 lat małżeństwa.

I rozpoczyna wielką podróż, by odkryć sekrety życia ukochanej sprzed czasów, kiedy się poznali. Od Londynu, przez Paryż, aż na drugą stronę kuli ziemskiej. Będzie to uzdrawiająca

wyprawa, pełna bólu i nadziei, która w końcu pozwoli mu odkryć samego siebie.

Phaedra Patrick

Osobliwe
szczęście
Arthura
Peppera

Z angielskiego przełożyła
ANNA ESDEN-TEMPSKA



Wydanie elektroniczne

PHAEDRA PATRICK

Studiowała malarstwo i marketing. Specjalizowała się w malowaniu na szkle, organizowała festiwale filmowe i zajmowała się PR-em. Jest nagradzaną autorką opowiadań, która wreszcie pisze na pełen etat. Wraz z mężem i synem mieszka w Saddleworth w Wielkiej Brytanii.

Osobliwe szczęście Arthura Peppera jest jej debiutem powieściowym.

www.Phaedra-Patrick.com

Tytuł oryginału:
THE CURIOUS CHARMS OF ARTHUR PEPPER

Copyright © Phaedra Patrick 2016
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.
2016

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2016

Redakcja: Anna Walenko

Cover and Interior Art Copyright © 2016 by Harlequin Books S.A.

Cover and interior art used by arrangement with Harlequin Books S.A. ®
and ™ are trademarks owned by Harlequin Books S.A. or its affiliated
companies, used under license.

Ilustracje we wnętrzu i na okładce: iStock

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Andrzej
Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-339-7

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |

Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em.eu

Spis treści

[Niespodzianka w szafie](#)

[Słoń](#)

[Wielka ucieczka](#)

[Podróż](#)

[Lucy i żółw](#)

[Pensjonat](#)

[Tygrys](#)

[Fotografia](#)

[Lucy i Dan](#)

[Technologia komórkowa](#)

[Londyn](#)

[Książka](#)

[Druga Lucy.](#)

[Mieszkanie Mike'a](#)

[Kwiatek](#)

[Kielkuje nowe](#)

[Naparstek](#)

[Pokusy Paryża](#)

[Bukfejs](#)

[Paleta malarska](#)

[Bernadette](#)

[Pierścionek](#)

[Parszywe urodziny](#)

[Wspomnienia](#)

[Serduszko](#)

[Listy z daleka](#)

[Co znalazłeś, to twoje](#)

[Koniec podróży?](#)

[Przyszłość](#)

[Podziękowania](#)

Dla Olivera



Niespodzianka w szafie

Arthur codziennie wstawał dokładnie o siódmej trzydzieści, tak jak to robił za życia swojej żony, Miriam. Brał prysznic i ubierał się w szare spodnie, jasnoniebieską koszulę i musztardową kamizelkę, które przygotowywał poprzedniego wieczoru. Potem golił się i schodził na dół.

O ósmej szykował sobie śniadanie – zwykle grzanekę z margaryną – po czym siadał przy rustykalnym sosnowym stole, przy którym pomieściłoby się sześć osób, ale przy którym teraz jadał tylko on sam. O ósmej trzydzieści mył naczynia i zgarniał dłonią okruchy z blatów, zanim przecierał je dwiema jednorazowymi chusteczkami o zapachu cytrynowym. W ten sposób zaczynał dzień.

Gdyby to był jakikolwiek inny poranek w maju, Arthur ucieszyłby się pewnie, że już świeci słońce. Mógłby zająć się ogródkiem, powyrywać chwasty i przekopać ziemię. Promienie grzałyby go w kark i pieściły skórę głowy, aż zrobiłaby się

różowa i swędząca. Dzięki temu czułby, że jeszcze tu jest, żyje i nadal jakoś to wszystko ciągnie.

Ale to był piętnasty i wszystko wyglądało inaczej. Nadeszła rocznica, której bał się od wielu tygodni. Ta data przyciągała jego wzrok za każdym razem, kiedy przechodził obok kalendarza „Cudowne Scarborough”. Patrzył na nią przez chwilę, po czym wynajdował sobie jakiegokolwiek zajęcie, byle nie myśleć o niej. Podlewał paprotkę, Fredericę, albo otwierał okno w kuchni i wrzeszczał: „Zmiatajcie!”, by pogonić koty z sąsiedztwa, które lubiły korzystać z jego skalniaka jak z publicznej toalety.

Mijał dokładnie rok od czasu, kiedy umarła jego żona.

„Odeszła”, jak to się zwykle mówi. Tak jakby „umarła” było słowem niecenzuralnym. Arthur nie znosił określenia „odeszła”. To brzmiało tak łagodnie jak falowanie wody, gdy sunie po niej łódź, albo ruch powietrza unoszący bańkę mydlaną na tle bezchmurnego nieba. A przecież śmierć Miriam nie przypominała żadnej z tych rzeczy.

Po czterdziestu latach małżeństwa został sam w domu z trzema sypialniami i łazienką z wygodnym prysznicem, który ich dorosłe dzieci, córka Lucy i syn Dan, poradzili im zamontować za pieniądze z emerytury. Świeżo zainstalowane szafki w kuchni były z prawdziwego bukowego drewna, a piecyk miał kontrolki jak na stacji kosmicznej. Arthur na wszelki wypadek nigdy go nie używał, żeby nie wylecieć z całym gospodarstwem w powietrze.

Okropnie brakowało mu w domu śmiechu. Tęsknił za tupotem nóg na schodach, a nawet za trzaskaniem drzwi.

Chciałby znaleźć porzucone rzeczy do prania na półpiętrze i potykać się w korytarzu o ubłocone kalosze. Dzieci mówiły na nie „kaloszaki”. Cisza samotności mocniej raniła uszy niż jakiegokolwiek hałasy życia rodzinnego, na które dawniej tak utyskiwał.

Wytarł właśnie blat i zmierzał do frontowego pokoju, kiedy rozległ się świdrujący czaszkę, przeraźliwy dźwięk. Instynktownie przywarł plecami do ściany. Otwartą dłonią oparł się o wytłaczaną tapetę w kolorze magnolii. Poczł pod pachami pot. Przez uformowane w kształty stokrotek szkiełka w drzwiach frontowych dostrzegł majaczący na zewnątrz duży purpurowy kształt. Arthur był uwięziony we własnym korytarzu.

Dzwonek do drzwi odezwał się znowu. Niesamowite, że ona potrafi wydobyć z niego tyle decybeli. Jakby to była syrena straży pożarnej. Podciągnął ramiona, żeby chronić uszy. Serce mu waliło. Jeszcze tylko kilka sekund i ona na pewno się zniechęci i odejdzie. Ale nagle odchyliła się klapka do wrzucania poczty.

– Arthurze Pepper. Otwieraj. Wiem, że tam jesteś.

To już trzeci raz w tym tygodniu go nachodziła. Jego sąsiadka Bernadette. Przez ostatnich kilka miesięcy starała się karmić go wieprzowiną w cieście i domowymi pasztecikami. Czasami dawał za wygraną i otwierał, ale najczęściej nie.

W zeszłym tygodniu znalazł w korytarzu pasztecik, wystający z papierowej torebki niczym wystraszony zwierzak. Uprzątnięcie wszystkich okruchów z jutowego dywanika w holu zajęło mu wieki.

Musiał zachować spokój. Jeśli się ruszy, ona zorientuje się, że się ukrywał. Wtedy trzeba będzie wymyślić jakieś usprawiedliwienie. Powiedzieć, że wyrzucał śmieci albo podlewał pelargonie w ogrodzie. Ale czuł się zbyt umordowany, żeby jeszcze kombinować. Szczególnie w taki dzień.

– Wiem, że tam jesteś, Arthurze. Nie musisz przechodzić tego sam. Masz przyjaciół, którzy się o ciebie troszczą.

Klapka załopotana. Na podłodze wylądował folder we wrzosowym kolorze – „Kumple w żałobie”. Z nieudolnie namalowaną lilią na okładce.

Choć od ponad tygodnia z nikim nie rozmawiał, a w lodówce został mu tylko mały kawałek żółtego sera i przeterminowane mleko, miał przecież swoją dumę. Nie dołączy do stadka beznadziejnych przypadków Bernadette Patterson.

– Arthur!

Zacisnął mocno powieki i trwał w bezruchu niczym kamienny posąg w jednej z pięknych podmiejskich rezydencji. Razem z Miriam uwielbiali zwiedzać takie posiadłości, ale tylko w tygodniu, kiedy nie było tłumów. Tak bardzo chciałby znaleźć się tam z nią teraz, słyszeć chrzęst żwiru pod stopami, podziwiać bielinki fruwające wśród róż i myśleć z apetytem o dużej porcji ciasta biszkoptowego w tamtejszej herbaciarni.

Na wspomnienie żony ścisnęło go w gardle, ale nie zmieniał pozycji. Naprawdę wolałby być z kamienia, byle tylko już nie odczuwać bólu.

Wreszcie klapka do wrzucania poczty zamknęła się z trzaskiem. Purpurowy kształt się oddalił. Arthur pozwolił, by

rozluźniły się jego palce, a potem łokcie. Poruszył ramionami, żeby zrzucić z siebie napięcie.

Nie całkiem pewien, czy Bernadette nie czai się przy furtce, uchylił lekko drzwi. Przyłożył oko do szczeliny i wyjrzał na dwór. W ogrodzie naprzeciwko Terry, który związywał sobie dredy czerwoną bandaną i wiecznie przystrzygał trawnik, wyciągał właśnie z szopy kosiarkę. Dwójka rudych dzieci z sąsiedztwa biegała wte i wewte po ulicy. Jak zwykle boso. Gołębie zapaskudziły przednią szybę jego dawno nieużywanego nissana micry. Arthur uspokoił się trochę. Wszystko wróciło do normy. Rutyna jest dobra.

Przeczytał folder i odłożył go równiutko na inne, które wcześniej podrzuciła mu Bernadette – „Przyjaciele w działaniu”, „Stowarzyszenie rezydentów Thornapple”, „Jaskiniowcy” i „Festyn lokomotyw Kolei Wrzosowisk Północnego Yorkshire” – a potem zmusił się, żeby pójść zrobić sobie filiżankę herbaty.

Bernadette zrujnowała mu porządek poranka. Wytrąciła go z równowagi. Rozstrojony, za wcześnie wyjął torebkę herbaty z czajniczka. Powąchał mleko wyjęte z lodówki, skrzywił się i wylał je do zlewu. Będzie musiał wypić czarną. Smakowała jak opiłki żelaza. Ciężko westchnął.

Tego dnia nie miał zamiaru myć mopem podłogi w kuchni ani zawzięcie odkurzać chodnika na schodach, który robił się od tego coraz bardziej wyleniawy. Nie planował też polerować kranów w łazience ani składać ręczników w równiutkie kwadraty.

Sięgnął po grubą czarną rolkę worków na śmieci, którą przygotował na stole, i niechętnie wziął ją do ręki. Mocne. W sam raz.

Żeby się podbudować, raz jeszcze przeczytał ulotkę fundacji Dobroczyńcy Kotów. „Wszystkie przekazane rzeczy sprzedaje się, by zebrać fundusze na pomoc dla bezdomnych kotów i kociąt”.

Arthur sam nie należał do miłośników kotów, zwłaszcza odkąd bezcześciły mu skalniak, ale Miriam lubiła je, choć miała na nie uczulenie i ciągle przy nich kichała. Schowała tę ulotkę pod telefonem i Arthur uznał to za znak, że właśnie tej organizacji powinien przekazać jej rzeczy.

Rozmyślnie odwlekając zadanie, z którym musiał się zmierzyć, powoli wspinał się po schodach. Przystanął chwilę na podeście. Przeglądanie jej szafy było niczym ponowne żegnanie się z nią. Tak jakby usuwał ją ze swojego życia.

Ze łzami w oczach popatrzył przez okno na ogród za domem. Gdyby stanął na palcach, mógłby zobaczyć szczyty katedry York Minster, której kamienne szpiczaste zwieńczenia zdawały się podpierać niebo. Miasteczko Thornapple, gdzie mieszkał, leżało na obrzeżach dużego miasta. Z kwitnących drzew wiśni zaczynały już opadać płatki, wirując w powietrzu niczym różowe konfetti. Ogród był z trzech stron otoczony wysokim drewnianym płotem, który osłaniał go przed wzrokiem ciekawskich. Żaden sąsiad nie mógł wychylić się zza niego, żeby zagadać. Arthur z Miriam lubili swoje towarzystwo. Wszystko robili razem i to im odpowiadało, na szczęście.

Mieli cztery wyższe grządki, które Arthur zbudował na podkładzie z grubych desek. Rosły tam buraki, marchew, cebula i ziemniaki. W tym roku mógłby spróbować wyhodować tu nawet dynie. Miriam robiła wspaniałego duszonego kurczaka w jarzynach i domowe zupy. Ale on nie umiał gotować. Piękne czerwone cebule, które zebrał zeszłego lata, leżały na blacie w kuchni tak długo, aż zwiędły jak on i musiał je wyrzucić.

Wreszcie pokonał resztę schodów i dobrnął zdyszany do drzwi łazienki. A kiedyś bez trudu biegał w górę i w dół za Lucy i Danem. Teraz jednak wszystko zabierało więcej czasu. W kolanach mu strzykało, był pewien, że wysycha. Dawniej czarne włosy zrobiły się białe jak u gołąbka (choć nadal były tak gęste, że nie dało się ich przyczesać), a zaokrąglony czubek nosa wydawał się z dnia na dzień bardziej czerwony. Nie wiadomo, kiedy w miejsce młodego pojawił się stary człowiek.

Przypomniawszy sobie, jak podczas ostatniej rozmowy z Lucy, kilka tygodni temu, córka powiedziała: „Może dobrze by ci zrobiło, gdybyś uprzątnął rzeczy mamy. Poczujesz się lepiej. Będziesz mógł ruszyć dalej”. Dan od czasu do czasu dzwonił z Australii, gdzie mieszkał teraz z żoną i dziećmi. On wyraził się mniej delikatnie: „Wywal to wszystko. Nie zamieniaj domu w muzeum”.

Ruszyć dalej? Niby dokąd, do cholery? Miał sześćdziesiąt dziewięć lat, nie był nastolatkiem, który może pójść na studia albo zrobić sobie rok wolnego na podróże. Ruszyć dalej... Westchnął i poczłapał do sypialni.

Powoli otworzył lustrzane drzwi szafy.

Brązy, czernie, szarości. Miał przed sobą ubrania w kolorach ziemi. Zabawne, nie pamiętał, żeby Miriam ubierała się tak ponuro. Stanął mu w oczach obraz. Młoda Miriam obraca się w koło, trzymając Dana za rękę i nogę – samolot! Ma na sobie niebieską plażową sukienkę w groszki i białą chustkę. Z odchyloną głową śmieje się i zaprasza Arthura do zabawy. Ale ta wizja zgasła tak szybko, jak się pojawiła. Jego ostatnie wspomnienia o Miriam przypominały kolorem ubrania z szafy. Szarość. Srebrzyste włosy na kształt kąpielowego czepka. Więdną w oczach, jak te cebule.

Chorowała kilka tygodni. Zaczęło się od infekcji dróg oddechowych, jak co roku, kiedy musiała dwa tygodnie leżeć w łóżku i brać antybiotyki. Ale tym razem infekcja przeszła w zapalenie płuc. Lekarz zalecił, by Miriam poleżała dłużej, a ona, choć nie lubiła się ze sobą cackać, posłuchała.

Arthur zastał ją nieruchomą, z szeroko otwartymi oczami. Z początku myślał, że patrzy na ptaki na drzewie, ale kiedy potrząsnął ją za ramię, nie zareagowała.

Połowę jej garderoby stanowiły blezery. Wisiały bezkształtne, z powyciąganymi rękawami, jakby pożyczyły je sobie goryle, a potem znów wcisnęły do szafy. Dalej były spódnice. Granatowe, szare, beżowe. Do połowy łydki. Poczł zapach jej perfum, coś jakby róże i konwalie. Tak bardzo chciałby wtulić nos w jej szyję. Choć jeszcze ten jeden raz, Boże. Tak mocno pragnął, żeby to wszystko okazało się złym snem, a Miriam siedziała na dole, rozwiązując krzyżówkę albo pisząc list do kogoś z przyjaciół, których poznali na wakacjach.

Pozwolił sobie posiedzieć na łóżku i poużalać się nad sobą przez parę minut, po czym szybko oderwał z rolki dwie torby i potrząsnął nimi, żeby się otworzyły. Musi to zrobić. Jeden worek pójdzie do organizacji charytatywnej, drugi do śmieci. Wyjmował naręcza ubrań, zwijał i wkładał do worka dla fundacji. Kapcie Miriam, znoszone, z dziurą na palcu, poszły do tego na śmieci. Pracował szybko, w ciszy. Nie przerywał, żeby się nie rozkleić. W połowie roboty w worku dla fundacji wylądowały szare sznurowane buciki Hush Puppies i prawie identyczne marki Clarks. Potem wyciągnął duże pudło, a z niego porządne, obszyte futerkiem brązowe zamszowe botki.

Przypomniawszy sobie jedną z historii Bernadette. Podobno kupiła kiedyś botki na pchlim targu i znalazła w nich los na loterię (niestety nic nie wygrała). Teraz więc automatycznie wsunęła dłoń do jednego buta (pusto), po czym sprawdził drugi. Zaskoczony natrafił na coś twardego. Dziwne. Chwycił palcami i wyciągnął to coś.

Miał w dłoni pudełeczko w kształcie serca. Było pokryte wytłaczaną szkarłatną skórką i zamknięte na malutką złotą klódeczkę. Poczł niepokój. Chyba przez ten kolor. Wydawało się drogie, zbyt kosztowne. Może to prezent od Lucy? Nie. Na pewno by je zapamiętał. A sam nigdy nie kupiłby żonie czegoś takiego. Lubiła rzeczy proste i praktyczne. Jak skromne srebrne kolczyki w kształcie kuleczek albo ładne rękawice kuchenne. W czasach swojego małżeństwa zawsze ledwie wiązali koniec z końcem, zaciskali pasa i odkładali pieniądze na czarną godzinę. Kiedy wreszcie zdecydowali się trochę zaszaleć, wydając na kuchnię

i łazienkę, niedługo się tym cieszyła. Nie, ona też nie kupiłaby takiego pudełka.

Przyjrzał się dziurce na klucz w kłódeczce. A potem pogrzebał na dnie szafy, pomiędzy butami Miriam, robiąc nieco bałaganu. Ale nie znalazł kluczyka. Wziął nożyczki do paznokci i spróbował otworzyć zamek, jednak ten dzielnie stawiał opór. Arthur robił się coraz bardziej ciekawy. Niezdolny pogodzić się z porażką, zszedł do kuchni. Prawie pięćdziesiąt lat pracował jako ślusarz, a nie daje rady dobrać się do głupiego pudełka. Z dolnej szuflady wyciągnął dwulitrowy pojemnik po lodach, który służył mu za skrzynkę na narzędzia – jego magiczne przybory.

Wrócił do sypialni, usiadł na łóżku i wyciągnął kółko z wytrychami. Włożył najmniejszy do dziurki i zaczął nim kręcić. Tym razem usłyszał kliknięcie i pudełko uchyliło się na kilka milimetrów, jak usta, które zaraz wyjawiają jakiś sekret. Zdjął kłódeczkę i uniósł wieczko.

Wnętrze było wyłożone czarnym gniecionym aksamitem. Kwintesencja dekadencji i luksusu. Ale dopiero na widok bransoletki z przywieszkami naprawdę dech mu zaparło. Solidny złoty łańcuch o okrągłych oczkach, z zapięciem w kształcie serca. Kolejne serce.

Jeszcze bardziej niezwykle były przywieszki przyczepione do bransoletki, ułożone niczym promienie słońca na ilustracji w książce dla dzieci. W sumie osiem: słoń, kwiatek, książka, paleta, tygrys, naparstek, serduszko i pierścionek.

Wyjął bransoletkę z pudełka. Była ciężka. Pobrząkiwała, kiedy obracał ją w dłoni. Wydawała się stara. Pięknej roboty.

Każdy detal na przywieszkach miał wyraźny kształt. Arthur wyteżył pamięć, ale nie mógł sobie przypomnieć, żeby Miriam kiedykolwiek coś takiego nosiła albo pokazała mu któryś z tych wisiorów. Może kupiła to dla kogoś na prezent. Ale dla kogo? Bransoletka robiła wrażenie drogiej. Jeśli Lucy nosiła biżuterię, to nowoczesne rzeczy ze srebrnego drutu i kawałków szkła lub masy perłowej.

Przez chwilę rozważał, żeby zadzwonić do dzieci i spytać, czy wiedzą coś o bransoletce z przywieszkami, schowanej w szafie mamy. Całkiem uzasadnione, że w tej sytuacji się do nich odezwie. Ale zaraz porzucił tę myśl. Na pewno mają dość własnych spraw na głowie, nie powinien ich niepokoić. Minęło trochę czasu, od kiedy dzwonił do Lucy pod pretekstem jakichś pytań dotyczących działania kuchenki. A z Danem nie miał kontaktu od dwóch miesięcy. Nie mógł uwierzyć, że syn ma już czterdzieści lat, a córka trzydzieści sześć. Jak to szybko zleciało.

Oboje mieli teraz własne życie. A niegdyś Miriam była ich słońcem, a Arthur księżycem. Teraz Dan i Lucy, odległe gwiazdy, bujały gdzieś w swoich galaktykach.

W każdym razie bransoletka nie mogła być od Dana. Wykluczone. Co roku przed urodzinami Miriam Arthur dzwonił do syna, by mu o nich przypomnieć. Dan zapewniał, że pamięta, że właśnie miał iść na pocztę i wysłać jakiś drobiazg. I zwykle był to drobiazg. Magnes na lodówkę w kształcie opery w Sydney, zdjęcie wnuków, Kyle'a i Mariny, w tekturowej ramce, maskotka – miś koala z samozaciskającymi się łapkami, którego Miriam przyczepiła do zasłony w dawnym pokoju Dana.

Jeśli rozczarowywały ją te prezenty, nigdy tego nie okazała. „Jakie śliczne!”, wołała, jakby to było coś najwspanialszego, co dostała w życiu. Arthur żałował, że choć raz nie zdobyła się na szczerść, nie powiedziała, że syn powinien bardziej się postarać. Ale przecież nawet jako mały chłopiec Dan nie za bardzo zważał na innych ludzi i na to, co czują. Najszczęśliwszy był, kiedy cały umazany smarem rozmontowywał silniki samochodowe. Arthur był dumny, że syn ma trzy zakłady blacharskie w Sydney, ale chciałby, żeby potrafił traktować ludzi z podobną uwagą, jaką poświęcał karburatorom.

Lucy miała więcej wyczucia. Wysyłała kartki z podziękowaniami i nigdy, przenigdy nie zapomniała o urodzinach. Jako dziecko była tak cichutka, że Arthur i Miriam martwili się, że ma kłopoty z mówieniem. Ale nie. Lekarz zapewnił ich, że córka jest tylko bardzo wrażliwa. Przeżywa wszystko głębiej niż większość ludzi. Była refleksyjna, poddawała się emocjom. Arthur tłumaczył sobie, że właśnie dlatego nie przyszła na pogrzeb własnej matki. Dan nie przyjechał, bo mieszka tysiące kilometrów od domu. Jednak choć Arthur potrafił usprawiedliwić ich oboje, to bardziej, niż mogliby sobie wyobrazić, bolało go, że dzieci nie pojawiły się, by pożegnać Miriam jak należy. I pewnie dlatego, kiedy z rzadka rozmawiał z nimi przez telefon, było pomiędzy nimi coś w rodzaju muru. Nie dość, że stracił żonę, to tracił też swoje dzieci.

Złączył mocno palce, ale i tak nie zdołał wcisnąć bransoletki na przegub. Najbardziej podobał mu się słoń. Miał podniesioną trąbę i małe uszy. Słoń indyjski. Arthur uśmiechnął

się lekko na myśl, jak bardzo jest egzotyczny. Mówili czasem z Miriam o wyjeździe na wakacje gdzieś za granicę, ale zawsze kończyło się na Bridlington, w tym samym pensjonacie nad morzem. Jeśli kiedykolwiek przywozili jakieś pamiątki, były to pocztówki albo ściereczka do kuchni, a nie złoty wisiołek.

Słoń miał na grzbiecie siedzisko pod baldachimem, gdzie krył się ciemnozielony szlifowany kamień. Obracał się pod palcami. Szmaragd? Nie, na pewno nie, raczej szkielek albo plastik. Przesunął opuszką po trąbie i dalej, aż do miniaturowego ogona. Miejscami metal był gładki, miejscami karbowany. Im bardziej zbliżał wisiołek do oczu, żeby mu się przyjrzeć, tym mniej wyraźnie go widział. Przydałyby się okulary do czytania, ale nigdy nie mógł ich znaleźć. Miał pewnie z pięć par poutykanych gdzieś po domu. Sięgnął do swojego pudełka z narzędziami i wyjął lupę. Korzystał z niej może raz w roku. Przycisnął ją do jednego oka i skierował na słońca. Przybliżając i oddalając głowę, żeby znaleźć najlepszą ostrość, zobaczył, że nacięcia to tak naprawdę maciupieńkie wygrawerowane litery i cyfry. Przeczytał raz i drugi.

Ayah. 0091 832 221 897

Serce zaczęło mu bić szybciej. Ayah. Co to może znaczyć? I te cyfry. Odniesienie do mapy, kod? Wyjął ze swojego pudełka mały ołówek i bloczek i zanotował. Lupa spadła na łóżko. Akurat poprzedniego dnia oglądał teleturniej. Prowadzący, o dziko nastroszonych włosach, pytał, jaki jest numer

kierunkowy z Wielkiej Brytanii do Indii. Odpowiedź brzmiała: 0091.

Arthur docisnął pokrywkę, zamknął pudełko po lodach, wziął bransoletkę i poszedł na dół. Tam zajrzał do kieszonkowego słownika oksfordzkiego. Definicja słowa „ayah” nic mu nie wyjaśniła – niania lub służąca w Azji Wschodniej lub w Indiach.

Zwykle nie telefonował do nikogo ot tak sobie, w ogóle wolał nie korzystać z telefonu. Rozmowy z Danem i Lucy przynosiły tylko rozczarowanie. Mimo to podniósł słuchawkę.

Usiadł na krześle, którego zawsze używał w kuchni, i skrupulatnie wybrał numer. Po prostu, żeby sprawdzić. To było głupie, ale coś w tym małym tajemniczym słoniu sprawiło, że chciał dowiedzieć się więcej.

Dopiero po dłuższej chwili usłyszał sygnał, a jeszcze dłużej potrwało, nim ktoś odebrał.

– Rezydencja państwa Mehrów. Słucham?

Uprzejma pani miała hinduski akcent. Wydawała się bardzo młoda. Arthur odezwał się drżącym głosem. Co on wyprawia? To jakiś obłąd.

– Dzwonię w sprawie mojej żony – powiedział. – Nazywała się Miriam Pepper, to znaczy Miriam Kempster, zanim się pobraliśmy. Znalazłem wisiołek w kształcie słonia, z tym numerem. W jej szafie. Właśnie sprzątałem... – Urwał, zastanawiając się, co właściwie robi, co opowiada.

Kobieta przez chwilę milczała. Był pewien, że zaraz odłoży słuchawkę albo zbeszta go za strojenie sobie żartów. Ale nic z tych rzeczy.

– Tak. Słyszałam o Miriam Kempster. Zaraz poproszę do telefonu pana Mehrę. Sądzę, że będzie mógł powiedzieć panu więcej.

Arthur aż otworzył usta ze zdziwienia.



Słoń

Arthur ścisnął słuchawkę w dłoni. Rozsądek nakazywał mu się wyłączyć, zapomnieć o sprawie. Przede wszystkim był to spory koszt. Telefonował do Indii. Nie może być tanio. Miriam zawsze uważała na rachunki telefoniczne, szczególnie kiedy dzwoniли do Dana do Australii.

No i miał nieprzyjemne poczucie, że narusza prywatność żony. Ich małżeństwo opierało się na wzajemnym zaufaniu. Kiedy jeździł po kraju, sprzedając zamki i sejfy, Miriam czasem przebąkiwała coś o tym, żeby nie uległ wdziękom jakiejś gospodyni, u której wynajmuje pokój na nocleg. Zapewniał ją, że nigdy nie zrobi nic, co mogłoby zaszkodzić ich małżeństwu czy rodzinie. Poza tym nie był typem mężczyzny, który szczególnie podoba się kobietom. Poprzednia dziewczyna porównywała go do kreta. Twierdziła, że jest nieufny i łatwo się denerwuje. Ale, o dziwo, rzeczywiście miał kilka propozycji.

Choć może bardziej ze względu na samotność i desperację tych pań (i jednego pana) niż ze względu na swoje walory.

Czasami pracował do późna. Mnóstwo podróżował. Szczególnie lubił prezentować nowe zamki z blokadą, wyjaśniać klientom działanie zatrzasków, zasuwek i dźwigni. Coś w tych urządzeniach go fascynowało. Były solidne i niezawodne. Chroniły i zapewniały bezpieczeństwo. Uwielbiał to, że w jego aucie zawsze pachnie olejem, i lubił rozmowy z klientami w ich warsztatach. Ale potem pojawił się internet i kupowanie w sieci. Ślusarze nie potrzebowali już zaopatrzeniowców. Sklepy, które nadal działały, zaczęły zamawiać towary przez komputer, a Arthur został skazany na pracę przy biurku. Kontaktował się z klientami już nie bezpośrednio, ale przez telefon. Nigdy nie przepadał za tą formą komunikacji. Nie wiadomo, kiedy ludzie się uśmiechają, nie widać ich oczu, gdy zadają pytania.

Przykro mu też było, że jest tak mało z dziećmi. Czasem wracał do domu dopiero, kiedy leżały w łóżkach. Lucy to rozumiała i następnego ranka cieszyła się, że go widzi. Zarzucała mu ręce na szyję i mówiła, że stęskniła się za nim. Z Danem było to bardziej skomplikowane. Jeśli Arthurowi udało się, z rzadka, wrócić wcześniej, syn wydawał się niezadowolony. „Wolę być z mamą” – powiedział kiedyś. Miriam przekonywała Arthura, żeby nie brał sobie tego do serca. Niektóre dzieci są bliżej z jednym z rodziców i tyle. Mimo to Arthur czuł wyrzuty sumienia, że starając się zapewnić rodzinie byt, tak mało czasu może jej poświęcać.

Miriam przysięgała, że nigdy by go nie zdradziła, bez względu na to, ile godzin by spędzał w pracy. I ufał jej. Nie dała mu powodu, by jej nie wierzył. Nigdy nie widział, żeby z kimś flirtowała, ani nie natrafił na coś, co by wskazywało, że nie jest mu wierna. No i niczego takiego nie szukał. Choć czasem, kiedy wracał do domu, zastanawiał się, czy pod jego nieobecność ktoś jej nie odwiedza. Musiało być jej ciężko, samej z dwójką dzieci. Nie żeby się skarżyła. Była naprawdę dzielna.

Starając się pokonać ucisk w gardle, który wywołały te myśli o rodzinie, zaczął odsuwać słuchawkę od ucha. Dłoń mu drżała. Lepiej tego nie ruszać. Rozłączyć się. Ale nagle usłyszał dźwięczny głos.

– Halo. Mehra przy telefonie. Podobno pytał pan o Miriam Kempster?

Arthur przełknął ślinę. Zaszło mu w ustach.

– Tak. Nazywam się Arthur Pepper. Miriam to moja żona.

Jakoś nie mógł zdobyć się na to, by powiedzieć: „Miriam była moją żoną”, bo przecież choć umarła, nadal byli małżeństwem, prawda?

Wyjaśnił, jak znalazł bransoletkę z przywieszkami i słonika z wrytym numerem. Nie sądził, że ktoś odbierze ten telefon. Potem dodał, że jego żona już nie żyje.

Pan Mehra umilkł. Minęło więcej niż minuta, nim się znowu odezwał.

– Och, tak mi przykro. Opiekowała się mną, kiedy byłem mały. Była taka troskliwa. Ale to dawne czasy. Nadal mieszkam w tym samym domu! W naszej rodzinie niewiele się zmienia. Mamy ten sam numer telefonu. Jestem lekarzem, podobnie jak

mój ojciec i dziadek. Nigdy nie zapomniałem, jaka dobra była dla mnie Miriam. Miałem nadzieję, że może kiedyś ją odzyskam. Powinienem być bardziej się postarać.

– Opiekowała się panem?

– Tak. Była moją *ayah*. Zajmowała się mną i moimi młodszymi siostrami.

– Była u państwa nianią? Tu, w Anglii?

– Nie. W Indiach. Mieszkam w Goi.

Arthur zaniemówił. Kompletnie osłupiał. Nic o tym nie wiedział. Miriam nigdy nie wspominała, że mieszkała kiedyś w Indiach. Jak to możliwe? Patrzył na wypełnioną potpourri poduszeczkę w formie liścia, kołyszącą się na sznurku w korytarzu.

– Mogę opowiedzieć panu o niej coś jeszcze?

– Tak. Proszę – wymamrotał.

Wszystko, co wyjaśniłoby wątpliwości, co by go uspokoiło, że to pomyłka i że chodzi o jakąś inną Miriam Kempster.

Pan Mehra mówił łagodnym, choć zdecydowanym tonem. Arthur już nie myślał o rachunku telefonicznym. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął usłyszeć, co powie ktoś, kto być może znał i kochał Miriam, nawet jeśli to ktoś zupełnie mu obcy. Czasami, przez to, że nie rozmawiał z nikim o żonie, miał wrażenie, że pamięć o niej zanika.

– Mieliśmy wiele niań, zanim pojawiła się u nas Miriam. Byłem nieznośnym dzieckiem. Robiłem im kawały. Wkładałem im jaszczurki do butów i dosypywałem chili do zupy. Nie wytrzymały długo. Ale Miriam była inna. Jadła te ostre potrawy i nigdy nie powiedziała słowa. Wyjmowała jaszczurki

z butów i zanosila z powrotem do ogrodu. Obserwowałem jej twarz, ale była świetną aktorką. Nigdy nie dała nic po sobie poznać. Nie wiedziałem, czy się na mnie gniewa, czy jest rozbawiona. Z czasem przestałem jej dokuczać. Nie było sensu. Znała wszystkie moje sztuczki! Pamiętam, że miała woreczek przepięknych kulek do gry. Błyszczących jak księżyc, a jedna wyglądała zupełnie jak oko tygrysa. Kiedy graliśmy, Miriam potrafiła razem z nami klęczeć na gołej ziemi. – Zaśmiał się gardłowo. – Trochę się w niej kochałem.

– Jak długo u państwa była?

– Kilka miesięcy, w Indiach. Kiedy wyjechała, miałem złamane serce. To wszystko była moja wina. Nigdy o tym nikomu nie mówiłem. Ale pan, panie Pepper, powinien wiedzieć. O wstydzie, który ciążył mi przez tyle lat.

Arthur nerwowo poruszył się na krześle.

– Nie ma pan nic przeciw temu, żebym panu powiedział? To by wiele dla mnie znaczyło. Ten sekret pali mnie w piersi żywym ogniem. – Pan Mehra, nie czekając na reakcję Arthura, kontynuował opowieść: – Miałem zaledwie jedenaście lat, ale kochałem Miriam. Pierwszy raz zwróciłem uwagę na dziewczynę. Była taka śliczna i zawsze elegancko ubrana. A jej śmiech... Brzmiał jak malutkie dzwoneczki. Budziłem się z myślą o niej, a kiedy kładłem się spać, nie mogłem doczekać się jutra. Teraz wiem, że to nie była prawdziwa miłość, jak ta, którą poczułem do swojej żony, Priyi, gdy ją poznałem. Ale takiemu młodemu chłopczkowi wydawała się bardzo prawdziwa. Miriam była całkiem inna niż dziewczynki, z którymi chodziłem do szkoły. Egzotyczna, o alabastrowej

skórze i orzechowych włosach. Oczy w kolorze akwamaryny. Chodziłem za nią krok w krok, ale ona nigdy nie dała mi odczuć, że zachowuję się głupio. Moja matka umarła, kiedy byłem bardzo mały, i często prosiłem Miriam, żeby posiedziała ze mną w jej pokoju. Razem oglądaliśmy skarby w kasetce z biżuterią mamy. Bardzo podobała się jej przywieszka w kształcie słonia. Patrzyliśmy przez szmaragd, żeby widzieć świat na zielono.

Więc to jest prawdziwy szmaragd, pomyślał Arthur.

– Jednak potem Miriam zaczęła wychodzić gdzieś sama, dwa razy w tygodniu. Spędzaliśmy razem trochę mniej czasu. Byłem dość duży, żeby nie potrzebować niani, ale moje siostry wymagały opieki, i głównie to nimi wtedy się zajmowała, nie mną. Któregoś dnia postanowiłem ją śledzić. Spotkała się z jakimś mężczyzną. To był nauczyciel z mojej szkoły. Anglik. Przyszedł do nas do domu na herbatę. Widziałem, że Miriam mu się podoba. Zerwał dla niej w ogrodzie kwiat hibiskusa. Panie Pepper, byłem młodym chłopakiem. Dorastałem, hormony we mnie szalały. Strasznie się zezłościłem. Powiedziałem ojcu, że widziałem, jak Miriam całowała się z tym mężczyzną. Ojciec był bardzo konserwatywny. Już raz zwolnił jedną nianię w podobnych okolicznościach. Natychmiast poszedł do Miriam i kazał jej opuścić nasz dom. Kompletnie ją to zaskoczyło, ale zachowała się z godnością i spakowała swoje rzeczy. Byłem zdruzgotany. Nie chciałem, żeby to się tak skończyło. Wziąłem z kasetki słonia i pobiegłem do miasteczka coś na nim wygrawerować. Wsunąłem go potem do zewnętrznej kieszeni walizki stojącej przy drzwiach. Nie

miałem odwagi się pożegnać, schowałem się, ale Miriam mnie znalazła i pocałowała na do widzenia. Powiedziała: „Do zobaczenia, najdroższy Rajeshu”. I wtedy widziałem ją po raz ostatni. Przysięgam, panie Pepper, że od tamtej pory staram się nigdy nie kłamać. Mówię wyłącznie prawdę. To jedyna droga. Modliłem się, żeby Miriam mi wybaczyła. Opowiadała panu coś o tym?

Arthur nie miał pojęcia o tej części życia swojej żony. Ale już wiedział, że obaj kochali tę samą kobietę. Śmiech Miriam brzmiał jak dzwoneczki. Miała woreczek z kulkami, które podarowała Danowi. Nadal nie mógł otrząsnąć się z szoku, ale w głosie pana Mehry usłyszał błagalną nutę. Odchrząknął.

– Tak. Wybaczyła panu dawno temu. Mówiła o panu z wielką sympatią.

Pan Mehra się roześmiał.

– Panie Pepper! Nie wyobraża pan sobie, jaki jestem szczęśliwy, że to słyszę. Zdjął mi pan kamień z serca. Tyle lat się tym zadręczałem. Dziękuję, że zadał pan sobie trud, by do mnie zadzwonić. Tak mi przykro, że Miriam już przy panu nie ma.

Arthur aż się rozpromienił. Czegoś takiego nie doświadczył od bardzo dawna. Poczul się komuś potrzebny.

– Długo byli państwo małżeństwem? To wielka wygrana, prawda? Mieć taką żonę jak Miriam. A ona, czy była szczęśliwa?

– Tak. Tak myślę. Prowadziliśmy spokojne, ciche życie. Mamy dwójkę wspaniałych dzieci.

– To musi pan spróbować cieszyć się tym. Czy ona chciałaby, żeby pan się smucił?

– Nie. Ale trudno tego uniknąć.

– Wiem. Jednak jest co wspominać z radością.

– To prawda.

Obaj przez chwilę milczeli.

Arthur obracał w dłoni bransoletkę. Znał już historię słonia. Ale co z innymi przywieszkami? Skoro nie miał pojęcia o życiu Miriam w Indiach, jakie jeszcze tajemnice tu się kryją? Zapytał pana Mehre, czy wie coś o bransoletce.

– Dałem jej tylko słonia. Napisała do mnie raz, kilka miesięcy po wyjeździe, by mi podziękować. Jestem sentymentalnym głupkiem. Nadal mam ten list. Zawsze mówiłem sobie, że skontaktuję się z Miriam, ale za bardzo wstydziłem się swojego kłamstwa. Jeśli pan chce, mogę sprawdzić adres nadawcy na tamtym liście.

Arthur przełknął ślinę.

– To byłoby bardzo uprzejme z pana strony.

Czekał z pięć minut, nim pan Mehra wrócił do telefonu. Sięgnął ręką, żeby zatrzymać kołyszącą się poduszeczkę z potpourri. Przejrzał foldery, które wrzuciła mu Bernadette.

– No, jest... Graystock Manor w Bath, Anglia, tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci rok. Mam nadzieję, że to pomoże panu w poszukiwaniach. W liście pisała, że jest tam u przyjaciół. I coś o tygrysach w tej posiadłości.

– Na bransoletce jest przywieszka w kształcie tygrysa – powiedział Arthur.

– Aha. W takim razie to może być następny punkt do sprawdzenia. Zamierza pan odkryć historię każdego wisiorka?

– O, przecież to nie żadne śledztwo – odparł Arthur. – Po prostu byłem ciekaw...

– Tak czy owak, jeśli pan kiedyś przyjedzie do Indii, koniecznie proszę mnie odwiedzić. Pokażę panu miejsca, które Miriam lubiła. I jej dawny pokój. Nie zmienił się wiele przez te lata. Chciałby pan go zobaczyć?

– Jest pan bardzo miły. Choć obawiam się, że skoro dotąd nie ruszałem się z kraju, to raczej w najbliższym czasie nie wybiorę się do Indii.

– Zawsze jest ten pierwszy raz, panie Pepper. Proszę się zastanowić nad moją propozycją.

Arthur podziękował za zaproszenie, pożegnał się i odłożył słuchawkę. W głowie wciąż dźwięczały mu słowa pana Mehry: następny punkt do sprawdzenia... odkryć historię każdego wisiorka...

Zaczął się zastanawiać.



Wielka ucieczka

Następnego ranka Arthur obudził się, kiedy było jeszcze ciemno. Cyferki na jego budziku przeskoczyły właśnie na piątą trzydzieści dwie. Leżał, wpatrzony w sufit. Usłyszał przejeżdżający samochód, a po suficie przemknęły promienie reflektorów, niczym światło latarni morskiej po falach. Pozwolił, by jego palce powędrowały przez materac w poszukiwaniu dłoni Miriam, choć wiedział, że jej tam nie ma i że napotka tylko chłód bawełnianej pościeli.

Co noc, kiedy kładł się do łóżka, uderzało go, jak strasznie zimne jest bez niej. Z nią obok zawsze spał aż do rana, łagodnie zapadał w sen wieczorem, a budził go dopiero śpiew drozdów za oknem. Miriam kręciła głową i pytała, czy naprawdę nie słyszał burzy albo alarmu, który włączył się u sąsiadów. Ale nic z tych rzeczy.

Teraz jego sen był płytki i niespokojny. Arthur często się budził, miał dreszcze, opatulał się kołdrą niczym kokonem.

Musiał kłaść dodatkowy koc na łóżko, bo inaczej chłód podpełzał od pleców, aż stopy drętwiały mu z zimna. Jego ciało przywykło do tego szczególnego rytmu snu: budził się, dygotał, zasypiał, budził się, dygotał... To nie było przyjemne, ale nie chciał przewyciężyć tego. Nie chciał zasypiać, a potem budzić się z ptakami, by zobaczyć, że Miriam już tu nie ma. Nawet teraz byłyby to dla niego zbyt wielki szok. Kiedy tak przewracał się w nocy z boku na bok, wciąż przypominał sobie, że odeszła, i to mu odpowiadało. Bał się ryzykować, że o niej zapomni.

Gdyby musiał opisać jednym słowem to, jak czuł się tego ranka, wybrałby określenie: „skonsternowany”. Pozbycie się ubrań Miriam miało stanowić część rytuału, uwalniającego dom od jej rzeczy, butów, przyborów toaletowych. Mały krok na drodze do pogodzenia się ze stratą, by jakoś ruszyć dalej.

Ale przypadkiem znaleziona bransoletka pokrzyżowała mu plany. Obudziła wątpliwości tam, gdzie nigdy ich nie było. Otworzyła drzwi, a on przekroczył próg.

Arthur i Miriam inaczej podchodzili do zagadek. W niedzielne popołudnia lubili oglądać razem seriale kryminalne z panną Marple albo Herkulesem Poirot. Arthur śledził akcję w skupieniu.

– Myślisz, że to on? – pytał. – Jest taki uczynny, ale poza tym niewiele wnosi do akcji. To chyba on zabił.

– Oglądaj film. – Miriam ścisnęła go za kolano. – Baw się tym. Daj spokój z tym analizowaniem. Nie musisz domyślać się zakończenia.

– Przecież to zagadka. Człowiek powinien starać się ją rozwikłać. Powinniśmy próbować.

Miriam śmiała się, kręcąc głową.

Gdyby stało się odwrotnie i (niechętnie o tym myślał) to on by umarł, Miriam pewnie nie głowiłaby się specjalnie nad jakimś zaskakującym przedmiotem znalezionym w jego szafie. No ale nie był nią i jego umysł poszedł w ruch, jak kolorowy wiatraczek w ogrodzie.

Ciężko podniósł się z łóżka i wziął prysznic, nadstawiając twarz pod strumień gorącej wody. Potem się wytarł, ogolił, włożył szare spodnie, niebieską koszulę i musztardową kamizelkę i ruszył na dół. Miriam lubiła ten zestaw. Mówiła, że dobrze się w nim prezentuje.

Przez pierwsze tygodnie po jej śmierci nie chciało mu się nawet ubierać. Po co miał się trudzić? Dla kogo? Żony nie było, dzieci się wyprowadziły, więc po co zawracać sobie głowę? Dzień i noc nosił piżamę. Pierwszy raz w życiu zapuścił brodę. Kiedy zobaczył swoje odbicie w łazienkowym lustrze, był zdumiony, jak bardzo przypomina kapitana z opakowań mrożonek rybnych. Ogolił się.

Włączał radio w każdym pokoju, żeby nie słyszeć własnych kroków. Żywił się jogurtami i zupą z puszek, której nawet nie podgrzewał. Łyżka, otwieracz, nie potrzebował nic więcej. Wynajdował sobie drobne zajęcia. Dokręcał mocniej śruby łóżka, żeby nie skrzypiało, szorował szerniałe fugi przy wannie.

Miriam trzymała na parapecie w kuchni paprotkę. Marniutką, o wątłych liściach. Z początku Arthur jej nie znosił. Miał żal. Jak taka nędzna zielenina może żyć dalej, kiedy jego żona umarła. Doniczka wylądowała na podłodze przy tylnych

drzwiach, czekając na dzień wywożenia śmieci. Ale ruszyło go sumienie, poddał się i zabrał ją z powrotem. Nazwał ją Frederica, zaczął podlewać i mówić do niej. Powoli się odbiła. Liście nabrały sprężystości, stały się bardziej zielone. Przyjemnie było się o coś troszczyć. Stwierdził, że łatwiej mu opiekować się rośliną i rozmawiać z nią niż z ludźmi. Dobrze mu robiło, że ma zajęcie. Pozostawało mniej czasu na smutki.

No, w każdym razie tak sobie mówił. Miał codzienne obowiązki, musiał jakoś sobie radzić. Ale w końcu jego wzrok padał na wiszącą w korytarzu wypełnioną potpourri poduszczkę w kształcie liścia, albo na ubłocone buty Miriam w spiżarni czy lawendowy krem do rąk na półce w łazience – i potem już szło jak lawina. Przez te nic nieznaczące drobiazgi serce rozpadało mu się na kawałki.

Siadał na pierwszym stopniu schodów, z głową ukrytą w dłoniach. Kołysząc się w przód i w tył, zaciskał powieki i tłumaczył sobie, że tak musi być. Jego rozpacz jest jeszcze świeża. To minie. Miriam jest już w lepszym świecie. Nie chciałaby, żeby tak cierpiał. Tere-fere. Wszystkie te banialuki z folderów Bernadette. Ale jednak minęło. Choć nie do końca. Dźwigał ze sobą swoją stratę, jak kulę do kręgli w brzuchu.

W ciężkich chwilach wyobrażał sobie swojego ojca, surowego, mocnego faceta. „Do diabła, weź się w garść, chłopie. Płacz jest dobry dla maminsynków”.

Podnosił głowę i starał się być dzielny.

Może już czas się pozbierać.

Pamiętał tamten wczesny okres żałoby bardzo mgliście. Tak jakby przypominał sobie film z czarno-białej telewizji

z zakłóceniami w odbiorze. Widział siebie snującego się po domu.

Szczerze mówiąc, Bernadette rzeczywiście bardzo mu wtedy pomogła. Pojawiała się na jego progu jak niemile widziany dzin z butelki i nalegała, żeby poszedł się wykąpać, nim ona przygotuje mu coś na lunch. Arthur wcale nie chciał jeść. Nic nie miało smaku, nic go nie cieszyło.

„Twój organizm jest jak parowóz, potrzebujesz węgla – mówiła Bernadette, kiedy nie chciał przyjąć zapiekanek, zup i gulaszy, które mu przynosiła, podgrzewała i stawiała przed nosem. – Jak zamierzasz jechać dalej bez paliwa?”.

Arthur nigdzie się nie wybierał. Wolał siedzieć w domu. Jego jedynymi wyprawami było wspinanie się na piętro do łazienki albo do sypialni. Nie miał zamiaru robić nic więcej. Dla świętego spokoju zjadał, co mu przyniosła, wytrzymywał jej paplaninę, czytał jej ulotki. A tak naprawdę wolałby, żeby zostawiono go w spokoju.

Bernadette nie dawała za wygraną. Czasami otwierał jej drzwi, kiedy indziej kulił się w łóżku, naciągał kołdrę na głowę albo zastygał jak kamienny posąg. Ona jednak nigdy go nie skreśliła.

*

Tego ranka, tak jakby wiedziała, że o niej myślał, też zadzwoniła do drzwi. Arthur stał chwilę nieruchomo w jadalni i zastanawiał się, czy iść jej otworzyć. W powietrzu unosił się zapach jajek na bekonie i świeżych grzanek, bo inni mieszkańcy

Bank Avenue jedli właśnie śniadanie. Dzwonek zadźwięczał znowu.

– Niedawno zmarł jej mąż, Carl – powiedziała mu Miriam kilka lat temu, kiedy podczas lokalnego kiermaszu parafialnego dostrzegła Bernadette sprzedającą bułeczki i ciasto czekoladowe. – Myślę, że ludzie, którzy tracą kogoś bliskiego, reagują na dwa sposoby. Jedni trzymają się kurczowo przeszłości, inni otrzepują ręce i żyją dalej. Ta pani o rudych włosach należy do tej drugiej kategorii. Znajduje sobie mnóstwo zajęć.

– Znasz ją?

– Pracuje w butikiu Bądź Piękna. Kupiłam tam tę granatową sukienkę. Tę z perłowymi guziczkami. Powiedziała mi, że przez pamięć o mężu chce pomagać innym, dając im swoje wypieki. Mówiła, że jeśli ludzie są zmęczeni, samotni, mają złamane serce albo po prostu tracą energię do życia, to trzeba ich nakarmić. Pomaganie innym uważa za swoją misję. To bardzo dzielna osoba.

Od tamtej pory Arthur częściej zauważał Bernadette. Na lokalnym festynie szkolnym, na poczcie, w szlafroku zajmującą się różami w swoim ogrodzie. Mówili sobie „dzień dobry” i niewiele więcej. Czasami widział, jak rozmawiała z Miriam na rogu ulicy. Śmiały się, wymieniały uwagi o pogodzie i o tym, jakie słodkie są truskawki tego roku. Bernadette mówiła tak głośno, że słyhać ją było nawet w środku domu.

Przyszła na pogrzeb Miriam. Jak przez mgłę pamiętał, że podeszła do niego i poklepała go po ręce. „Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebował, daj tylko znać” – powiedziała,

a Arthur zastanawiał się, czego też mógłby od niej chcieć. Potem zaczęła pojawiać się bez zapowiedzi na progu jego domu.

Najpierw go to irytowało, potem martwił się, czy przypadkiem nie upatrzyła go sobie na kolejnego męża. On nie szukał nowej żony. Po Miriam byłoby to niemożliwe. Ale przez wszystkie te miesiące, kiedy dobijała się do jego drzwi, nigdy nie dała mu powodu sądzić, że z jej strony to nie jest całkiem platoniczne. Miała sporą gromadkę wdów i wdowców, których regularnie odwiedzała.

– Tarta z mieloną wołowiną i cebulą – powitała go, kiedy otworzył. – Prosto z pieca. – Nie czekając na zaproszenie i torując sobie drogę plackiem, wparowała do korytarza. A tam przeciągnęła palcem po półce nad kaloryferem i nie znalazłszy kurzu, z satysfakcją pokiwała głową. Powęszyła chwilę. – Trochę czuć tu stęchlizną – stwierdziła. – Masz odświeżacz powietrza?

To niesamowite, jaka ona potrafi być niedelikatna i w dodatku nie zdaje sobie z tego sprawy, myślał Arthur, pokornie idąc po odświeżacz. Chwilę później wszystko pachniało już tandetnie „górską lawendą”.

Bernadette przeszła do kuchni i postawiła tartę na blacie.

– Naprawdę fajna ta kuchnia.

– Tak.

– Cudowny piekarnik.

– Rzeczywiście.

Bernadette stanowiła całkowite przeciwieństwo Miriam. Jego żona była drobnej, kruchej postury. Bernadette – pulchna, o bujnych kształtach. Farbowała włosy na czerwono, a czubki

jej malowanych paznokci zdobiły naklejane diamenciki. Jeden z przednich zębów miała nieco pożółkły. Jej tubalny głos rozcinał ciszę jego domu jak maczeta. Arthur nerwowo obracał w kieszeni bransoletkę. Od wczorajszej rozmowy z panem Mehrą nosił ją stale przy sobie. Wielokrotnie przyglądał się kolejno wszystkim przywieszkom.

Indie. Tak daleko stąd. Dla Miriam to musiała być wielka przygoda. Dlaczego nie chciała, żeby się o tym dowiedział? Przecież chyba nie z powodu historii, którą usłyszał od pana Mehry, trzymała to w tajemnicy.

– Dobrze się czujesz? Jesteś dziwnie rozkojarzony. – Słowa Bernadette wyrwały go z zamyślenia.

– Ja? Wszystko w porządku, oczywiście.

– Byłam u ciebie wczoraj rano, ale cię nie zastałam. Poszedłeś do Jaskiniowców?

To był klub dla samotnych mężczyzn. Arthur wybrał się tam dwa razy i zastał grupkę ponuraków obrabiających narzędziami kawałki drewna. Zajęcia prowadził Bobby, facet o figurze kręgla – mała głowa, potężne ciało.

– Mężczyznom potrzebna jest jaskinia – dowodził z zapalem. – Miejsce, gdzie mogą się ukryć i działać w zgodzie ze swoją naturą.

Arthur zauważył swojego sąsiada z dredami, Terry'ego, który w zapamiętaniu coś rzeźbił.

– Podoba mi się to autko – pochwalił Arthur uprzejmie.

– Tak naprawdę to żółw.

– Aha.

– Trafiłem na jednego w zeszłym tygodniu, kiedy kosiłem trawnik.

– Dziki żółw?

– Nie, należy do tych rudych dzieciaków, które zawsze biegają bosy. Uciekł im.

Arthur nie wiedział, co na to powiedzieć. Jakby nie miał dość kłopotów z kotami na swoim skalniaku, brakowało mu tylko grasującego żółwia. Wrócił do własnej pracy i zrobił drewnianą tabliczkę z numerem swojego domu – 37. Trójka była o wiele większa od siódemki, ale i tak powiesił tabliczkę na tylnych drzwiach.

Mógł teraz spokojnie potwierdzić, że był u Jaskiniowców, choć wczesna pora by na to nie wskazywała. Ale Bernadette patrzyła na niego wyczekująco, z uśmiechem. Tarta pachniała przepysznie. Nie chciał oszukiwać Bernadette, zwłaszcza po rozmowie z panem Mehra, który tak bardzo żałował, że nakłamał ojcu o Miriam. Arthur też chciał spróbować mówić zawsze prawdę.

– Ukrywałem się przed tobą – przyznał.

– Ukrywałeś się?

– Nie chciałem nikogo widzieć. Planowałem zabrać się do uprzątnięcia garderoby Miriam, więc kiedy zadzwoniłaś do drzwi, stanąłem nieruchomo w holu i udawałem, że mnie nie ma. – Słowa same się posypały i ta szczerłość sprawiła, że poczuł się zaskakująco dobrze. – Wczoraj była pierwsza rocznica jej śmierci.

– Dziękuję, że mówisz wprost. Doceniam to. Doskonale rozumiem. Takie chwile są bardzo ciężkie. Kiedy umarł Carl...

no, trudno mi się było z tym pogodzić. Oddałam jego narzędzia Jaskiniowcom.

Arthurowi ścisnęło się serce. Miał nadzieję, że Bernadette nie będzie opowiadać mu o swoim mężu. Nie chciał wymieniać się historiami o śmierci. Wydawało się, że między tymi, którzy stracili swoją drugą połowę, istnieje jakieś dziwne współzawodnictwo. Dopiero co, w zeszłym tygodniu, był na pocztce świadkiem czegoś, co nazwałby licytowaniem się czwórki emerytów.

– Moja żona cierpiała dziesięć lat, nim wreszcie wydała ostatnie tchnienie.

– Naprawdę? A mój Cedric został rozjechany przez ciężarówkę. Ci z karetki mówili, że nigdy czegoś takiego nie widzieli. Sprasowało go na naleśnik, jak to określił jeden z nich.

Potem rozległ się załamujący się męski głos:

– To przez te leki, jak sądzę. Dawali jej po dwadzieścia trzy tabletki dziennie. Jakby się nią potrzęsęło, toby grzechotała.

– Kiedy go otworzyli, w środku już prawie nic nie było. Doszczętnie zeżarł go rak.

Rozmawiali o swoich ukochanych jak o rzeczach. Dla niego Miriam pozostanie zawsze człowiekiem. Nie będzie dzielił się wspomnieniami o niej w taki sposób.

– Ona lubi beznadziejne przypadki – powiedziała mu Vera, szefowa poczty, kiedy przyniósł do okienka paczkę brązowych małych kopert, które sobie wybrał.

Zawsze miała zatknięty za okrągłe szylkretowe okulary ołówki i czuła się w obowiązku wiedzieć wszystko o wszystkich

w miasteczku. Przed nią pocztę prowadziła jej matka i była dokładnie taka sama.

– Kto?

– Bernadette Patterson. Zauważyliśmy, że носи ci paszteciki.

– Kto zauważył? – spytał ze złością. – Czy istnieje jakiś klub, którego zadaniem jest wtykać nos w moje sprawy?

– Nie, nie, tak tylko sobie tu moi klienci życzliwie gawędzili. Cała Bernadette. Dobra dla wszystkich, którzy stracili nadzieję, bezradnych, nikomu niepotrzebnych.

Arthur zapłacił za koperty i wyszedł.

Teraz włączył czajnik.

– Oddaję rzeczy Miriam Dobroczyńcom Kotów. Sprzedają ubrania, biżuterię i różne drobiazgi, żeby mieć środki na pomaganie kotom.

– Ładny pomysł, choć ja wolałabym pieski. Są dużo wdzięczniejsze.

– Myślę, że Miriam chciałaby pomóc kotom.

– No to tak musisz zrobić. Mam wstawić tę tartę do piekarnika? Moglibyśmy zjeść razem lunch. Chyba że masz inne plany...

Już miał burknąć, że jest raczej zajęty, ale znów przypomniał sobie historię pana Mehry. Nie miał żadnych planów.

– Nie, nic pilnego – przyznał szczerze.

Dwadzieścia minut później, kiedy brał się do krojenia tarty, znów pomyślał o bransoletce. Bernadette mogłaby mu coś o tym powiedzieć z kobiecej perspektywy. Chciał, by ktoś zapewnił go, że to bez znaczenia i choć bransoletka wygląda na

kosztowną, to dziś bez trudu można tanio kupić ładną sztuczną biżuterię. Wiedział jednak, że szmaragd w słońcu jest prawdziwy. I Bernadette mogłaby potem plotkować o tym na pocztce z Verą albo ze swoimi beznadziejnymi przypadkami.

– Powinieneś więcej wychodzić – powiedziała. – Tylko raz wybrałeś się do Jaskiniowców.

– Dwa razy. Często wychodzę.

Popatrzyła na niego sceptycznie.

– Niby dokąd?

– Co to, jakiś quiz? Nie przypominam sobie, żebym się do czegoś takiego zgłosił.

– Próbuję tylko ci pomóc.

Widzi w nim beznadziejny przypadek, tak jak sugerowała Vera.

Nie chciał się tak czuć ani być tak traktowany. Musiał działać. Powiedzieć coś, żeby Bernadette nie widziała w nim osoby bezradnej, nikomu niepotrzebnej, bez przyszłości, jak pani Monton, która nie rusza się z domu od pięciu lat i pali dwadzieścia papierosów bez filtra dziennie, albo pan Flowers, który wierzy, że w jego szklarni mieszka jednoróżec. Arthur nie stracił jeszcze resztek godności. Przywykł uważać się za ojca rodziny, męża. Miał swoje poglądy, marzenia i plany.

Przypomniał sobie adres zwrotny, który był na liście Miriam do pana Mehry. Odchrząknął.

– No, jeśli już chcesz wiedzieć – rzucił szybko – myślałem o tym, by wybrać się do Graystock Manor w Bath.

– Ach tak – powiedziała i zastanowiła się chwilę. – To tam, gdzie podobno biegają na swobodzie tygrysy.

Bernadette to był chodzący almanach Wielkiej Brytanii. Razem z Carlem zwiedzili wszystko, co tylko możliwe, podróżując swoim luksusowym kamperem. Arthur zjeżył się, przekonany, że zaraz usłyszy, co powinien koniecznie zobaczyć w Graystock, a czego nie, co powinien, a czego pod żadnym pozorem nie wolno mu tam robić.

Krzążając się po kuchni, porządkując i sprawdzając, czy noże są dość czyste, Bernadette recytowała, co wie.

Nie, Arthur nie miał pojęcia, że pięć lat temu lord Graystock został poturbowany przez tygrysa, który zatopił mu w łydkę zęby i pazury, i od tej pory Graystock kuleje. Arthur nie słyszał też, że jako młody człowiek lord miał u siebie harem kobiet wszelkich narodowości, niczym na jakiejś hedonistycznej arce Noego, ani że w latach sześćdziesiątych słynął z urządzania w swojej rezydencji dzikich orgii. Arthur nie orientował się też, że wszystkie ubrania lorda, nawet bielizna, są w szafirowoniebieskim kolorze, bo kiedyś we śnie dowiedział się, że to przynosi szczęście (Arthur zastanawiał się, czy podczas ataku tygrysa Graystock również był ubrany na szafirowo).

Teraz usłyszał jeszcze, że lord Graystock próbował sprzedać posiadłość Richardowi Bransonowi, ale się pokłócili i nigdy więcej nie chcieli ze sobą rozmawiać. Lord stał się odludkiem i wpuszczał zwiedzających jedynie w piątki i soboty, a poza tym nie pozwalał już oglądać tygrysów.

Po tych opowieściach Bernadette Arthur poczuł się dobrze poinformowany o wszystkim, co dotyczyło lorda Graystocka.

– Teraz dostępne są jedynie ogrody, zresztą trochę zapuszczone, i sklep z pamiątkami. – Bernadette teatralnym gestem skończyła polerowanie kranów. – Po co tam jedziesz?

Arthur spojrzał na zegarek. Żałował, że w ogóle się z tym wyrwał. Jej wykład zajął dwadzieścia pięć minut. Aż mu zdrętwiała lewa noga.

– Pomyślałem, że byłoby miło, tak dla odmiany – wybąkał.

– Wiesz, tak się składa, że ja i Nathan wybieramy się w przyszłym tygodniu do Worcester i Cheltenham. Oglądamy uczelnie. Zabierz się z nami, jeśli chcesz. Stamtąd możesz skoczyć pociągiem do Graystock.

Arthura ścisnęło w żołądku. Wyprawa do Graystock to była tylko mglista ewentualność. Tak naprawdę wcale nie zamierzał tam jechać. Podróżował zawsze z Miriam. Jaki sens ruszać się z domu samemu? Wspomnił o wyjeździe tylko po to, żeby nie miała go za kogoś zupełnie do niczego. Teraz się opamiętał. Co go podkusiło, żeby wkładać rękę do tego buta? Żałował, że znalazł bransoletkę. Czemu nie da się cofnąć czasu? Nie zadzwoniłby pod numer wygrawerowany na słoni. Nie siedziałby tu, dyskutując z Bernadette o posiadłości Graystocka.

– No nie wiem – mruknął. – Może innym razem...

– Powinieneś pojechać. Staraj się żyć dalej. Małymi kroczkami. Wyjazd może dobrze ci zrobić.

Arthur z zaskoczeniem poczuł dreszczyk emocji. Odkrył coś z przeszłości żony i jego dociekliwa natura popychała go, by dowiedzieć się więcej. Ostatnio doświadczał tylko smutku, rozczarowań i melancholii, a to było coś zupełnie nowego.

– Podoba mi się myśl, że w jakimś angielskim ogrodzie chodzą sobie swobodnie tygrysy – powiedział.

Lubił tygrysy. Silne, majestatyczne, kolorowe drapieżniki, których główne cele życiowe to polowanie, jedzenie i parzenie się. Ludzie są od nich tak bardzo różni, potulnie przyjmując życie pełne trosk.

– Naprawdę? Sądziłabym, że do kogoś takiego jak ty pasowałyby raczej nieduże psy, wiesz, teriery albo coś w tym rodzaju. Wyglądasz też na osobę, która lubiłaby chomiki. W każdym razie dlaczego nie pojedziesz z nami autem? Nathan prowadzi.

– Nie zabierasz kampera?

– Sprzedaję go. Jest dla mnie za duży, nie bardzo sobie z nim radzę. A płacę za jego parkowanie, odkąd umarł Carl. Nathan ma fiestę. Pordzewiały gruchot, ale można na nim polegać.

– Nie powinnaś najpierw zapytać syna? Może nie będzie mu to odpowiadało...

Arthur instynktownie starał się wymówić od podróży. Powinien był trzymać buzię na kłódkę. Jeśli wyjedzie, zaniedba swoje codzienne obowiązki. Plan dnia pójdzie w rozsypkę. Kto zajmie się paprotką Fredericą i pogoni koty, żeby nie załatwiały się u niego w ogrodzie? Podróż na południe oznaczała być może konieczność przenocowania. Nigdy sam nie pakował walizki. Takie rzeczy robiła za niego Miriam... Gorączkowo szukał usprawiedliwienia, dlaczego nie może jechać. Nie chciał być wścibski, ale jednocześnie korciło go, by dowiedzieć się więcej o życiu Miriam z czasów, zanim się poznali.

– Nie, nie. Nathan nie ma tu nic do gadania. Wszystko to moja inicjatywa. A powinien sam się tym zająć. Ale jemu nie w głowie szukanie uczelni. Wiem, że ma jeszcze kilka miesięcy do wysłania papierów, ale wolę zacząć wcześniej. Jak wyjedzie, będzie mi go bardzo brakowało. Zostanę sama. Nawet nie chcę myśleć, jak on da sobie radę beze mnie. Odwiedzę go kiedyś w jego studenckiej kwaterze i pewnie znajdę szkielet, bo zapomni o jedzeniu...

Arthur już miał powiedzieć, że przemyślał sprawę i raczej wybierze się w tę podróż dopiero za jakiś czas. Doszedł do wniosku, że nie ma ochoty jechać z Bernadette i jej synem. Nathana poznał przelotnie, kiedy razem z Miriam pewnego ranka natknęli się na Bernadette w kawiarni. Chłopak należał do młodych typków, którzy odpowiadają monosylabami. Arthur naprawdę nie chciał porzucić bezpiecznej przystani domu i przynoszącej ulgę rutyny.

Ale nagle Bernadette dodała:

– Kiedy Nathan wyjedzie, zostanę zupełnie sama. Samotna wdowa. No, dobrze przynajmniej, że mam ciebie i innych przyjaciół. Jesteście dla mnie jak rodzina.

Poczuł wyrzuty sumienia. Robiła wrażenie tak bardzo samotnej. A to było słowo, którego nigdy by w stosunku do niej nie użył. Każdy nerw jego ciała ostrzegał go, żeby nie jechać do Graystock. Arthur zastanawiał się jednak, co łączyło Miriam z tym miejscem. Wydawałoby się, że ten adres nie może mieć z nią nic wspólnego. Ale tak samo Indie. Lord Graystock musiał być niezłym oryginałem, a posiadłość należała do jego rodziny od wielu lat, możliwe więc, że znał Miriam, że ją pamięta. I że

wie coś o innych przywieszkach. Czy Arthur naprawdę mógł sądzić, że da radę zapomnieć o tej bransoletce, odłożyć ją do pudełka i nie interesować się więcej tym, co działo się z jego żoną we wczesnej młodości?

– Mogę być z tobą zupełnie szczerą? – spytała Bernadette.

Usiadła obok niego i skręcała w dłoniach ściereczkę do naczyń.

– No... pewnie...

– Nathanowi nie jest lekko, odkąd umarł Carl. Niewiele mówi, ale ja to widzę. Przydałoby mu się jakieś męskie towarzystwo. Ma swoich przyjaciół, ale wiadomo, to nie to samo. Gdybyś mógł mu coś doradzić, powiedzieć mu coś mądrego podczas tej podróży... Myślę, że bardzo by mu to pomogło.

Arthur siłą powstrzymał się, żeby nie pokręcić głową. Myślał o Nathanie, chudym drągalu z czarną czupryną opadającą na jedno oko, niczym całun. Kiedy się spotkali przy kawie i ciastkach, chłopak prawie się nie odzywał. A teraz Bernadette liczy, że Arthur pogada z nim jak mężczyzna z mężczyzną.

– Och, przecież on nie będzie mnie słuchał – zaprotestował lekko. – Zaledwie raz się widzieliśmy.

– Myślę, że będzie. Tylko ode mnie ciągle słyszy, co jest dobre, a co złe. Chyba naprawdę bardzo przydałoby mu się męski punkt widzenia.

Arthur spojrzał uważnie na Bernadette. Zwykle podczas rozmowy uciekał wzrokiem, ale teraz wpatrywał się w jej czerwone włosy, spod których przeświecały ciemnoszare

odrosty, zauważył, że kąciki jej ust opadają, jakby miała się rozplakać. Ona naprawdę chciała, żeby się zgodził.

Mógł oddać rzeczy Miriam organizacji dobroczynnej. Mógł schować bransoletkę z powrotem do szafy i o niej zapomnieć. To byłoby łatwe wyjście. Ale powstrzymywały go dwie sprawy. Po pierwsze, cała ta zagadka. Podobnie jak kryminały, które oglądali razem z Miriam w niedzielne popołudnia, tajemnica przywieszek nie dawała mu spokoju. Mógł dowiedzieć się więcej o żonie i czuć, że jest blisko niej. Drugim powodem była Bernadette. Tyle razy wpadała ze swoimi tartami, pasztecikami i dobrym słowem, ale nigdy, przenigdy, nie poprosiła o nic w zamian. Ani o pieniądze, ani o przysługę, ani nawet, by posłuchał czegoś, co chciałyby opowiedzieć o Carlu. A teraz go o coś prosiła.

Wiedział, że nie będzie nalegała, ale widział po niej, kiedy siedziała tak, kręcąc obrączką na palcu, że jest to dla niej ważne. Zależało jej, żeby Arthur pojechał z nią i Nathanem w tę podróż. Potrzebowała go.

Zakołysał się na krześle, mówiąc sobie, że nie ma rady. Musi uciszyć w głowie te głosy, które wołają, żeby nigdzie się nie wybierał.

– Myślę, że dobrze mi zrobi wycieczka do Graystock – powiedział, zanim zdążył zmienić zdanie. – Na pewno dogadamy się jakoś z Nathanem. Zabiorę się z wami.



Podróż

Nathan Patterson istniał naprawdę, miał tułów, głowę, ręce i nogi. Ale Arthur nie był pewien, czy w środku jest coś, co napędza jego ciało do działania. Chłopak chodził tak, jakby go niosła taśma bagażowa na lotnisku, jakby jechał na łyżwach. Chudy jak patyk, w obcisłych czarnych dżinsach biodrówkach, w czarnej bawełnianej koszulce z nadrukiem czaszki i w bielusińskich sportowych butach. Prawie całą twarz zakrywała mu grzywka.

– Cześć, Nathan. Miło cię widzieć – powiedział wesoło Arthur i wyciągnął dłoń, kiedy zobaczył go przed domem Bernadette. – Spotkaliśmy się kiedyś rano przy kawie, pamiętasz?

Nathan spojrział na niego jak na kosmitę. Ręce zwisały mu nieruchomo wzdłuż boków.

– Nieee.

– No, to było tylko w przelocie. Podobno rozglądasz się za jakąś uczelnią. Musisz być bardzo bystrym młodzieńcem.

Chłopak odwrócił głowę i uciekł wzrokiem gdzieś w przestrzeń. Otworzył drzwi auta i bez słowa zajął miejsce za kierownicą. Arthur wpatrywał się w niego. To może być długa podróż.

– Siadę z tyłu, dobrze? – spytał i nie czekając na odpowiedź, która zresztą nie padła, wsiadł do samochodu. – Będzie ci wygodniej rozmawiać z mamą.

Arthur, z walizką na kółkach, przyszedł pod dom Bernadette po lunchu. Nalał Frederice nieco więcej wody niż zwykle. Czuł się winny, że ją zostawia. „To tylko kilka dni – szepnął, kiedy wycierał jej liście wilgotną szmatką. – Dasz sobie radę. Nie możemy tak tu tkwić w nieskończoność. No, może ty tak. Ale ja muszę się ruszyć. Dowiedzieć się o Miriam czegoś, o czym nie miałem pojęcia. Pewnie chciałabyś, żebym to zrobił”. Przyglądał się Frederice, licząc na jakiś znak. Ale nie drgnął żaden listek, woda nie zabułgotała w doniczce.

Spakował koszulę, bieliznę na zmianę, przybory toaletowe, bawełnianą piżamę, apteczkę podróżną i saszetkę czekolady do picia. Bernadette zamówiła mu jednoosobowy pokój w pensjonacie w Cheltenham, gdzie mieli się zatrzymać na noc. „Wygląda przyjemnie – powiedziała. – Okna niektórych pokoi wychodzą na tamtejszą katedrę. Podobną jak w Yorku. Nie będziesz więc tęsknił za rodzinnymi stronami”.

Bernadette, zziajana, wypadła z domu, ciągnąc granatową walizkę. Potem wytaszczyła fioletową i jeszcze cztery torby podróżne firmy Marks & Spencer.

Arthur otworzył okno. Myślał, że Nathan rzuci się, by jej pomóc, ale chłopak siedział oparty stopami o deskę rozdzielczą, pojadając czipsy z torebki.

– Pomóc ci?

– Nie, nie, dam radę. Wrzucę tylko te drobiazgi do wozu i możemy jechać.

Zatrzasnęła bagażnik i usiadła z przodu obok Nathana.

– No dobrze, wiesz, jak jechać?

– Tak – potwierdził z westchnieniem jej syn.

– Za jakieś trzy godziny powinniśmy być na miejscu – powiedziała.

Nathan włączył radio tak głośno, że Arthur nie słyszał własnych myśli. Rockowa muzyka zagłuszała wszystko. Jakiś facet śpiewał, że chce zamordować swoją dziewczynę. Co pewien czas Bernadette oglądała się i uśmiechała do Arthura. Po ruchu jej warg poznawał, że pyta, czy wszystko w porządku.

Kiwał głową i podnosił kciuk. Był spięty, bo naruszył swoją poranną rutynę. Nie ogolił się i nie pamiętał, czy umył kubek. W środku na pewno pozostanie trudny do usunięcia ślad po herbacie. Pewnie za mocno podlał Fredericę. Czy zebrał okruchy z blatu? Przebiegł go dreszcz. No, ale drzwi chyba zamknął jak należy, prawda?

By oderwać się od tych dręczących myśli, wsunął dłoń do kieszeni i zacisnął palce na pudełku w kształcie serca. Pogładził wytłaczaną skórę i wymacał maleńką kłódkę. Miło było mieć przy sobie coś, co należało do żony, nawet jeśli nie wiedział, skąd się to wzięło.

Kiedy tak jechali drogą obsadzoną drzewami, zmierzając ku autostradzie, poczuł, że oczy mu się kleją. Próbował trzymać je szeroko otwarte, ale raz po raz zapadał w drzemkę. Szum opon na asfalcie go usypiał.

Śniło mu się, że jest z Miriam, Lucy i Danem nad morzem. Nie rozpoznawał dokładnie, co to za miejscowość. Lucy i Dan byli dość mali, by cieszyć się wyprawą i lodami w waflowych rożkach.

– Chodź do wody, tato.

Dan ciągnął go za rękę. Fale skrzyły się w słońcu niczym usiane sreberkami od czekoladek. W powietrzu unosił się zapach świeżych pączków i cierpkich przypraw z budek przy promenadzie. Skrzeczały przelatujące w górze mewy. Gorący, słoneczny dzień.

– Tak, chodź, Arthurze.

Przed nim pojawiła się Miriam. Stała na tle słońca i jej włosy przypominały złocistą aureolę. Podziwiał jej zgrabne nogi prześwitujące przez cienką białą suknię. Siedział na piasku, z podwiniętymi nogawkami spodni, pocąc się w swojej musztardowej kamizelce.

– Jestem trochę zmęczony – powiedział. – Poleżę na piasku i popatrzę na was. Poczytam sobie wiadomości. – Poklepał gazetę.

– Przecież to możesz zrobić w każdej innej chwili. Chodź z nami. Odpoczniemy wieczorem, kiedy dzieci pójną spać.

Arthur uśmiechnął się.

– Zostanę tutaj. Idź pochlap się z dziećmi.

Wyciągnął dłoń i pieszczotliwie potargał czuprynę Lucy.

Żona i dwójka dzieci stali przez chwilę, wpatrując się w niego, nim dali za wygraną. Patrzył, jak biorą się za ręce i ruszają biegiem w kierunku morza. Przez moment chciał wstać i ich dogonić, ale zginęli mu wśród mrowia plażowych parasoli i kolorowych ręczników. Zdjął kamizelkę, zwinął ją i podłożył sobie pod głowę.

Ale to był sen i Arthur mógł cofnąć czas. Tym razem, kiedy żona stanęła przed nim i poprosiła, żeby się popluskali, zgodził się. Bo wiedział, że taka okazja może już nigdy się nie powtórzy. Bo wiedział, że każda chwila z dziećmi to skarb, w przyszłości Dan zamieszka tysiące kilometrów od niego, a Lucy będzie trzymać się na dystans. Wiedział, że w przyszłości bardzo często będzie marzył o tym, żeby znów znaleźć się na plaży z rodziną.

Tym razem więc w swoim śnie Arthur wstał i ujął w dłonie małe, lepkie, zapiaszczone łapki Dana i Lucy. Pobiegli razem plażą, całą czwórką w jednym szeregu, ze śmiechem i piskiem. I tupał w falach, chlapiąc, aż przemoczył spodnie na udach i poczuł na ustach sól. Lucy chwyciła się jego nóg, a Dan usiadł po pas w wodzie. Arthur objął Miriam i mocno przyciągnął ją do siebie. Zauważył, że od słońca wyskoczyły jej na nosie piegi, a policzki się zaróżowiły. Niczego bardziej nie pragnął niż być właśnie tam, w tym miejscu. Nachylił się do niej, czując jej oddech na wargach, i...

– Arthurze, Arthurze!

Jakaś dłoń dotknęła jego kolana.

– Miriam?

Otworzył oczy. Sen urwał się nagle. Żona i dzieci znikli. Z przedniego siedzenia wychylała się do niego Bernadette. Drzwi po jej stronie były otwarte. Widział przez nie szary asfalt.

– Zmorzyło cię. Jesteśmy na parkingu. Muszę skorzystać.

– Ooo. – Arthur zamrugał oczami, wracając do rzeczywistości.

Nadal miał wrażenie, że trzyma Miriam za rękę. Tak bardzo chciał, żeby tu była, żeby mógł pocałować jej usta. Otrząsnął się, by oprzytomnieć.

– Gdzie jesteśmy?

– Już pod Birmingham. Nie ma dużego ruchu. Chodź, rozprostuj nogi.

Wysiadł z auta. Spał dwie godziny. Kiedy szedł do szarego betonowego budynku, żałował, że nie może wrócić do swojego snu i znów być z rodziną. To wydawało się tak bardzo prawdziwe. Dlaczego dawniej nie doceniał takich chwil?

Pokręcił się przy kiosku i kupił „Daily Mail”, a potem kawę w tekturowym kubku z automatu na zewnątrz. Miała ziemisty smak. W holu hałasowały maszyny do gry, błyskały kolorowe światełka, rozlegały się wesołe elektroniczne melodyjki. Czuł zapach smażonych plasterów cebuli i płynu dezynfekującego. Ostrożnie wstawił niedopitą kawę do kubła i poszedł do toalety.

Kiedy wrócił do auta, znalazł się sam na sam z Nathanem.

Chłopak znów opierał nogi o deskę rozdzielczą, prezentując kawałek bladej kostki. Na tylnym siedzeniu Arthur rozłożył gazetę. Przez kilka następnych dni spodziewano się fali upałów. Najgorętszy maj od kilkadziesiąt lat. Pomyślał o Frederice. Miał nadzieję, że ziemia do jego powrotu pozostanie wilgotna.

Nathan wyciągnął skręcony żółty płatek z paczki czypisów i niespiesznie włożył do ust. Arthur jeszcze nigdy w życiu nie widział, żeby ktoś tak długo jadł jednego czypisa.

– Czyli ty i mama... no wiesz...? – odezwał się wreszcie chłopak.

Arthur na próżno czekał na koniec zdania.

– Przepraszam, ale...

– No, ty i mama. Czy wy, no wiesz, kręcicie ze sobą, tak? – wydukał Nathan, po czym przybrał bardziej wyszukany ton. – Chodźcie ze sobą?

– Nie. – Arthura kompletnie zatkało. Zastanawiał się, skąd coś takiego przyszło temu chłopakowi do głowy. – Zdecydowanie nic z tych rzeczy. Tylko się przyjaźnimy.

Nathan ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Czyli masz osobny pokój w pensjonacie?

– Oczywiście.

– Tak się tylko zastanawiałem.

– Zdecydowanie jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Widziałem, że носи ci pyszności, paszteciki i takie tam bzdety. Inni jej podopieczni dostają tylko ciasta.

Jej inne beznadziejne przypadki, pomyślał Arthur. Szalony pan Flowers, zamknięta w domu pani Monton i reszta.

– Bardzo doceniam wysiłki twojej mamy. Przechodziłem ciężkie chwile i ona bardzo mi pomogła. A za słodyczami nie przepadam.

– No tak.

Nathan skończył swoje czypisy. Zrolował torebkę, zawiązał na supeł i wetknął sobie pod nos, niby wąsy.

– Moja mama ma bzika na punkcie pomagania innym. Prawdziwa z niej święta.

Arthur nie wiedział, czy sobie kpi, czy mówi poważnie.

– Twoja żona... Umarła, co? – zapytał Nathan.

– Tak.

– Gówniana sytuacja, hm?

Przez sekundę Arthur myślał, że wskoczy na przednie siedzenie i wyszarpane chłopakowi tę torebkę spod nosa. Ile w tych młodych lekceważenia dla śmierci, tak jakby to była jakaś daleka kraina, dokąd nigdy ich nie zanieśie. Jak on śmie w ten sposób mówić o Miriam? Arthur wpił paznokcie w skórzane siedzenie. Paliły go policzki. Patrzył w okno, żeby nie napotkać wzroku Nathana w lusterku.

Jakaś kobieta w czarnym T-shircie z nadrukowanym borsukiem wlokła przez parking wrzeszczącą dziewczynkę. Dziecko ścisnęło w dłoniach torebkę z hamburgerem. Starsza pani wysiadła z czerwonego forda focusa i też zaczęła krzyczeć. Pokazywała na torebkę. Trzy generacje kłóciły się o kanapkę od McDonalda.

Arthur musiał odpowiedzieć Nathanowi, bo inaczej byłoby niegrzecznie, ale nie miał zamiaru opisywać, jak się czuje.

– Rzeczywiście, gówniana – potwierdził, nie zdając sobie nawet sprawy, że użył wulgarnego słowa.

– No, i już. – Na szczęście drzwi się otworzyły i Bernadette ułożyła na podłodze z przodu auta kilka pękatych toreb, a potem ostrożnie, żeby ich nie pognieść, wsunęła się na fotel. – Gotowi? Jedziemy? – spytała, zapinając pasy.

– Co ty tam masz, mamó? Przecież tu jest tylko McDonaldzio i kiosk – powiedział Nathan.

– Kupiłam kilka pism, coś do picia i jakieś tam czekoladowe słodycze na drogę. Ty i Arthur możecie zgłodnieć.

– Myślałem, że masz jedzenie w bagażniku.

– Tak, ale miło jest coś dokupić.

– Sądziłem, że dostaniemy herbatę w pensjonacie. – Nathan nie dawał za wygraną. – Będziemy tam za godzinę.

Arthur poczuł się nieswojo. Bernadette chciała im tylko zrobić przyjemność.

– Mnie już rzeczywiście zaczyna lekko ssać – wtrącił, żeby ją wesprzeć, choć wcale nie miał ochoty na jedzenie. – Coś do picia i małe co nieco dobrze by mi zrobiły.

Został nagrodzony ciepłym uśmiechem, twixem w rozmiarze XL i dwulitrową butlą coli.

*

Jego pokój w pensjonacie był maciupki. Mieściło się w nim tylko pojedyncze łóżko, rozklekotana szafa i krzesło. W rogu miał najmniejszą umywalkę, jaką w życiu widział, i opakowane mydełko wielkości torebeczki śmietanki do kawy. Toaleta i łazienka z wanną (jak poinformowała go właścicielka kwatery) mieściły się piętro wyżej. Nie wolno było kąpać się po dziewiątej wieczorem, a w toalecie należało porządnie nacisnąć spłuczkę, inaczej nie zadziała.

Arthur nie pamiętał już, kiedy ostatnio spał w pojedynczym łóżku. Wydawało się strasznie wąskie i potwierdzało jego status

wdowca, ale przynajmniej pościel była kolorowa i świeża. Usiadł i wyjrzał przez niewielkie okno. Po parapecie dreptała mewa. Widok był ładny – na park po drugiej stronie ulicy.

Zwykle kiedy przyjeżdżali z Miriam do pensjonatu, od razu parzyli sobie w pokoju dobrą herbatę i sprawdzali, jakie herbatniki przygotowano dla gości. Mieli wspólnie opracowany system oceny. Oczywiście brak herbatników oznaczał wielkie zero. Suche dostawały dwa punkty. Markizy waniliowe łądowały nieco lepiej, dawali za nie nawet cztery. Czekoladowe najpierw otrzymywały pięć punktów, ale szczególnie je polubili, więc ostatecznie zdecydowali, że będzie to sześć. Każdy herbatnik smakujący czekoladą, choć bez czekolady, zasługiwał na uznanie. Wyżej w skali ocen mogły znaleźć się wykwintne słodyczne, oferowane zwykle przez większe sieci hotelowe – pierniczki, ciasteczka cytrynowe albo z kawałkami czekolady. Te dostawały nawet do ośmiu punktów. Dziesiątkę mogły uzyskać tylko domowe wypieki, ale to już była wielka rzadkość.

Tu znalazł paczuszkę z dwoma imbirowymi ciasteczkami. Były całkiem w porządku, ale na ten widok serce mu się ścisnęło. Wyciągnął jedno i wsunął do ust. A potem zagiął paperek i odłożył drugie z powrotem na tacę. Dla Miriam. Nie potrafił zdobyć się na to, żeby je zjeść.

Miał jeszcze dwie godziny do kolacji, na którą umówił się z Bernadette i Nathanem w restauracji na dole. Z Miriam włożyliby teraz kurtki i poszli na spacer, żeby rozejrzeć się po okolicy i zaplanować, co będą robili następnego dnia. Samemu nie chciało mu się wychodzić. Bo po co? Z okna obserwował sunącego w kierunku parku Nathana. Jedną rękę trzymał

w kieszeni. Palił papierosa. Arthur zastanawiał się, czy Bernadette wie o tym jego złym nawyku.

Wyjął z kieszeni czerwone pudełko i otworzył je na parapecie. Choć oswoił się już z widokiem bransoletki i z tym, że ma ją przy sobie, nadal nie potrafił kojarzyć jej z żoną. Nie mógł wyobrazić sobie czegoś tak ekstrawaganckiego i ostentacyjnie kosztownego na jej szczupłym nadgarstku. Miriam szczyliła się elegancją i często brano ją za Francuzkę ze względu na jej klasyczny sposób ubierania się. Rzeczywiście, nieraz mówiła, że podziwia styl Francuzek i że kiedyś chciałaby pojechać do Paryża. Powiedziała, że uwielbia tamtejszą modę.

Kiedy zaczęła chorować, kiedy brakowało jej tchu i miała zadyszkę, ubierała się już inaczej. Granatowe jedwabne bluzki, kremowe spódnice i perełki ustąpiły miejsca luźnym, bezkształtnym blezerom. Zależało jej tylko na tym, żeby nie marznąć. Dygotała nawet w pełnym słońcu. Do ogrodu wychodziła w kurtce, dzielnie unosząc twarz do słońca, jakby je wyzywała. Ha! Nie czuję cię!

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego nie mówiłaś mi nic o Indiach, Miriam – powiedział na głos. – Historia pana Mehry jest przykra, ale nie ma tu nic, czego mogłabyś się wstydzić.

Na parapecie za oknem stanęła sroka – gapiła się na niego, a potem tak jakby łypnęła okiem na bransoletkę. Arthur postukał w szybę.

– Sio!

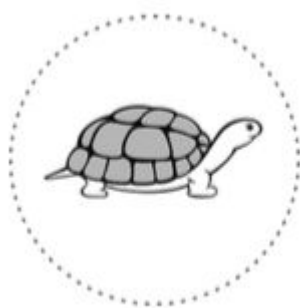
Przygarnął pudełko do piersi i zerknął na wisiorki. Kwiatek zrobiony był z pięciu różnokolorowych kamieni, które otaczały małą perłę. Paleta malarska miała dołączony maciupieńki

pędzelek i sześć emaliowanych kuleczek symbolizujących farby. Tygrys warczał, odsłaniając ostre złote kły. Arthur znów spojrzał na zegarek. Do kolacji została mu jeszcze godzina czterdzieści pięć minut.

W domu już byłby po jedzeniu. Razem z Miriam zawsze siadali do kolacji punktualnie o piątej trzydzieści i kontynuowali tę tradycję. On nakrywał do stołu, ona gotowała. Potem on zmywał, a ona wycierała naczynia. Jedynym odstępstwem od tego zwyczaju był piątek, kiedy popijali herbatę przed telewizorem i jedli smażoną rybę z frytkami i fasolkę prosto z plastikowych pojemników. Położył się na łóżku, z dłońmi pod głową. Bez żony jedzenie nie było już tym samym co dawniej.

Żeby się czymś zająć, zaczął rozmyślać o następnym dniu. Wątpił, aby dostał herbatę i śniadanie o swojej zwykłej porze. Przejrzał godziny odjazdów pociągów, które sobie spisał na kawałku papieru, i starał się je zapamiętać. Wyobraził sobie lorda Graystocka idącego ku niemu z wyciągniętą dłonią i witającego go niczym starego przyjaciela. A potem próbował wyobrazić sobie Miriam, jak przyklęka na gołej ziemi i gra w kulki z dziećmi w Indiach. To wszystko było nie do pojęcia.

Minęło zaledwie dziesięć minut. Arthur wziął pilota od małego telewizora, wiszącego krzywo na ścianie. Włączył go, przeleciał wszystkie kanały i zaczął oglądać ostatnie dwadzieścia minut jednego z odcinków *Columbo*.



Lucy i żółw

Lucy Pepper stała przed swoim dawnym domem i patrzyła w górę, na okno swojego dawnego pokoju. Za każdym razem, kiedy tu wracała, dom wydawał się coraz mniejszy. A niegdyś był dla niej taki wielki, gdy ona i Dan biegali po schodach, a mama z tatą siedzieli w salonie i czytali. Zawsze razem. Jak te porcelanowe pieski stojące po obu stronach gzymsu nad kominkiem.

Jej ojciec, dawniej silny i wyprostowany, też wydawał się teraz mniejszy. Plecy mu się przygarbiły. Czarne włosy, które tak lubiła pociągać, a potem patrzeć, jak skręcają się znowu i wracają na miejsce, zmieniły się w sztywną białą czuprynę. Jak to szybko zleciało. Niewinność młodości, wiara, że rodzice będą wieczni... I nagle koniec.

Lucy zawsze marzyła o jednym – chciała zostać mamą. Od najmłodszych lat, kiedy bawiła się lalkami, wyobrażała sobie

siebie z dwójką dzieci. Czy będzie to chłopiec i dziewczynka, dwaj chłopcy, czy dwie dziewczynki, obojętne. Teraz miała trzydzieści sześć lat i powinna już być mamą. Z Facebooka wiedziała, że jedna z jej koleżanek została już nawet babcią. Tęskniła za lepkimi pocałunkami na policzkach.

W obecnych czasach tego typu wyznanie mogłoby dziwić. Czy nie powinna raczej myśleć o karierze zawodowej albo dalekich podróżach? Tymczasem ona chciała być jak jej mama, Miriam, która była taka szczęśliwa, wychowując dzieci. Tworzyli z tatą małżeństwo doskonałe. Nigdy się nie kłócili. Śmiali się nawzajem ze swoich dowcipów i trzymali się za ręce. To nawet wydawało się Lucy trochę żenujące, kiedy była młodsza – że mama i tata chodzą objęci jak zakochane nastolatki. Dopiero gdy sama zaczęła spotykać się z chłopakami – i wciąż nie mogła znaleźć kogoś, kto by obejmował ją w tali, kiedy przechodziła przez ulicę, tak jakby należało ją chronić niczym skarb – zrozumiała, co zostało dane jej rodzicom. Oczywiście nie potrzebowała niczyjej opieki, miała brązowy pas w karate, ale miło byłoby tak się czuć.

Jej brat, Dan, nigdy nie przejawiał ochoty, by zostać ojcem. Skupił się na budowaniu firmy, starał się urządzić za granicą. To niesprawiedliwe, że on i jego żona, Kelly, wydali na świat dwójkę cudownych dzieciaków, ledwie się do tego wzięli. Dan zawsze spadał na cztery łapy, a Lucy miała wrażenie, że sama musi o wszystko walczyć, czy to o małżeństwo, czy o relacje z tatą, czy o pracę.

Kiedy nocą leżała w łóżku i wyobrażała sobie idealne życie, widziała siebie w parku, z mężem i dziećmi, śmiejącą się

i popychającą huśtawki. Jej mama też tam była, z zapasem chusteczek i pocałunków na obtarte kolanka.

Ale mama odeszła i nigdy nie wróci. Nigdy nie zobaczy ani nie weźmie na ręce wnuków, których nie zdążyła jej urodzić Lucy.

Jako nauczycielka w lokalnej podstawówce Lucy zauważyła, że mamy podwożące dzieci do szkoły są już młodsze od niej. Skrzywiła się na myśl, ile czasu zmarnowała przez Anthony'ego. Upierał się, żeby jeszcze choć raz pojechali na zagraniczne wakacje, zanim odstawi pigułki antykoncepcyjne. Albo żeby sprawili sobie nową kanapę, nim zaczną pracować nad spółdzeniem dzidziusia. Mieli inne priorytety.

Przestała więc brać pigułki bez jego wiedzy. Mimo swojej ostrożnej natury wiedziała, że w tej sytuacji musi wziąć sprawy we własne ręce i działać. Jeśli zda się na Anthony'ego, do pięćdziesiątki będzie się zastanawiał, czy mieć dzieci, czy nie mieć. W każdym razie po kilku tygodniach była w ciąży, a parę miesięcy później już nie.

Anthony ją opuścił. Mama też odeszła. A wraz z nimi, jak perfumy rozlane na słońcu, wyparowały marzenia Lucy o rodzinie.

Nadal gryzła się tym, że nie poszła na pogrzeb mamy. Co z niej za córka? Do niczego, wstyd. Powinna była iść, pożegnać się. Ale to ją przerosło. Nie zdołała nawet wytłumaczyć się ojcu. Wsunęła mu tylko przez drzwi kartkę, na której napisała: „Przepraszam, Tato. Nie dam rady. Pożegnaj Mamę ode mnie. Całuję mocno, Lucy”.

*

Potem położyła się do łóżka i nie wstawała przez tydzień.

Ojciec zaczął żyć według ścisłej rutyny. Miał sztywny plan dnia, którego się trzymał. Kiedy wpadała, odnosiła wrażenie, że przeszkadza. Stale spoglądał na zegarek i zajmował się różnymi rzeczami, tak jakby jej tam nie było, jakby egzystowali w różnych wymiarach czasoprzestrzeni. Ostatnim razem nastawiła wodę i zrobiła dwie herbaty. A ojciec nie chciał pić. Powiedział, że herbatę pija tylko o ósmej trzydzieści rano, o jedenastej, no i czasami o trzeciej. Zupełnie jakby odwiedzała popadającego w paranoję Howarda Hughesa.

Żałowała, że nie ma mamy, która by mu pomogła się otrząsnąć. Lucy stale miała wrażenie, że zastanie ją przy kuchennym stole albo w ogrodzie, przycinającą krzewy róż. Łapała się na tym, że wyciąga dłoń, by dotknąć coraz bardziej wątych ramion matki.

Chciałaby, żeby brat okazywał więcej zainteresowania tym, jak jej i tacie się żyje. Stosunki Dana z ojcem zawsze były napięte. Tak jakby nie umieli się nawzajem zrozumieć i zaakceptować. Byli jak dwa fragmenty układanki, na których było to samo niebo, ale ich kształty do siebie nie pasowały. Stało się to jeszcze bardziej widoczne teraz, kiedy odeszła mama, a ona musiała przypominać i tacie, i Danowi, jak i kiedy powinni się kontaktować.

Kiedy Lucy wracała do domu po frustrującej godzinie spędzonej z ojcem, żałowała, że nie ma nikogo, kto by ją przytulił i powiedział, że wszystko jakoś się ułoży.

Minęło pół roku, odkąd Anthony przekreślił ich małżeństwo. Taki banał. Pewnego dnia przyszła z pracy i zobaczyła w korytarzu jego walizkę. Najpierw pomyślała, że może wyjeżdża służbowo i zapomniał jej o tym powiedzieć. Ale kiedy pojawił się przy bagażach, zrozumiała. Miał wzrok wbity w ziemię.

– To się nie sprawdza, Luce. Oboje to wiemy.

Nie chciała błagać. Kiedy teraz o tym myślała, wydawało się to żalosne. Ale błagała. Prosiła, żeby został, że jest przyszłym ojcem jej dzieci. Że minął rok i najgorsze już za nimi. Mogą zacząć od nowa. Wie, że zaniedbywała go po śmierci mamy. I od kiedy stracili dziecko.

Ale on pokręcił głową.

– Za dużo było smutku. Chcę być szczęśliwy. Chcę, żebyś ty była szczęśliwa. Ale po tym, co się stało, razem nie damy rady. Każde powinno pójść w swoją stronę i nie rozpamiętywać. Muszę odejść.

W zeszłym miesiącu, w jaskrawobiałym świetle działu ze słodyczami, dostrzegła Anthony'ego, który pchał wózek na zakupy. Szedł z jakąś kobietą. Przypominała trochę Lucy, z włosami na pazia i długą szyją.

Lucy ruszyła za nimi w kierunku regałów z sokami i mrożonymi deserami, ale zaraz zrezygnowała. Gdyby Anthony ją zauważył, mógłby pomyśleć, że go śledzi. Przedstawiłby ją swojej nowej dziewczynie i Lucy musiałaby się uśmiechnąć i powiedzieć, że miło go widzieć, ale wpadła tylko po świeże truskawki i naprawdę musi lecieć. Kiedy znalazłaby się na tyle daleko, że nie mogłaby ich usłyszeć, on szepnęłaby do nowej

ukochanej: „To żona, z którą jestem w separacji. Poroniła w piętnastym tygodniu ciąży, a potem już nigdy nie była taka jak przedtem. Tak jakby zgasło w niej światło albo coś w tym rodzaju. Musiałem się wyrwać”. A jego dziewczyna ze współczuciem pokiwała głową i ścisnęła go za rękę, by zapewnić go, że jest bardzo płodna i jeśli tylko on zechce, to jej ciało nie zawiedzie.

Lucy trzymała się aż do kas, ale zaczęła płakać, kiedy odstawiała wózek. Waliła nim bezskutecznie raz za razem, ale za nic nie chciał się wpasować. Odeszła, zostawiając w nim żeton z rysunkiem białej róży Yorków. Jakiś mężczyzna o szyi tak grubej jak jego talia podał jej chusteczkę. Wydmuchała nos, pojechała do domu i wypłała pół butelki wódki.

Po tym zdarzeniu wróciła do nazwiska Pepper. Zresztą Lucy Pepper brzmi dużo lepiej niż Lucy Branningan. Po cichu, szybko oczyściła dom z pamiątek po Anthonym i wyrzuciła do kosza z makulaturą wszystkie ulotki na temat mleka dla niemowląt, kupony na pieluszki i wkładki do biustonosza dla karmiących matek. Z dawnym nazwiskiem poczuła się silniejsza, lepiej przygotowana, by znów stawić czoła życiu.

A teraz stała pod domem, w którym dorastała i w którym mama i tata tysiące razy zmieniali jej pieluszki. Zrobiło się jej ciepło na sercu. Uśmiechnęła się i zadzwoniła do drzwi. Przez szybki w kształcie stokrotek widziała na wieszaku w korytarzu płaszcz ojca. Na wycieracze w środku leżała sterta poczty. Dziwne, że jej jeszcze nie podniósł.

Nacisnęła dzwonek ponownie i zastukała kołatką. Cisza.

Popatrzyła w górę. Wszystkie okna były zamknięte. Przeszła na tył domu, do ogródka, ale i tam nie znalazła ojca.

Zmrużyła oczy przed słońcem. Może namówi tatę, żeby pojechali do centrum ogrodniczego? Był taki ładny dzień.

Wyszła z pracy godzinę wcześniej niż zwykle. To był w szkole dzień sportu i tak naprawdę powinna zostać, by nalepiać plastry na rozbite kolana lub rozdawać sok pomarańczowy. Ale kiedy patrzyła na dzieci potykające się w wyścigach z jajkiem na łyżce, poczuła nieprzepartą ochotę, by zobaczyć się z tatą. Dan mieszkał w Australii, mama umarła i teraz z bliskich został jej już tylko on. Udała, że boli ją głowa, wsiadła do auta i uciekła od śmiechów i oklasków, kiedy ruszała sztafeta.

Stała na palcach, osłoniła oczy dłonią i zajrzała przez okno z tyłu domu. Paprotka Frederica wyglądała na trochę zmartwioną. Brzegi jej liści lekko się zawinęły. Tata dostał bzika na punkcie tej roślinki.

Nagle przyszła jej do głowy potworna myśl. A jeśli tata nie żyje? Mógł spaść ze schodów lub umrzeć w łóżku, jak mama. Może leży na podłodze w łazience i nie jest w stanie się ruszyć? O Boże. Ścisnęło ją w dołku z przerażenia. Ruszyła z powrotem do drzwi frontowych.

– W czymś pani pomóc?! – zawołał mężczyzna z ogrodu naprzeciwko.

To był sąsiad taty, ten, który nosił bandanę. Lucy widywała go wcześniej. Teraz pochylał się nad kosiarką, podnosząc jakąś odwróconą do góry dnem brązową miskę.

– Wpadłam odwiedzić tatę. Nie otwiera. Martwię się, że może się przewrócić albo coś w tym rodzaju. Pan ma na imię Terry, prawda? – Lucy popatrzyła w prawo i w lewo, po czym przeszła przez ulicę.

– Tak. Nie ma powodu do zmartwienia. Pani ojciec wychodził dziś rano z walizką.

Lucy przygładziła dłonią włosy.

– Z walizką? Jest pan pewien?

– No, raczej. Sądzę, że szedł do domu tej pani. Tej, co ma włosy ufarbowane na malinowo.

– Bernadette?

Kiedyś Lucy zajrzała do taty i zastała tę kobietę przy kuchennym stole, na miejscu mamy. Przyniosła właśnie paszteciki z mięsem. Lucy nie gotowała. Wstawiała tylko coś do kuchenki mikrofalowej albo do piecyka.

– Nie wiem, jak ma na imię. Wsiedli do auta. Za kierownicą siedział młody człowiek. Taki z grzywką na jedno oko. Zastanawiałem się, jak on może widzieć drogę.

– Czy tata mówił, dokąd się wybiera?

Terry pokręcił głową.

– Nie. Pani jest jego córką? Macie takie same oczy.

– Tak?

– No, raczej. Nie mówił, dokąd jedzie. On w ogóle niewiele mówi, prawda?

– Racja.

Miska w dłoniach mężczyzny lekko się poruszyła. Z jednej strony wysunęła się główka, dwoje oczu popatrzyło na Lucy uważnie.

– Ojej, to źółw?

Terry skinął głową.

– Tak. Ucieka sąsiadom. Najwyraźniej upodobał sobie mój trawnik, choć nie wiem czemu. Lubię, żeby był porządnie przystrzyżony. Nie ma tu dużo do jedzenia dla takiego małego gościa. Za każdym razem, kiedy się tu zapuści, łapię go i odnoszę. Należy do tej dwójki rudych dzieciaków, które wiecznie biegają boso. Zna je pani?

Lucy odparła, że nie.

– Mam powiedzieć tacie, jak go zobaczę, że pani go szukała?

– Jeśli będzie pan tak miły, to proszę – odparła Lucy i dodała, że będzie do taty dzwonić. Zastanawiała się, gdzie też ojciec mógł się wybierać z walizką. Przecież trudno go było nakłonić, żeby wyszedł z domu choćby po mleko do miasteczka.

– Może powinien pan pozwolić temu źółwiowi połączyć tu trochę, zaspokoić głód przygody? Pewnie potem chętniej posiedziałyby w swojej zagrodzie czy gdziekolwiek mieszka.

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy. – Terry obrócił źółwia, żeby spojrzeć mu w oczy. – A co ty o tym myślisz, stary?

– Dziękuję za pomoc! – zawołała w roztargnieniu Lucy, wracając na drugą stronę.

Znów poszła na tyły domu. Przysiadła na brzegu wielkiej donicy. Wybrała numer taty w komórce. Odczekała ze dwadzieścia sygnałów, jak zwykle, dając mu czas, żeby przypomniął sobie, gdzie odłożył telefon albo który guzik nacisnąć. Wreszcie odebrał.

– Witam. Mówi Arthur Pepper.

– Tato, tu Lucy – powiedziała z ulgą, że słyszy jego głos.

- O, witaj, kochanie.
- Jestem pod domem, a ciebie tu nie ma.
- Nie wiedziałem, że się do mnie wybierasz.
- O... po prostu chciałam cię zobaczyć. Twój sąsiad, ten, który tak dba o swój trawnik, powiedział, że widział cię z walizką.
- Zgadza się. Postanowiłem pojechać do Graystock Manor. Tam gdzie mieszkają tygrysy, w Bath.
- Słyszałam o tym. Ale, tato...
- Bernadette wybierała się w te strony z synem i poprosiła, żebym im towarzyszył.
- I dałeś się namówić?
- No... Nathan szuka uczelni. A ja... no... pomyślałem, że dla odmiany...

Lucy zamknęła oczy. Jej ojciec nie chciał nawet wypić z nią filiżanki herbaty, jeśli to nie pasowało do jego sztywnego harmonogramu dnia, a teraz włóczy się gdzieś z tą swoją ognistowłosą sąsiadką. Od roku prawie nie opuszczał domu. Czowała, że w tej nagłej podróży jest coś dziwnego, że ojciec coś ukrywa.

- Daleka droga, żeby wybrać się tak dla kaprysu.
- Przynajmniej zmobilizowałem się, by wychylić nos z domu.

Lucy martwiła się, że ojciec, mieszkając samotnie, może stać się łatwą ofiarą jakichś machinacji. W gazetach tyle pisano o naiwnych emerytach. Teraz nie wiedziała, co myśleć. Dlaczego zgodził się jechać z Bernadette aż do Bath, skoro jej nie udawało się nakłonić go, żeby podskoczyli razem do

centrum ogrodniczego po doniczki? Starła się, żeby nie wyczuł niepokoju w jej głosie.

– A kiedy wracasz?

– Jeszcze nie wiem. Zatrzymałem się w pensjonacie. Jutro ruszam do Graystock. W każdym razie już muszę iść, kochanie. Zadzwoń, jak będę w domu, dobrze?

– Tato... tato!

Połączenie zostało przerwane. Lucy wpatrywała się w swoją komórkę.

Już miała ponownie zadzwonić do ojca, ale przypomniała sobie o innych jego dziwactwach, o jego żelaznych zwyczajach. Zawsze widywała go w tej ohydnej musztardowej kamizelce. Nie dzwonił tygodniami. Rozmawiał z paprotką.

Nigdy nie myślała, że jej rodzice są starzy. Aż do śmierci mamy. Teraz to się zmieniło. Jeśli tata przestanie dawać sobie radę sam, będzie zmuszona rozejrzeć się za jakąś pomocą domową albo nawet ośrodkiem opieki. Zastanawiała się, jak szybko ojciec kompletnie straci kontakt z rzeczywistością.

Zaschło jej w ustach, kiedy wyobraziła sobie, jak pomaga mu wejść na schody, karmi go, prowadzi do toalety. Zamiast dzieckiem, będzie musiała zająć się ojcem.

Wstała i na miękkich nogach ruszyła do furtki. Na domiar złego, po tym wszystkim, co ją w życiu spotkało, musi zmierzyć się teraz z postępującą demencją taty.



Pensjonat

Śniadanie podane na dole w pensjonacie pachniało wyśmienicie. W domu on i Miriam jadali tylko płatki. Jeśli pozwolił sobie na grzanekę, to z margaryną, nie z masłem. Miriam kazała mu uważać na cholesterol, nawet gdy lekarz zlecił mu badania i stwierdził, że wszystko jest w normie. Budząc się, Arthur czuł raczej świeżo upraną bawełnianą pościel niż angielską smażeninę. Do tego przywykł. Tutaj mógł sobie pofolgować. Ale miał wyrzuty sumienia, bo nie było z nim żony i nie mogła cieszyć się tym śniadaniem.

Choć poprzedniego dnia przysnął w aucie, noc przespał dobrze. Rano obudził go krzyk mew i ich stepowanie po dachu.

Po wieczornej rozmowie telefonicznej z Lucy poczuł się zmęczony. Zapukał do pokoju Bernadette i spytał, czy nie pogniewa się, jeśli nie zje z nią i z Nathanem kolacji. Miał ochotę wcześniej się położyć. Zobaczą się rano. Bernadette kiwnęła głową, ale spojrzała na niego z głębokim wyrzutem.

Wziął prysznic, ubrał się, ogolił i zszedł do pokoju śniadaniowego, który prezentował się dość wesoło. Żółte ceratowe obrusy, sztuczne żonkile i oprawione pocztówki z morskimi widoczkami na ścianie. Bernadette i Nathan siedzieli już przy czteroosobowym stoliku pod oknem.

– Dzień dobry – odezwał się pogodnie Arthur, podchodząc do nich.

– Bry – bąknął Nathan, trącąc kwiatki nożem.

– Witaj, witaj, Arthurze – powiedziała Bernadette. Wyciągnęła dłoń i przytrzymała rękę syna. – Dobrze spałeś?

– Szczerze mówiąc, jak suseł. A ty?

– Marnie. Obudziłam się koło trzeciej i zaczęłam o wszystkim myśleć. Nie mogłam się uspokoić.

Arthur już miał spytać dlaczego, ale młoda kelnerka w zgrabnej czarnej spódniczce i żółtej bluzce spytała, czy podać kawę, czy herbatę. Zauważył, że na jednym nadgarstku ma wytatuowaną małą kotwicę, a na drugim różę. To był jakiś dziwny nowy zwyczaj u młodych ludzi. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego taka piękna dziewczyna chce przypominać marynarza. Ale po chwili zganił sam siebie, że taki z niego wapniak. Miriam zawsze mówiła, że powinien być bardziej tolerancyjny.

– Podobają mi się pani tatuaże – pochwalił. – Bardzo ładne.

Kelnerka uśmiechnęła się, wyraźnie zaskoczona, jakby dobrze wiedziała, że te rysunczki wyglądają jak zrobione przez malucha, który dorwał się do igły i atramentu. Arthur zamówił herbatę i poprosił o pełne angielskie śniadanie, bez grillowanych pomidorów.

Oboje z Bernadette jednocześnie wstali i podeszli do stołu, gdzie ustawiono małe pudełeczka płatków i szklany dzbanek z mlekiem. Arthur wziął płatki Rice Krispies. Bernadette dwa opakowania Frosties.

– W tych małych pudełkach zawsze dają za mało – powiedziała.

Wszyscy troje jedli w milczeniu. Nathan sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz usnąć przy stole. Opuścił głowę, jego grzywka niemal kapała się w mleku.

Kiedy skończyli, kelnerka uprzątnęła miseczki i przyniosła ciepłe potrawy.

– Te kielbaski wyglądają bardzo apetycznie – zwrócił się Arthur do Nathana, próbując nawiązać konwersację.

– Są.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę są smaczne – skorygowała go matka.

Twarz chłopaka nie zdradzała żadnych uczuć. Nabił na widelec całą kielbaskę i odgryzał po kawałku. Arthura aż korciło, żeby kopnąć go w kostkę. Przecież Bernadette na pewno nauczyła syna, jak się zachowywać przy stole.

– Mamy dziś zobaczyć pierwszy uniwersytet. Wygląda obiecująco – powiedziała. – Pojedziesz z nami, Arthurze?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, ruszyłbym do Graystock. Pociągiem do Bristolu, potem przesiadka do Bath.

– Jestem pewna, że tam jest otwarte tylko w piątki i soboty, a dziś jest wtorek.

– Przecież nie chodzi o zwiedzanie. Mogę zapukać do drzwi.

– Może powinieneś najpierw zadzwonić...

Nie był w nastroju, by słuchać, co ma robić. Myślał tylko o jednym i postanowił kontynuować poszukiwania. Zaatakował nożem kawałek bekonu.

– A skąd mamy cię zabrać potem?

– Nie mogę sprawiać wam tyle kłopotu. Sam wrócę do domu.

Bernadette jakby posmutniała.

– Wykluczone. To zajmie ci wieki. A my zarezerwowaliśmy tu pokoje tylko na jedną noc.

– Już zrobiliście dla mnie dosyć – powiedział stanowczo Arthur. – Pojadę tam i zobaczę, co będzie.

– Spokojnie. Zadzwoń i daj mi znać. Byłoby miło, gdybyś z nami wracał. Chciałabym tylko zdążyć na swoje zajęcia.

– Zajęcia?

– Mama chodzi na taniec brzucha – parsknął kpiąco Nathan.

Arthur żuł jedzenie. Mimowolnie wyobraził sobie Bernadette w amarantowych szyfonach, potrząsającą biodrami.

– Nie wiedziałem. To pewnie... dodaje energii.

– Okazja, żeby się poruszać.

Nathan znów zachichotał.

Bernadette zignorowała go.

– Dobry bekon, Arthurze? – spytała.

– Świetny – odparł Arthur. Cieszył się, że tego dnia pobędzie sam. Czegokolwiek dowie się o Miriam, powinno to pozostać tajemnicą. Chciał być sam ze swoimi myślami. – Smaczny i chrupiący, jak lubię. I nic się o mnie nie martw. Poradzę sobie w Graystock Manor.



Tygrys

Bernadette i Nathan podrzucili Arthura na dworzec w Cheltenham. Po przybyciu do Bath zdecydował, że przejdzie na piechotę te trzy kilometry do Graystock Manor.

Wydawało się, że to dobry pomysł. Świeciło słońce, ptaki śpiewały. Arthur wyruszył radośnie. Ciągnąc walizkę, minął sznur czekających przed stacją czarnych taksówek. Według mapy, którą naszkicował sobie na kawałku papieru, dotarł nieco okrężną trasą do drogi prowadzącej wprost do posiadłości. Czuł się jak prawdziwy podróżnik. Dumny z podjętej decyzji, dziarsko maszerował naprzód.

Chodnik wkrótce się skończył i Arthur musiał przedzierać się przez pokrzywy i osty, które kłuły go w kostki. Pobocze było nierówne i żałował, że nie włożył grubych sznurowanych półbutów zamiast szarych zamszowych mokasynów. Nie dało się turlać walizki po kamieniach i żwirze. Skończyło się na tym, że ją włókł, a miejscami musiał przenosić.

– Uważaj, dziadku!

Obok przemknął błyszczący czerwony samochód i Arthur mógłby przysiąc, że w tylnym oknie pokazał się czyjś tyłek.

Niespełna kilometr dalej ścieżka zrobiła się jeszcze węższa. Musiał przeciskać się między drapiącym żywopłotem a masywnym, wysokim krawężnikiem. Nie mając sił, aby wlec dalej walizkę, Arthur zatrzymał się, oparł ręce na kolanach i starał się złapać oddech. Od czasu śmierci Miriam nie chodził dalej niż na pocztę. Zdecydowanie brakowało mu kondycji.

W żywopłocie był mały prześwit. Arthur stał i obserwował trzmiela. W oddali krowy spokojnie żuły trawę. Zachwycił się czerwonym traktorem, który orał pole. Chciał ruszyć znowu, ale zobaczył przed sobą stertę cegieł i druciany koszyk z marketu. To przesądziło sprawę. Nie wyobrażał sobie dalszego dźwigania walizki. Podniósł ją i wepchnął tam, gdzie krzaki były mniej gęste, po czym zamaskował kryjówkę liśćmi.

Rozejrzał się dokoła, żeby zapamiętać to miejsce. Po drugiej stronie drogi stała tablica informująca o niedzielnym targu – sprzedaży z bagażników samochodowych – i druga, z napisem: „Farma Longsdale, 1,5 kilometra”. Odwiedzi Graystock, a w drodze powrotnej zabierze walizkę. Była z mocnego nylonu, więc pobyt w żywopłocie nie powinien jej zaszkodzić.

Teraz poruszał się szybciej. Zwykle to Miriam decydowała, co wezmą w podróż. W całym domu leżały wtedy stosiki wybranych rzeczy. Bielizna. Jego przybory do golenia. Herbatniki, pakowane po dwa, i kremy przeciwsłoneczne z wszelkimi możliwymi filtrami. Bardzo wątpił, czy zachwyciłoby ją ukrycie walizki w krzakach. A jednak był

z siebie dość zadowolony. Okazał się pomysłowy, podejmował decyzje i nie poddawał się przeciwnościom.

Do Graystock nadal było daleko, podążał więc naprzód, nie zatrzymując się, by podziwiać liście tasznika, który bujnie wyrastał spod żywopłotu, czy żółte pola rzepaku. Odmówił dwóm ładnym blondynkom w srebrnym kabriolecie, które zahamowały obok niego i chciały go podwieźć. A traktorzyście grzecznie podziękował za zainteresowanie i odparł, że bynajmniej nie zabłądził. Ludzie w tej okolicy wydawali się naprawdę mili i nawet był skłonny puścić w niepamięć incydent z gołym tyłkiem w oknie czerwonego wozu tamtych chłopaków. Musiało im coś paść na mózg od słońca.

Kiedy wreszcie dotarł do bramy Graystock Manor, powitała go drewniana tablica z łuszczącą się farbą. Niektóre litery odpadły, zostało tylko: „Witamy... Gray... Man...”, „Witamy, Szary Człowieku”.

Musieli wiedzieć, że przyjeżdżam, pomyślał Arthur. Popatrzył z niepokojem na długi podjazd prowadzący do rezydencji. Widział ją w oddali za drzewami.

Niegdyś była wspaniała. Teraz pozostały tylko ślady dawnej świetności. Kolumny doryckie po bokach ogromnych drzwi frontowych wyraźnie się sypały. Mury były koloru kłaków z torby odkurzacza. Kilka okien na piętrze miało stłuczone szyby.

Arthur stał chwilę, podparty pod boki, zdając sobie sprawę, że zaraz odkryje kolejny rozdział z życia Miriam. Nie wiedział, czy się cieszyć, czy bać.

Poczuł, że czas skorzystać z łazienki. Rozejrzył się, jakby miał nadzieję, że ni stąd, ni zowąd pojawi się tu toaleta. Ale mógł tylko poszukać odpowiedniego krzaczka. W nadziei, że nie wytropią go żadni turyści, podszedł do zarośli. Śmignęła szara wiewiórka, rzuciła na niego okiem i wdrapała się na drzewo. Przysiadła na gałęzi, poruszając gniewnie wąsikami, kiedy kończył. Na szczęście miał w kieszeni paczuszkę mokrych chusteczek, więc wytarł sobie nimi ręce, nim ruszył dalej. Kiedy tak wędrował w kierunku zabudowań, jego oddech stawał się coraz bardziej świszczący. Dlaczego odrzucił propozycję Bernadette, że go podwiozą? Czasami naprawdę jest uparty jak osioł.

Posiadłość otaczał wysoki płot z czarnych metalowych sztachet. Podwójna brama była zabezpieczona ciężką mosiężną kłódką. Arthur przycisnął twarz do sztachet i zajrzał. Drzwi domu były zamknięte. Dlaczego wyobrażał sobie, że będzie mógł tak po prostu podejść i do nich zadzwonić? Bolały go nogi, a od mokrych chusteczek ręce zrobiły mu się lepkie.

Stał tam co najmniej dziesięć minut, bezradny, nie mając pojęcia, co teraz zrobić. Ale nagle coś jaskrawoniebieskiego mignęło mu za krzakami róż w ogrodzie. Lord Graystock. Arthur stanął na palcach. Zza zarośli wychyliła się sylwetka. Lord był w szafirowych spodniach, od pasa goły. Pierś miał spieczoną na raka.

– Dzień dobry! – zawołał Arthur. – Dzień dobry! Lordzie Graystock!

Lord nie usłyszał albo zignorował to wołanie. I wtedy Arthur dostrzegł mosiężny dzwonek z żelazną rączką ukrytą

w liściach. Pociągnął ją, ale dźwięk utonął wśród zieleni. Podskoczył, żeby odgarnąć gałęzie i witki, lecz zaraz wróciły na miejsce. Jeszcze raz zadzwonił i szarpnął bramą, ale bez skutku. Przez jakiś czas obserwował swój cel. Lord Graystock, z rękami w kieszeniach, spacerował po ogrodzie. Tu i ówdzie zatrzymywał się – a to powąchał róże, a to wyrwał jakiś chwast. Okrągły czerwony brzuch wylewał się z nad paska spodni.

Głuchy czy co, pomyślał Arthur. Jak taki ktoś mógł mieć harem dziewczyn? No, Miriam na pewno nie była jedną z nich.

Sfrustrowany ruszył wzdłuż płotu, przesuwając palcami po sztachetach. Od czasu do czasu przystawał, żeby wspiąć się na palce i zajrzeć do ogrodu. Posiadłość przypominała warownię.

Aż wreszcie odkrył, że na tyłach domu, pod ogromnym dębem, sztachety umocowane są nie w ziemi, ale w niezbyt wysokiej ceglanej podmurówce. Wpadł na pewien pomysł.

Najpierw rozejrzał się uważnie, czy nikt go nie widzi, po czym uniósł prawą nogę jak najwyżej, żeby zaczepić nią o mur. Stamtąd miałby lepszy widok na drugą stronę. Ale coś mu przeskoczyło w kolanie i nieprzyjemnie strzyknęło. Schylił się, rozmasował nogę i spróbował znowu. Podtrzymując dłońmi kolano, podniósł je tak, by stopa wylądowała płasko na murku. Chwycił się sztachet i z całych sił podciągnął, żeby wspiąć się na górę. Kiedy mu się udało i złapał równowagę, ogarnęła go euforia. Stary, ale jary! Pozwolił sobie na kilka głębokich oddechów i znów przywarł twarzą do płotu.

Coś zaszeleściło. Z dołu gapił się na niego pomarańczowooki Jack Russell terrier. Jakaś pani w jedwabnej

wzorzystej chustce i kurtce marki Barbour koloru khaki zmierzyła Arthura wzrokiem od stóp do głów.

– Mogę panu w czymś pomóc? – spytała.

– Nie, nie, dziękuję.

Stał jakby nigdy nic, na ile to możliwe, kiedy człowiek obiema rękami kurczowo przytrzymuje się sztachet.

Kobieta nie ustępowała.

– Co pan wyprawia?

– Szukam swojego psa. Chyba przeskoczył przez płot – palnął Arthur pochopnie.

– Ten płot ma co najmniej trzy metry.

– No, tak... – Skinął głową.

Może jeśli przestanie odpowiadać i się tłumaczyć, ona odejdzie. Przyjął swoją posagową pozę.

Kobieta zacisnęła usta.

– Pospaceruję dziesięć minut z psem. Jeśli pana tu jeszcze zobaczę, jak będę wracać, to wezwę policję. Zgoda?

– Zgoda. – Arthur potrząsnął nogą, żeby opuścić nogawkę, która podjechała nad skarpetkę, kiedy się wspinał. – Zapewniam panią, nie jestem włamywaczem.

– Miło mi to słyszeć. Mam nadzieję, że znajdzie pan swojego psa. Dziesięć minut... – ostrzegła.

Czekał, aż odejdzie. Ten dzień był kompletną katastrofą. Powinien był zostać w domu i spokojnie czytać „Daily Mail”. Ale nagle znów mignęły mu szafirowe spodnie. A niech to diabli. Musi zwrócić na siebie uwagę tego faceta. Spróbował załomotać w sztachety, ale ani drgnęły. Zaczął więc machać.

– Lordzie Graystock! Lordzie Graystock! Lordzie Graystock!
– krzyczał.

Czuł się idiotycznie. Jakby był jakimś oszalałym fanem na koncercie rockowym. Ale to musiało zadziałać. Pokonał tyle kilometrów, by tu dotrzeć. Na przekór podszeptom rozsądku, że lepiej zostać w domu i zajmować się tym co zwykle. Nie ma mowy, żeby teraz dał się odprawić z kwitkiem.

Kobieta z psem wróci. Jeśli miał działać, to szybko. Przy szczycie sztachet dostrzegł metalowy pręt. Bez namysłu zmobilizował wszystkie siły, by zaczepić o niego stopą. I jakimś cudem udało mu wdrapać na górę. Wisiał tam chwilę, po czym zebrał się w sobie. Dawaj, sir Edmundzie Hillary! Raz kozie śmierć. Złapał równowagę i zrobił krok naprzód. Skoczył. Zahaczył mankietem spodni o żelazną lilijkę na czubku jednej ze sztachet. Spadając na trawnik, słyszał trzask drącego się materiału. Spojrzał w dół i zobaczył, że lewa nogawka jest rozdarta do biodra. Wyglądał, jakby miał na sobie jakiś dziwny sarong. Nie szkodzi. Co mu tam. Wstał i świecąc gołą nogą, pomaszerował w kierunku rezydencji.

Wilgotna trawa skrzypiała pod jego butami. Lśniła w słońcu. Dzień był piękny. Arthur odetchnął z ulgą. Ptaki ćwierkały, a motyl rusałka admirał przysiadł mu na kilka sekund na ramieniu.

– Cześć – powiedział Arthur. – Jestem tu, żeby dowiedzieć się czegoś o mojej żonie.

Uniósł głowę, by popatrzeć, jak motyl odlatuje, i nie zauważył cegły na trawniku.

Kopnął w nią butem i poczuł, że zwichnął kostkę. Zatoczył się, upadł, po czym przeturlał się na plecy. Usiłował wstać, ale tylko, niczym żuk, bezradnie przebierał w powietrzu rękami i nogami. Spróbował raz jeszcze i jęknął. Upadek go osłabił. Kostka pulsowała bólem. Nic dziwnego. Najpierw skok z niebotycznej wysokości, a teraz ta cegła.

Opuścił ręce i nogi i spojrział w niebo. Było pastelowoniebieskie. Przepłynęła po nim chmurka w kształcie pterodaktyla. Samolot zostawiał za sobą biały ślad. Dwa bielinki leciały coraz wyżej i wyżej, aż znikły mu z oczu. Cegła leżała przy jego uchu. Była pokruszona na brzegach, jakby ktoś ją pogryzł.

Arthur znów próbował wstać. Napiął brzuch i starał się usiąść, ale na próżno. Ty idioto, westchnął. Będzie musiał jakiś czas leżeć tu niczym posąg, zanim zdoła ruszyć dalej. Zastanawiał się, czy w jakiegokolwiek zwiedzanej posiadłości widział kiedyś posąg w pozycji na wznak. No, chyba jednak nie. Uniósł nogę, żeby rozruszać kostkę. Kiedy nią pokręcił, coś tam zaskoczyło. Nie było tak źle, jak myślał. Do rezydencji nie miał już daleko. Dojdzie. Jeszcze parę minut, a przeturla się na bok i wstanie. W ostateczności się doczołga.

Nie od razu zorientował się, że nie jest już sam.

Najpierw wyczuł jakiś ruch opuszkami palców, kiedy zaszeleściła trawa. Dziwne wrażenie. Nie było żadnego odgłosu kroków, powiewu, tylko jakby miękkie stąpanie. Coś musnęło jego prawą stopę. Pies? Wiewiórka? Próbował ruszyć głową, unieść ją, ale nagły ból przeszył mu kark. Cholerny świat. Ale zabolalo.

I wtedy zauważył, że coś dużego przesłania mu niebo. To coś miało futro. Pomarańczowo-czarno-białe.

O, dobry Boże. Nie.

Stał nad nim tygrys. Jego pysk był tak blisko, że Arthur czuł na policzku ziejący mięsem, gorący oddech. I do tego wyraźny ostry zapach uryny. Coś ciężkiego przygniotło mu ramię, przyciskając go do ziemi. Łapa. Ogromna łapa. Arthur chciał zamknąć oczy, ale tylko jak zahipnotyzowany gapił się na wielkiego drapieżnika.

Tygrys miał czarne wargi i wąsy grubości drutów. Odsłonił lekko zęby i strużka śliny ściekła Arthurowi do ucha. Miał ochotę ją otrzeć, ale nie ośmielił się ruszyć. Stało się. Już po nim. Przechylił lekko głowę, żeby ślina wypłynęła na trawę.

Kiedy wyobrażał sobie swoją śmierć (a teraz, gdy Miriam umarła, często o tym myślał), najbardziej odpowiadała mu wizja, że zasypia i już się nie budzi. Chciałby tylko, żeby go szybko znaleźli. Okropnie byłoby zacząć cuchnąć. I wolałby wyglądać spokojnie, nie mieć twarzy wykrzywionej bólem czy coś w tym rodzaju. Zakładał, że odkryje go Lucy, i nie chciał jej straszyć. Najlepiej byłoby wiedzieć, że się umrze, i przygotować się do tego. Gdyby ktoś dał mu znać, że na przykład za piętnaście lat, powiedzmy ósmego marca, zaśnie i się nie obudzi, mógłby dzień wcześniej uprzedzić Terry'ego. „Jeśli nie zobaczysz mnie jutro rano, możesz bez skrupułów się włamać. Znajdziesz mnie w łóżku, nieżywego. Nie panikuj. Wiem, że to się stanie”.

Rozumiał oczywiście, że mężczyzn w jego wieku często dopada rak. Widział w telewizji program, w którym

pokazywali, jak sprawdzać sobie jądra, czy nie ma żadnych guzków. Trochę głupio było z samego rana oglądać na ekranie telewizora parę owłosionych jąder. Potem skontrolował co trzeba pod majtkami i uznał, że rak prostaty go nie załatwi.

Ale nigdy, przenigdy nie wyobrażał sobie, że może zostać pożarty przez tygrysa. Już widział te nagłówki: „Emeryt rozszarpany przez tygrysa. Na terenie posiadłości Graystock Manor odnaleziono kość udową”.

To nie tak chciał umrzeć.

Tygrys poruszył łapą, tym razem przytrzymując rękę Arthura. A ten mógł tylko leżeć, czując, jak pazury rozdzierają mu skórę. Coś potwornego. Ból był przeszywający. Rzucił okiem i dostrzegł na przedramieniu cztery czerwone strużki krwi. Było jej coraz więcej. Miał wrażenie, że unosi się ponad swoim ciałem i obserwuje całą tę scenę z góry.

Kiedyś widział w jakiejś książce reprodukcję obrazu. Przedstawiał on lwa stojącego nad mężczyzną, który leżał na ziemi. Kto to namalował? Henri Rousseau? Teraz to on był tym mężczyzną. Czy tamten na obrazie był przerażony? Lała się krew? Sparaliżowany strachem, Arthur stracił poczucie czasu. Jak długo w ogóle tu leży? Nie wiedział, czy to były sekundy, minuty, czy godziny. Tygrys obserwował go, gapił się i czekał. Jego żółte ślepia nie mrugały, nie zdradzały żadnych uczuć. No, rusz się tylko, ponaglały. Sprowokuj mnie, to zobaczysz, co będzie.

Arthur znów zerknął na tygrysa. Miał wrażenie, że ten spogląda pożądliwie na jego obnażoną nogę. W myśli usłyszał

głos Bernadette. „Ty stary głupku. Po coś się wdrapywał na ten cholerny płot?”.

– Elsie. Nie – rozległ się nagle gniewny męski głos. – Zostaw. Niegrzeczna dziewczynka.

Tygrys, a raczej tygrysica, jak teraz wiedział Arthur, odwróciła łeb w kierunku krzyku, po czym spiorunowała wzrokiem Arthura. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Nie była zdecydowana. W każdej chwili mogła mu odgryźć głowę. Zjedzenie starego człowieka byłoby dla niej niezłą gratką. Może trochę łykowaty, ale dałaby sobie radę.

– Elsie.

Coś pacnęło na trawę i gruby krwisty stek wylądował kilkanaście centymetrów od ucha Arthura. Musiał wyglądać smakowiciej od siwej głowy, bo tygrysica rzuciła Arthurowi wyniosłe spojrzenie, które mówiło „Tym razem ci się upiekło”, i odeszła.

Arthur nie lubił używać brzydkich wyrazów, ale... cholera. Głośno odetchnął z ulgą.

Poczuł, jak czyjaś silna dłoń wsuwa się mu pod plecy i pomaga usiąść. Posłusznie starał się ponieść. Ręka zwisała mu bezwładnie przy boku.

Przykucnął przy nim lord Graystock. Miał już na sobie niebieską koszulę i kamizelkę zdobioną malutkimi lusterkami, które połyskiwały w słońcu. Wszystko w tym samym chabrowym odcieniu co spodnie.

– Człowieku, co ty, u diabła, wyprawiasz?

– Chciałem tylko...

– Powinienem wezwać policję. Wszedł pan bez pozwolenia na teren prywatny. Mógł pan zginąć.

– Wiem – wychrypiał Arthur. Popatrzył na swoją rękę. Wyglądała tak, jakby ktoś strzelił mu w nią szkarłatnym tuszem.

– To tylko zadrapanie – parsknął Graystock. Podwinął nogawkę, odsłaniając wielką, szeroką bliznę od kostki aż po kolano. – To była porządna rana. Miał pan szczęście. Tygrysy to nie pieski, żeby do nich podchodzić i je głaskać.

– Nie przyjechałem na oglądanie tygrysów.

– Nie? To czemu bawił się pan w zapasy z Elsie?

Arthur otworzył usta i zaraz je zamknął. Zarzut, że on tu się zabawiał, był idiotyczny.

– Przyjechałem spotkać się z panem.

– Ze mną? Też coś! To nie mógł pan zadzwonić do bramy, jak normalni ludzie?

– Mam za sobą długą drogę. Nie mogłem odejść, dopóki z panem nie porozmawiam.

– Z początku myślałem, że jest pan jednym z tych okolicznych chłopaków, którzy chcą zgrywać bohaterów. Kilka razy miałem tu jakiegoś biednego nastolatka, który wisiał zaczepiony podkoszulkiem o sztachety i przerażony błagał o pomoc. Pana szczęście, że Elsie chciała się tylko z panem pobawić. – Przysiadł na piętach. – Nie sądzi pan, że jest już za stary na takie wyczyny?

– Ma pan rację.

– Nie należy pan przypadkiem do tych szalonych obrońców praw zwierząt?

Arthur pokręcił głową.

– Jestem emerytowanym ślusarzem.

Graystock odchrząknął. Pomógł Arthurowi wstać.

– Chodźmy do domu, opatrzymy panu rękę.

– Chyba skręciłem też kostkę.

– No, niech pan nawet nie myśli o podawaniu mnie do sądu. Kiedyś próbował tego pewien dziennikarz, bo jeden z tygrysów chciał się pobawić i podrapał mu ramię. Uprzedzam, że obecnie nie posiadam nic, co byłoby zapisane jako moja własność, ani pensa.

– Nie mam zamiaru się procesować – odparł Arthur. – To wszystko tylko moja wina. Zachowałem się jak ostatni idiota.

*

Dom pachniał wilgocią, płynem do czyszczenia mebli i rozpadem. Hol wejściowy był cały w białym marmurze, a na ścianach wisały portrety przodków Graystocka. Podłoga, wyłożona biało-czarnymi płytami, przypominała ogromną szachownicę. Pośrodku wznosiły się dębowe schody. Posiadłość przedstawiała żalosny widok. Arthur nie wyobrażał sobie, że ktoś chce płacić dziesięć funtów za jej zwiedzanie, ale ta cena była wypisana na biurku naprzeciw drzwi wejściowych. Niegdyś musiała to być imponująca rezydencja. Ale teraz farba łuszczyła się na suficie, gdzie malowane cherubiny bujały wśród fałd czerwonej zasłony.

Graystock szedł przodem, a Arthur kuśtykał parę kroków za nim. Sam już nie wiedział, która część ciała boli go bardziej.

– Ten dom należy do mojej rodziny od lat. Teraz używam tylko kilku pokoi – powiedział Graystock. – Nie stać mnie na mieszkanie tutaj, ale nie chcę się wyprowadzać. Proszę dalej.

Arthur wszedł za nim do ciemnego pokoju zastawionego skórzanymi fotelami. W kominku palił się prawdziwy ogień. Nad kamiennym gzymsem wisiał obraz w prerafaelickim stylu, przedstawiający damę w białej powłóczystej sukni. Siedziała na trawie, obejmując tygrysa, który wtulał nos w jej szyję. Arthur przyjrzał się uważniej, by sprawdzić, czy to przypadkiem nie Miriam. Ale nie.

Kiedy powoli zajął miejsce w wygodnym fotelu z zielonej skóry, stojącym przy kominku, Graystock nalał do szklanki brandy.

– Nie, ja... – zaprotestował Arthur.

– Zajrzał pan śmierci w oczy, człowieku. Powinieneś się napić.

Arthur dał za wygraną i umoczył usta.

Graystock usiadł po turecku na podłodze przed kominkiem. Pociągnął łyk prosto z butelki.

– To po co się tu zjawieś i buszowałeś po ogrodzie, denerwując moje dziewczynki?

– Dziewczynki?

– Moje tygrysy, stary. Zdenerwowałeś Elsie.

– Nie miałem takiego zamiaru. Przyjechałem, żeby zapytać o swoją żonę.

– O żonę? – Graystock zmarszczył brwi. – Zostawiła cię?

– Nie.

– Należała do mojego haremu?

– Naprawdę miałeś harem?

Arthurowi przypomniały się opowieści Bernadette. O rozwiązłym trybie życia Graystocka i urządzanych tu dzikich orgiach.

– No pewnie. Miałem pieniądze. Wyglądałem nieźle. Który mężczyzna by z tego nie korzystał? – Lord chwycił mały mosiężny dzwonek z brzegu kominka i potrząsnął. – Niestety jestem już w pewnym wieku. Mam teraz jedną kobietę i nawet tego mi aż nadto.

Po kilku minutach w pokoju pojawiła się kobieta w powiewnej niebieskiej sukni, ściągniętej w pasie łańcuszkiem. Czarne jak heban włosy sięgały talii. Arthur rozpoznał w niej postać z obrazu, choć była już starsza. Podeszła do Graystocka, nachyliła się i pocałowała go w policzek. Potem zawarczeli na siebie.

Arthur kompletnie osłupiał. Wyobrażał sobie, jak by zareagowała Miriam, gdyby kiedykolwiek wezwał ją dzwonkiem. Albo na nią zawarczał. Nieźle by oberwał po głowie parą kuchennych rękawic.

– To Kate. Ma nieszczęście być moją żoną od trzydziestu lat, a mieszka ze mną jeszcze dłużej. Nawet teraz, kiedy roztrwonilem majątek na alkohol i narkotyki, nie opuściła mnie. Jest moim ocaleniem.

Kate pokręciła głową.

– Głupek. Jakie tam ocalenie. Kocham cię.

– No to ocaliła mnie miłość.

Kate obróciła się do Arthura.

– Niech pana nie szokuje ten dzwonek. To najprostszy sposób porozumiewania się w tym domu. Ja też taki mam.

– Ten człowiek... – zaczął Graystock.

– Arthur.

– Tak. Arthur przyjechał tu, żeby dowiedzieć się czegoś o swojej żonie. Przeszedł przez płot i musiałem ratować go przed Elsie. – Zmarszczył brwi, starając się sobie przypomnieć, w czym rzecz. – O co konkretnie chciałeś spytać?

– Moja żona wpisała ten adres jako zwrotny na swoim liście. Z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku.

– Hm... Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci. – Lord wybuchnął śmiechem. – Nie bardzo pamiętam, co jadłem wczoraj wieczorem, a już tak dawne czasy...

Arthur wyprostował się w fotelu.

– Nazywała się Miriam Pepper.

– Nie kojarzę tego nazwiska.

– Miriam Kempster?

– Też nie.

– Mam to. – Arthur wyciągnął z kieszeni bransoletkę z przywieszkami.

– Aha. – Lord nachylił się i wziął bransoletkę. – To mogę wyjaśnić.

Zważył łańcuszek w dłoni, wstał, podszedł do czarno-złotej lakierowanej szafki i otworzył ją. Wyjął ze środka szklaną misę i podał Arthurowi. W środku były złote wisiorki, może z pięćdziesiąt. Same tygrysy. Wszystkie identyczne.

– Pewnie stąd pochodzi ten wisiorek. W latach sześćdziesiątych zamówiłem tysiąc takich. Rozdawałem je

w dowód... uznania.

– Uznania?

Graystock pogroził mu palcem.

– Wiem, co myślisz, stary. Błyskotki w zamian za usługi seksualne. – Roześmiał się. – Czasami tak. Ale dawałem je też przyjaciółom i współpracownikom, nie tylko kochankom. To było jak wizytówka.

– On uwielbia tygrysy – wtrąciła Kate. – Oboje je kochamy. Są dla nas jak dzieci, których nigdy nie mieliśmy.

Lord Graystock uścisnął ją i pocałował w czoło.

Arthur ponuro wpatrywał się w wisioriki. Włożył między nie palec i zamieszał. Myślał, że tygrys na bransoletce Miriam ma jakieś ukryte znaczenie, tak jak słoń. Ale pręgowana bestia była tylko jedną z tysiąca sióstr. Zastanawiał się, pod którą kategorię Graystocka podpadała Miriam. Była przyjaciółką, współpracownicą czy kochanką? Jednym haustem wychylił resztę brandy. Kate wzięła z jego rąk misę i wstawiła z powrotem do szafki.

– Przykro mi. – Graystock wzruszył ramionami. – Przez te lata przewinęło się tu tyle ludzi, a ja mam pamięć złotej rybki. Nie jestem w stanie ci pomóc.

Arthur skinął głową. Próbował wstać, ale zabolalo go w kostce tak bardzo, że znów opadł na fotel.

– Nie ruszaj się, siedź – powiedziała zaniepokojona Kate.

– Ajaj.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– Nie miałem zamiaru tu zostawać. – Dopiero teraz, gdy opuściło go napięcie, poczuł, jak bardzo jest zmęczony. –

Wczoraj nocowałem w pensjonacie. Nie sądziłem, że tyle czasu zajmie mi dotarcie tutaj, i nie brałem pod uwagę, że dopadnie mnie tygrys.

Naprawdę nie chciałem dzwonić po Bernadette, żeby go stąd zabrała. Powinna skupić się na Nathanie.

– Przenocuj u nas – zaproponowała Kate. – Opatrzę ci porządnie ranę. Może po powrocie do domu powinieneś wziąć też zastrzyk przeciwtężcowy.

– Szczepiłem się w zeszłym roku.

Przypomniał sobie, jak na poczcie, kiedy sięgał po papier pakowy, capnął go w rękę jakiś agresywny terier. Może jest na tej ziemi po to, żeby zwierzęta miały się na kim wyżywać.

– Mimo to lepiej pokazać się lekarzowi. No dobrze, a gdzie są twoje rzeczy?

Arthur pomyślał o walizce wepchniętej w żywopłot na poboczu drogi. Wstydził się do tego przyznać.

– Nic ze sobą nie mam – odparł. – Nie zamierzałem się tu zatrzymywać.

– O, to żaden problem.

Wyszła z pokoju i wróciła z koszyczkiem bandaży i maści. Przyklękła obok niego i zdezynfekowała mu rękę wacikiem nasączonym środkiem odkażającym. Położyła opatrunek i zabandażowała go. Potem zdjęła mu but i skarpetkę i wtarła gęstą białą maść w okolice kostki.

– Na razie zostań w tych spodniach. Rano znajdę ci jakieś na zmianę. – Przysiadła na piętach. – Ugotowałam właśnie zupełną fasolową z szynką. Skusisz się na miseczkę?

Arthurowi zaburczało w brzuchu.

– Dziękuję, chętnie – powiedział.

*

Graystockowie i Arthur jedli zupę z wielkich misek, które trzymali na kolanach. Gospodarze siedzieli przed kominkiem, na podłodze zarzuconej poduchami, a Arthur próbował się schować, jak najgłębiej wciskając się w wielki fotel z zielonej skóry. Choć zupa była wspaniała, z dużymi kawałkami szynki, podana z pajdami chleba z masłem, żałował, że nie jest w domu i nie wcina kiełbasy z jajkiem i frytkami przy jakimś programie w telewizji.

To był pierwszy wieczór, jaki od śmierci Miriam spędzał wśród ludzi. Słuchał opowieści gospodarza o dzikich przyjęciach i ekstrawaganckich przyjaciołach, a Kate od czasu do czasu wtrącała łagodnie, że mąż lubi trochę koloryzować. Szkoda, że nie było tu Miriam. Na pewno też przyszłyby jej do głowy jakieś zabawne anegdoty. Wiedziałyby, jak reagować na historie Graystocka. Arthur nie umiał się w tym odnaleźć, nie miał pojęcia, co mówić.

Choć się wzbraniał, nie potrafił powstrzymać lorda przed dolewaniem mu alkoholu z mnóstwa butelek o różnych kształtach. Próbował zakrywać szklanę dłonią, ale Graystock po prostu ją odpychał. Żeby nie obrazić gospodarza oraz zagłuszyć ból skręconej kostki i podrapanej ręki, Arthur pił wszystkie kolejki.

– To świetny gin, z moich jałowców – mówił Graystock. – A to bardzo stary koniak, który podarował mi Marlon Brando...

Zobaczysz, po tej brandy kostka ci wróci do formy.

Alkohol palił Arthura w piersi i drapał w gardle, ale też łagodził jego rozczarowanie, że trop tygrysa zaprowadził go w ślepią uliczkę. Nie było już dokąd jechać. Wróci do domu i zapomni o sprawie. Z ciężkim sercem porzucał swoje poszukiwania. Przyjął kolejną szklaneczkę czegoś o złocistym kolorze.

– Przyhamuj. – Kate roześmiała się, patrząc na męża. Policzki zaróżowiły jej się od alkoholu i ognia w kominku. – Upijesz biednego Arthura.

– Rzeczywiście, już mi trochę szumi w głowie – przyznał Arthur.

– Przyniosę ci szklanek wody. – Kate wstała. – To cudownie, że do nas trafiłeś. Ostatnio nie miewamy wielu gości. Nawykliśmy cieszyć się swoim własnym towarzystwem.

Lord Graystock skinął głową.

– Jestem pewien, że żona ma serdecznie dość patrzenia dzień w dzień na moją paskudną facjatę.

– A skąd! – Kate znów się roześmiała. – Jakżeby mogła?

Po kilku minutach wróciła z wodą i podała ją Arthurowi. Wypił duszkiem i patrzył, jak Graystockowie siedzą, trzymając się za ręce. Czasami on i Miriam brali się za ręce na spacerze, ale w domu raczej się to nie zdarzało. Nagle poczuł, że musi swoim gospodarzom opowiedzieć coś o żonie. Odchrząknął.

– Nam z Miriam też sprawiały przyjemność różne drobiazgi. Rzadko się rozstawaliśmy. Lubiliśmy zwiedzać razem piękne rezydencje. Bardzo by się jej tu podobało.

– Przykro mi, że jej nie pamiętam. – Lordowi Graystockowi trochę plątał się język.

– Tak. – Arthur zamknął powieki. Pokój zaczął mu wirować. Otworzył oczy.

– No trudno. Weźmy sobie jeszcze jakąś butelkę czegoś dobrego. Może whisky? – Lord Graystock wstał, ale zaraz potknął się o poduszkę.

Kate podniosła się i go podtrzymała.

– Myślę, że na dziś już dosyć – powiedziała stanowczo. – Nasz gość może chce się położyć.

– Tak, rzeczywiście – potwierdził Arthur. – To był uroczy wieczór, ale zdecydowanie jestem już gotów iść spać.

*

Arthur był wdzięczny, że Kate położyła jego rękę na swoich ramionach i poprowadziła go na górę. Alkohol spłynął mu do kostki, więc kiedy szedł do sypialni, ledwie czuł, że jest zwichnięta. Zadrapania na ręce piekły, ale nie tak strasznie. Bandaż wyglądał świeżo. Był bielusieńki. Piękny. I co ciekawe, Arthurowi chciało się śpiewać.

Jego pokój był pomalowany na pomarańczowo, w czarne pasy. To oczywiście, pomyślał Arthur, padając na łóżko. Tygrysie paski – czy mógł się tu spodziewać czegoś innego?

Kate przyniosła mu kubek gorącego mleka.

– Poszukam w starych zdjęciach, może trafię na jakiś ślad twojej żony, choć to było tak dawno.

– Nie chciałbym ci sprawiać kłopotu...

– Żaden kłopot. Byłam niezłym fotografem, zanim stałam się lady Graystock na pełen etat. Od dawna nie oglądałam naszych zdjęć z tamtych czasów. Twoje poszukiwania dają mi dobry pretekst, żeby je przejrzeć. Lubię wędrówki ścieżkami wspomnień.

– Dziękuję. Może to ci się przyda. – Arthur sięgnął do portfela i podał Kate czarno-białe zdjęcie Miriam.

Zrobił je podczas miodowego miesiąca. Było wystrzępione na brzegach, a przez włosy Miriam przebiegała ukośna rysa po zagięciu, ale uwielbiał tę fotografię. Jego żona miała jedną z tych twarzy, na które można patrzeć bez końca. Delikatny rzymski profil i oczy, które zapraszały do rozmowy. Włosy w orzechowym kolorze, spięte w kok. Prosta, elegancka biała sukienka.

– Zobaczę, co uda mi się znaleźć. Graystock wszystko chomikuje, nic nie wyrzuca, może szczęście nam dopisze.

Arthur leżał bezsennie i myślał przez jakiś czas o tym, że Graystock i Kate mają bliższe relacje ze swoimi czworonożnymi przyjaciółmi niż on z Danem i Lucy. Zawsze uważał, że koty są fałszywe, ale może dotyczyło to tylko tych, które brudziły mu skalniak. Umościł się w pościeli i zastanawiał się, czy Miriam kiedykolwiek spała w tym pokoju i co też mogło sprowadzić ją do tej posiadłości. Co ona tu robiła?

Kiedy zapadał w sen, wyobrażał ją sobie biegnącą boso po ogrodzie, między tygrysami, które krążyły dokoła i jej pilnowały.



Fotografia

Następnego ranka ktoś zapukał do jego pokoju. Arthur już się obudził, ale jeszcze nie oprzytomniał i zastanawiał się, czy ostatnie dwadzieścia cztery godziny to nie jakiś dziwny sen. Ściany w tygrysie paski, pomarańczowa pościel, pulsująca bólem kostka, podrapana ręka sprawiały, że to wszystko wydawało się jeszcze bardziej intrygujące. Podciągnął koc pod szyję.

– Proszę! – zawołał.

Weszła Kate. Podała mu filiżankę herbaty.

– Jak tam mój pacjent?

Dotknął ręki. Zapieкло, ale był to raczej tępy niż ostry ból. Kiedy poruszył kostką, miał wrażenie, że jest jakby zdrętwiała, a nie skręcona. Zabiegi Kate zrobiły swoje.

– Nie najgorzej – odparł.

Na szafce nocnej dostrzegł czarny lakierowany zegar zwieńczony mosiężną figurką tygrysa. Zobaczył, że jest już po

dziesiątej. Poczul się wybity z rytmu i ogarnął go zły humor. Znow diabli wzięli jego harmonogram. Już tego nie nadgoni, żeby nie wiem co. Lubił mieć plan i wiedzieć z samego rana, co go czeka, godzina po godzinie. Zaspał, przegapił porę śniadania. Tęsknił za podlaniem Frederiki.

Uświadomił też sobie, że zostawił komórkę w walizce. Gdzieś w krzakach na wsi będzie grała pogodna melodyjka *Greensleeves*¹, kiedy zaczną do niego dzwonić. Podniósł dłoń i skrzywił się, wyczuwając szczecinę zarostu na brodzie. Zęby wydawały się lepkie od alkoholu.

– Udało mi się prawie całkiem usunąć ślady trawy z twojej koszuli i przyniosłam ci spodnie na zmianę. Twoich nie umiałam zreperować. Graystock już się w te nie mieści. Zejdź na śniadanie, jak będziesz gotowy. Obok jest łazienka. Jeśli chcesz, zrób sobie kąpiel.

Arthur wolał prysznic, ale kiedy poleżał pół godziny w gorącej wodzie, kostce zrobiło się jeszcze lepiej. Zajrzał pod bandaż na ręce i zobaczył, że rany się zasklepiły.

Ubrał się i popatrzył w wysokie, sięgające do podłogi lustro w łazience. Prezentował się jak przyzwoity emeryt od pasa w górę, ale w dół... no! Szafirowe haremowe portki Graystocka były niesłychanie wygodne – bardzo miękkie i obszerne – ale Arthur wyglądał w nich dość ekscentrycznie.

Kate nakryła do stołu w kuchni. Podała świeże, chrupiące pieczywo, masło i dzbanek soku pomarańczowego. Ściany tego przestronnego wnętrza też zdobiły zdjęcia i obrazy z tygrysami. Na kominku płonął ogień, ale kuchnia była tak duża, że nie czuło się jego ciepła. Widział, że na zewnątrz poranne słońce

nie zdążyło jeszcze ogrzać powietrza. Kate, ubrana w długą białą koszulę nocną z bawełny, narzuciła sobie na ramiona kraciatą chustę.

– Kupujemy teraz mało mięsa, poza tym, co dla tygrysów. Graystock woli karmić swoje dziewczynki niż nas. – Roześmiała się, siadając na ławie obok Arthura.

– Jak to się stało, że zamieszkaliście z... no, z dziewczynkami?

– Mój ojciec występował w cyrku. Podróżował z nim po Włoszech, Francji, Ameryce. Po całym świecie. Woził mnie ze sobą. Przebierałam się za małego klauna. Moim zadaniem było ganieć po arenie z wiadrem, żeby chlustać wodą na innych klaunów. Tak naprawdę miałam w nim tylko błyszczące konfetti, ale publiczność i tak się zaśmiewała. Ojciec nie stronił od butelki. Jak przeholował, robił się nerwowy. Czasami mnie bił. Pewnego dnia tresował nowego tygrysa do występów. Ten był za mały, żeby się czegoś nauczyć, zrozumieć, o co ojcu chodzi. Tata podniósł bat i chciał biedaka uderzyć. Podbiegłam i chwyciłam małego na rękę. Ojciec krzyknął, że mam go puścić, bo i mnie się oberwie. A jak mi nie pasuje, to mogę się wynosić i nie pokazywać mu się więcej na oczy. Przytuliłam kociaka do siebie i uciekłam. Słyszałam o Graystocku od przyjaciół i u niego poszukałam schronienia. Miałam dopiero osiemnaście lat. I Graystock, i tygrysy potrzebowali opieki. Tamten mały kociak był dla nas jak pierwsze dziecko. Potem mieliśmy jeszcze wiele, wiele innych.

– A własnych nie?

Kate pokręciła głową.

– Nigdy nie czułam potrzeby, żeby się rozmnażać. Mnóstwo moich przyjaciółek miało bobasy, lubiłam je tulić i kołysać do snu, ale mnie i Graystockowi nie było dane zostać rodzicami. Nigdy tego nie żałowałam. Tygrysy są moją rodziną. Choć teraz mamy tylko trójkę dorosłych kotów. Jest Elsie, którą miałeś przyjemność poznać, Timeous i Theresa. No i jeszcze... Chodź, zobacz.

Wstał i podszedł za nią w kąt kuchni, żeby zajrzeć za ogromny czarny piec. Stał tam duży płaski wiklinowy kosz, wymoszczony kocykami, na których spał młody tygrysek. Tak śliczny, że Arthurowi aż dech zaparło. Wydawał się nierzeczywisty, jak pluszowa zabawka zostawiona tu przez jakieś dziecko. Tyle że biała pierś unosiła się przy każdym oddechu, a kącik warg leciutko drgał, jakby pociągany niewidocznym sznurkiem.

– Czy nie jest piękny?

Arthur skinął głową.

– Marnie się czuł, a Elsie jest trochę rozdrażniona, więc zostawiłam go tutaj na noc. Mogłam mieć go na oku, kiedy przeglądałam dla ciebie te fotografie.

W gruncie rzeczy Arthur nigdy nie lubił kotów. Według niego były to bezczelne, chytre stworzenia, które tylko czyhały na okazję, żeby z satysfakcją dewastować mu skalniak. Ale ten maluch był niesamowity.

– Mogę go dotknąć?

Kate skinęła głową.

– Tylko lekko. Nie chcę, żeby się obudził.

Arthur ostrożnie pogładził pierś tygryska.

– Ojej. Jaki mięciutki.

– Ma dopiero trzy miesiące. Nazywa się Elijah.

Arthur przykucnął przy tygrysie. Teraz rozumiał, dlaczego mogło się tu podobać Miriam.

Poczuł dłoń Kate na ramieniu.

– Chodź, zobaczmy, czy uda się nam znaleźć coś, co może mieć związek z twoją żoną, dobrze? – Wskazała ułożoną na stole stertę pudełek po butach. – Wcześniej się zbudziłam, więc wzięłam się do przeglądania starych dokumentów, zdjęć i listów – powiedziała. – Zapomniałam już, że jest tego tak dużo. Mój mąż to bałaganiarz, ale na szczęście ja lubię podpisywać, co jest co. Wszystkie moje zdjęcia mają na odwrocie datę.

– Dziękuję. – Arthur spojrzał na stos papierów, zastanawiając się, od czego zacząć. – Czy lord Graystock już wstał?

Kate pokręciła głową.

– Śpi do późna. Nie pokaże się do lunchu, szczególnie że wczoraj tyle wypił. Już od tego odwykł.

– Dla mnie to był bardzo miły wieczór.

– Dla mnie też. Po śniadaniu, jak przejrzymy zdjęcia, podwiozę cię, dokąd zechcesz. – Podała mu plik fotografii. – Wszystkie są z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Na wszelki wypadek odłożyłam też te z sześćdziesiątego drugiego i czwartego. Zobacz, może coś znajdziesz.

Arthur wziął zdjęcia. Było na nich mnóstwo dziewczyn w zwiewnych sukienkach. Tapirowane koki, wielkie, podkreślone czarną kreską oczy. Śmiech, zabawa, pozowanie. Jakaś jego częśćka bardzo nie chciała odkryć, że Miriam

należała do haremu Graystocka, że była jedną z wielu, które obdarowały Graystocka czymś, czym zasłużyły sobie na wisiołek z tygrysem.

– Dlaczego zjeżdżało tu aż tyle ludzi? – zapytał.

– W tamtych czasach byłam jak Kate Moss – powiedziała Kate. – A Graystock był uderzająco przystojny, choć ekscentryczny. Prowadziliśmy dom otwarty dla artystów, gwiazd, marzycieli i podróżników. Jednych przyciągało to, że byliśmy modni, inni szukali tu cichej przystani. Niektórzy kochali tygrysy. Tak było przez wiele lat, póki Graystock nie zaczął nadużywać narkotyków. Wpadał w paranoję, bywał agresywny. Powoli ludzie zaczęli się od nas odsuwać. Tylko ja przy nim zostałam. Kochałam go, podobnie jak kochałam tygrysy. Pasowaliśmy jakoś do siebie. To się sprawdziło.

Arthur o mało nie odłożył bezmyślnie na bok fotografii przystojnego mężczyzny w czarnym golfie i obcisłych czarnych spodniach. Włosy przylizane do tyłu, pewna siebie poza, jedna ręka oparta na biodrze i uwodzicielskie spojrzenie skierowane w obiektyw, tak intensywne, że z początku Arthur w ogóle nie zauważył drobniutkiej dziewczyny obok niego. Ale zaraz zorientował się, że to Miriam. Jego żona stała przy tym puszczającym się jak paw gościu i spoglądała na niego z zachwytem.

Aż mu się zrobiło niedobrze, gdy zobaczył ją z obcym mężczyzną. Wypił łyk soku pomarańczowego, żeby zabić niesmak. Nie miał pojęcia, że jest zdolny do tak silnej zazdrości, ale na myśl o Miriam i tym facecie, przytulonych do siebie

w łóżku, miał ochotę zacisnąć pięści i w coś walnąć. Pokazał zdjęcie Kate.

– Wiesz, kto to jest?

Kate parsknęła nieprzyjemnym śmiechem, zupełnie jak nie ona.

– To François de Chauffant, inaczej najbardziej arogancki facet na świecie. Graystock przyjaźnił się z nim w latach sześćdziesiątych. Zatrzymywał się u nas wielokrotnie z różnymi kobietami. Pewnej nocy siedzieli razem z Graystockiem w pokoju frontowym. Za dużo wypili i Graystock opowiedział mu historię, która była przekazywana w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie. Rok później de Chauffant wydał nową książkę... i to była historia Graystocka. Zatytułował ją *Nasze opowieści*. A powinien raczej nazwać ją *Moje kłamstwo*. Miał czelność twierdzić, że to jego rodzinna historia. Cóż... Od tamtej pory ze sobą nie rozmawiali. Moim zdaniem, żadna strata.

– Był pisarzem? – Arthur wyjął z kieszeni bransoletkę.

– Ha. Tak twierdził. Był złodziejem pomysłów. Pyszałkowaty Francuz. Złamał Graystockowi serce.

Poprzedniego wieczoru Arthur poczuł się nieswojo, myśląc o tym, jak Miriam zdobyła wisiołek z tygrysem. Starał się sobie wmówić, że ten wisiołek był tylko jednym z tych, które lord Graystock dał ot tak, bez specjalnego powodu. A teraz okazuje się, że wszystko to prowadzi do jeszcze jednego rozdziału z życia Miriam, że może świadczyć o jej romansie z tym całym de Chauffantem.

Przypomniawszy sobie własne zdjęcia z tego okresu. Nie zaczesywał włosów do tyłu, nie nosił wąziutkich spodni. Nigdy

nie ubierał się na czarno. Uważałby to za zbyt prowokujące lub ponure. A to zdjęcie świadczyło, że de Chauffant był niebezpiecznym oryginałem. Robił wrażenie. Seksowny i nieobliczalny. Jak to możliwe, że po takim mężczyźnie Miriam wybrała Arthura? Czy ona i de Chauffant byli kochankami? Nie chciał nawet o to pytać.

Kiedy poznał Miriam, wydawała się tak czysta. Nie uprawiali miłości do nocy poślubnej i nigdy nie wyobrażał sobie, że był ktoś przed nim. Ale teraz musiał to przemyśleć od nowa. Próbował przywołać wspomnienia z ich pierwszych randek, ale nic nie wskazywało, żeby była doświadczona czy miała za sobą namiętny romans z francuskim pisarzem. Czuł się tak, jakby ktoś powiązał mu wnętrze na supły.

Skąd te emocje? Nigdy nie miał powodów do zazdrości. Żona nie flirtowała z innymi mężczyznami. Jeśli czasem zobaczył, że ktoś popatruje na nią z zainteresowaniem, jak to facet, był raczej dumny.

Kate położyła mu dłoń na ramieniu.

– To Miriam. Jestem pewny – powiedział Arthur.

– Bardzo ładna. Ale jej nie pamiętam.

Razem spojrzeli na bransoletkę. Kate dotknęła przywieszki z książką.

– Książka. De Chauffant był pisarzem. Może...

Arthur myślał o tym samym. Ujął wisiołek kciukiem i palcem wskazującym.

– Otwierałeś tę książkę? – spytała Kate.

Arthur zmarszczył brwi.

– Czy otwierałem?

– Z boku jest mały zatrzask.

Arthur usiłował go zobaczyć, ale im bardziej przybliżał wisiołek do oczu, tym bardziej wszystko się rozmazywało. Szkoda, że nie zabrał ze sobą lupy. Nie zauważył tego zatrzasku. Kate pogrzebała w szufladzie kredensu i wyciągnęła duże szkło powiększające.

– To powinno pomóc.

Razem obejrzelik dokładnie książeczkę i Kate ją otworzyła. W środku była tylko jedna strona. Złota, nie z papieru. A na niej wygrawerowany napis: *Ma Chérie*.

– To znaczy „moja kochana” – wyjaśniła Kate.

Tyle zrozumiał i Arthur. Ponownie wbił wzrok w zdjęcie, na którym jego żona z zachwytem wpatrywała się w tego mężczyznę.

– Weź sobie tę fotografię – powiedziała Kate. – Graystock nie byłby zadowolony, że trzymamy w domu zdjęcie tego nieznosnego typu.

Arthur skinął głową.

– Masz kopertę? – Nie chciał, żeby to zdjęcie miało bezpośredni kontakt z jego ciałem. Musiał się od niego trochę odgrodzić.

– Zamierzasz go odszukać?

Przełknął ślinę. Mógł po prostu wrócić do domu. Siąść i oglądać telewizję, z nogą opartą na pufie. Dać odpocząć kostce. Zrelaksować się. I smarować rękę maścią antybakteryjną. Bernadette na pewno by go doglądała i codziennie przynosiłaby mu paszteciki i różne pyszności. Terry z naprzeciwka strzygłby swój trawnik, a rude dzieciaki ganiałyby przed jego domem.

Życie wróciłyby do normy. Mógłby nawet znów wybrać się do Jaskiniowców i zmajstrować coś do domu, może drewnianą podkładkę pod kubek.

Tyle że nic już nie byłoby tak jak dawniej, bo te poszukiwania coś w nim poruszyły. I nie chodziło już tylko o Miriam. Ale i o niego samego.

Doświadczał emocji, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy. Zaczął odkrywać ludzi i zwierzęta i to było bardzo ekscytujące. Nie chciał już dalej gnić w fotelu, pogrążony w żałobie, czekać na telefony od dzieci, spędzając dni na podlewaniu paprotki i oglądaniu telewizji.

I nawet jeśli de Chauffant wywołał w nim niechęć i zazdrość, to dzięki temu poczuł, że żyje. Potrzebował silnych bodźców. Czegoś, co wytrąciłoby go z przytulnego więzienia, które sam sobie stworzył. W domu, gdzie wspomnienia o Miriam nadal były świeże. Potrzebował czegoś innego. Pojedzie z powrotem, sprawdzi, czy Frederica ma się dobrze. Podleje ją, spakuje trochę więcej rzeczy i ruszy w dalszą drogę.

– Tak – powiedział. – Znajdę go.

*

W aucie nie był w nastroju do rozmowy. Kate powiedziała, że nie ma pojęcia, czy de Chauffant jeszcze żyje, ale nawet jeśli nie, nic ją to nie obchodzi. Nawet nie mrugnęła okiem, kiedy Arthur poprosił, żeby go zostawiła na drodze przy krzakach żywopłotu.

– Mogę cię podrzucić na stację – zaproponowała tylko.

Arthur pokręcił głową.

– Tu wystarczy.

Tak naprawdę nie wiedział, jak dotrze stąd na dworzec. Był w stanie przekuścić tylko kawałek, a ręka jednak bolała. Ale stwierdził, że jakoś wróci do domu.

Wysiadł przy poboczu i podziękował Kate. Uścisnął jej dłoń i zapewnił ją raz jeszcze, że nie ma zamiaru wnosić pozwu przeciwko Graystockowi. Zawahał się chwilę, czy jej nie pocałować w policzek albo nie powiedzieć, co czuje, ale dodał tylko:

– No to trzymajcie się. – I pomachał jej na pożegnanie.

Kiedy skupiał się na tym, żeby stawiać stopy palcami na zewnątrz i iść kołyszącym się krokiem, jak pingwin, kostka mniej dawała się we znaki. Wytropił swoje ślady prowadzące do przeredzenia w żywopłocie. Wiatr, którego poprzedniego dnia nie było, hulał mu w spodniach, co powodowało wrażenie przeciągu w dolnych partiach. Szarpnął walizkę i zobaczył, że na rogu ma sporą dziurę. Nylon był przedarty i postrzępiony. Kto, u licha, mógł tak zdewastować walizkę starszego człowieka? Wyjrzał zza krzaków na pole. Jego kosmetyczka leżała w trawie, pokryta rosą, tubka pasty do zębów została wdeptana w błoto. Z oddali przyglądało mu się stadko kóz. Jedna z nich chyba żuła kawałek musztardowego materiału. Jego cholerna kamizelka.

I właśnie wtedy odezwała się elektroniczna melodyjka *Greensleeves*. Przez dziurę wetknął rękę do walizki i wydobył komórkę. Miał dwanaście nieodebranych telefonów. Wszystkie od Bernadette – poza jednym od Lucy. W innych

okolicznościach może udałoby, że nie słyszy, i nie odebrał, ale tym razem z bijącym sercem przycisnął zielony guziczek.

– Halo, tu Arthur Pepper. Czym mogę służyć?

– Arthurze. Dzięki Bogu, to ty. Gdzie jesteś? Nie mogłam się dodzwonić.

Niespodziewanie wzruszyło go, że ktoś się o niego martwi.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Zgubiłem walizkę z telefonem w środku. Właśnie ją zabieram.

Bernadette wyjaśniła, że razem z Nathanem spędzili jeszcze jedną noc w pensjonacie. Zaraz ruszają do domu, może chciałby się z nimi zabrać?

Od dawna nie pragnął niczego tak bardzo.

– Tak, proszę – powiedział. – Jestem na drodze prowadzącej do Graystock Manor. Wypatruj szafirowych spodni.



Lucy i Dan

Podczas szkolnej przerwy na lunch Lucy odsłuchiwała pocztę głosową w komórce i znalazła tam jakąś chaotyczną, długą wiadomość od taty na temat jego wyprawy do Graystock Manor. Poprzedniego dnia spotkała się z dwiema koleżankami, Clarą i Annie, które bez przerwy paplały o swoich dzieciach, i nie usłyszała telefonu. Połączenie stale się rwało, głos to pojawiał się, to zanikał. W tle słychać było szum samochodów i muzykę rockową. I jeszcze pytanie jakiejś kobiety, czy ktoś chciałby zatrzymać się, żeby coś przegryźć. Lucy zatkała palcem drugie ucho i ze zmarszczonym czołem starała się zrozumieć słowa ojca. Miała wrażenie, że w pewnym momencie mówi coś o tym, że zaatakował go tygrys. Pokręciła głową i spróbowała do niego oddzwonić, ale nadęty męski głos wyrecytował, że numer jest niedostępny.

Zaatakował go tygrys? Lucy stanęło przed oczami, jak ojciec osuwa się na ziemię, bez życia, a wielki kot ogryza mu nogę.

Może się przesłyszała? Pomieszało mu się w głowie czy co?

Od tamtej rozmowy telefonicznej, kiedy powiedział, że wyjechał z Bernadette, Lucy zamartwiała się jego stanem. To było do niego całkiem niepodobne, żeby tak po prostu wyjechać. A teraz zostawia jej wiadomość i plecie coś o tygrysach. Może będzie musiała niedługo pomyśleć o zrezygnowaniu z pracy w szkole, żeby mieć więcej czasu dla taty. A nawet przeprowadzić się z powrotem do swojego panińskiego pokoju, żeby zapewnić ojcu całodobową opiekę.

Oczywiście zrobi to. Kocha tatę. Ale im bardziej mu się poświęci, tym mniejsze ma szanse na spełnienie marzeń o założeniu własnej rodziny. Kobieta, która mieszka ze starzejącym się ojcem, nie wyda się atrakcyjną propozycją na portalu randkowym.

Nie wyszła na przerwę. Sprawdziała prace domowe uczniów. W trzeciej klasie przerabiano dynastię Tudorów. Kazała dzieciom narysować scenkę z tamtych czasów i ze zdumieniem stwierdziła, że na większości obrazków znalazły się egzekucje i ścięte głowy. Może powinna była poprosić, żeby bardziej skupili się na ludziach żywych.

„Jestem z ciebie taka dumna” – powiedziała mama, kiedy Lucy dostała etat w szkole. Poszły razem na lunch, przy którym wypily butelkę wina, i trochę szumiało im w głowach, kiedy wstąpiły potem do Debenhams i próbowały przeróżnych perfum. „Będziesz dbała o te dzieci jak o własne”.

Lucy nadal kochała swoją pracę. Tylko miała niekiedy wrażenie, że cały czas poświęca innym. Po godzinach opiekowania się dziećmi, prowadzenia ich do toalety,

pomagania im w krojeniu kiełbasek, spierania farb ze szkolnych spódniczek, poszukiwania zgubionych tenisówek, teraz będzie musiała jeszcze troszczyć się o ojca.

Dawniej, kiedy ogarniały ją czarne myśli, przypuszczała, że to pewnie tata umrze z nich dwojga pierwszy. Była pewna, że mama jakoś sobie poradzi. Samodzielna, rozsądna. Tata z kolei zawsze wydawał się trochę rozkojarzony, tak jakby wszystko go dziwiło. Ale nigdy nie wyobrażała sobie, że mógłby zachowywać się tak jak teraz.

„Opiekuj się mamą i tatą” – powiedział Dan, całując ją w policzek, nim wsiadł do samolotu, żeby zacząć nowe życie w Australii. Łatwo mu było szepnąć tych kilka słów, a potem zniknąć, by budować swoją własną szczęśliwą rodzinę po drugiej stronie kuli ziemskiej.

Stosunki między Danem a tatą były napięte. Ojciec uważał, że Dan powinien zostać w Yorku i kontynuować ród Pepperów tu, gdzie jego korzenie. Miał żal, że syn zostawia mamę, a jego dzieci będą dorastać, nie znając swoich dziadków. Lucy zawsze dzwoniła do brata, żeby przypomnieć mu o urodzinach mamy i taty. Usprawiedliwiała go, kiedy nie dzwonił. Czasami czuła się jak pająk, który tkwi w środku rodzinnej sieci, starając się nie dopuścić do jej zerwania.

Kiedy byli młodszy, Dan trzymał się z grupą miejscowych chłopaków. Wszyscy palili papierosy i wałęsali się po ulicach, lokalnych sklepach i parku, gdzie mogli kopcić i zaczepiać dziewczyny, które na swoje nieszczęście im się nawinęły. Kiedy Lucy miała jedenaście lat, zobaczyła Dana siedzącego na szczycie drabinek. Z papierosem przyklejonym do ust zawzięcie

mazał coś czarnym markerem po czerwonym metalu. Nie zauważył siostry i jej przyjaciółki Elizy, przechodzących obok, kiedy wypisywał wielkimi literami: GNOJKI.

– Czy to nie twój brat? – spytała Eliza.

Była niska i miała długie czarne warkocze, które kołysały się jak wahadła.

– Chyba tak. – Lucy starała się powiedzieć to beztrąsko i ledwie spojrzała w jego kierunku.

– Wpakuje się w kłopoty.

Czuła wobec brata dziwną mieszaninę podziwu i złości. Był starszy, kończył już szkołę średnią. Włóczył się z kumplami, popisując – i przez to był denerwujący. Miał swoje własne sekretne życie, z dala od mamy i taty, jakiego ona nie miała. Ona musiała mówić im, dokąd i z kim idzie i kiedy wróci. Dan mógł mruknąć „Wychodzę”, trzasnąć drzwiami i nikt go nie przepytował.

– Czy wiesz coś o tym, co Dan zmalował na placu zabaw? – zapytał ojciec.

– Nie – skłamała. Jej brat miał wdzięk i potrafił udawać takie niewiniątko, że gdyby nie został mechanikiem samochodowym, to na pewno zdobyłby Oscara jako aktor. Jaki był sens na niego kablować? – Nic o tym nie wiem.

Potem naskoczyła na Dana, ale on tylko się roześmiał i powiedział, żeby nie zgrywała takiej świętoszki.

Brat był przebojowy i pewny siebie, a Lucy marzyła, żeby też być taka. Skończył szkołę i założył własny biznes, dogadał się z bankiem, załatwił lokal i kupił części samochodowe. Sam,

bez wahania. Umiał postawić sobie cel i skupić się na nim, bez żadnych niepokojów czy wątpliwości.

Lucy żałowała, że nie jest w stanie podobnie podchodzić do życia i trosk. Dlaczego na wiadomość od ojca, że został zaatakowany przez tygrysa, nie umie powiedzieć sobie: no cóż, zdarza się, ale przynajmniej żyje. Tak zareagowałyby Dan.

Czasami Lucy nie wytrzymała już tego ciągłego napięcia. Zbyt zmęczona po pracy, by gdzieś się ruszyć, niezdolna dzwonić do ojca i od nowa wysłuchiwać, jak bardzo brakuje mu mamy, otwierała czerwone wino i piła prosto z butelki, oglądając amerykański kryminał. Podobał jej się jeden z dwóch detektywów, ten o kasztanowych włosach, bo nigdy niczym za bardzo się nie przejmował. Miał takie samo podejście do życia jak jej brat. Trup u niego w garażu? Nie ma problemu. Nielegalni imigranci spaleni w furgonetce? Już on znajdzie sprawców.

Stała przy oknie i zapatrzyła się na biegające po boisku dzieci. Postukując w brodę komórką, pomyślała o bracie. Na pewno się teraz opala. Jak cudownie byłoby mieszkać tuż przy plaży, żeby fale podchodziły aż pod trawnik przed domem. Jeszcze nie wybrała się do Australii, ale widywała zdjęcia Dana na Facebooku i nigdy nie zapominała dać mu lajka.

Zacząła przewijać kontakty, by znaleźć numer brata, choć nie miała pojęcia, która tam u niego godzina. Wiedziała tylko, że musi z nim pomówić. Chciała usłyszeć, co powie na temat sytuacji z ojcem. Na pewno podejdzie do tego trzeźwo i na wszystko znajdzie odpowiedź.

Odezwało się dziecko mówiące z australijskim akcentem.

Lucy zastanawiała się gorączkowo, ile lat mogą mieć teraz Marina i Kyle. W każdym razie dość, żeby odbierać telefon. A ona nadal myślała o nich jak o niemowlętach.

– O, cześć. Czy to Kyle?

– Tak.

– Mogę prosić Dana? To znaczy twojego tatę?

– A kto mówi?

– Ciocia Lucy, z Wielkiej Brytanii. Nie wiem, czy mnie pamiętasz... – Umilkła, bo zdała sobie sprawę, że Kyle odszedł już od słuchawki.

Usłyszała głos Dana, zanim odebrał. „Kto dzwoni, koleżko?”. „Jakaś pani. Nie wiem”.

Coś zazgrzytało.

– Pepper, mechanika pojazdów.

– Cześć, Dan. To ja.

– Lucy?

– Tak.

– Ojej. Miło cię słyszeć. Dawno nie gadaliśmy.

Oparła się pokusie, żeby powiedzieć: „Bo ty nigdy nie dzwonisz”.

– Tak. To już parę miesięcy.

– Aż tyle? Jak ten czas leci. – W jego głosie zabrzmiała nutka niepokoju. Lucy przyjęła to z zadowoleniem. – Wszystko w porządku, prawda? – spytał.

– No, mniej więcej. Po prostu pomyślałam, że do ciebie zadzwonię. Wiesz, mija rok od śmierci mamy.

– Tak. Pamiętałem, że zbliża się ta data. Starłem się jak najwięcej pracować, żeby nie myśleć. Tak jest lżej.

– Rocznicą była w zeszłym tygodniu.

– Rzeczywiście, masz rację. Wiedziałem, że to jakoś teraz. Czyli mój plan zadziałał.

Lucy zdenerwował ten żart. Czasami brat potrafił sprawić, że znów czuła się jedenastoletnią dziewczynką.

– Martwię się o tatę – rzuciła ostrzejszym tonem, niż zamierzała. – Ostatnio zachowuje się dość dziwnie.

– Dlaczego, co mu jest?

– No wiesz, właściwie nigdzie nie wychodzi, czasem tylko na zakupy. Zrobił się pustelnikiem. Codziennie ubiera się w to samo i dostał bzika na punkcie paprotki, którą trzymała na parapecie mama. A teraz ni stąd, ni zowąd, bez uprzedzenia, wybrał się w podróż z sąsiadką, Bernadette. Chciałam go odwiedzić, ale go nie zastałam. Pojechał do Bath.

– Nie wygląda na to, żeby było się czym martwić. Pewnie zapomniał ci powiedzieć.

– Nie sądzę. Mam wrażenie, że raczej coś przede mną ukrywa.

– No tak, to do niego niepodobne, ale przynajmniej ruszył się z domu.

– To jeszcze nie wszystko. Podczas tej podróży podobno wybrał się do rezydencji jakiegoś lorda. I twierdzi, o ile dobrze go zrozumiałam, że zaatakował go tygrys.

Dan wybuchnął śmiechem.

– Co takiego?

– Tygrys.

– To w Anglii są tygrysy? Ale chyba tylko w zoo?

– Podobno ten lord Graystock trzyma je w swojej posiadłości.

Dan umilkł na chwilę i Lucy zastanawiała się, czy może myśli, że to ona zwariowała.

– Nie do wiary – powiedział wreszcie.

– Ale to prawda.

– No, właściwie to wspaniale, nie sądzisz? Przecież nie chciałabyś, żeby siedział w domu i tylko snuł się z kąta w kąt? Najwyraźniej znów zaczyna cieszyć się życiem.

Lucy westchnęła.

– A może jeszcze nie powinien znów cieszyć się życiem. Minęło dopiero dwanaście miesięcy od śmierci mamy.

– Dwanaście miesięcy to kupa czasu. Nie chcesz chyba, żeby stale rozpaczał.

– Nie, ale...

– Myślisz, że zaczyna coś kręcić z tą panią Bernadette?

– Nie. To znaczy nie brałam tego pod uwagę.

– Przypuszczam, że nawet jeśli tak, wszystko skończy się na trzymaniu się za ręce w parku. Raczej nie dojdzie do łóżkowych ekscesów.

– Dan!

– Mówię, jak jest. To może być co najwyżej równie gorące jak kanapka z ogórkiem i lody posypane czekoladą. Tata zawsze był spokojnym, powściągliwym facetem i nie wyobrażam sobie, żeby tak nagle się zmienił.

Lucy zamrugała. Jej tata i Bernadette. Czy to dlatego ojciec zachowuje się tak tajemniczo?

– Jestem pewna, że na coś takiego nie jest jeszcze gotowy. Ma dom na głowie.

– Hola, uspokój się. Wyjeżdża na jeden dzień, a ty już go żenisz i martwisz się, że postradał zmysły. Daj mu się z tym uporać. Skoncentruj się na swoim życiu.

– Ja damę mu się z tym uporać.

– Lucy... On został sam. To cudownie, że zajmuje go coś więcej niż teleturniej *Countdown*, seriale kryminalne i herbatki. *Countdown* ciągle leci u was w telewizji, co?

– Tak. – Lucy podrapała się w szyję. Usiadła za biurkiem. – W każdym razie, czy sądzisz, że mógłbyś tu jakoś niedługo przylecieć, Dan? To już ponad półtora roku. Myślałam, że może uda ci się na pogrzeb mamy. Martwię się o tatę i potrzebuję nieco wsparcia.

– Wiesz, że nie mogłem przylecieć na pogrzeb – powiedział szybko Dan. – Kelly miała właśnie egzaminy na medycynie. Kyle złamał rękę. Marina złapała odrę. To był najgorszy moment. Zresztą ty też nie poszłaś...

– Ja cię nie oskarżam...

– No, tylko mówię, że ty też nie byłaś na pogrzebie.

– Wiem...

– No właśnie...

– Właśnie...

Znów wrócili do czasów dzieciństwa.

– Po prostu naprawdę martwię się tatą, a ty jesteś na drugim końcu świata. Nie musisz zajmować się codziennymi sprawami, upewniać się, czy on coś je, pocieszać, kiedy jest

przygnębiony – powiedziała. A potem, nie mogąc się powstrzymać, dodała: – Tobie zawsze było łatwiej, od dziecka.

– Hej, a to co znowu?

– Przepraszam, ale...

– Posłuchaj, Lucy. Ty i tata nigdy nie przestaniecie mi być bliscy, ale mam żonę i dzieci. Nimi muszę się opiekować w pierwszej kolejności. Może i ty powinnaś pomyśleć o założeniu własnej rodziny. Przyjdzie dzień, kiedy taty już nie będzie i zostaniesz sama.

Lucy czuła się tak, jakby karmelek uwiązał jej w gardle. Pragnęła dziecka bardziej niż czegokolwiek na świecie. Dan nie wiedział nic o tym, że poroniła.

– Jesteś tam jeszcze?

Próbowała przełknąć ślinę.

– Tak jakby.

– Przepraszam, że krzyczałem.

– Nie ma sprawy.

– Naprawdę?

– No, nie wiem. – Westchnęła.

– Niewiele mogę zdziałać, Luce. Mama umarła i to jest potwornie smutne. A jeśli chodzi o tatę, wygląda na to, że nie musisz się martwić. Skoro zostawił ci wiadomość, to nic mu nie jest. A jeśli wyjechał z tą panią Bernadette, to też całkiem normalne. Kiedy naprawdę będzie potrzebował pomocy, wtedy porozmawiamy. Dzwoń do mnie o dowolnej porze.

– Może on już potrzebuje pomocy...

– Mam wrażenie, że wszystko z nim w porządku.

– Ale ciebie tu nie ma.

– Nie mów tak. Wyjechałem, bo tu otwierają się przede mną wspaniałe możliwości, a nie dlatego, żebym przed czymś uciekał. Rozumiesz?

Lucy poczuła, że już dłużej nie wytrzyma tej rozmowy, i rozłączyła się.

Jej komórka od razu zawibrowała. Dan próbował oddzwonić. Zignorowała to i odrzuciła połączenie. I tak samo następnym razem.

Potrzebowała czasu, by się zastanowić. Ukryła głowę w dłoniach. Nie usłyszała dzwonka na lekcje i nie ruszyła się, dopóki nie poczuła na ramieniu małej rączki.

– Czy możemy już wejść do klasy, proszę pani?



Technologia komórkowa

Kiedy Nathan zajechał z powrotem pod dom Bernadette, ona uparła się, żeby Arthur wstąpił na kawę. Wolałby jak najszybciej znaleźć się u siebie, zadzwonić do lekarza i umówić się na szczepienie przeciwężcowe. Chciał zaszyć się w swoim sanktuarium, uciec od szaleństwa i szokujących wrażeń ostatnich kilku dni. Tęsknił za widokiem beżowych ścian i liścia z potpourri w korytarzu i za podlaniem Frederiki. Chciał zadzwonić do Lucy i opowiedzieć jej składniej o swojej przygodzie. Nie był za dobry w zostawianiu wiadomości na poczcie głosowej.

W kuchni Bernadette śpiewała na całe gardło. Nie potrafił rozszyfrować, co to za piosenka. Usiadł na kanapie. Dotknął przedramienia i poczuł palący ból. Ale uśmiechnął się, bo przypomniał sobie Elijaha, tygrysiątko zwinięte w kłębek w koszu za piecem. Pomyślał, jak dziwacznie musi wyglądać

z dziurawą walizką stojącą obok, ubrany w te szafirowe spodnie.

Nigdy jeszcze nie był u Bernadette w domu. Gdzie tylko mogła dodać jakiś kolor, to sobie nie pożałowała. Ściany były żółte jak żonkile, a listwa przy podłodze i drzwi pomalowane na trawiastą zielen. Zasłony, uszyte ze wspaniałego aksamitu, miały wzory w wielkie czerwone i fioletowe kwiaty. Wszędzie stały jakieś ozdóbki. Malutkie figurki dziewczynek trzymających pieski, kolorowe szklane wazony ze sztucznymi kwiatami, pamiątki z wakacji. Było przytulnie, widać było, że ktoś tu mieszka, zupełnie inaczej niż w klinicznej czystości jego domu. Miriam też była porządnicka. Kiedy tylko położyło się gazetę nie tam gdzie trzeba, zaraz zabierała ją na „właściwe” miejsce. „Usiądź, odpocznij” – prosił Arthur po powrocie z pracy, a Miriam prasowała, układała, sprzątała.

„Samo się nie robi – mówiła. – Jak jest porządek w domu, to jest i w głowie”.

Arthur siadał więc, a żona krzątała się wokół niego. Kiedy umarła, on przejął jej obowiązki, żeby wszystko było tak, jak lubiła.

Do pokoju wszedł Nathan.

– Hej, panie MC Hammer – powiedział, wskazując głową jego spodnie. – Nie do przyjęcia.

Padł na krzesło, przewieszając ręce przez oparcie. Jego nogi zgięły się jak słomki do napojów. Pociągał nosem co jakieś dziesięć sekund, a od czasu do czasu wycierał go wierzchem dłoni.

Arthur kombinował gorączkowo, co by tu powiedzieć. Nie miał pojęcia, kim jest ten MC Hammer, jeśli to w ogóle jakaś osoba. Przypomniwał sobie prośbę Bernadette, żeby porozmawiał z jej synem jak mężczyzna z mężczyzną.

– Jak tam się udały poszukiwania uczelni? – zagadnął wreszcie.

Nathan wzruszył ramionami.

– Nieźle.

– Spodobała ci się któraś?

Znowu odpowiedziały tylko ramiona chłopaka.

Arthur popatrzył na szereg fotografii stojących w ramach na kominku. Jedna z podpisem „Najlepsza mama na świecie”. Na innej znacznie młodszy Nathan, Bernadette i Carl trzymali dużą rybę i uśmiechali się do obiektywu. Uwagę Arthura zwróciło jedno samotne zdjęcie ojca Nathana. Opalał się, z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni.

– Czym zajmował się twój tata?

Nathan poprawił się na krześle.

– Był mechanikiem. Reperował windy, jak sądzę. Wiesz, elektryka i te rzeczy.

– Ty też chcesz iść na studia o podobnym kierunku?

– Niespecjalnie.

– A co byś wolał?

– Zastanawiam się nad anglistyką. Mama sądzi, że to byłby dobry wybór.

– A co ty myślisz?

– Sam nie wiem.

Starając się nawiązać jakoś rozmowę, która by zainteresowała chłopaka, Arthur zaczął gadać jak najęty. Po chwili opowiadał już Nathanowi, jak to za czasów jego młodości szło się zwykle w ślady ojca. Ojciec Arthura był ślusarzem, więc i jemu było pisane to samo.

– Nie mówiło się wtedy jednak o karierze zawodowej. Była to po prostu praca czy zawód. Musiałem terminować. To oznaczało asystowanie przez dwa lata ślusarzowi. Głównie stałem i patrzyłem, co robi. Nie zarabiał się wiele. To był dobry gość, ten Stanley Shearing. Nie żałował czasu, żeby wszystko mi wyjaśnić, pokazać, jak co działa. Nie jestem pewien, czy teraz młodzi ludzie mają coś takiego, kogoś, kto by poświęcił im trochę uwagi. Ruszacie wolni w świat, idziecie na studia i macie się odnaleźć w życiu. No cóż, czasy się zmieniły. Żeniliśmy się też wcześniej. Ja zrobiłem to, kiedy stałem już dobrze na nogach w zawodzie i potrafiłem przynieść do domu całkiem przyzwoite pieniądze. Nie utrzymalibyśmy się z tego, co zarabiałem, terminując u ślusarza, ani ze stypendium studenckiego.

Przez cały czas, kiedy Arthur mówił, Nathan wpatrywał się w swoją komórkę i przebierał kciukami po ekranie.

Bernadette przyniosła trzy filiżanki kawy.

– Dobrze wam się gada, chłopcy? No to nie będę przeszkadzać.

Arthur bezradnie powędrował za nią wzrokiem, kiedy wychodziła z pokoju. Co on może mieć wspólnego z tym młodym człowiekiem? Najwyraźniej Nathan nie miał ochoty rozmawiać o pracy ani o uniwersytecie.

– A kto to, u licha, jest ten MC Hammer? – zapytał w końcu.

Nathan uniósł głowę.

– To amerykański raper z lat osiemdziesiątych. Nosił workowate spodnie z obniżonym krokiem jak te, które masz na sobie. Teraz jest kaznodzieją, uważa się go za świętego.

Popukał coś tam palcami po ekranie i podsunął Arthurowi telefon.

Arthur zobaczył zdjęcie czarnoskórego mężczyzny w okularach i bufiastych srebrnych spodniach.

– Aha. Więc lubisz muzykę?

Nathan skinął głową.

– Głównie rocka, ale podobają mi się też dawne kapele, jak The Beatles.

– Chyba mam gdzieś ich stary album. Jak chcesz, mogę ci go dać. Ale to winylowa płyta. Musiałbyś mieć adapter, żeby jej posłuchać.

– Mama ma jakiś na strychu. Jaki tytuł ma ten album?

– *Rubber Soul*, chyba.

Nathan znów kiwnął głową.

– Mam to ściągnięte z internetu, ale fajnie byłoby posłuchać z płyty. Nie sądziłem, że lubiłeś Beatlesów.

– Bardziej lubiła ich Miriam niż ja. Była fanką Johna Lennona. Ja zawsze wyżej ceniłem Paula McCartneya.

– Jasne. Ale najfajniejszy był George Harrison.

Arthur przesunął się lekko na kanapie.

– Możesz sprawdzić coś w telefonie? To coś w rodzaju biblioteki?

– No, tak jakby.

– Mógłbyś coś dla mnie znaleźć?

– Pewnie.

– Szukam francuskiego pisarza. Nazywa się François de Chauffant. Chcę się dowiedzieć, gdzie mieszka.

Nathan postukał w ekran komórki.

– Łatwizna – powiedział.

Arthur wziął od niego telefon. Zobaczył małe kwadratowe zdjęcie białej piętrowej kamieniczki, zdobionej od frontu stiukami. Robiła wrażenie bardzo eleganckiej. Pod spodem widniała nazwa i numer ulicy w Londynie.

– To aktualny adres?

Nathan znów postukał w ekran.

– Jest tylko ten jeden, chyba że de Chauffant wrócił do Francji. Ale tak naprawdę pochodzi z Belgii. Jego rodzina przeprowadziła się do Nicei, kiedy był małym dzieckiem.

– Wszystko to wyczytałeś z telefonu?

– Trochę o nim wiem. Uczyliśmy się o de Chauffancie w szkole. Jest jednym z najbardziej znaczących pisarzy lat sześćdziesiątych. Jego *Nasze opowieści* to klasyk. Słyszałeś o tej książce?

– Owszem, słyszałem.

Arthur pomyślał o tym, co mówiła mu Kate. Jak de Chauffant ukradł historię Graystocka. Zastanawiał się, kim trzeba być, żeby zrobić coś takiego.

– Masz ze sobą komórkę? – spytał Nathan. – Mogę przesłać ci link.

– Nie trzeba, zapiszę sobie – powiedział Arthur. Wyciągnął z walizki długopis i kawałek papieru. – Możesz mi podyktować? Mam kłopoty ze wzrokiem.

Nathan przewrócił oczami, ale wyraźnie przeczytał adres.

– Naprawdę zaatakował cię tygrys? – zapytał, kiedy Arthur wsuwał kartkę do kieszeni.

Arthur skinął głową, odpiął mankiet koszuli i podwinął rękaw. Opatrunek, przylepiony przez Kate plastrem, ledwie się trzymał. Przesiąkła przez niego krew i zaschła, zostawiając paski koloru rdzy. Nathan zrobił okrągłe oczy, ale najwyraźniej zaraz przypomniał sobie, że okazywanie zbytniego zainteresowania to obciach. Wzruszył ramionami i odchylił się do tyłu.

Bernadette pojawiła się znowu. Tym razem niosła talerz ciasteczek z dżemem.

– Upiekłam je, kiedy rozmawialiście – powiedziała. – Wystarczy rozwinąć ciasto francuskie, pociąć na kwadraty i położyć na każdym po odrobinie dżemu. A potem do pieca i *voilà!* To bardzo prosty przepis. A teraz jedzcie, póki ciepłe.

Arthur i Nathan jednocześnie sięgnęli po ciasteczka. Dmuchali na nie, bo parzyły w usta.

– Nathan i ja myślimy o tym, żeby w przyszłym tygodniu wybrać się do Manchesteru. – Bernadette usadowiła się na kanapie obok Arthura. – Z przyjemnością znów cię zabierzemy, jeśli masz ochotę na kolejną wycieczkę. Z tego, co wiem, to ciekawe miasto. Podobno na tamtejszym uniwersytecie anglistyka jest na bardzo wysokim poziomie.

Arthur wziął swoją filiżankę kawy, która już całkiem ostygła.

– Rzeczywiście przymierzam się do wyjazdu, ale teraz pewnie do Londynu – powiedział. – Mieszka tam pewien pisarz,

którego chciałbym odwiedzić. Myślę, że znali się z moją żoną.

Arthur nie był pewien, czy pod grubą czarną grzywką Nathan uniósł lekko brew, ale tak mu się zdawało.



Londyn

Londyn był zaskoczeniem, cudowną niespodzianką. Arthur oczekiwał widoku szarego, bezosobowego miasta z przytłaczającymi budynkami i z tępo patrzącymi w przestrzeń, niczym postacie z obrazów Muncha, rozczarowanymi pracownikami wielkich korporacji. Ale to miasto tętniło życiem, było jak inny świat.

Panował upał, wilgotna duchota. Wszędzie ruch, kalejdoskop dźwięków, kolorów i kształtów. Taksówki trąbiły, rowery śmigają. Stada gołębi, krzyki ludzi. Słyszał więcej różnych języków, niż sądził, że w ogóle istnieje. Miał wrażenie, jakby się znalazł w środku karuzeli, nieruchomy, niezauważany przez nikogo, kiedy świat dookoła pędzi przed siebie.

O dziwo, wcale nie czuł się przytłoczony, nawet jeśli potracali go jacyś obcy ludzie, bez słowa przeprosin. Nie był częścią tego dziwnego świata, ale gościem, trafił tu tymczasowo

i wiedział, że w każdej chwili może bezpiecznie wrócić do siebie. To dodawało mu animuszu i odwagi.

Wysiadł z pociągu na King's Cross i postanowił, że postara się jak najwięcej poruszać piechotą. Na mapie, którą kupił na stacji, wszystko wydawało się w zasięgu ręki.

Uznał, że w zwykłych spodniach będzie mu w pociągu i przy chodzeniu po mieście trochę za gorąco, więc uprał i wyprasował te szafirowe, które dostał od Kate Graystock. Bernadette podarowała mu kupon do sklepu dla turystów w Scarborough, wybrał się więc tam i kupił sobie nylonowy plecak z mnóstwem kieszonek, manierką i kompasem, a także parę sportowych sandałów. Wyglądały trochę topornie, ale przynajmniej było mu chłodniej w stopy.

Z mocno obandażowaną kostką szedł przed siebie. Jego szafirowe spodnie nikogo tutaj nie dziwiły. Minął dziewczynę o różowych włosach i mężczyznę, który miał w uszach dziury tak wielkie, że mógłby w nich nosić puszki coli. Zobaczył pudła z amarantowym pomponem na ogonie i faceta, który jechał chodnikiem na jednokołowym rowerze, gadając przez komórkę.

Widok tego człowieka przypomniał mu, że nie skontaktował się z Lucy od czasu tamtej chaotycznej wiadomości, którą zostawił jej na poczcie głosowej, gdy jechał autem z Bernadette. Wybrał się do Londynu ledwie dwadzieścia cztery godziny po powrocie z Graystock Manor. Dwa razy próbował połączyć się z córką, ale odpowiadała automatyczna sekretarka. Zastanawiał się, czy Lucy go unika, czy tylko jest zbyt zajęta, żeby odebrać.

Maszerował naprzód, chłonąc widoki i dźwięki, ale im dalej szedł, tym bardziej zaczynał ogarniać go żal i wstyd.

Kiedy raz Miriam wspomniała mu, żeby z okazji ich trzydziestej rocznicy ślubu spędzili tydzień w Londynie, gdzie mogliby pójść do teatru i zjeść lunch w Covent Garden, on się roześmiał. Tak, śmiał się. Po co chce jechać do Londynu? Brudno tam, śmierdzi, ruch jak diabli, miasto moloch. To jak Newcastle czy Manchester do kwadratu. Kieszonkowcy i żebracy na każdym rogu. A w restauracji zedrą z nich skórę.

„Tak tylko sobie pomyślałam” – powiedziała Miriam. Jakby niespecjalnie przejęła się tym, że z miejsca odrzucił jej pomysł.

Teraz tego żałował. Powinni razem podróżować, doświadczać nowych wrażeń, kiedy dzieci już podrosły. Powinni korzystać z możliwości robienia tego, na co mają ochotę, i rozszerzać horyzonty. Rozumiał to szczególnie teraz, gdy wiedział, że Miriam żyła pełniejszym, bardziej ekscytującym życiem, zanim się poznali. On ją ograniczał. Był tak bardzo przywiązany do swoich utartych zwyczajów.

Przed upływem miesiąca od tej rozmowy Arthur zamówił im króciutki pobyt w hotelu ze spa w Scarborough – o wiele bardziej cywilizowanym miejscu niż Londyn. Zapłacił więcej, żeby dostali apartament, a na stoliku nocnym były herbatniki w czekoladzie. W wieczór rocznicy Arthur zabrał Miriam do teatru na sztukę Alana Ayckbourn, która bardzo się jej podobała. Potem kupili sobie frytki i poszli na spacer po plaży. Głowy obwiązali szalikami, bo wiało.

Było cudownie. No, w każdym razie dla niego. Zastanawiał się teraz, czy żona nie czuła się rozczarowana. Czy myślała o de

Chauffancie, proponując wyprawę do Londynu? Może miała nadzieję, że zobaczy dawnego kochanka?

Arthur nie nawykł do zazdrości. Nienawidził tego uczucia, które tak kłuło w środku, że żołądek podchodził mu do gardła, i które kpiło sobie z niego. Popełnił błąd, że wtedy wyśmiał Miriam. Ona miała rację. Nie on.

Teraz spędził dzień jak każdy turysta, na tym, co powinni byli robić razem z Miriam. Stał, gapiąc się na cuda Londynu – Koło Milenijne, Parlament, Big Bena – i bardzo mu się to wszystko podobało. Wsiadał do czerwonych autobusów z odkrytym piętrem dla turystów, wędrował, ile tylko mógł. I tak na zmianę, bez końca. Adrenalina krążyła mu w żyłach. Miał wrażenie, jakby to miasto witało go z otwartymi ramionami. Spodziewał się lęku przed nieznanym, a czuł uniesienie.

Kupił magnes na lodówkę, w kształcie czerwonego autobusu, i ołówek z Tower of London na czubku. Na lunch wstąpił do kawiarni Pearly Queen, z chybotliwymi stolikami ze stali nierdzewnej wystawionymi na zewnątrz. Przysiadł się do niego bez pytania jakiś mężczyzna ubrany w szary prążkowany garnitur. Z kieszonki na jego piersi wystawała różowa chusteczka. Facet miał czerwoną twarz, jakby biegł albo coś go zezłościło. Siadł z szeroko rozstawionymi nogami, jego kolana niemal dotykały kolan Arthura. Ten przesunął się i usiłował patrzeć prosto przed siebie, jakby go nie dostrzegał. Ale kiedy gość zamówił bagietkę z bekonem i cheddarem, nawiązał z nim kontakt wzrokowy i skinął głową.

– W porządku?

– Tak, dziękuję.

– Żonaty pan?

– Tak. – Arthur automatycznie dotknął obrączki i obrócił ją na palcu.

– Od dawna?

– Ponad czterdzieści lat.

– Jezu, za morderstwo tyle nie wlepiają. – Facet skrzywił się lekko.

Arthur się nie uśmiechnął. Nie miał zamiaru bratać się z tym typkiem. Chciał tylko w spokoju napić się herbaty i zjeść kanapkę z bekonem, zanim znów ruszy na zwiedzanie Londynu. Nabrać trochę sił, nim odszuka dom François de Chauffanta. Wyjrzał zza ramienia mężczyzny, by popatrzeć wymownie na kelnerkę, która przyjęła jego zamówienie. Już dziesięć minut temu poprosił o herbatę i nadal jej nie dostał.

– Przepraszam, stary – rzucił mężczyzna, zmieniając wyraz twarzy. – Tak sobie tylko żartuję. Długie małżeństwa to ostatnio rzadkość. Musi być miło mieć kogoś, kto na ciebie czeka w domu, co?

– Było miło, tak.

– Powiedziałaś „było”?

Arthur przełknął ślinę.

– Moja żona zmarła rok temu.

Wreszcie kelnerka zauważyła jego rozpaczliwe znaki. Z ruchu jej warg odczytał: „Przepraszam”. Po chwili przyniosła herbatę.

– Wybacz, kochany. Taki młyn, że padam z nóg – powiedziała. Jej różowa sukienka zsunęła się z ramienia,

odsłaniając fioletowe ramiączko stanika. – Przyniosę ci za to ekstra dużą kanapkę.

– Mała, jak zamawiałem, wystarczy.

– Cena będzie ta sama. – Miała polski akcent i długie palce, jak kawałki kredy.

– To bardzo miło z pani strony.

Skinęła głową i dygnęła.

– Nie mam wielkiego apetytu – powiedział Arthur do faceta.

– Ale pewnie by się obraziła, gdybym upierał się przy małej kanapce.

Mężczyzna nie spuszczał wzroku z kelnerki, gdy ta poszła za ladę i zabrała się do szykowania gorącej czekolady.

– Fajna laska – stwierdził. – Ciemne oczy, ciemne włosy. Podoba mi się.

Arthur dolał mleka do herbaty i upił łyk. Czuł się niezręcznie przy tym pewnym sobie facecie, którego nogi naruszały jego terytorium, a oczy taksowały kelnerkę.

– Mógłbym cię o coś zapytać? – zaczął mężczyzna, nachylając się do Arthura. Nie czekał na odpowiedź. – Ja też myślę o tym, żeby się ożenić. Wyglądasz na kogoś, kto potrafi doradzić. Swoje już przeżyłeś. Robiłeś różne rzeczy, widziałeś... jesteś obyty.

– Nie wiem, czy umiem pomóc – odparł ostrożnie Arthur.

– Dobra. – Facet sięgnął do kieszeni i wyciągnął mały notes.

– Zapisywałem różne rzeczy, żeby rozjaśnić sobie w głowie i w końcu zdecydować. Czytam te notatki przed snem.

– Małżeństwo to poważny krok.

– Opowiedz mi o tym. Skąd miałeś pewność, że twoja żona to właściwa osoba?

– Poznałem ją i od razu wiedziałem, że to kobieta, którą chcę poślubić.

– Naprawdę? Mów dalej...

– Kiedy z nią byłem, nie chciałem być z nikim innym. Nigdy nie rozważałem, czy jest tą właściwą osobą, bo nikogo innego nie było. Podobało mi się zwyczajne życie z nią. Poznaliśmy się, kiedy miałem dwadzieścia sześć lat, ona była o rok młodsza. Trzymaliśmy się za ręce, spacerowaliśmy, całowaliśmy się. Cały czas myślałem tylko o niej. Nigdy nie obejrzałem się za inną. Zaręczyliśmy się i pobraliśmy niecałe dwa lata od pierwszego spotkania. Tak jakbym szedł niewidzialną ścieżką, która została mi już dawno wytyczona. Były inne drogi, wiodące w różnych kierunkach, ale ja nigdy nie zastanawiałem się, dokąd mogłyby prowadzić. Po prostu szedłem naprzód.

– Hm. To brzmi tak prosto. Zazdroszczę ci.

Arthur popijał herbatę.

– Byłeś wierny?

Pytanie całkiem na miejscu, skoro facet chce się żenić.

– Tak.

– Myślałeś kiedyś, jak by to było z inną kobietą? No wiesz. Popatrywałeś na inne i zastanawiałeś się...? Nie sądzisz, mam nadzieję, że jestem zbyt wścibski.

Coś takiego rzeczywiście przyszło Arthurowi do głowy. Nie wyczuwał jednak, żeby facet chciał świntuszyć. Po prostu był ciekaw, ze względu na swoją sytuację.

– Zdarzało się, to naturalne. Ale nie miałem ochoty na żadne przygody. Mogłem popatrzeć na jakąś kobietę i pomyśleć, że jest ładna czy ma śliczny uśmiech. Wiedziałem jednak, co mam do stracenia, i odsuwałem od siebie pokusy.

– Jesteś bardzo rozsądny. Czemu dla mnie nie jest to tak proste? Chciałbym umieć panować nad swoimi zachciankami. A mam dwie kobiety. W tym problem.

– O...

– W pewien sposób kocham je obie. Mam trzydzieści pięć lat. Chcę się niedługo ożenić, mieć dzieci.

– Jak byłem w twoim wieku, mieliśmy już dwoje.

– Marzę o kupnie domu, założeniu rodziny. – Mężczyzna nachylił głowę i pokazał palcem na jej czubek. – Zaczynam łysieć. Widzisz? Czas znaleźć spokojną przystań i chodzić na długie spacery za miastem, z żoną i dziećmi. Ale jestem w rozterce. Mogę opowiedzieć ci o tych dwóch dziewczynach? Na pewno będziesz umiał mi doradzić. Widzę to po twojej twarzy.

Kelnerka przyniosła im jedzenie. Kanapka Arthura była wielkości talerza, na którym leżała.

– Dobra, prawda? – spytała dziewczyna.

– Bardzo fajna. – Arthur uniósł kciuki.

Mężczyzna wgryzł się w bagietkę. Nitka roztopionego sera przylepiła mu się do brody.

– Jedna to moja dziewczyna. Jesteśmy ze sobą od trzech lat. Naprawdę urocza. Zobaczyłem ją z ulicy, siedzącą w herbaciarni. Wstąpiłem tam i kupiłem ciastko, tylko dlatego, że zrobiła na mnie wrażenie. Potem podszedłem prosto do niej

i zaprosiłem ją do modnej restauracji. Najpierw odmówiła. Staralem się ją przekonać. Odchodząc, zostawiłem jej swoją wizytówkę. Kupiłem bukiet kwiatów i poczekałem, aż wyjdzie. Coś mnie w tej dziewczynie pociągało, spodobała mi się, jak tobie twoja żona. Pracowałem nad nią. Rozśmieszyłem jej koleżankę. W końcu się zgodziła i poszliśmy na jakiś film z Hugh Grantem. To był cudowny wieczór. Trzymaliśmy się za ręce jak nastolatki. I nie chciała iść potem do eleganckiej restauracji, wolała burgera. Donna jest wspaniała, ciężko pracuje jako fryzjerka.

Wyciągnął portfel i pokazał Arthurowi zdjęcie, z którego uśmiechała się dziewczyna o twarzy w kształcie serca i włosach związanych z tyłu czerwoną chustką.

– Ładna.

– Ale ta druga, z którą się spotykam, Manda... – Podmuchał na palce, jakby się zapaliły i musiał je zgasić. – Gorąca sztuka. Pozwala mi robić ze sobą takie rzeczy, że... rozumiesz?

Arthur nie rozumiał, ale skinął głową.

– Poznałem ją w salonie masażu. Była recepcjonistką. Rzecz w tym, że gdybym był szczęśliwy z Donną, zaspokojony, nie znalazłbym się w takim miejscu, prawda? Donna wyjechała na jakieś zgrupowanie fryzjerów i Manda zabrała mnie do siebie. Znałem ją tylko od godziny, a tu... bum. – Mężczyzna klasnął w dłonie i uśmiechnął się krzywo. – Fajerwerki. Ta dziewczyna znała sztuczki, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Oboje ledwie mogliśmy potem chodzić.

– A co z Donną?

– Nie prosiłem jej, żeby robiła coś takiego, bo gdybym poprosił, a ona by się zgodziła, straciłbym dla niej szacunek. Ona nie jest taka jak Manda. To skomplikowana sytuacja.

– Nie miałeś wyrzutów sumienia, że oszukujesz swoją dziewczynę?

Facet zmarszczył brwi.

– Trochę. Potem. Szkoda, że pojechała na to cholerne zgrupowanie, bo jakby była na miejscu, to nie poszedłbym szukać guza.

Arthur stracił apetyt. Pokroił kanapkę na ćwiartki i dodał brązowego sosu, ale nie jadł.

– No i kogo mam wybrać? Po ślubie koniec z tym, chcę być wierny. Przynajmniej muszę spróbować. Jak pojawią się dzieci, stanę się ojcem rodziny, prawda? Powinienem wybrać Donnę. To z takimi kobietami człowiek się żeni, ale ja już wiem, co jest poza tym. Z nią będzie słodko, waniliowo. Może mi brakować czekoladowej posypki. Tymczasem Manda się zmienia. Zaczyna mówić o rzeczach pozałożkowych, no wiesz, jak normalne chodzenie na randki. Poszliśmy do teatru, wystroiła się, spędziliśmy świetny wieczór. I jeszcze bardziej się pogubiłem.

– Ale jak będziesz jadł samą czekoladę, to wreszcie cię zemdli. – Arthur czuł wyrzuty sumienia, że porównuje kobiety do deseru, ale to był język, który facet w prążkowanym garniturze rozumiał.

– No a co ty byś zrobił? Zostałbyś przy prostszym smaku czy skusiłbyś się na coś bardziej ekscytującego?

Arthur zastanowił się nad trudnym położeniem tego gościa. Rozważał to z różnych stron. Problem musi być poważny, skoro

facet zaczepia obcych i prosi o pomoc w podjęciu tak osobistej decyzji.

– Dzisiaj kłopot polega na tym – powiedział – że jest za duży wybór. Za czasów mojej młodości człowiek był wdzięczny za to, co dostaje. Cieszył się, jak mu podarowali skarpetki na Gwiazdkę, a teraz młodzi ludzie chcą mieć wszystko. Telefon to mało, musi być najlepszy, powinien śpiewać i tańczyć. Chcą komputerów, domów, samochodów, chcą jeść i pić na mieście. I nie byle gdzie, jak dawniej, ale w modnych restauracjach, zamawiać drogie piwo z butelki. Mówisz, że nie szanowałbyś Donny, gdyby pozwoliła ci na te różne rzeczy, ale i teraz jej nie szanujesz, bo spotykasz się z Mandą. A czy będziesz szanować Donnę, kiedy za ciebie wyjdzie? Jako żonę? Skoro ty będziesz miał świadomość, że tak naprawdę na nią nie zasługujesz, bo kłamałeś. A ta druga dziewczyna, która lubi pewne rzeczy... Jak długo będzie cię to pociągało? Wyobrażasz sobie was razem w domu, jak odkurzacie i sprzątacie? Czy dalej pozwoli ci na te rzeczy, kiedy zostanie matką? Czy robi te rzeczy z innymi mężczyznami? Zastanawiasz się, która kobieta bardziej nadaje się na twoją żonę, a może odpowiedź brzmi, że żadna. Gdybym był Donną, poszukałbym kogoś, kto na mnie zasługuje i będzie mnie szanował. A gdybym był Mandą, nie chciałbym wiązać się z facetem, który oszukiwał swoją dziewczynę. Dlatego myślę, że nie powinieneś żadnej z nich prosić o rękę, bo jeszcze któraś się zgodzi.

Mężczyzna siedział chwilę, jakby go замуrowało. Zmarszczył brwi i splótł dłonie na kolanach. Pokręcił głową.

– Nie brałem tego pod uwagę. Kompletnie pomieszałeś mi w głowie.

– Przepraszam. Ale najlepiej jest mówić prawdę.

– Doceniam to. Jednak jesteś brutalny. Mam teraz trzecią opcję w całej tej konfiguracji. Uważasz, że powinienem rzucić je obie i znaleźć jakąś inną?

– Może jakąś waniliową z kilkoma płatkami czekolady.

– Brutalne. Pozwól, że zapłacę za twój lunch, dobrze?

– Nie trzeba. Sam zapłacę.

– Chyba już nikogo nie zapytam o radę. – Mężczyzna wstał i znów pokręcił głową. Rzucił na stół banknot dwudziestofuntowy. – Sam muszę się z tym uporać.

– Przepraszam, jeśli zamąciłem ci w głowie.

– Nie. Prosiłem o radę i udzieliłeś mi jej. Bez ściemy.

Arthur zawahał się. Zauważył, jak ten mężczyzna się zmienił. Przygarbił się, popatrywał niepewnie dokoła. Prawda bywa okrutna. Może i jemu, Arthurowi, przydałby się zimny prysznic?

– Zanim odejdziesz – zaczął – mógłbym cię też o coś spytać? Mało prawdopodobne, żebyśmy się jeszcze spotkali, i możesz mówić szczerze.

– Wal śmiało. O co chodzi?

– Gdybyś poznał dziewczynę, a ona miałaby przed tobą innych mężczyzn, mieszkała w różnych stronach świata i robiła mnóstwo rzeczy, ale nawet słowem by ci o tym nie wspomniała, czy to by ci przeszkadzało?

Mężczyzna przechylił głowę i zastanowił się głęboko.

– Nie. Przecież dlatego byłaby taką, a nie inną osobą. Mogłaby mieć powody, żeby mi nic nie mówić. Niektórzy żyją terażniejszością, nie oglądają się za siebie. Po co patrzeć w przeszłość, jeśli człowiek jest szczęśliwy tu i teraz?

Arthur namyślał się przez chwilę. Wziął serwetkę, zapakował w nią resztę kanapki z bekonem i schował do kieszeni.

– Kupujesz czasem Mandzie i Donnie coś z biżuterii?

– No pewnie. Donna uwielbia tanie błyskotki. Ma ich pełne szuflady. Manda ceni drogi szajs. Brylanciki i platyna, żebym pokazał, jak bardzo ją lubię. Kosztuje mnie kupę kasy.

– Czy poświęcasz wiele uwagi temu, co dla nich wybierasz?

– spytał Arthur, myśląc o miniaturowej książeczce z wygrawerowanym napisem i o tym, jak bardzo zakochany musiał być w Miriam de Chauffant.

– Niespecjalnie. Zostawiam to im. Pokazują mi, co im się podoba, albo same kupują. Czasami biorę coś fajnego u znajomych, którzy tanio sprzedają ładne rzeczy. Ale z pierścieniem zaręczynowym się postaram. Bo to na zawsze.

– Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś. – Arthur wstał i spojrzał na mężczyznę. – Pytałeś, czy dobrze wybrałam sobie żonę. Jak najbardziej. Ale nie jestem pewien, czy ja byłem jej najlepszą opcją.

Facet szturchnął go pięścią w ramię.

– Przestań. Robisz wrażenie fajnego gościa. Myślę, że dobrze trafiła.

– Tak sądzisz?

Nagle Arthur poczuł wielką potrzebę, żeby się upewnić, usłyszeć potwierdzenie choćby od tego oszukującego dziewczyny, nachalnego gościa.

– Byłeś wierny. Jesteś miły. Potrafisz słuchać. Myślisz o innych. Dajesz dobre rady. Wyglądasz nieźle. Według mnie na pewno nie pomyliła się, stawiając na ciebie.

– Dziękuję – powiedział cicho Arthur.

Zapłacił rachunek i zostawił dwa funty napiwku. Kelnerka zobaczyła, że wychodzi, i pomachała mu na do widzenia.

– Faktycznie świetna laska – stwierdził mężczyzna, kiedy opuszczali kawiarnię. – Sądzisz, że...?

– Nie – przerwał mu Arthur stanowczo. – Nie sądzę.



Książka

Dom François de Chauffanta okazał się większy, niż Arthur się spodziewał. Robił wrażenie – ekskluzywny, jak pięciogwiazdkowy hotel ze stojącym przy wejściu odźwiernym w szarym cylindrze. Biały fronton lśnił w słońcu. Arthur pomyślał nagle z zażenowaniem o swoim szeregowym domku z czerwonej cegły, z trzema sypialniami. Nigdy nie aspirował, by mieć coś bardziej okazałego. Razem z Miriam zastanawiali się kiedyś nad przeprowadzką gdzieś nieco bliżej szkoły Dana i Lucy, ale nigdy nie sądził siebie czy innych po wielkości mieszkania. Dom jest tam, gdzie jest serce, mawiała jego matka. Czy powinien piąć się po szczeblach kariery, żeby zapewnić rodzinie coś lepszego? Dążyć do większych sukcesów? Takich pytań nigdy sobie nie zadawał, póki nie wyruszył w tę podróż.

Kiedy stał przed tym domem i przyglądał się łukowatym schodom, topolom i pięknie przystrzyżonym trawnikom,

wyobraził sobie de Chauffanta z Miriam, jak idą w pełnej harmonii, trzymając się za ręce – ona cała na biało, on na czarno – a wszyscy sąsiedzi i przechodnie zerkają na nich z podziwem. Oczami duszy widział, jak uśmiechają się do siebie, nachylając ku sobie głowy, dotykają się i całują w progu, po czym nikną w czeluściach domu.

Arthur wbił ręce w kieszenie i obrzucił wzrokiem swoje idiotycznie niebieskie spodnie, toporne sandały i nylonowy plecak z kompasem. Na pewno nie wyglądał stylowo. Gdyby Miriam została z tym francuskim pisarzem, mogłaby żyć w luksusach, wśród ludzi twórczych, zamiast tkwić w codzienności z nudnym ślusarzem. Jej dzieci mogłyby odebrać prywatne wykształcenie, niczego by im nie brakowało. Arthur często odmawiał Danowi i Lucy zabawek, jeśli były za drogie.

Ale jego żona ani razu nie dała mu odczuć, że nie jest dość dobry. On sam to sobie robił.

Kolana mu drżały, kiedy wchodził na schody. Chwytał czarną żelazną kołatkę, która miała kształt głowy lwa. Wyprostował się, przygotowany na to, że zaraz w progu pojawi się przed nim podstarzały szpakowaty francuski bożek miłości.

Założył, że de Chauffant nadal nosi obcisłe czarne spodnie i golf. To jego znak firmowy, tego Arthur był pewien. Wyjdzie bosy, z ołówkiem zatkniętym za ucho. Jak otworzy drzwi? Z rozmachem, gościnnym gestem, czy ciężko wzdychając, bo ktoś ośmielił się przerwać mu pracę nad kolejnym arcydziełem?

Arthur zastukał z całą determinacją, na jaką tylko go było stać. Odczekał kilka minut i znów załomotał do drzwi. Mdlilo

go, jakby dopiero co wysiadł z pociągu po długiej podróży. Rozum podpowiadał, żeby obrócić się na pięcie, odejść i zapomnieć o całej tej głupiej misji. Ale serce mówiło: zostań, nie poddawaj się.

Po drugiej stronie rozległo się szuranie, potem odgłos zdejmowanego łańcucha. Drzwi lekko się uchyliły. Arthurowi mignęło za nimi coś różowego. W szczelinie pokazało się czyjeś oko.

– Tak?

Nie umiałby powiedzieć, czy to głos mężczyzny, czy kobiety. W każdym razie nie taki, jaki przypisałby swojemu rywalowi.

– Chciałbym się widzieć z François de Chauffantem.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Arthur Pepper. Sądzę, że moja żona była przyjaciółką pana de Chauffanta. – Drzwi nadal były uchylone, więc dodał: – Umarła rok temu i staram się odnaleźć jej przyjaciół.

Drzwi powoli się otworzyły. Stał za nimi młody człowiek, może dwudziestopięcioletni, może nieco starszy. Był bardzo szczupły. Dżinsy zsuwały mu się z bioder. Na koszulce miał napis „Led Zeppelin”. T-shirt był na tyle krótki, że widać było pępek, w którym tkwił kolczyk z czerwonym połyskującym kamieniem. Podkrążone fiołkowe oczy patrzyły zza nastroszonej blad różowej grzywki.

– On jej sobie nie przypomni. Pana żony. – Akcent brzmiał miękko, wschodnioeuropejsko.

– Mam jej zdjęcie.

Mężczyzna pokręcił głową.

– On w ogóle nikogo nie poznaje.

– Mam powody sądzić, że on i moja żona byli sobie bardzo bliscy. Dawno temu. W latach sześćdziesiątych...

– On ma alzheimera.

– O...

Tego się nie spodziewał. Wizja butnego, ubranego na czarno bitnika prysła i Arthur nie wiedział już, co myśleć.

Wyglądało na to, że młody człowiek zaraz zamknie drzwi, ale nagle powiedział:

– A może pan wejdzie? Chyba powinien pan na chwilę usiąść.

Dopiero w tym momencie Arthur zdał sobie sprawę, że kostka lada chwila odmówi mu posłuszeństwa. Od spotkania z tamtym facetem, który miał dwie dziewczyny, bez przerwy chodził.

– Dziękuję, to bardzo uprzejmie z pana strony.

– Mam na imię Sebastian – rzucił przez ramię młody człowiek. Jego stopy pozostawiały wilgotne, znikające po paru sekundach ślady na mozaice w holu. – Proszę. Czuj się jak u siebie w domu. – Machnął w kierunku drzwi. – Napijesz się herbaty? Nie lubię parzyć tylko dla siebie.

Miał wielkie oczy o tęsknym spojrzeniu.

– Z przyjemnością, dziękuję.

Arthur otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Na wszystkich ścianach, od dołu do góry, pięły się półki z książkami. Wysoka drabina stała oparta o ścianę. Meble były zrobione z ciężkiego ciemnego drewna. Stare, wytarte aksamitne obicia i poduszki miały kolory rubinów, szafirów, złota i szmaragdów. Sufit

o barwie indygo mienił się srebrnymi gwiazdami. Arthur oniemiał z wrażenia. Przystanął i rozejrzał się dokoła. Przypominało to scenerię filmową. Nie chciał usiąść. Wolałby krążyć i dotykać tych książek. Przy wykuszowym oknie wychodzącym na ulicę stał duży dębowy sekretarzyk. Na nim starego typu maszyna do pisania z wkręconym papierem, gotowa, by de Chauffant wyczarował nowe arcydzieło albo plagiat. Arthur zbliżył się, by zobaczyć, czy na sztywnej białej kartce są jakieś słowa. Nie było. Przez chwilę czuł się rozczarowany. Sam nie posiadał zdolności artystycznych, nie miał w sobie potrzeby tworzenia, więc intrygowało go, jak można zarabiać na życie, malując lub pisząc.

Dopiero po chwili zauważył, że blat jest pokryty kurzem. Tu i ówdzie na podłodze stały kubki. Zza poduszek na kanapie wystawały poutykane tam papierki po czekoladkach. Nie wszystko było tak pięknie, jak się to w pierwszej chwili wydawało. Arthur wybrał sobie krzesło obite seledynowym aksamitem i usiadł.

Wszedł Sebastian. Niósł plastikową czerwoną tacę w białe groszki, na której stały dwie filiżanki w kwiatuszki i tak samo zdobiony dzbanek. Chłopak postawił tacę na małym stoliku, zrzuciwszy z niego na podłogę stertę czasopism. Arthur nachylił się, podniósł je i położył na krześle obok.

Sebastian nie zwrócił na to uwagi. Tak jakby było to normalne, że po drodze robi się bałagan.

– No, gotowe – powiedział. – Mam pełnić honory domu i ci nalać? Tak to się tu u was mówi?

– Tak – powiedział z uśmiechem Arthur.

Powstrzymał się, żeby nie pospieszyć z pomocą, kiedy zobaczył, że młodemu człowiekowi drży ręka.

– Proszę. – Sebastian podał Arthurowi filiżankę ze spodkiem. Podniósł dłoń i kolejno wskazywał palcem na różne krzesła, jakby zastanawiał się, które wybrać, po czym usiadł w największym fotelu, ze spłowiałym turkusowym obiciem, poszarpanym na brzegu, aż widać było wypełnienie. Podciągnął pod siebie stopy. – Opowiedz mi o swojej żonie. Dlaczego tu przyjechałeś?

Arthur wyjaśnił sprawę bransoletki i tego, jak idzie tropem historii kryjących się za przywieszkami, żeby dowiedzieć się więcej o Miriam z okresu, kiedy się jeszcze nie znali.

– Przy okazji dowiaduję się więcej i o sobie – przyznał. – Z każdą osobą, którą poznaję, z każdą historią, którą słyszę, mam wrażenie, że się zmieniam, dorastam. A może inni też korzystają na tym, że mnie poznają. Dziwne uczucie.

– To musi być ekscytujące.

– Jest. Ale mam też wyrzuty sumienia. Ja żyję, a moja żona nie.

Sebastian lekko kiwnął głową na znak, że rozumie.

– Kiedyś też czułem, że żyję. Byłem tu, tam, wszystko wydawało się takie ciekawe. A teraz tkwię tutaj. Jak w pułapce.

– Ale przecież nikt cię tu siłą nie trzyma, co? Przecież możesz odejść, kiedy tylko zechcesz?

Sebastian machnął ręką.

– Pozwól, Arthurze, że opowiem ci o swoim losie. Kiedy ty od nowa odkrywasz swoje życie, moje umiera. To może brzmi zbyt dramatycznie, ale tak się teraz czuję. François i ja byliśmy

ze sobą parę lat, nim zapomniał, kim jest. Zaczęło się od drobiazgów. Nie wyłączył światła. Zgubił okulary. Każdemu się zdarza, prawda? Łatwo przez pomyłkę wpakować płatki śniadaniowe do kredensu z porcelaną albo zgubić buty pod łóżkiem. Wchodzisz na górę i zapominasz po co albo kupujesz butelkę mleka, choć masz jedną w lodówce. Tyle że François raz omal nie spalił domu. – Oczy mu się zaszkliły z emocji. – Poszedł na piętro na popołudniową drzemkę. Zawsze kładł się między drugą a czwartą. Zostawiałem go wtedy samego, żeby odpoczął, zanim znów siądzie do pisania. Wchodzę do sypialni go obudzić, a łóżko się pali. Płomienie sięgają niemal sufitu. A François siedzi sobie spokojnie i patrzy w okno. Nie zauważył nawet, że coś mu grozi. Pomknąłem jak gazela, wrzuciłem koc do wanny i polałem wodą. A potem ugasiłem nim ogień. Materac czarny, wszędzie dym. A François milczy. Wziąłem go za ramiona. Pytam, czy nic mu się nie stało. A on patrzy na mnie wzrokiem bez wyrazu. Wtedy zorientowałem się, że stracił rozum. Już nigdy nie odzyska swojej błyskotliwej inteligencji.

Arthur miał dziwne wrażenie, że Sebastian nie mówi o de Chauffancie jak asystent.

– Jak go poznałeś?

– Cztery lata temu przyjechałem do Londynu. Pracowałem w klubie, za barem. Moi pracodawcy wyzywali mnie od najgorszych i potrącali mi z wypłaty, kiedy coś stłukłem. Byłem za młody, żeby umieć się postawić. François przyszedł tam pewnego wieczoru z przyjaciółmi. Pogadaliśmy o tym i owym. Zaczął bywać w klubie prawie codziennie. Za każdym razem

rozmawialiśmy, a po trzech tygodniach zaproponował mi pracę. Powiedział, że byłoby to prowadzenie domu i załatwianie spraw papierkowych, a poza tym dotrzymanie mu towarzystwa. Wydawał mi się fascynujący. Pochlebiali mi, że interesuje się mną tak znany pisarz. Wprowadziłem się do niego, żeby mu pomagać, i tak zaczął się nasz związek.

Arthur popijał herbatę, zastanawiając się nad słowem „związek”.

– Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, że ci to wszystko mówię, Arthurze – powiedział Sebastian. – Trudno mi się powstrzymać. Tak długo tłamsiłem to w sobie. Mnóstwo ludzi go nienawidzi. Przyjaciele i rodzina odwrócili się od niego. Zmienił agenta, a ten nowy wcale o niego nie dbał, zależało mu tylko na robieniu pieniędzy. Wszyscy go opuścili. Nie mogę odejść. Jestem więc tutaj i zajmuję się nim. Nie wolno mi go porzucić. Mam dwadzieścia osiem lat i utknąłem na dobre.

– Jesteś jego... opiekunem?

– Teraz tak, bo już nic poza tym między nami nie ma. A było inaczej. Kiedy się poznaliśmy, był fantastyczny. Taki wyzwolony. To właśnie w nim podziwiałem. Pisałem na maszynie, co mi dyktował, pomagałem mu w różnych codziennych sprawach, w prowadzeniu dziennika. Mówił, że przypominam mu pudła, taki ładny i chętny. Śmiałem się z tego, a jemu podobało się, że się nie obrażam. Potrafił mówić paskudne rzeczy, zrzędzić, bywał trudny, ale stworzył mi dom. Dzięki niemu zyskałem pewność siebie. Miałem pieniądze, mogłem wysyłać je rodzinie.

Czuję, że moją powinnością jest zostać i opiekować się nim. Jeśli odejdę, kto się nim zajmie? Mam... taki mętlik w głowie.

– Chyba są jacyś inni, którzy mogliby pomóc? – zapytał Arthur.

Sebastian pokręcił głową.

– Nie.

– Masz z kim o tym porozmawiać?

– Paru znajomych, ale niezbyt bliskich. Dobrze, że mogłem ci się zwierzyć. Jest mi teraz lżej. Potrzebowałem wyrzucić to z siebie. Już czuję się trochę lepiej. Wiem, że prędzej czy później będę musiał odejść... inaczej zwariuję.

– Ja też czuję się lepiej, odkąd wyjechałem z domu i spotykam się z ludźmi – przyznał Arthur. – A nie sądziłem, że to w ogóle możliwe.

Sebastian skinął głową.

– Dziękuję, że mnie wysłuchałeś.

Dopili herbatę i Sebastian zabrał filiżanki. Postawił je na kredensie obok innych czterech.

– Sądzisz, że François i twoja żona byli kochankami? – spytał.

To zadane bez ogródek pytanie tłukło się Arthurowi po głowie, odkąd Kate Graystock pokazała mu zdjęcie.

– Myślę, że to możliwe – powiedział.

– I to cię martwi?

– Nie tyle martwi, ile jestem zaskoczony, sam nie wiem, co myśleć. Nie zdawałem sobie sprawy, że miała przede mną jakichś mężczyzn. Nie rozumiem, jak mogłem się równać z kimś znanym z takich ekscesów.

– Hm... – Sebastian się zadumał. – Wiesz, że François jest homoseksualistą? – spytał w końcu.

Arthur pokręcił głową.

– Nie. Jak to możliwe, żeby...

Domyślił się, że Sebastian jest gejem, ale de Chauffant? Kate opisywała go jako niepoprawnego playboya.

– On i twoja żona mogli być kochankami. W latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych on nie potrafił, jak to mówicie, utrzymać tego w spodniach. Lubił też mężczyzn. Ale wtedy przyznanie się do tego zrujnowałoby mu karierę, zszargało opinię. Uważał się za legendę, więc miał wokół siebie mnóstwo dziewczyn i kobiet. Zbyt wiele. Nie sądzę, że z którąkolwiek był dość długo, by złamać jej serce. Chyba że byłaby to osoba chorobliwie spragniona miłości, słaba... – Zabrzmiało to jak pytanie.

– Miriam była silną kobietą.

– A więc wątpię, żeby po nim płakała... jeśli to cię trochę uspokoi...

Nie uspokoiło.

– Myślisz, że mógłbym się z nim zobaczyć?

– Mogę powiedzieć mu, że tu jesteś... Niewielu ma gości. Może się ucieszy.

Arthur chciał na własne oczy zobaczyć mężczyznę, który był dla niego zagadką, okłamywał kobiety, okłamywał jego żonę i ukradł historię lorda Graystocka.

– Tak – oznajmił, wstając. – Chcę go poznać.

Ruszył za Sebastianem przez dwie kondygnacje schodów. Kiedy dotarli do drzwi na szczycie domu, zdał sobie sprawę, że

zaciska pięści. Ale musiał skonfrontować się z tą częścią życia żony, tym mężczyzną, który pod każdym względem był jego przeciwieństwem. Czy ten dziki, nieokrzesany geniusz skradł serce Miriam?

Sebastian pchnął drzwi. Wszedł pierwszy.

– Nie śpi – powiedział. – Ale nie siedź za długo. Łatwo się męczy, a ja będę pierwszy na linii ognia. – Przyłożył palce do skroni, jakby strzelał.

Arthur skinął głową. Zawahał się chwilę, zanim przekroczył próg.

Choć wiedział o chorobie de Chauffanta, kompletnie nie był przygotowany na widok mężczyzny skulonego na fotelu w rogu pokoju. Małego staruszka o białych potarganych włosach i krzaczastych, sterczących brwiach. Szponiaste dłonie, twarz zdeformowana. Oczy patrzyły nieobecny wzrokiem. To było dalekie echo buńczuczności młodego człowieka z fotografii, którą dała mu Kate Graystock. Nie zwracał uwagi na pojawienie się Arthura i Sebastiana.

W pokoju unosił się zapach uryny i środka dezynfekcyjnego, kiepsko maskowany przez różany odświeżacz powietrza. Stało tu pojedyncze łóżko przykryte szarymi wełnianymi kocami, a obok nieopróżniony fajansowy nocnik. Na szafce nocnej piętrzyła się sterta książek. W elektronicznej niani świeciła się czerwona lampka. Może jeszcze czytać, pomyślał Arthur z ulgą, że temu nieszczęśnikowi pozostała przynajmniej ta przyjemność.

Podszedł bliżej, a Sebastian wycofał się z pokoju.

– Wrócę za pięć minut.

Arthur skinął głową.

– Panie de Chauffant – odezwał się po chwili. – Jestem Arthur Pepper, sądzę, że znał pan moją żonę. – Drżącą dłonią wyjął i pokazał fotografię. – To było dawno temu. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci rok. Ona stoi tu z panem. Widzi pan? Kiedy zobaczyłem, z jaką uwagą na pana patrzy, zrobiłem się trochę zazdrosny. – Leciutko popukał w czubek głowy Miriam na zdjęciu.

Wypatrywał jakiejś reakcji de Chauffanta. Obserwował jego pomarszczoną twarz, szukając śladu uśmiechu lub choćby rozszerzenia się źrenic. Ale nic takiego nie dostrzegł.

Wyciągnął z kieszeni bransoletkę.

– Przyjechałem sprawdzić, czy to pan dał jej tę przywieszkę do bransoletki. Książeczkę. W środku jest wygrawerowane: *Ma Chérie*.

Czuł, że jego słowa trafiają w próżnię. Stary mężczyzna najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że ktoś do niego mówi. Arthur poczekał chwilę, ale w końcu westchnął i obrócił się.

W drzwiach stał z założonymi rękami Sebastian. Dopiero teraz Arthur zauważył na nich fioletowe sińce. Podszedł bliżej.

– On ci to zrobił? – szepnął.

– O, zdarza się, kiedy muszę go gdzieś przeprowadzić, a on nie pojmuje, o co chodzi. Ale wczoraj wieczorem tak mi tu było samotnie, że zadzwoniłem do jednego... starego przyjaciela. Przyjechał. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Szarpał się ze mną.

– Wezwałeś policję?

Sebastian pokręcił głową.

– To była moja wina. Wiem, jaki jest. A jednak. Potrzebowałem kogoś, kogo mógłbym objąć. Rozumiesz, jak to bywa, kiedy człowiek czuje się tak bardzo samotny?

– Tak, dobrze rozumiem.

Sebastian ruszył na dół, a Arthur podążył za nim.

– Niedługo będę musiał przenieść go na parter. Nie daję już sobie rady na górze. Nie mam dość siły.

– Potrzebna ci pomoc. Nie powinieneś robić tego wszystkiego sam.

– Jakoś to sobie zorganizuję.

W korytarzu Arthur wyjął bransoletkę. Nie mógł pozwolić, aby ta jego podróż skończyła się na widoku de Chauffanta skulonego w fotelu niczym zwiędły liść.

– W tej książeczce jest napis *Ma Chérie*. Umiałbyś mi coś o tym powiedzieć?

Sebastian dotknął wisiorka, a potem skinął głową.

– Tak. Chyba tak.

W pokoju frontowym pochylił się i otworzył kredens. Wyciągnął jakąś książkę i podał ją Arthurowi.

– Znam twórczość François na pamięć. Przeczytałem wszystkie jego powieści, poezje i eseje, w przerwach między sprzątaniami i przebieraniem go. Tu jest wiersz zatytułowany *Ma Chérie*. Ale może to przypadek, co?

– No tak. Może.

Sebastian przekartkował tomik.

– Został napisany w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku. To właśnie wtedy, jak sądzisz, przyjaźnili się z twoją żoną?

Arthur skinął głową. Nie chciał czytać tych słów, sprawdzać, czy wyjaśnia, co zaszło pomiędzy pisarzem a Miriam, ale wiedział, że musi popatrzeć, musi poznać prawdę.

– Zatrzymaj tę książkę. On ma co najmniej dziesięć egzemplarzy. Zawsze był fanem swojej twórczości. Mnie ona się nie podoba. Jest taka... przestylizowana. Dramatyczna. Kocham go, bo pamiętam, jaki był, ale i nienawidzę, bo mnie tu trzyma. Jestem jak ptak w złotej klatce.

– Powinieneś skontaktować się z opieką społeczną.

– Nie mam pozwolenia na pobyt. Nie istnieję. Nie mogę podać swojego nazwiska. Nie mam numeru ubezpieczenia. Jestem niewidzialny i tak już musi być. Taka osoba jak ja nie istnieje. Są dla mnie tylko dwa wyjścia: zostać albo odejść. Ale niby dokąd? – Rozłożył ręce. – Nie mam gdzie. Nie wiem nawet, kim jestem bez niego.

Arthur poczuł się nagle w pełni odpowiedzialny za tego młodego mężczyznę o różowych włosach, którego życie utknęło w miejscu przez starca, który zawsze był egoistą.

– Musisz to odkryć. Jesteś młody. Masz przed sobą całe życie. Tracisz szanse na przygody, na zdobywanie nowych doświadczeń, na miłość. Napisz wiadomość, wyślij list, wykonaj anonimowy telefon. Musisz zacząć żyć własnym życiem. Kogoś sobie znajdziesz. Ale nie gódź się na to, by ktoś cię krzywdził. Poszukaj człowieka, który cię pokocha, może kogoś w swoim wieku.

Zastanawiał się, skąd wzięły się w nim te słowa. Ostatnim razem, kiedy próbował doradzić coś Danowi przy odrabianiu

matematyki, syn wyrwał mu książkę („Nie mów mi, co mam robić. To sprawa mamy. Ciebie i tak nigdy nie ma”).

Arthur w osłupieniu patrzył na syna, zdumiony tym wybuchem. Rzeczywiście nie spędzał z dziećmi tyle czasu co Miriam, ale przecież je wspierał. Od tamtej pory nie odzywał się i nie wtrącał w odrabianie lekcji. Miriam była tą empatyczną, tą, która rozumie. A on znał już swoje miejsce: jego zadaniem było wychodzić do pracy i zapewniać rodzinie byt.

– Dziękuję, Arthurze. – Sebastian nachylił się i pocałował go w policzek. – Mam nadzieję, że trochę ci pomogłem.

– Tak. Dziękuję.

Arthura jeszcze nigdy nie pocałował żaden mężczyzna, jeśli nie liczyć cmoknięć syna, kiedy ten był malutki. Dziwne wrażenie, właściwie nieprzyjemne. Ale przynajmniej wiedział, że się na coś przydał.

To był długi dzień. Arthur nie znalazł tego, czego się spodziewał. Zastanawiał się, czy Miriam też czuła się uwięziona w ich małżeństwie, tak jak Sebastian tutaj. Delikatnie dotknął jego ręki, omijając sińce.

– Jeśli chcesz odejść, idź teraz – szepnął. – Ja tu zostanę. Załatwię opiekę dla de Chauffanta. Będzie miał wszystko co trzeba.

Sebastian stał bez ruchu, zastanawiając się nad propozycją Arthura. Pokręcił głową.

– Nie mogę cię o to prosić. I nie potrafię go zostawić. W każdym razie jeszcze nie teraz. Ale pomyślę o tym, co mi mówiłeś. Jesteś dobrym człowiekiem. Sądzę, że twoja żona była szczęściarą.

– To raczej mnie się poszczęściło.

– Mam nadzieję, że znajdziesz w tej książeczce to, czego szukasz.

– A ja mam nadzieję, że wszystko jakoś ci się ułoży.

Niebo było już granatowe, kiedy Arthur wyszedł. We wszystkich domach w zaułku paliły się światła, pozwalając podejrzeć trochę życie mieszkańców. Kiedy ruszał spod domu de Chauffanta, jakaś dziewczyna o równo podciętych czarnych włosach brała lekcję gry na pianinie; dwaj nastolatkwie stali na parapecie okna w pokoju frontowym, palcami pokazując przechodniom znak zwycięstwa, blondynka o ciemnych odrostach wtaszczyła do domu jedno nosidełko dla dziecka, a potem drugie. „Bliźniaki – krzyknęła. – Podwójny problem”.

Arthur zastanawiał się, czy sąsiedzi wiedzą, co się dzieje pod numerem pięćdziesiąt sześć: że młody imigrant opiekuje się tam chorym starcem, który dawniej był jego partnerem i wybitnym pisarzem. Nie mógł nikomu o tym powiedzieć, nie mógł narażać Sebastiana. To nie była jego sprawa.

Wypatrzył ławkę naprzeciw skweru, na którym jakaś para ze swoim angielskim bulterierem urządziła sobie w ciemnościach piknik. Popijali z butelki prosecco. Ławka była dobrze oświetlona uliczną latarnią i kiedy Arthur otworzył książkę, kartki wydawały się pomarańczowe. Przesuwając palcem po spisie treści, odnalazł wiersz *Ma Chérie*.

Ma Chérie

Śmiechu srebrne dzwoneczki, oczu gwiazdny blask.

Jak zdołam kiedykolwiek bez ciebie dalej trwać?

Pomagasz mi żyć, słyszysz mój płacz,

Twe usta nie rzucają słów na wiatr i kłamstw.

Drobniutkie ciało, kasztanowe włosy
Wprost z Indii, a teraz tu do mnie,
Lecz mówisz, że nie widzisz,
I to ma dla mnie znaczenie ogromne.

Krótki romans, ale tak istotny.
Nasze palce dotykają się i wiesz,
Jak ważna jesteś dla mnie, promieniejesz
W jedności ze mną jedyna.

Ma Chérie

Arthur zamknął książkę. Zrobiło mu się niedobrze. Bez wątplenia ten wiersz był o jego żonie, nawet jeśli de Chauffant wolał chłopców. Słowa o jej włosach i o tym, gdzie mieszkała dawniej, nie pozostawiały wątpliwości.

Miał już jasność – to była wielka miłość, namiętna, tak silna, że skłoniła de Chauffanta do stworzenia wiersza. Arthur nigdy nie pisał nawet listów do żony, nie mówiąc już o sileniu się na poezje.

„Jak nie chcesz znaleźć stonogi, nie zagłądaj pod drewno”. Tak powiedziała mu kiedyś matka. Zacisnął powieki, próbując przypomnieć sobie, gdzie i kiedy to było, ale wszelkie szczegóły umknęły mu z pamięci. Tak chciałby znaleźć się teraz przy matce, być małym chłopcem, bez trosk i odpowiedzialności. Ale kiedy otworzył oczy, zobaczył tylko swoje pomarszczone dłonie ściskające książkę.

A zatem wiedział już, skąd wziął się wisiorek z książeczką, i poznał historie słonia i tygrysa. Pozostała jeszcze paleta malarska, pierścionek, napałek i serduszko.

Był starym mężczyzną, siedzącym na ławce w Londynie. Dokuczała mu skręcona kostka i bolesne poczucie, że zostawił Sebastiana w jego pełnym książek więzieniu, ale musiał kontynuować swoje poszukiwania.

Zamknął tomik poezji i odłożył na ławkę. Kiedy odchodził, mimo woli zastanawiał się już, tajemnicę którego z wisiorków odkryje w następnej kolejności.



Druga Lucy

Arthur nie miał żadnego planu. Nie pomyślał, co zrobi, kiedy odnajdzie de Chauffanta. Zapakował przybory toaletowe do plecaka, ale nie zamówił miejsca w hotelu, licząc na to, że jeszcze wieczorem wróci do domu. Tymczasem zrobiło się późno. Minęła dziesiąta. Wynotował sobie godziny pociągów do Yorku, ale nie uśmiechała mu się jazda nocnym autobusem na stację King's Cross ani zmierzenie się po raz pierwszy z tutejszym metrem.

Szedł ulicami, aż kompletnie stracił orientację, gdzie jest, a nawet kim jest. Po głowie tłukły mu się strzępki rozmów i różnych obrazów. Widok wyglądającego zza drzwi oka Sebastiana mieszał się z wizją Miriam w łóżku podczas ich podróży poślubnej. W myśli ocierał łzę, odprowadzając po raz pierwszy Dana do szkoły, a zaraz potem miał przed sobą mężczyznę z kawiarni Pearly Queen, usiłującego zdecydować, którą z dwóch kochanek poślubić.

Niegdyś był Arthurem Pepperem, ukochanym mężem Miriam i oddanym ojcem Dana i Lucy. Wszystko było takie proste. A teraz miał wrażenie, że brzmi to jak banalny nekrolog. Kim jest? Wdowcem po Miriam? Nie. Musi być coś więcej. Nie może go definiować jedynie śmierć żony. Dokąd powinien teraz wyruszyć? Jakim tropem pójść?

Nie miał sił dłużej się zastanawiać, udęczony całym tym mętlikiem w głowie. Proszę, odpuść, pomyślał, z trudem wlokąc się do kolejnego skrzyżowania. Znalazł się na ruchliwej ulicy. Grupka młodzieży stała pod barem szybkiej obsługi – jedli z tekturowych pudełek pizzę z ciągnącym się serem i spychali się nawzajem z krawężnika na ulicę. Czarna taksówka musiała ostro przyhamować i zatrąbiła. Młodzi ryknęli śmiechem. Na chodniku działał jeszcze straganowy handel. Pashmina, dwa szale za dziesięć funtów, ładowarki do telefonów, bawełniane koszulki, przewodniki.

Od tego zgiełku i masy obrazów Arthurowi jeszcze bardziej zakręciło się w głowie. Chciałby położyć się gdzieś w ciszy i spokojnie przetrwać zdarzenia tego dnia, zdecydować, co dalej.

Zauważył niewielką tabliczkę na drzwiach jednego z domów. Hostel. Bez namysłu wszedł do środka.

Młoda Australijka w recepcji miała na sobie białą koszulkę, która odsłaniała niebieski tatuaż na prawym ramieniu. Poinformowała go, że nocleg kosztuje trzydzieści pięć funtów i zostało już tylko jedno wolne łóżko. Podała Arthurowi zwinięty szary koc i sfatygowaną poduszkę, po czym wskazała mu pokój na końcu korytarza.

Arthur spodziewał się, że może trafić do pokoju dwuosobowego, ale gdy tam wszedł, zobaczył trzy piętrowe łóżka i pięć młodych Niemek siedzących na podłodze. Wszystkie ubrane w dżinsowe szorty i za ciasne kraciaste koszulki na kolorowych biustonoszach. Jadły chleb z chrupiącą skórką i ser edamski, popijając cydrem z puszek.

Starając się nie okazać zaskoczenia, Arthur rzucił im wesołe „Cześć” i wypatrzył łóżko, które nie było zavalone ciuchami i plecakami. Nie chciał robić z siebie przedstawienia, wdrapując się na górę, i bał się, że w połowie drogi znów może mu coś przeskoczyć w kolanie, więc wycofał się do recepcji, gdzie wziął gazetę sprzed trzech dni i czytał ją, dopóki dziewczyny nie wyszły z pokoju. Patrzył, jak wskakują sobie na barana i wybiegają w noc.

Przypomniał sobie, jak i jego rozpierała radość, gdy szykował się na randki z Miriam na początku ich znajomości. Czuł motylki w brzuchu, kiedy mył się, golił, przyczesywał włosy i wygładzał je brylantyną. Starał się mieć zawsze idealnie wyprasowaną koszulę i garnitur oraz wypucowane buty. Wkładał grzebyk do kieszeni i pogwizdując, szedł na spotkanie. Siadywali przy oknie w kawiarni i pili lemoniadę z waniliową pianką, czasami wybierali się do kina. W tamtych czasach, jako praktykant, nie miał zbyt wiele pieniędzy, więc przez cały tydzień oszczędzał, na wypadek gdyby Miriam chciała pójść zjeść coś dobrego, ale jej wystarczyły spacerzy z nim i proste randki. Nawet nie powstało mu wtedy w głowie, że ona miała już za sobą życie wśród tygrysów i że znany francuski pisarz napisał dla niej wiersz.

Grupka dziewczyn przeszła pod oknem hostelu. Jedna z nich w welonie z wielkim L – nauka jazdy – pozostałe miały czerwone diabelskie różki, czerwone krynolinki i siatkowe pończochy. Śpiewały coś na całe gardło. Usłyszał słowa *Like a virgin*, jak dziewczica.

Pomachały do niego, on do nich też. Dla Miriam wieczór paniński polegał na kolacji z mamą i dwiema przyjaciółkami w Berni Inn. To był szczyt wyrafinowania. Arthur zaś poszedł ze swoim kolegą Billem (nieżyjącym już) na mecz futbolowy, a potem jeszcze uraczyli się dwoma dużymi kuflami piwa z sokiem. Wszystkie zmysły miał wyczulone z podekscytowania, że następnego dnia pobiorą się z Miriam. Piwo było słodkie, doping kibiców na meczu dudnił mu w uszach, metka koszulki ocierała szyję. Każda cząstka jego ciała szykowała się na to, by uczynić z Miriam jego żonę.

Dzień ich ślubu przemknął jak wirujące płatki konfetti, które opadły na nich po wyjściu z kościoła. Wesele na trzydzieści osób odbyło się w lokalnym domu kultury. Matka Miriam, kobieta o surowej minie, zrobiła im w prezencie ślubnym kanapki dla gości i upiekła paszteciki z mięsem. Rodzice Arthura opłacili dwudniowy pobyt na wsi. Młodzi wyruszyli jeszcze tego samego wieczoru. Z tyłu ich udekorowanego tabliczką „Nowożeńcy” mini morrisa wlokły się na sznurkach pobrząkujące o asfalt puszki.

W domu na wsi było tak zimno, że aż zęby szczękały. Owce beczały przez całą noc, a właścicielka miała taką minę, jakby połknęła osę. Ale Arthur był zachwycony. Zanim położyli się do łóżka, Miriam przebrała się za parawanem w sypialni, a Arthur

w toalecie na zewnątrz. Musiał wepchnąć dół spodni od piżamy w botki i przenieść swoje ubranie przez błotniste podwórze.

Miriam wyglądała pięknie w długiej bawełnianej koszuli z wyhaftowanymi różyczkami przy szyi. Starał się nie jęknąć z pożądania, kiedy dotknął jej talii, a ona przysunęła się do niego. Poszli do łóżka i po raz pierwszy się kochali. To był w ogóle jego pierwszy raz. A potem leżeli objęci i rozmawiali o tym, gdzie będą mieszkać, i o dzieciach, które będą mieli. I nawet teraz ten dzień wydawał się mu najpiękniejszym w życiu, bo tyle w nim było czułości, ulgi i pożądania. Choć potem przeżyli wiele cudownych chwil – jak narodziny dzieci, Dana i Lucy, czy spędzane wspólnie święta – ten czas z Miriam, ich pierwsze godziny jako męża i żony, był najwspanialszy. Arthur życzył dziewczynie, którą czekała „nauka jazdy”, by doświadczyła czegoś podobnego w dniu swojego ślubu.

Problem w tym, że w jego wieku trudno już oczekiwać tak cudownych momentów. Takich, kiedy człowiek przystaje i myśli: będę pamiętać ten dzień do końca życia. Tulił w ramionach wiercące się niemowlaki, dzieci jego syna, Kyle’a i Marinę, wdychał ich mleczny zapach. Teraz zastanawiał się, na co jeszcze może liczyć w przyszłości.

Wolałby nie być już w Londynie, ale umościć się we własnym łóżku, jak zwykle z filiżanką gorącej czekolady i gazetą. Tymczasem tkwił tutaj, samotny i wytrącony z równowagi.

Biorąc pod uwagę swój melancholijny nastrój, uznał, że najlepiej będzie od razu się położyć. Wrócił do pokoju i tuż po północy wdrapał się na swoją pryczę, czując pulsujący ból

w kostce. Wsunął się pod koc w ubraniu i starał się myśleć o swoim miodowym miesiącu. Pod oknami z łoskotem przejeżdżały autobusy, wciąż słychać było jakieś krzyki, ale wreszcie, przy wtórze syreny karetki pogotowia, zapadł w sen.

Obudził się o trzeciej, kiedy przyszły dziewczyny. Były pijane i śpiewały po niemiecku. Jedna przyprowadziła sobie faceta. Wpakował się z nią na łóżko pod Arthurem. Zaczęły się chichoty i szelest pościeli.

Na szczęście skrzypienie i kołysanie się łóżka, które nastąpiły potem, potrwały tylko kilka minut. Inne dziewczyny śmiały się cicho i coś tam szeptały. Arthur naciągnął szorstki koc na głowę, choć oczy miał szeroko otwarte. Najpierw mówił sobie: niemożliwe, żeby uprawiali seks. Kto by tak szedł w obce miasto, zapraszał byle kogo i zaraz odbywał z nim stosunek w pokoju pełnym ludzi? Ale dobiegające z dołu dyszenie i sapanie nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości. Pomyślał, że wszystko bardzo się zmieniło i że czasami niespecjalnie mu się ten współczesny świat podoba.

Szepty powoli umilkły, a para na dole jeszcze przez chwilę głośno się całowała. Usłyszał rozsuwanie zamka błyskawicznego torby, otwieranie paczki chusteczek, a potem zapadła cisza.

Leżąc tam, myślał o tym, że to pierwsza od roku noc, kiedy nie jest sam. A nie wyobrażał już sobie, że będzie kiedyś spał wśród innych ludzi. Dziwne, ale rozlegające się wokół oddechy i lekkie pochrapywania uspokoiły go i znów zapadł w sen.

Rano zgramolił się z łóżka, nim dziewczyny się obudziły. Wsuwał sandały, kiedy facet z dolnej pryczy przykucnął na

podłódze, sznurując swoje sportowe buty. Miał na sobie ciemnoróżowe dżinsy podwinięte nad kostki. Gryzły się z rudym kolorem jego potarganej czupryny.

– Ciii. – Podniósł palec do ust. – Wymknijmy się bez robienia hałasu, stary – powiedział z amerykańskim akcentem, jakby byli w zмовie.

Arthur chciał wyjaśnić, że podróżuje samotnie, że nie ma nic wspólnego z szaleństwami poprzedniej nocy i w żadnym sensie nie był z tymi Niemkami. Ale tylko skinął głową.

– Może wiesz, jak dostać się stąd do King's Cross? – zapytał, kiedy stali na progu, mrużąc oczy w porannym słońcu.

Śniadaniem w hostelu były papierowe torebki leżące w recepcji, z wypisanymi imionami i nazwiskami gości. Jedna czekała też na Arthura. Amerykanin złapał tę z napisem „Anna”.

– Eeee... idź w lewo, do stacji metra. Piechotą nie dojdiesz. – Facet zajrzał do torebki i skrzywił nos. – Jabłko, bułka i kartonik soku pomarańczowego. Ja cię... to wszystko?

Arthur pomyślał, że pretensje są trochę nie na miejscu, biorąc pod uwagę, że chłopak sobie poużywał, przenocował, a teraz jeszcze miał za darmo to skradzione śniadanie.

Facet wcisnął bułkę do jednej kieszeni, kartonik z sokiem do drugiej, a jabłko wetknął do ust i przytrzymał zębami. Torebkę zmiął i cisnął na podłogę w wejściu do hostelu.

– No to nara... – warknął do Arthura i pognął, jakby się paliło.

Arthur poszedł do stacji metra. W przejściu podziemnym jakiś mężczyzna grał na flecie, a nieco dalej kobieta brzdąkała

na gitarze. Przy jej nogach leżał odwrócony filcowy kapelusz. Arthur rzucił każdemu z nich po pięćdziesiąt pensów i ruszył z tłumem schodzącym na peron.

Zasilił monetami błyszczącą maszynę, która wypluła bilet. Czuł się zagubiony, nie tylko dlatego, że jeszcze nigdy nie jechał metrem. Myślał, że w Londynie znajdzie jasne odpowiedzi, ale wszystko okazało się bardziej skomplikowane. Czy chciał zgłębiać to nadal, zdzierając kolejne warstwy, jak przy obieraniu ogromnej cebuli, czy też powinien dać sobie spokój?

Mapa na wykafelkowanej ścianie przed nim nie mogła już chyba być większa. Wydawała się przejrzysta, z wyraźnymi czarnymi napisami, ale Arthur jakoś nie umiał jej rozszyfrować. Widział kiedyś, jak mechanik otworzył na ulicy skrzynkę telefoniczną. Wewnątrz była niezrozumiała (w każdym razie dla Arthura) plątanina kolorowych przewodów. Ta mapa wyglądała podobnie, ale jeszcze bardziej zawile. Miał ochotę wyciągnąć rękę i przesunąć palcem po liniach, żeby wyznaczyć sobie trasę, bo kiedy wodził po nich wzrokiem, stale się gubił. Wszyscy wokół niego zdawali się wiedzieć, co robią i dokąd zmierzają. Rzucali okiem na mapę, kiwali głową i ruszali pewnie we właściwym kierunku. On zaś czuł się kompletnie zagubiony.

Próbował prześledzić raz jeszcze, jak dotrzeć do King's Cross, ale wciąż nie miał pojęcia, gdzie powinien się przesiąść. Zastanawiał się już, że może najlepiej wsiąść do byle jakiego pociągu i zobaczyć, gdzie wyląduje, albo z powrotem wyjść na ulicę i poczekać na autobus.

Wtem...

– Cześć – powiedział mu przyjacielski głos do lewego ucha.
– Jakiś kłopot?

Obejrzał się i zobaczył młodego człowieka, który ni stąd, ni zowąd wyrósł obok niego. Ręce trzymał głęboko schowane w kieszeniach workowatych dżinsów o obniżonym kroku. Powyżej ich paska widać było dobrych kilka centymetrów czerwonych slipek. Może i jego bawełniana czarno-biała koszulka miała napis „Killers”, ale uśmiech był szeroki i serdeczny.

– No tak. Przyznam, że jeszcze nigdy nie jechałem metrem.

– Pierwszy raz w Londynie, co?

– Tak. Nie za bardzo umiem się tu poruszać. Muszę dostać się na King’s Cross, żeby złapać pociąg do domu.

– Daleko mieszkasz?

– Pod Yorkiem.

– Świetnie. Czyli King’s Cross? To łatwe, tylko kilka przesiadek. Masz bilet?

– Tak.

– Daj, niech spojrzę.

Wdzięczny młodemu człowiekowi za uprzejmość, Arthur chciał wyciągnąć bilet, więc wyjął z tylnej kieszeni portfel, a tu nagle, hokus-pokus, ten wyparował mu ręk. Mężczyzna pełnym gazem rzucił się do ucieczki i natychmiast zniknął w tłumie.

Arthur jakby w zwolnionym tempie popatrzył na swoje puste ręce, a potem w ślad za mężczyzną, z wyrazem niedowierzania na twarzy. Został obrabowany. Okazał się kompletnym idiotą. W gazetach rozpisywano się o takich jak on – naiwnych emerytach. Aż skulił się ze wstydu, zdruzgotany.

Jednak po chwili zażenowanie, że zachował się tak głupio, zastąpiła wściekłość. W portfelu miał fotografię Miriam. Uśmiechała się na niej i obejmowała dzieci, które wtedy były jeszcze małe. Jedyna odbitka. Jak ten człowiek śmiał tak wykorzystać jego słabość. Gniew zagotował się mu w żołądku, podszedł do gardła i wybuchnął krzykiem.

– Stój! Łapać złodzieja! – wrzasnął ile sił w płucach, zaskoczony, że zabrzmiało to aż tak głośno.

I zawołał raz jeszcze.

Zaczął biec.

Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz zmusił nogi do takiego wysiłku. Chyba ze dwa lata temu pędził do autobusu, ale wtedy nie było to aż takie ważne, czy go złapie, czy nie. A przedtem? Nie miał pojęcia. Może biegał za dziećmi po plaży? Był typem człowieka ciężko stąpającego po ziemi, nie sprintera. Ale teraz zdawało się, że jego nogi same wiedzą, co robić. Nie zamierzały odpuścić złodziejowi.

Nawet nie zaświtało mu w głowie, że może się zachwiać czy potknąć, kiedy ruszył w ślad za rabusiem. Rzucał grzecznie „Przepraszam” i „Proszę mnie przepuścić”.

Przebijał się przez tłum. Mijał urzędników z teczkami, grupy japońskich turystów w ogromnych ciemnych okularach, którzy podnosili na niego wzrok zza wielkich map, minął dziewczynę o fioletowych włosach, której koleżanka miała włosy zielone i kilka kolczyków w brwiach. Wszyscy ci ludzie wykazywali niewielkie zainteresowanie, jeśli w ogóle jakieś, tak jakby widok starszego pana goniącego za złodziejem był tu na porządku dziennym.

– On ukradł mi portfel! – krzyknął Arthur, wskazując na mężczyznę, choć właściwie nie wiedział, do kogo woła.

Biegł dalej. Serce waliło mu w piersi, przy każdym kroku czuł chrupanie w kolanach. Kątem oka widział zacierające się mu w tym pędzie szare ściany stacji i plakaty teatralne. Zataczając się lekko i potykając, bo nogom dawało się już we znaki zmęczenie, kontynuował pościg.

Ale nagle korytarz metra wypełniła kolejna fala ludzi. Złodziej rozplynął się w niej bez śladu. Niedobrze, pomyślał Arthur, przystając na moment, by złapać oddech. Trzeba odpuścić.

Miał już dać sobie spokój, kiedy mignęły mu czerwone slipki, znów naprowadzając go na cel. Zmusił nogi do dalszego wysiłku. Dawaj, Arthurze, biegnij.

Nagle w głowie pojawił mu się obraz z przeszłości, kiedy Lucy i Dan byli mali. Wakacje. Miriam stoi przy furgonetce z lodami. Dzieci bawią się w berka, klepią się nawzajem w ramię lub plecy i uciekają. Lucy rzuca się z wyciągniętą ręką do brata, żeby go trzepnąć w nogę, ale on robi unik, cofa się małutkimi skokami i za każdym razem dłoń Lucy trafia w powietrze. Dan jest coraz dalej, już na krawężniku, a w końcu na jezdni. Lucy idzie za nim, skupiona tylko na tym, żeby dosięgnąć brata i wygrać. Obok przemknął jakiś samochód, potem drugi, niebezpiecznie blisko. Nadciągała ku nim z łoskotem ciężarówka z wielką przyczepą, Arthur zmartwił, stał w miejscu jakby go zamurowało, to wszystko działo się tak szybko. Był jakieś osiem metrów od dzieci. Krzyknął do Miriam, ale nie usłyszała. Zlizywała malinową polewę z brzegu różka.

Arthur wykrzesał z siebie siły, o które nigdy by się nie podejrzewał. Nawet nie wiedział, jak znalazł się przy dzieciach i chwycił je za ręce, wyrywając syna i córkę ze strefy zagrożenia. Istny Superman. Dan, wściekły, spiorunował go wzrokiem. A Lucy z satysfakcją klepnęła brata, kiedy Arthur wciągał ich z powrotem na chodnik. Po policzku spłynęła mu łza. Niczego nieświadoma Miriam podskoczyła do nich i podała im lody. Tylko on wiedział, jak potworna rzecz mogła się wydarzyć.

Na fali tamtego doznania przebijał się teraz na światło dzienne. Mrużąc oczy w słońcu, brnął naprzód. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, zobaczył czerwony piętrowy autobus, drzewa i sznur idących parami uczniów w kamizelkach odblaskowych.

– Łapać złodzieja! – krzyknął znowu.

Tamten facet dobiegał do ulicy, pędził wielkimi susami. Był coraz dalej. Ale Arthur nie przestawał biec. Serce mu waliło, a stopy dudniły, uderzając o płyty chodnika. Omijał dziury, walające się tacki po frytkach, zgniecione torebki po chipsach. Wtem złapał go ból w piersi. O Boże, nie. Zachwiał się i znieruchomiał. Miał wrażenie, że jakaś pięść ściska mu serce. Usłyszał głos Miriam. „Daj spokój. Nie warto”. Zrozumiał, że przegrał. Próbował przypomnieć sobie, co było w portfelu: karta visa, parę banknotów dziesięcio- czy dwudziestofuntowych, zdjęcia. Miał szczęście, że tamten nie dźgnął go jeszcze nożem.

Kiedy tak stał, ciężko dysząc, podbiegł do niego jakiś inny młody człowiek. Podobnie jak złodziej, ubrany w workowate džinsy. A poza tym w zieloną bluzę z kapturem, z dziurą na

ramieniu. Miał piegi na nosie i włosy koloru pordzewiałych gwoździ.

– Coś ci ukradł?

Arthur skinął głową.

– Portfel.

– Dobra. Zaczekaj tu.

Facet wetknął mu w dłoń jakąś pętelkę i już go nie było. Arthur spojrzał w dół i zobaczył, że trzyma postrzępiony pasek różowego materiału, służący jako prowizoryczna smycz i zawiązany w luźną kokardę na szyi psa.

Pies był mały, trząsał się. Miał czarną szczeciniastą sierść i wpatrywał się w niego ze zdziwieniem w pomarańczowych oczach.

– Twój pan niedługo wróci – pocieszył go Arthur. – Nie martw się.

Schylił się i podrapał go za uchem. Pies nie miał porządnej obróżki ani przywieszki z nazwiskiem właściciela. Na chodniku obok leżała tweedowa czapka, którą najpewniej zostawił mężczyzna.

Arthur i pies stali w słońcu. Nie mieli wyboru. Zabrzęczały monety, kiedy jakaś kobieta w wełnianej fioletowej pelerynie pogłaskała psa po łebku i wrzuciła garść drobniaków do czapki. O rany, wzięła mnie za żebraka, pomyślał Arthur. Ale kiedy się zastanowił, musiał przyznać, że pewnie wygląda żałośnie. Od dwóch dni się nie golił i miał na sobie te szafirowe, przybrudzone już spodnie.

– A więc to jest twoja praca? – odezwał się do psa. – Siedzisz i czekasz, co ci ludzie dadzą?

Pies zamrugał.

Arthur marzył, żeby usiąść. Co ty, u licha, mi zrobiłeś, pytało z wyrzutem jego ciało.

Minęło kolejnych dziesięć minut. Zaczynał już układać sobie w głowie plan, na wypadek gdyby młody człowiek nie wrócił. Będzie musiał pójść na najbliższy posterunek policji i zostawić tam psa. Nie mógł go zabrać pociągiem do domu. A czy wolno z psami jeździć metrem?

Wreszcie mężczyzna się pojawił. Podał mu portfel. Arthur nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Odzyskałeś go?

– Mhm. – Chłopak ledwie łapał oddech. Schylił się i oparł ręce na kolanach. – Widywałem tu tego bydlaka już wcześniej, jak kradł. Upatruje sobie bezradnych starszych ludzi albo obcokrajowców. Zaraza jedna. Udało mi się go dogonić. Podstawiłem mu nogę i poleciał jak długi. – Zachichotał z satysfakcją. – To go nauczy trochę rozumu. Następnym razem trzymaj mocniej portfel.

W pierwszej chwili Arthur chciał sprostować, że nie jest ani stary, ani bezradny, ale to nie była prawda.

– Racja – przyznał potulnie. – Strasznie mi głupio.

Poczuł, że kolana się pod nim uginają. Musiał natychmiast gdzieś przysiąść.

Młody człowiek podniósł swoją czapkę, po czym wyciągnął rękę i podtrzymał Arthura.

– Tam jest ławka. Chodź.

Arthur pozwolił się prowadzić. Opadł na ławkę. Pies przepchał mu się między nogami i położył się na chodniku,

opierając łeb na jego stopie.

– Patrzcie, polubiła cię. To rzadkość. Zwykle jest dzika, boi się własnego ogona.

– Jest urocza.

Bernadette kilka razy namawiała go, by wziął psa, mówiła, że to nada sens jego życiu. Ale on się opierał. Już zajmowanie się samym sobą sprawiało mu kłopot, a co dopiero, gdyby jeszcze miał czworonoga. W ostatnich kilku latach Miriam wspominała czasem, że mogliby przygarnąć kota albo psa. Arthur kwitował to krótko: „I po co? Tylko nas przeżyje”. Więc pomysł upadł.

– Jak ma na imię?

– Lucy.

– Och.

Nieznajomy uniósł brwi.

– Moja córka też ma tak na imię.

– O, to przepraszam. Wybrała je moja była dziewczyna.

– Nie ma za co przepraszać. Pasuje do niej. Są trochę podobne. Moja córka też jest cicha i refleksyjna.

– Myślę, że ta mała psina troszczy się o mnie bardziej niż ja o nią. Pewnego dnia otworzyłem drzwi, a ona siedziała na progu, jak jakiś anioł stróż czy coś w tym rodzaju. Powiedziałem jej: „Stać cię na kogoś lepszego. Idź, poszukaj jakiegoś w miarę przyzwoitego gościa, który ma robotę”. Wyprowadziłem ją na ulicę. Ale kiedy następnym razem otworzyłem drzwi, ona znów tam była. Wtruchtała do mieszkania, usiadła i od tamtej pory jesteśmy razem. Może widzi we mnie coś, czego sam nie dostrzegam.

Arthur zamknął oczy. Czuł na powiekach ciepło słońca.

– Przyniosę ci kawę – powiedział chłopak. – Na pewno dobrze ci zrobi po całym tym zajściu. Powinieneś chyba zgłosić to na policję.

– To wszystko moja wina. Wątpię, żeby się tym przejęli.

– Dobrze cię rozumiem. Miałem swoje starcia z glinami. Zawsze nas przeganiają. A ja i Lucy tylko staramy się jakoś zarobić na życie.

Dopiero teraz Arthur zauważył wystający z kieszeni chłopaka flet.

– Jakaś pani wrzuciła coś do twojej czapki – powiedział.

– Fajnie. No, miło, że komuś się chciało. Choć to nie zrobi ze mnie milionera. – Chłopak wzruszył ramionami.

– To ja stawiam kawę. Jestem ci winien wielkie podziękowania.

– Jak chcesz. – Wyciągnął dłoń. – Jestem Mike. Piję czarną z trzema porcjami cukru.

– Arthur. Arthur Pepper.

– Mogę cię o coś prosić? Weź ze sobą Lucy. Pewnie potrzebuje siusiu, a nie lubię, jak robi to przy wejściu do metra.

Lucy najwyraźniej chętnie podreptała za Arthurem. Jej pazurki leciutko stukały o chodnik. Po drugiej stronie ulicy stała furgonetka, z której sprzedawano kawę i ciepłe przekąski. Arthur poprosił o dwie kawy, a potem dodał jeszcze do zamówienia dwie bułki z parówką. Płacąc, odegnał od siebie myśl, że Miriam nie znosiła, jak ludzie jedli na ulicy. Mike robił wrażenie kogoś, kto od pewnego czasu nie miał nic w ustach.

Arthur kierował się dźwiękami fletu, aż znalazł Mike'a siedzącego po turecku, z czapką przy stopach. Na widok Arthura odłożył flet.

– Pomyślałem, że spróbuję coś zarobić, zanim przyjdiesz. Proszę. – Sięgnął do czapki i wyjął dwa funty. – Za moją kawę.

– Nie wygłupiaj się. Ja stawiam. Wziąłem ci też bułkę z parówką.

Mike'owi zaświeciły się oczy.

– Z keczupem?

– Jasne.

Nie było tu żadnej ławki, więc Arthur usiadł na trawie, obok Mike'a. Oderwał kawałek bułki i rzucił jednonogiemu gołębiowi. Od razu zleciało się kolejnych pięćdziesiąt. Jeden dziobał go w sznurowadła.

– Nie powinieneś ich karmić. To szkodniki. Latające szczury. Co roku trzeba zdejmować tony ich odchodów z kolumny Nelsona. Wiedziałaś o tym?

Arthur odparł, że nie.

Siedzieli obok siebie i jedli. Gdyby zobaczyła go teraz Miriam, z tym młodym człowiekiem i jego psem, siedzących w słońcu i zajadających bułki z parówką, na pewno by tego nie pochwaliła. Wybacz, Miriam.

– No to jaka jest twoja historia, Arthurze? – Mike odpędził osę od swojej miedzianej czupryny.

– Historia?

– Mhm. Te portki nie wyglądają na twoje. Najwyraźniej nigdy dotąd nie byłeś w Londynie, a jednak błąkasz się tu bez

mapy, wymachując portfelem. Musi być w tym coś więcej, niż widać gołym okiem.

Z początku Arthur chciał pleść o zwiedzaniu Londynu, ale jakoś głupio było kłamać temu młodemu człowiekowi, który przed chwilą się dla niego narażał. Arthur wyjaśnił mu więc pokrótce, co go tu sprowadza. Powiedział o Miriam i bransoletce, o Bernadette, o mężczyźnie z tygrysami i o tym od książeczki. A potem zapytał Mike'a o niego, ale ten tylko pokręcił głową.

– To nic interesującego, nic, co mogłoby się równać z twoją historią. Jestem prostym człowiekiem, który stara się jakoś zarobić na życie. Ale mam kumpla, który zna się na złotej biżuterii. Prowadzi sklep niedaleko stąd. Jeśli chcesz, możemy tam pójść. Może powie ci coś o tej bransoletce.

Arthur tak naprawdę nie był jeszcze w nastroju, by wsiąść do pociągu i wracać. Nie miał po co się spieszyć. Znalazł się w ślepej uliczce, nie wiedział, jak szukać znaczenia pozostałych wisiorków.

– Czemu nie? – odparł. – Piękny dzień na przechadzkę.

Dopiero kiedy szli kolejną boczną uliczką, gdzie pod nogami wałały się podeptane styropianowe opakowania po fast foodach, a powietrze wypełniały podejrzone zapachy, ogarnęły go wątpliwości, czy przypadkiem nie okazał się zbyt łatwowierny. A jeśli Mike jest w zмовie z tamtym złodziejem? Może to było wyreżyserowane, żeby obłupić starego głupca nie tylko z portfela? Wydawało się, że wędrują całe wieki, i Arthur kompletnie stracił orientację, gdzie się znajduje. Za którymś rogiem zrobiło się całkiem pusto, byli sami, tylko Arthur, Mike

i Lucy, zmierzający ponurą brukowaną ulicą. Z obu stron otaczały ich proste ceglane domy. Słońce skryło się za chmurami. Arthur zwolnił.

– Idę dla ciebie za szybko? Już prawie jesteśmy na miejscu.

Arthurowi stanęły przed oczami obrazy z musicalu *Oliver!* Umorusani mali kieszonkowcy, Fagin i pies z czarną łatą na oku. Jak on się wabił? A tak, Bullseye. Polowali na naiwnych ludzi w wiktoriańskiej Anglii. Szykował się, że lada chwila z bramy wyłoni się czyjaś ręka i zdzieli go pałką w głowę. Zawsze chciał wierzyć, że ludzie są dobrzy. A teraz znowu, na własne życzenie, zostanie napadnięty.

Ale nagle nabrał nadziei. Na końcu ulicy był rynecek. Roilo się tam od kupujących i sprzedawców przy straganach z mango, papierosami, nausznikami, kolorowymi spódnicami powiewającymi na wietrze. Po obu stronach widać było sklepy i kafejki.

– To tutaj. – Mike zatrzymał się i pchnął drzwi małego sklepiku.

Ciemne okna zdołał złoty napis: „Złoto. Kupno i sprzedaż. Nowe i stare”. Zabrzęczał dzwoneczek nad drzwiami. Arthur poczuł zapach pasztecików i pasty do podłogi.

– Jeff! – wrzasnął Mike. – Jeff! Jesteś tu, stary?

Coś zaskrzypiało i zaszeleściło za zasłoną z koralików i wyszedł zza niej mężczyzna o twarzy zniszczonej i brązowej jak stara skórzana torba. Ramiona miał tak szerokie, jakby pod czerwoną kraciatą koszulą kryło się drewniane nosidło.

– Mike! Jak leci, chłopie?

– W porządku. Przyprowadziłem ci swojego przyjaciela, Arthura. Ma bransoletkę i chciałby, żebyś rzucił na nią okiem. Ładny złoty drobiazg.

Jeff podrapał się w głowę. Jego paznokcie i kostki palców były czarne.

– Dobra. Zobaczmy. Trochę do ciebie niepodobne, Mike, żebyś mi tu przynosił coś ładnego.

Arthur sięgnął do kieszeni i zacisnął palce na bransoletce. Mike i Jeff czekali. Wyglądali groźnie. Jeśli znajdzie się w tarapatach, nie ma stąd ucieczki. Ale było już za późno. Położył bransoletkę na ladzie.

Jeff świsnął przez zęby.

– Rzeczywiście, cacko. Śliczna. – Podniósł bransoletkę, ostrożnie, z uwagą. Sięgnął do szuflady po lupę. – Tak. Teraz widzę jeszcze lepiej. Piękna robota. Artystyczna. Ile za to chcesz, Arthurze?

– Nie zamierzam jej sprzedać. Chciałbym tylko jak najwięcej się o niej dowiedzieć. Należała do mojej żony.

– W porządku. No, sama bransoletka jest z osiemnastokaratowego złota. Solidna rzecz. Prawdopodobnie zrobiona w Europie, może w Anglii. Musiałbym sprawdzić znak. Ale przywieszki... Różnią się, jeśli chodzi o jakość. Nie powstały jednocześnie. Wszystkie są cenne, ale niektóre bardziej. Ten słoń tutaj. Ma najwyższej klasy szmaragd. Powiedziałbym, że bransoletka jest z czasów wiktoriańskich, ale większość przywieszek jest nowsza. Serduszko to współczesna rzecz, nowa. Widzisz? Nawet nie zostało przyczepione jak należy. Wisi na zaciśniętym kółku. Czy żona kupiła je niedawno?

Arthur pokręcił głową.

– Nie sądzę...

– No, ale to jest doczepione w pośpiechu, byle jak – ciągnął Jeff. – Tygrys jest ładny, ale to seryjna produkcja. Powiedziałbym, że może z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych. Naparstek i książeczka są misternej roboty, ale słoń to coś zupełnie wyjątkowego.

– Myślę, że pochodzi z Indii.

– Nie będę się tu z tobą spierał, Arthurze. – Jeff przyjrzał się jeszcze uważniej. – Hm, kwiatusek to pewnie akrostych.

– Chodzi o brak pewności co do istnienia sił wyższych? – spytał Mike.

Jeff roześmiał się.

– Nie. To nie „agnostyk”. Akrostych był popularny w czasach wiktoriańskich. Robiono wtedy biżuterię z kamieni szlachetnych, które układały się w jakieś imię lub słowo. Zwykle ofiarowywał coś takiego na pamiątkę ktoś z rodziny albo ukochany. Patrzcie. – Wyciągnął z gabloty złoty pierścionek. – Widzicie te kamyki w jednej linii? Pierwsze litery ich nazw tworzą słowo „kochana”. Korał, opał, chalcedon, heliotrop, ametyst, nefryt, akwamaryn.

– Więc sądzisz, że ten kwiatek coś oznacza? – zapytał Arthur.

– Zaraz, sprawdźmy. Pochodzi pewnie z lat dwudziestych ubiegłego wieku, jest w stylu art nouveau. Myślę, że był najpierw raczej wisiorkiem niż przywieszką, bo kółeczko jest bardzo delikatne. Mamy tu peridot, szmaragd, czyli emerald, ametyst, rubin i lapis-lazuli.

Arthur próbował ułożyć słowo z pierwszych liter nazw tych kamieni.

– Pearl – powiedział wreszcie. – A czy w środku to nie jest perła?

Jeff skinął głową.

– Tak, oczywiście. Piękna rzecz, Arthurze. Znasz kogoś, kto ma tak na imię?

Arthur zmarszczył brwi.

– Sądzę, że to może być imię matki Miriam.

Zawsze mówił o niej „pani Kempster”, nawet po ślubie. Umarła, zanim urodził się Dan.

Kiedy Miriam po raz pierwszy zaprosiła go na herbatę, jej matka na wstępie zauważyła, że Arthur ma wielkie stopy. Popatrzył na swoje buty, rozmiar czterdzieści cztery, którego nigdy nie uważał za specjalnie duży, ale od tamtej pory zrobił się dość czuły na tym punkcie.

Pani Kempster była cichą, surową kobietą o kwadratowej szczęce i przeszywającym spojrzeniu. Miriam zawsze mówiła o niej „matka”, nigdy „mama”.

– No to masz odpowiedź. Czy w takim razie pasowałoby, że to pochodzi z lat dwudziestych? – zapytał Jeff.

– Pewnie wtedy się urodziła.

– Może to był prezent na chrzciny. – Jeff wzruszył ramionami. – A później mogła przekazać go twojej żonie.

Arthur skinął głową. Wydawało się to wielce prawdopodobne.

– Podoba mi się też ta mała paleta. Ładna rzecz. Są na niej maciupenkie inicjały. S.Y. Z niczym mi się to nie kojarzy. –

Podsunał bransoletkę z powrotem w kierunku Arthura. – Masz śliczny drobiazg. Wyobrażam sobie, że dostaniesz za nią tysiąka, może więcej. Za tyle chętnie bym cię od niej uwolnił.

– Naprawdę to aż tyle warte?

– Takie bransoletki to coś wyjątkowego. Przywieszki na ogół oznaczają coś ważnego. To jak noszenie wspomnień na nadgarstku. Po tych przywieszkach widać, że twoja żona miała ekscytujące, barwne życie. Było sobie o czym opowiadać, co?

Arthur wbił wzrok w podłogę.

Mike to zauważył.

– Słuchaj, Jeff, musimy lecieć, bywaj – pożegnał kumpla.

Na zewnątrz Arthur znów poczuł ciężar bransoletki w kieszeni. Po tej wizycie miał jeszcze większy mętlik w głowie. Przecież to serduszko nie mogło być nowe. I nadal nie był pewien, czy matka Miriam miała na imię Pearl. Nie zauważył też wcześniej tych inicjałów S.Y.

– Kusiło cię, żeby ją sprzedać?

– Sam nie wiem. – Arthur był zszokowany, że dowiedział się tylu rzeczy od nieznajomego i odkrył nowe tropy. A już sądził, że to koniec jego poszukiwań. – Chyba lepiej już sobie pójść.

– Dokąd? Kupiłeś bilet powrotny?

Arthur przyznał, że nie. Patrzył dokoła szklanym wzrokiem.

– Masz gdzie zanocować?

– Jeszcze o tym nie myślałem. Chyba znajdę jakiś hotel.

Nie mógł znieść myśli, żeby znów spać w hostelu.

– Słuchaj... – Mike zastanowił się chwilę. – Najlepiej prześpij się u mnie. Luksusów nie ma, ale da się wytrzymać. Hotele

potrafią tu kosztować krocie.

Ta idiotyczna przygoda przewróciła Arthurowi świat do góry nogami. Namieszał w głowie tamtemu facetowi w kawiarni, a teraz to samo robił sobie. Nie chciał spać u obcego, ale ciało miał ciężkie, jakby zamieniał się w kamień. Perspektywa powrotu na stację metra wprawiała go w przerażenie.

Skinął głową i wziął smycz Lucy.



Mieszkanie Mike'a

U Mike'a było niewiele mebli. Na końcu betonowego korytarza drewniane drzwi w kolorze butelkowej zieleni miały dziurę, jakby ktoś kiedyś otworzył je kopniakiem. W środku same sfatygowane, niemodne sprzęty. Stolik z lat siedemdziesiątych, polakierowany na pomarańczowo, z blatem wyłożonym mozaiką z białych i niebieskich kafelków. Kanapa przykryta narzutą w kwiatki. Podłoga była porysowana i pochłapana farbą.

Arthur stanął, wpatrzony w półkę z książkami. Miała z metr osiemdziesiąt wysokości i nie było już na niej wolnego miejsca. Thrillery, biografie, Biblia, roczniki komiksów „Star Wars”...

- Masz mnóstwo książek – zauważył.
- No tak, umiem czytać – rzucił z sarkazmem Mike.
- Przepraszam. Nie chciałem, żeby zabrzmiało to...
- O, nie ma sprawy. – Mike wetknął ręce do kieszeni. – Przepraszam, że się tak odciąłem. No wiesz, jak się zarabia na

ulicy, niektórzy od razu myślą, że musisz być półgłówkiem. Często słyszę różne poniżające uwagi na swój temat. Zrobiłem się drażliwy. Przygotuję coś do picia. Może być kawa? Skończyła mi się herbata.

Arthur skinął głową i usiadł na kanapie. Lucy wskoczyła mu na kolana. Pogładził ją po łebku, a ona popatrzyła na niego swoimi pomarańczowymi ślepkami.

– To dokąd się teraz wybierzesz? – zapytał Mike, kiedy stawiał dwa parujące kubki na stole. – Którą z przywieszek rozszyfrujesz?

– Nie wiem. Intryguje mnie ta paleta. A o teściowej nie myślałem od lat. Może powinienem już przestać szukać. Od tego wszystkiego tylko mnie głowa boli.

– Nie wolno się poddawać – powiedział Mike. – Może te wisiorki przy bransoletce przynoszą szczęście.

Arthur pokręcił głową. Po tym, co przeszedł, bardzo w to wątpił.

– Szczęście?

– No wiesz. To talizmany. Moim talizmanem jest Lucy.

– Nie sądzę...

– Ile masz lat, Arthurze?

– Sześćdziesiąt dziewięć.

– No, to niemało, ale nie jesteś jeszcze zgrzybiałym staruszkiem. Możesz mieć przed sobą dwadzieścia lat życia. Naprawdę chcesz je tracić na sadzenie hiacyntów i picie herbaty? Czy tego chciałaby dla ciebie twoja żona?

– Sam nie wiem. – Arthur westchnął. – Gdybym nie znalazł tej bransoletki, to właśnie bym robił i myślałbym, że tego

chciałaby dla mnie Miriam. Ale teraz już nie jestem pewien. Sądziłem, że znam ją tak dobrze, a teraz odkrywam tyle rzeczy, których mi nie powiedziała, które ukrywała przede mną. A skoro miała takie sekrety, to co jeszcze zataiła? Czy była mi wierna? Może nudziłem ją, może przeze mnie nie robiła różnych rzeczy, które uwielbiała?

Spuścił wzrok na wielobarwny postrzępiony dywan na podłodze.

– Nie powstrzymasz człowieka przed robieniem czegoś, czego naprawdę chce. Może uznała, że to, co było wcześniej, nie ma już znaczenia. Czasem, kiedy zamkniemy pewien rozdział, nie chcemy już do tego wracać. Ja straciłem pięć lat życia przez narkotyki. Pamiętam tylko, że gdy się budziłem, czułem się jak gównio i albo wałęsałem się po ulicach, kombinując, jak by się tu najarać, albo byłem w delirium po działce. I chcę się od tego odciąć raz na zawsze. Chcę znów stanąć na nogi, znaleźć normalną pracę, może dziewczynę, która będzie dla mnie dobra.

Arthur skinął głową. Rozumiał, co Mike ma na myśli, ale przecież to była zupełnie inna sytuacja.

– Opowiedz mi o tym, co czytasz – odezwał się. – Chętnie posłucham.

– Po prostu lubię książki. Do tej pory pamiętam jedną z dzieciństwa. O niedźwiedziu, który chciał się dostać do słoika miodu. Nie dawał za wygraną. Myślałem o tym, kiedy próbowałem być czysty. Powtarzałem sobie, że muszę tylko wciąż starać się otworzyć ten słoik z miodem.

– Ja lubiłem czytać dzieciom, gdy były małe. Syn wolał, jak robiła to moja żona, ale kiedy już ja przejmowałem tę rolę, było naprawdę wyjątkowo. Mnie samemu też podobały się te opowieści.

– Każdy ma jakąś ciekawą historię do podzielenia się, Arthurze. Gdyby mi ktoś wczoraj powiedział, że będę tu nocował jakiegoś starszego gościa, poszukiwacza przygód, myślałbym, że mu odbiło. Ale oto jesteś tu ze mną. Fajny z ciebie facet, Arthurze, jak na takiego wymuskanego emeryta – zażartował Mike.

– Ty też jesteś w porządku jak na takiego abnegata.

Obaj się roześmiali.

– Jestem już trochę zmęczony – przyznał się Arthur. – Nie pogniewasz się, jak położę się spać?

– Ale skąd. Łazienka jest na końcu korytarza. Odstąpię ci łóżko, a sam prześpię się na kanapie.

– Mowy nie ma. Bardzo mi tu dobrze i wygląda na to, że Lucy dotrzyma mi towarzystwa.

Suczka zwinęła się obok niego w kłębek i zasnęła.

Mike wyszedł z pokoju i wrócił z zielonym wełnianym kocem, który pachniał trochę stęchlizną.

– Pod tym będzie ci ciepło.

– Na pewno. – Arthur okrył kocem nogi.

– No to dobranoc, Arthurze.

– Dobranoc.

Zanim zasnął, znów próbował zadzwonić do Lucy. Chciał powiedzieć jej, gdzie jest, a także o jej małej kosmatej imienniczce. Ale Lucy nie odbierała. Wetknął komórkę pod

poduszkę. Położył się i oczy od razu zaczęły mu się kleić. Ostatnie, co widział, to przywieszka w kształcie palety, mieniąca się ognikami we wpadającym przez okno świetle ulicznej latarni.

*

Kiedy obudził się następnego ranka, Lucy nie było. Ziewnął i rozejrzał się po pokoju. Jego wzrok powędrował na stół. A na nim było pusto. Bransoletka z przywieszkami znikła. Nic nie połyskiwało w promieniach słońca.

Zdumiony, natychmiast się poderwał i usiadł. Ścisnęło go w gardle, zrobiło mu się niedobrze. Gdzie ona jest? Był pewien, że ją tu zostawił. Gwałtownie wstał i o mało nie upadł z powrotem na kanapę. Coś mu przeskoczyło w kolanach i w plecach. Powoli rozluźnił się i wyprostował. Przecież Mike nie zabrałby bransoletki. Arthur mu ufał. To jego mieszkanie. Ale po chwili zastanowił się, czy aby na pewno. Nie widział żadnych rzeczy osobistych. Przypomniał sobie, jak Mike zdenerwował się na jego uwagę o książkach.

– Lucy?! – zawołał.

Jego głos odbił się echem. Arthur nasłuchiwał uderzeń pazurków o podłogę. Ale dobiegały go tylko wrzaski jakiejś pary kłócącej się za ścianą. On nazwał ją leniwą krową, ona jego grubym nieudacznikiem.

Zsunął zielony koc na podłogę i przeszedł po całym mieszkaniu. I znowu – wyłącznie same niezbędne sprzęty. Żadnych zdjęć w ramkach, ozdóbek. W łazience pusta tubka

pasty Colgate na umywalce. Otworzył lodówkę i znalazł tylko nędzną resztkę mleka. Został sam. Nic tu nie było.

Opadł na kanapę i ukrył głowę w dłoniach. Wyciągnął telefon spod poduszki i zobaczył, że Lucy nie oddzwoniła. Nie powinien był ruszać w tę podróż. Jego nudne życie wydawało się teraz luksusową oazą spokoju w porównaniu z tym szaleństwem skrajnych emocji i zdarzeń. Po chwili przypomniał sobie o swoim plecaku. Czy ten też zniknął? Do zewnętrznej kieszeni włożył portfel. Jak, u licha, przebrnie przez Londyn bez pieniędzy? Nawet nie wiedział, gdzie się znajduje.

– Kompletnie zwariowałem, Miriam – powiedział na głos.

Musi zrobić wszystko, żeby wydostać się stąd i wrócić do domu.

Chyba nie mógł już czuć się bardziej przybity, kiedy nagle usłyszał klucz w zamku. Serce zabiło mu mocniej.

– Mike?! – zawołał. – Mike. Czy to ty?

– To moje imię. Nie nadużywaj go.

Drzwi wejściowe trzasnęły. Do Arthura podbiegła Lucy, aby się przywitać. Podskakiwała do niego. Poglaskał ją po karku.

Mike rzucił na kanapę papierową torbę.

– Poszedłem po zaopatrzenie. Nie na wiele mogę sobie pozwolić, ale mam tu chleb i masło do grzanek. Nie stać mnie było na mleko, a to w lodówce jest już przeterminowane, więc będzie tylko czarna kawa.

Arthur nie mógł się powstrzymać. Podszedł do Mike'a i uściskał go. Młody człowiek zeszywniał.

– Hej, co jest, wszystko w porządku?

– Tak. – Arthur z ulgą skinął głową i rzucił okiem na stół przy kanapie.

– Ach, zastanawiasz się, gdzie się podziała bransoletka. Zbudziłeś się, a tu jej nie ma i ja też znikłem. Pomyślałeś, że uciekłem.

– Przepraszam. Przemknęło mi to przez myśl. Nagle zrobiłem się podejrzliwy.

– To zrozumiałe.

Mike podszedł do półki i wysunął jakiś słownik. Wyciągnął z niego bransoletkę.

– W zeszłym miesiącu mnie okradli. Nie zostawiam na wierzchu cennych rzeczy, choć właściwie nic takiego już nie mam.

– Straciłeś coś ważnego?

– Zegarek taty. To był złoty rolex. Jeff dawał mi za niego krocie, ale nie potrafiłem się z nim rozstać. Wolałbym głodować, niż sprzedać ten zegarek. Tylko to mi zostało po ojcu. Całą resztę sprzedałem na narkotyki. Teraz bardzo tego żałuję. Umarł, jak miałem trzy lata.

– Współczuję ci.

– A co gorsza, wiem, kto to zrobił. Te bydlaki z mieszkania obok. Wiedzą, kiedy wychodzę i kiedy wracam. Trzymałem zegarek w pudełku w kredensie kuchennym. Któregoś dnia wracam z roboty i zastaję wyłamane drzwi. Pukam do sąsiadnich, a ten facet zachowuje się aż nazbyt miło. Nigdy nie chciał ze mną gadać, a tym razem proponuje mi filiżankę herbaty. Spytałem go o zegarek, a on cały czas tak jakoś chytrze

uciekał wzrokiem. Jestem pewien, że go ukradł. Na kopercie wygrawerowane było imię mojego ojca: Gerald.

Arthur nie bardzo umiał go pocieszyć. Wiedział, jak wiele emocji i wspomnień może łączyć się z jakimś złotym drobiazgiem.

– Tak mi przykro. Musisz pozwolić, żebym zapłacił ci za nocleg.

– Nie chcę pieniędzy. – Mike uniósł poduszkę i opuścił ją z powrotem. – Nie jestem skrzynką na datki. Gdzie ten cholerny flet?

– Na półce.

– A, tak.

Wsunął flet do kieszeni i wziął ze stolika smycz Lucy. Zawiązał kokardę na szyi suczki. Potrząsnęła łebkiem i popatrzyła na Arthura.

– Dziś z wami nie idę. – Pogłaskał ją po pyszczku. – Będziesz tylko ty i Mike.

Szybko zaparzyli kawę i zjedli po grzance, a potem razem wyszli. Atmosfera się zmieniła. Arthur czuł, że mógł obrazić młodego człowieka, i nie chciał tego pogarszać.

Mike zamknął mieszkanie i ruszyli po betonowych schodach.

– No dobrze, Arthurze – powiedział w roztargnieniu Mike, kiedy znaleźli się na dole. – Zostawię cię tutaj. Naprzeciwko jest przystanek autobusowy. Numer osiemdziesiąt siedem zawiezie cię do dworca King's Cross.

– Dzięki. Jesteś pewien? Może jednak mógłbym ci coś dać?

Mike pokręcił głową.

– Nie. Cała przyjemność po mojej stronie. Do zobaczenia.
Odwrócił się i ruszył przed siebie.

Arthur patrzył, jak Mike odchodzi. Coś razem przeżyli. Nie tak powinno wyglądać pożegnanie. Ten chłopak odbudował w nim trochę wiarę w ludzi. Zrobił krok naprzód.

– Mike! – zawołał.

Jego wybawca obejrzał się, marszcząc brwi.

– Tak?

– Dziękuję za wszystko.

– Nie ma sprawy. Nie zgub się teraz. Nie rozmawiaj z obcymi. I nie zapomnij myśleć pozytywnie. Te przywieszki mogą ci przynieść szczęście.



Kwiatek

Arthur poczekał na autobus i dotarł do King's Cross według instrukcji Mike'a. Wsiadł do pociągu i przespał całą drogę do domu. Obudził się, czując kościstą dłoń potrząsającą go za ramię.

– Jesteśmy w Yorku – powiedział stary mężczyzna o białych nastroszonych brwiach. – Pan tu chciał wysiąść?

Arthur skinął głową i podziękował. Na stacji kupił w automacie butelkę wody. Nalał trochę na dłonie i ochlapał twarz. Nadal był zmęczony, ale dziwny niepokój ścisnął go w dołku.

Wyszedł z dworca i przystanął, obserwując taksówki i ludzi, którzy biegli, żeby zdążyć na pociąg lub witali krewnych, ukochanych i przyjaciół. Cieszył się, że znów jest u siebie i słyszy wokół znajomy akcent.

Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu, zobaczyć Fredericę i zrobić sobie filiżankę dobrej herbaty. Ale

jednocześnie nie był gotów, żeby tam wrócić. Jeszcze nie. Chciał dowiedzieć się więcej o matce Miriam.

Nadłożył nieco drogi, zahaczając o centrum Thornapple. Mógł wybrać krótszą trasę do domu, ale potrzebował czasu, żeby pomyśleć. Zdarzenia ostatnich kilku dni sprawiły, że miał mętlik w głowie, musiał sobie jakoś to wszystko poukładać.

Dowiedział się, gdzie mieszkała Miriam podczas swoich przygód, kogo znała. Ale nie rozumiał, dlaczego w ogóle wyjechała z Thornapple. Dla kogoś stąd naturalną drogą był ślub, dzieci i pozostanie w miasteczku.

Czy ekscytowało ją życie w posiadłości z tygrysami, czy też po prostu musiała jakoś to znosić, zanim znajdzie coś lepszego? Czy wiedziała, że François de Chauffant jest gejem, czy też uważała go za miłość swojego życia? Czy jej zimna matka uśmiechnęła się, wręczając jej wisiołek z kwiatkiem? Czy zdarzały się między nimi chwile czułości? Najpewniej już nigdy się tego nie dowie.

Odkrył natomiast wiele o sobie samym. Nie przypuszczał, że może zachować się tak dzielnie w starciu z tygrysem. Przyjął to spokojnie. A sądziłby, że zacznie krzyczeć i panikować. I przeżył noc w obcej posiadłości, bez swojej pasty do zębów i piżamy. A jeszcze dzień wcześniej na samą myśl o złamaniu codziennej rutyny pot występował mu na czoło.

W kawiarni udzielił obcemu człowiekowi porady na temat budowania związków i wcale nie brzmiało to tak, jakby był stetrycznym głupkiem, za jakiego się uważał. Staął twarzą w twarz z byłym rywalem do serca Miriam, choć łatwo mógł się wycofać, i próbował pomóc Sebastianowi. Sam też siebie

zadziwił, że tak łatwo zaakceptował chłopaka, który ma problem z narkotykami, i od razu złapał kontakt z nim i jego psem. Przekonał się, że posiada cechy, których by się po sobie nie spodziewał. Okazało się, że jest silniejszy i ma w sobie więcej możliwości, niż sądził. I podobało mu się to odkrycie.

Ci ludzie i zdarzenia obudzili w nim pragnienie. Chodziło nie o zmysłowe tęsknoty, ale raczej o potrzebę interakcji. Kiedy widział, że ktoś czegoś potrzebuje, chciał pomóc. Kiedy atakował go tygrys, chciał żyć. Mając nad sobą tę pomarańczową bestię, myślał o przyszłości, nie o przeszłości.

To wszystko kłóciło się z tym, co czuł od miesięcy, po śmierci Miriam. Kiedy marzył, by położyć się, zasnąć i nigdy już się nie obudzić. Kiedy planował, że wyśle Terry'emu z naprzeciwka list, by przyszedł i znalazł go martwego w łóżku.

Nigdy tak naprawdę nie zastanawiał się, jak żyją inni. Dla niego cała reszta jego rodaków mogła mieszkać w takich domach jak on, identycznie urządzonej. Wstawać o tej samej porze i zajmować się tym samym co on. Tyle czytał w gazetach o telewizyjnych *reality show*, podglądających codzienne życie ludzi. Co za nuda, myślał, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo może się ono różnić od tego, co znał z własnego doświadczenia.

Teraz odkrył tę wielką różnorodność. Ludzie tkwili w swoich złotych klatkach, jak Sebastian, służący za ręce i nogi mężczyźnie, którego kochał zaledwie kilka miesięcy, a który teraz stał się kimś obcym. Pomyślał o lordzie i lady Graystock, wzywających się nawzajem za pomocą dzwonka. Przy tym jego własne życie wydawało się tak szare jak blezery w szafie Miriam.

Dawniej widział przeszłość w technicolorze. Niebo, piasek, ubrania żony. Teraz, z każdym odkryciem, barwy jego własnych wspomnień płowiały, mieszając się w jeden bury odcień. Chciał to zatrzymać, odwrócić wskazówki zegara, zapakować brązowe zamszowe botki Miriam do torby dla organizacji charytatywnej, nie wsuwając do nich ręki. Niczego nie byłby wtedy świadomy. Mógłby pozostać spokojnym wdowcem, patrzącym na swoje życie z żoną przez różowe okulary. Przekonanym, że wszystko było idealne.

Ale przecież nie było. Dobrze to wiedział. Miał dwoje dzieci, które oddaliły się od niego. Kiedy rozmawiał z Lucy, słyszał w jej głosie troskę, miłość, ale i wyraźną rezerwę. Nie czuł się jeszcze na siłach opowiedzieć jej o bransoletce. Ona też, jak się domyślał, nie wszystko mu mówiła. Kiedy z rzadka dzwonił do Dana, syna wyraźnie rozpraszały domowe sprawy, dziejące się w tle. Po śmierci Miriam nie zdołali wypracować sobie rytmu bycia rodziną.

Musi to naprawić. Podobnie jak zajął się bransoletką, by nie pozostawić jej sekretów bez wyjaśnienia, powinien poświęcić więcej uwagi rodzinie. Musi odkryć, skąd bierze się to, że nie są już ze sobą tak blisko, i znów ich wszystkich zjednoczyć.

Czuł się jak ziarno rzucone na jałową ziemię, które mimo przeciwności kiełkuje, przebija się przez twardą glebę. Chciał rosnąć dalej. Liście Frederiki kiedyś zmarniały i pożółkły. Podlewał wtedy paprotkę, doglądał jej, i teraz robił to samo dla siebie.

Jednak jest dzielny.

Postanowił podziękować Mike'owi za pomoc. Akurat był niedaleko poczty. Zaryzykuje wejście za linię wroga, by kupić odpowiednią kartkę.

Kiedy dotarł do małego czerwonego budynku, zobaczył tabliczkę z napisem: „Zamknięte. Przerwa obiadowa”. Poczta będzie otwarta o pierwszej trzydzieści. Wiedział, że dokładnie o dwunastej dwadzieścia pięć Vera stawała przy drzwiach i z lubością wywieszała tę tabliczkę. Spóźnialscy mogli sobie szarpać za klamkę, ale i tak nie mieli szans wejść do środka.

Mając jeszcze kwadrans, Arthur spacerował wte i wewte po nierównych płytach chodnika przed pocztą. Niejeden emeryt już się tutaj wyłożył.

Popatrzył na uliczkę, przy której stały identyczne kamienne domki. Miriam mieszkała w tym z czerwonymi drzwiami. Teraz zajmowała go młoda rodzina. Dwie kobiety i ich dzieci. Krążyła plotka (Arthur podsłuchał, jak komuś mówiła o tym Vera), że rzuciły dla siebie mężów.

Miriam była jedynaczką. Jej matka trzymała córkę pod kloszem. Arthur próbował przekonać do siebie panią Kempster. Dbał, żeby zawsze mieć wypucowane buty, przynosił ciastka i godzinami wysłuchiwał jej opowieści, jak to w przędzalni maszyna wciągnęła jej palec. On i Miriam wymieniali ukradkowe uśmiechy, kiedy szczebiotała: „A czy mówiłam ci kiedyś o moim wypadku?”.

Na zdjęciu z ich ślubu widać uśmiechniętych nowożeńców, tulących się do siebie policzkami i radośnie patrzących w przyszłość. Pani Kempster wygląda jak dolepiona z innej

fotografii. Przyciska do piersi swoją ogromną skórzaną torbę i krzywi się, jakby właśnie zjadła cytrynę.

Kiedy opróżniali jej dom, wszystkie jej rzeczy zmieściły się w małej furgonetce. Teściowa była bardzo oszczędna. Zastanawiał się, czy to wtedy przekazała Miriam wisiołek, ale znów nie potrafił przypomnieć sobie, by żona o tym mówiła.

Przeszedł jeszcze kawałek i znalazł się pod numerem czterdzieści osiem. Przystanął. Nagle drzwi się otworzyły i w progu stanęła jedna z kobiet.

– Jakiś kłopot? – spytała wesoło.

Miała fioletową chustkę na głowie i zieloną koszulkę, bez biustonosza pod spodem. Jej włosy skręcały się jak czarne sprężynki, a skóra była koloru kawy. Wykręciła szmatkę na ganku, a potem ją strzepnęła.

– Nie. Wszystko gra. – Arthur uniósł rękę.

– Czegoś pan szuka?

– Nieee. No, może. Widzi pani, w tym domu mieszkała w młodości moja żona. Zawsze o tym myślę, kiedy go mijam.

– Ach, tak. Kiedy się stąd wyprowadziła?

– Pobraliśmy się w sześćdziesiątym dziewiątym. Ale jej matka umarła w siedemdziesiątym, może w siedemdziesiątym pierwszym.

Kobieta skinęła głową.

– Proszę wejść i się rozejrzeć, jeśli pan chce.

– O, nie. Nie ma potrzeby. Przepraszam, że zawracam głowę.

– Ależ skąd. Proszę swobodnie sobie popatrzeć. Tylko żeby się pan nie potknął o zabawki i rzeczy dzieci.

Już miał znów zaprotestować, ale zmienił zdanie. Dlaczego, u diabła, nie? Może coś mu się przypomni.

– Dziękuję – powiedział. – To bardzo miło z pani strony.

Dom zmienił się nie do poznania. Był kolorowy, wesoły i zagracony. Atmosfera szczęścia. Stał mu przed oczami obraz, jak oboje z Miriam siedzieli sztywno w fotelach po obu stronach kominka. A pani Kempster między nimi. Robiła coś na drutach, które leciutko postukiwały, i dumnie pokazywała swój sękaty palec. Ściany były brązowe, dywan wytarty. Do tej pory czuł zapach płonących węgli i psa, który siedział tak blisko ognia, że sierść mu się przypalała.

– Tak pan to zapamiętał?

– Nie całkiem. To znaczy rozkład pozostał ten sam, ale poza tym jest inaczej. Teraz wszystko wygląda weselej. Nowocześnie.

– No, robimy, co w naszej mocy, w ramach skromnych możliwości. Widok niezły, choć kobieta z poczty stale coś do nas ma. Mieszkam z partnerką, rozumie pan. A co gorsza, dla tej pani obydwie jesteśmy mieszankami rasowymi.

– Vera ma dość tradycyjne podejście. Lubi plotkować.

– Nie musi mi pan mówić. Jeśli ta kobieta o czymś nie wie, to znaczy, że w ogóle nie warto o tym wiedzieć.

Arthur wszedł do kuchni. Lśniące białe szafki i żółty stół. Kuchnia pani Kempster była ciemna i ponura, ze skrzypiącą podłogą i arktycznym powiewem ze świstem wdzierającym się spod tylnych drzwi. Nic nie wyglądało znajomo.

Potem ruszył na piętro. Stojąc na podeście, zajrzał do pokoju, który był kiedyś sypialnią jego żony. Ściany pomalowane na jasnoczerwono. Piętrowe łóżka, mnóstwo

misiów i kolorowa mapa na ścianie. Popatrzył na nią chwilę i nagle z zaskoczeniem poczuł, że coś sobie przypomina.

Pani Kempster tylko raz pozwoliła mu wejść na górę. Miał naprawić nogę jej łóżka. Lubiła mieć jego i Miriam na oku, żeby nie przyszły im do głowy jakieś głupoty. Jeśli Arthur chciał skorzystać z toalety, musiał iść do tej na podwórku.

Nióśł śrubokręt, śruby i puszkę oleju, żeby wykonać robotę. Na szczycie schodów nie mógł się powstrzymać i zajrzał ukradkiem do pokoju Miriam. Jej łóżko było przykryte patchworkową narzutą. Na drewnianym krześle siedziała lalka. Na ścianie wisiała mapa świata, podobnie jak teraz. Tyle że mniejsza, spłowiała, z podwijającymi się brzegami.

Arthur pomyślał wtedy, że to dziwne. Miriam nigdy nie mówiła o podróżach ani o tym, że chciałyby zwiedzać dalekie kraje. Pamiętał, że w mapę były wbite trzy szpilki. Podeszedł bliżej, żeby się przyjrzeć. Czerwone łebki kontrastowały z bladą zielenią kontynentów. Dotknął szpilek i uznał, że Miriam pewnie interesuje się geografią albo że to w ogóle nie jej mapa. Jedna szpilka była wbita w Anglii, druga w Indiach, a trzecia we Francji.

Dokręcił mocno nogę łóżka i usiadł na nim, żeby sprawdzić, czy aby nie zawali się pod panią Kempster. Stwierdził, że jest w porządku, zebrał narzędzia i poszedł na dół.

Nigdy nie pytał żony o tamtą mapę, nie chciał być wścibski. Wydawało się to bez znaczenia i zakopał to gdzieś na dnie pamięci, aż do teraz.

Wiedział już, że Miriam była w Londynie i mieszkała w Indiach. Teraz zaczął się zastanawiać, czy może wyjeżdżała

też do Francji.

Zajrzał szybko do głównej sypialni, prawie czekając na to, że jakiś wewnętrzny głos podpowie mu, czy matka Miriam miała na imię Pearl. Ale nic takiego się nie stało. Kiedy Miriam porządkowała rzeczy po matce, nie znalazła jej świadectwa urodzenia, a zdjęć rodzinnych było zaledwie kilka.

Tylko jedna osoba mogła mu pomóc z tym imieniem. Osoba, która znała wszystkich w Thornapple i wszystko o nich wiedziała. Poczta Vera.

Zszedł na dół i podziękował kobiecie, po czym wrócił pod pocztę.

Drzwi były ciężkie. Usłyszał, jak Vera głośno westchnęła na jego widok. Jego noga nie postąpiła tu, od kiedy ofuknął ją za pytania o Bernadette.

Rozglądając się po półkach, zbierał się na odwagę. Wziął małą rolkę taśmy klejącej, tubkę miętowych cukierków, paczkę przywieszek do bagaży, kartkę z psem w kapeluszu karnawałowym, dla Mike'a, i drugą, z kotem, dla Graystocków. Czuł palący wzrok Very na swoich plecach. Po chwili miał pełne ręce, już niczego nie dałby rady chwycić. Położył te rzeczy na ladzie, a Vera uniosła szybkę w okienku. Brała wszystko po kolei i demonstracyjnie szukała ceny, po czym wklepywała ją w kalkulator.

– Całkiem... ładny dzień – odezwał się, próbując zagaić rozmowę.

Vera odchrząknęła. Przybrała wyniosłą minę, dając do zrozumienia, że Arthur na próżno się wysiła.

Przełknął ślinę.

– Zajrzałem do dawnego domu mojej żony. Pod numer czterdzieści osiem. Pani, która tam teraz mieszka, mówiła, że jesteś świetnie zorientowana, jeśli chodzi o wszystkich w miasteczku.

Vera wstukała kolejne cyfry.

– No tak. Nic w tym domu nie rozpoznałem. Tyle lat minęło od czasu, kiedy Miriam była młodą dziewczyną i tam mieszkała.

Zauważył, że usta Very leciutko drgnęły, jakby jednak chciała coś powiedzieć. Ale tylko wstała, żeby pójść sprawdzić na półce cenę taśmy klejącej. Przyniosła pomarańczową nalepkę i przycisnęła ją do lady.

– Musiałaś wiedzieć, jak różni ludzie się tu wprowadzali i wyprowadzali przez te lata. To zaszczytna pozycja posiadać pocztę, być ważną częścią miejscowej społeczności. Obawiam się, że kiedy ostatnio tu byłem, zachowałem się dość opryskliwie. Do tej pory nie mogę pozbierać się po tym, jak Miriam... no, wiadomo.

Wbił wzrok w podłogę. To beznadziejne. Vera nie chce z nim rozmawiać. Zawalił sprawę.

– Była uroczą kobietą, ta twoja żona.

Podniósł głowę. Usta Very nadal były zaciśnięte.

– Tak, to prawda.

– Jej matka zresztą też.

– Znałaś ją?

– Przyjaźniła się z moją matką.

– To może potrafiłabyś mi pomóc. Próbuję przypomnieć sobie imię pani Kempster. Czy to było Pearl?

– Tak, owszem. Pamiętam, byłam młodą dziewczyną, kiedy raz matka kazała mi usiąść, bo chce mi powiedzieć o dwóch ważnych sprawach. Jedna, że znaleziono martwą Marilyn Monroe, a druga, że Pearl Kempster pozwoliła zamieszkać u siebie swojemu absztyfikantowi, choć jeszcze nie uzyskała rozwodu.

– A Marilyn Monroe umarła w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim?

– Zgadza się.

– Masz dobrą pamięć.

– Dziękuję, Arthurze. Lubię ćwiczyć szare komórki. Ten nowy wybranek Pearl był draniem, tylko że ona tego nie widziała. Nic dziwnego, że biedna Miriam uciekła.

– Wiesz coś o tym?

– No pewnie. Co miała robić? Rodzice się rozstali, matka wzięła sobie jakiegoś brutala. Sądzę, że to dlatego Miriam pojechała za tamtym doktorkiem, u którego pracowała, aż do Indii. Z jakiego innego powodu miałyby zmykać na koniec świata?

Arthur zamrugał. Dopiero teraz go olśniło. Zrozumiał, skąd ta kwaśna mina pani Kempster i rezerwa wobec niego. Rozwód, ucieczka córki za granicę, wiarołomny kochanek. Nieźle dostała od życia w kość.

– Dziękuję, Vero. Bardzo mi pomogłaś.

– Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie. – Poprawiła na nosie szylkretowe okulary. – Myślisz pewnie, że ja tu całymi dniami plotkuję, co?

– Ja... no...

– A to nieprawda. Rozmawiam z ludźmi tylko o tym, o czym wiedzą, co jest im dobrze znane. Poczta to miejsce, gdzie spotykają się ludzie z okolicy. Ważne dla życia naszej społeczności.

– Rozumiem. Jeszcze raz dziękuję. – Zrobiło mu się głupio, bo Vera była taka uprzejma.

Kiedy odwrócił się, by wyjść, zobaczył, że otacza go wianuszek emerytów. Z głowami przekrzywionymi pod różnym kątem przysłuchiwali się jego rozmowie z Verą. Nagle przypomniały mu się zombie z filmu, który oglądał późnym wieczorem w telewizji, czyhające na swoje ofiary, by wyjadać im mózgi. Ale chyba niesprawiedliwie oceniał tych ludzi. Pewnie tylko byli samotni, tak jak on.

– Dzień dobry. – Podniósł rękę. – Miło was widzieć. Musiałem chwilę pogawędzić sobie z Verą. Przepuście mnie? Dziękuję. Dzięki.

Wyszedł na zewnątrz. Zza chmur pokazało się słońce. Rozwiązał tajemnicę kolejnej przywieszki. Nie odkrył niczego strasznego. Może z innymi będzie podobnie, nie ujawnią żadnych kochanków, nie nasuną wątpliwości, nie obudzą niepokoju w sercu. Tak, poczuł się teraz lepiej.

– O, witaj. – Z drugiej strony ulicy zauważyła go Bernadette i pomachała do niego. Pociągnęła Nathana i podeszli do Arthura. – Patrzcie, patrzcie. Pojechałeś do Graystock i teraz nie potrafisz już usiedzieć na miejscu. Nagle stałeś się wytrawnym podróżnikiem niczym Michael Palin².

Arthur uśmiechnął się.

– Zajrzałam do ciebie dzisiaj, przyniosłam ci paszteciki. Ale ten miły człowiek z naprzeciwka, ten z kosiarką, powiedział mi, że wyjechałeś. Więc paszteciki dostała pani Monton.

– Przepraszam. Powinienem był cię uprzedzić.

– Nie musisz mi się spowiadać, Arthurze. Nie jestem twoją opiekunką. Miło widzieć, że znów jesteś w ruchu.

– Jak tam poszukiwania uniwersytetu? – zwrócił się do Nathana.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

– Nieźle...

– Ten w Manchesterze wydaje się interesujący – powiedziała Bernadette. – Bardzo nowoczesny.

– Świetnie.

– Masz plecak – zauważyła Bernadette.

– Tak. I sandały.

– Wyglądasz jak prawdziwy podróżnik.

– Byłem w Londynie.

Nathan uniósł wzrok, wyraźnie zaciekawiony. Arthur nie wdawał się w szczegóły. Nie chciał mówić o de Chauffancie.

– Masz jakieś plany na jutro? – spytała Bernadette. – Szykuje rag pudding. Wiesz, mielone mięso duszone w bawełnianej serwetce.

Arthurowi ślinka napłynęła do ust, ale już podjął decyzję.

– Wybieram się do córki – odparł. – Zbyt długo już się nie widzieliśmy.

Nie chciał ryzykować, że Lucy zniknie z jego życia, tak jak Miriam odsunęła się od Pearl.

– Bardzo dobrze. No, miło było cię spotkać. Może innym razem?

– Koniecznie. Bywajcie.

Arthur wyjął komórkę i zadzwonił do córki. Kiedy nie odebrała, rozłączył się, ale zaraz znów wybrał jej numer i nagrał wiadomość. „Lucy, tu tata. Byłem w Londynie. Dzwonię tylko, żeby spytać, czy moglibyśmy zacząć od nowa. Bo... tęsknię za tobą i myślę, że powinniśmy znów być rodziną. Muszę z tobą pomówić o czymś związanym z mamą. Wpadnę do ciebie o dziesiątej trzydzieści jutro rano. Mam nadzieję, że cię zastanę”.

Potem włożył zakupy z poczty do plecaka i skierował się w stronę domu. Teraz wiedział już, z jakiego powodu Miriam wyruszyła w swoje podróże. Ale dlaczego nic mu o nich nie powiedziała?



Kiełkuje nowe

Coś się zmieniło, kiedy Arthur obudził się następnego ranka. Przede wszystkim zasnął. Jego budzik stanął, cyfry pokazywały trzecią. Wiedział, że to nie ta godzina, bo na zewnątrz było jasno i słyszał warkot kosiarki Terry'ego. Na zegarku ręcznym zobaczył, że jest dziewiąta. Dawniej wpadłby w panikę. Już od godziny powinien być po śniadaniu. Ale teraz opadł z powrotem na poduszkę, myśląc jedynie o tym, że dziś pójdzie do Lucy.

Kiedy wstał, nie wyłożył sobie ubrań na łóżko. Poszedł na dół w piżamie. Zdecydował, że miseczkę płatków postawi na kolanach i będzie jadł przed telewizorem, zamiast siedzieć samotnie przy zbyt wielkim stole w kuchni. Złamał swoje codzienne obyczaje i było to całkiem przyjemne.

Wyszedł z domu o dziewiątej czterdzieści pięć, co dawało mu mnóstwo czasu na dojście do celu. Terry pomachał do niego.

– O, wróciłeś, Arthurze. Córka cię szukała.

– Możliwe.

– Mhm. Wyraźnie się martwiła. No wiesz, rzadko gdzieś się wypuszczasz.

– To prawda. – Arthur zastygł, z jedną nogą wysuniętą naprzód, gotów ruszyć dalej. Ale po chwili zmienił zdanie i przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby porozmawiać z sąsiadem. – Pojechałem do Graystock Manor w Bath, a potem do Londynu. Trochę zwiedzania i takie tam rzeczy.

– Brawo, wspaniale. – Terry oparł się o kosiarkę. – To dobrze, że wychodzisz i znów jesteś w ruchu... starasz się cieszyć życiem.

– Dzięki.

– Pamiętaj, że zawsze możesz wpaść do mnie, żeby pożyczyć soli czy cukru albo pogadać. Zapraszam. Mieszkam sam, towarzystwo jest mile widziane. To jakoś nie najfajniej zostać samemu, co?

– Rzeczywiście.

– I miło byłoby znów cię spotkać w Jaskiniowcach.

– Bobby dalej wszystkimi dyryguje?

– O, tak. A moje rzeźby nadal są dość paskudne. Stale robię zółwie, które wyglądają jak auta.

Arthur wspiął się na palce.

– A skoro już o tym mowa... – Zmrużył oczy, wpatrując się w coś, co ruszało się na misternie przystrzyżonym trawniku sąsiada.

Terry teatralnie westchnął.

– O nie, znowu... – Wielkimi krokami podszedł, schylił się i po raz kolejny złapał żółwia uciekiniera. – Co jest w moim ogrodzie, że tak tu się podoba gadom?

– Może to ciebie lubią.

– Może. Albo on po prostu szuka przygód. Nie chce siedzieć w zamknięciu.

*

Idąc do Lucy, Arthur chłonał widoki i dźwięki, na które zwykle nie zwracał uwagi. Co jakiś czas przystawał, żeby podziwiać, w jak pięknej okolicy mieszka. Pola w oddali tworzyły szachownicę zieleni. Dostrzegł stokrotki wyrastające spomiędzy płyt chodnika. Był świadom każdego kroku, który stawiał, poczynając od bólu w kostce, a kończąc na radości, że jest coraz bliżej córki.

Wieże katedry Yorku połyskiwały w słońcu złotem, a Arthur za nic nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz wszedł do środka. Nigdy nie sporządzał żadnych list z zadaniami do wykonania, każdego dnia przyjmował, co niesie los, robił to, czego chciała Miriam i dzieci, ale teraz pomyślał, że może zacznie wyznaczać sobie cele.

Dotarł do domu Lucy i uświadomił sobie, że nie był tu od wielu miesięcy. To córka przychodziła do nich, na Boże Narodzenie, na urodziny, z cotygodniowymi wizytami – które zresztą stopniowo ustały po śmierci Miriam. Nie był nawet przekonany, czy odebrała jego wiadomość.

Drzwi były świeżo pomalowane na szkarłatny kolor, a ramy okienne śnieżnobiałe. Kiedy Lucy otworzyła, miał chęć podejść do niej i mocno ją uściskać, tak jak wtedy Mike'a, ale powstrzymał się, bo nie wiedział, jak by zareagowała. Już nie był pewien, co ona do niego czuje.

– Wejdz – powiedziała i otworzyła drzwi.

Miała na sobie biały fartuch i zielone gumowe rękawice ogrodowe. Ubrudziła twarz ziemią, ciemna smużka biegła od oka do brody. Odwróciła się i przez moment wyglądała całkiem jak jej matka. Arthur stanął jak wryty. Niesamowite podobieństwo. Taki sam garbek na nosku, niebieskozielone oczy i aura spokoju.

– Tato? Nic ci nie jest?

– Nie... tylko... wydałaś mi się tak bardzo podobna do mamy. Przez chwilę.

Lucy szybko uciekła wzrokiem.

– Wejdz – powtórzyła. – Możemy pójść do ogrodu. Za ładna pogoda, żeby siedzieć w środku.

Arthur pamiętał, że w jadalni leżał dawniej beżowy dywan, teraz widać było gołe deski podłogi. Przy drzwiach stały męskie kalosze. Czy to stare gumowce Anthony'ego, czy własność jakiegoś nowego mężczyzny? Nie wiedział nawet, czy Lucy ma kogoś innego, czy też nadal oplakuje swoje małżeństwo.

Tak jakby czytała w jego myślach, powędrowała oczami za jego wzrokiem.

– Są za duże, ale wkładam je do prac w ogrodzie. Nie oddam ich Anthony'emu, a są za dobre, żeby się ich pozbyć. Kilka par grubych skarpet i właściwie całkiem pasują.

– Nieźle. Wyglądają na solidne. Powinienem kupić sobie nowe kalosze. Moje są dziurawe.

– To rozmiar czterdzieści cztery.

– O, zawsze miałem czterdzieści cztery. Teraz noszę czterdzieści dwa.

– Weź je sobie.

– Nie. Nie mogę. Przydają ci się...

– Są za duże. – Podniosła kalosze i wetknęła mu do rąk. – Proszę, weź.

Chciał dalej się wzbraniać, ale dostrzegł determinację w jej oczach. Było jej przykro. Więc ustąpił.

– Dziękuję. Będą w sam raz. Może w rzeczach mamy znajdzie jakieś, które by pasowały na ciebie.

– Miała trzydzieści siedem, a ja noszę trzydzieści dziewięć.

– Aha.

Pogawędzili, uznając zgodnie, że to dobry rok na marchewkę, choć nieco gorszy na kartofle. Wymienili różne potrawy, które można przygotować z rabarbaru, i zalety używania drewnianych patyczków po lizakach do oznaczania grządek. Wspólnie stwierdzili, że sporo było słońca, ale za mało deszczu. Lucy spytała, jakie przysmaki szykuje ostatnio Bernadette, a Arthur powiedział, że szczególnie smakują mu jej paszteciki, ale wolałby nie dostawać od niej ciasta marcepanowego, bo go nie lubi, ale nie chce jej urazić, więc je zjada. Lucy przyznała, że dla niej też marcepan to coś najpaskudniejszego w świecie, co jest dziwne, bo robi się go z migdałów, które uwielbia. Oboje uważali, że

bożonarodzeniowe ciasto byłoby o wiele lepsze z samym lukrem.

Panował upał. Arthur miał na sobie swoje wełniane spodnie i koszulę ze sztywnym kołnierzykiem. Dawniej ubierał się tak dzień w dzień. Teraz zastanawiał się, jakim cudem było mu w czymś takim wygodnie. Doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy nigdy nie lubił tego stroju. Miriam codziennie wykładała mu taki zestaw i stało się to jego uniformem.

Pot spływał mu strużkami po szyi i zbierał się pod kołnierzykiem. Arthur nachylił się i poczuł, jak w talię wrzyna mu się pasek spodni.

– Powinienem wyjaśnić ci te swoje podróże – powiedział.

Lucy wbiła szpadel, pokręciła nim, zgarnęła chwasty i cisnęła je za siebie, nie patrząc, gdzie lądują.

– No tak. Pojechałeś do Graystock Manor, a potem zostawiłeś jakąś mętną wiadomość, że zaatakował cię tygrys.

– Byłem też w Londynie.

Zdecydował, że powinien wyznać jej prawdę. Chciał, żeby dowiedziała się o bransoletce i historiach, jakie się z nią wiązały.

Lucy zacisnęła zęby, co sprawiło, że na jej policzkach pojawiły się dołeczki. Z zapamiętaniem skupiała się na każdym chwaście, przypatrując się mu, a potem wyrywając go z korzeniami.

– Naprawdę martwię się o ciebie.

– Niepotrzebnie.

– Mam powody. Dziwnie się zachowujesz. Co ty wyczyniasz? Skąd te podróże?

Arthur wbił wzrok w swoje buty. Czubki były ubrudzone ziemią od tego kopania Lucy.

– Muszę ci coś wyjaśnić. Żebyś zrozumiała, co robię. Chodzi o twoją matkę...

Lucy nie podniosła głowy.

– No to mów.

Arthur chciał, żeby patrzyła mu w oczy, ale ona dalej koncentrowała się na atakowaniu trawnika. W efekcie wyglądał tak, jakby szalały tu krety.

– Opróżniałem szafę twojej matki. Rok po... no wiesz – zaczął mimo wszystko. – Byłem bardzo zaskoczony, kiedy znalazłem złotą bransoletkę z przywieszkami wepchniętą do jej botka. Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Były na niej różne wisiorki: słoń, serce, kwiatek. Wiesz coś o tym?

Lucy pokręciła głową.

– Nie. Mama nie nosiła takich rzeczy. Bransoletka z przywieszkami? Jesteś pewien, że to jej?

– No, była w jej bucie. A pan Mehra z Indii mówił, że dał jej słońca.

– Słońca?

– Taki wisiorek. Okazuje się, że kiedy pan Mehra był mały, twoja matka pracowała jako niania w ich domu w Goi.

– Tato! – Lucy przysiadła na piętach. Policzki jej poczerwieniały. – Coś pleciesz. Mama nigdy nie była w Indiach.

– Też tak myślałem, Lucy. Ale była. Mieszkała tam. Pan Mehra mi to powiedział i wierzę mu. Wiem, że to brzmi bardzo dziwnie. Staram się odkryć, gdzie jeszcze mieszkała, co robiła,

zanim się pobraliśmy. Dlatego pojechałem do Graystock i do Londynu.

– Nie rozumiem, co tu się dzieje. O czym ty mówisz?

Arthur zaczął powoli tłumaczyć.

– Znalazłem cyfry wygrawerowane na jednym z wisiorów. To był numer telefonu. Rozmawiałem ze wspaniałym człowiekiem w Indiach, który powiedział, że Miriam się nim opiekowała. Dowiaduję się o twojej matce rzeczy, o których nie miałem pojęcia.

– Mama nigdy nie była w Indiach – powtórzyła z uporem Lucy.

– Wiem. Trudno w to uwierzyć.

– To musi być jakieś nieporozumienie.

– Pan Mehra jest lekarzem. Idealnie opisał śmiech twojej mamy i jej woreczek kulek do gry. Wierzę, że mówił prawdę.

Lucy znów zaczęła dźgać ziemię. Przestała na chwilę, żeby zgarnąć czubkiem szpadla robaka i odłożyć go do doniczki, po czym wróciła do kopania. Cały czas mruczała coś pod nosem.

Arthur nie wiedział, jak radzić sobie z emocjami innych. Kiedy w trzynastoletniej Lucy zaczęły nieprzyjemnie buzować hormony nastolatki, stwierdził, że najlepiej wsadzić nos w gazetę i pozwolić, by wszystkim zajęła się Miriam. To ona musiała stawiać czoła łzom wylanym z powodu chłopaków, niebieskim kosmykom we włosach, trzaskaniu drzwiami i nawet ciskanym filiżankom. To ona kazała Danowi się uspokoić, kiedy go ponosiło, i stale mu powtarzała: „Nie odzywaj się w ten sposób do ojca”.

Arthur miał wrażenie, że jeśli ignoruje humory innych, to wszystko z czasem wraca do normy. Ale teraz widział, że córka czymś się zadręcza. To było tak, jakby połknęła rój pszczół, które chcą się z niej wydostać. Nie mógł już tego dłużej wytrzymać.

– Lucy? Co się z tobą dzieje? – Położył dłoń na jej ręce. – Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej.

– W porządku, tato – odparła, mrużąc oczy przed słońcem i marszcząc czoło.

Zawahał się chwilę, czy może dać temu spokój, tak jak to robił wiele razy w przeszłości. Jednak nie odpuścił.

– Nieprawda. Przecież widzę.

Lucy wyprostowała się. Rzuciła szpadel.

– Chyba nie dam rady z tym wszystkim.

– Z czym wszystkim?

– Z tobą, z tymi zwariowanymi podrózkami i dziwnymi opowieściami o mamie. Wciąż staram się jakoś pozbierać po odejściu Anthony’ego. I stracie... – Przeczesała palcami włosy. – Zresztą nieważne.

– Jak to? Oczywiście, że ważne. Nie chcę, żebyś się martwiła. Usiądź, porozmawiaj ze mną. Obiecuję, że postaram się słuchać uważnie. Powiedz mi, co się dzieje.

Przez kilka sekund Lucy wpatrywała się w przestrzeń. Zacisnęła lewy kącik ust, jakby rozważała jego słowa.

– No dobrze – zdecydowała w końcu.

Wyciągnęła z szopy dwa leżaki i ustawiła je jeden obok drugiego na trawie, otrzepując je z kurzu i ziemi rękawicą. Usiedli przodem do słońca, oślepieni światłem, więc cokolwiek

mówili, musiało obejmąć się bez patrzenia sobie w oczy. Dlatego stawało się to jakby bezosobowe.

– O co chodzi?

Lucy wzięła głęboki wdech.

– Chciałabym ci wyjaśnić, dlaczego nie poszłam na pogrzeb mamy. Powinieneś wiedzieć.

– Było, minęło. Nie czułaś się na siłach. Pożegnałaś ją na swój sposób.

Powiedział te słowa, bo już jej wybaczył, choć strasznie bolało go, że się nie pokazała. Każdą cząstką swojego ciała pragnął zrozumieć, jak mogła tak postąpić.

– Byłam chora, ale jest coś jeszcze. Tak mi przykro...

I nagle zaczęła płakać. Arthur patrzył ze zdumieniem. Jego córka nie była już małą dziewczynką. Czy ma ją objąć? Posłuchał instynktu i podniósł się z leżaka. Staął, jego sylwetka odcinała się na tle słońca, uklęknął. Otaczając córkę ramionami, przytulił ją mocno, tak jak powinien to robić wiele razy, kiedy dorastała. Przez chwilę stawiała opór, ciało jej zeszywniało, nie odwzajemniając uścisku. Ale potem, jak marionetka, której ktoś poluzował sznurki, wtuliła się w niego miękko, z głową pod jego brodą. Obejmowali się tak przez jakiś czas, z całych sił, jakby chodziło o życie.

– Co się stało?

Opanowała szloch, ale zaraz odpuściła i z jej piersi wyrwał się taki jęk, jakiego Arthur jeszcze nigdy nie słyszał. Zdławione zawodzenie. Przełknęła ślinę i otarła z brody strużkę.

– Poroniłam, tato. W piętnastym tygodniu ciąży. Miałam robione USG i wszystko wydawało się w porządku. Chciałam

powiedzieć tobie i mamie, kiedy się spotkamy, bezpośrednio. Uznałam, że to zbyt ważne na telefon. To była dla mnie wielka sprawa. Umówiłam się, że wpadnę do was na herbatę, pamiętasz? Planowałam, że wtedy powiem wam o ciąży. – Westchnęła z rozpaczą. – Dzień po badaniu dostałam silnych bólów brzucha. Zwinęłam się w kłębek na podłodze w łazience. Dziecko zaczęło się rodzić przedwcześnie. Anthony wezwał karetkę. Przyjechali w ciągu kilku minut, ale nic nie mogli zrobić. – Pokręciła głową. – Przepraszam. Nie chcę do tego wracać. Z Anthonym oddaliśmy się od siebie, jeszcze zanim dowiedziałam się, że jestem w ciąży. A potem umarła mama. Staralam się pozbierać. Zmuszałam się, żeby wstać z łóżka, umyć się i ubrać, ale w dniu pogrzebu mamy się załamalam. Nie byłam w stanie iść do kościoła, patrzeć na trumnę, modlić się, płakać. To tam braliśmy z Anthonym ślub. Naprawdę przepraszam, tato.

Arthur milczał, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał. Teraz wszystko wydawało się logiczne, nawet to, że Lucy tak się od niego oddaliła. Próbował nie myśleć o tym, jak leżała skulona na podłodze w łazience.

– Jesteś bardzo dzielna. Mama by zrozumiała. Szkoda tylko, że nie wiedziałem...

– Musiałeś zająć się pogrzebem. Byłeś zrozpaczony.

– Powinniśmy być razem jako rodzina. Miałem sporo do zrobienia. Musiałem podpisać różne dokumenty, pomówić z lekarzami, ustalić szczegóły ceremonii, załatwić kwiaty. Byłem zajęty i to mnie ratowało. I nie zorientowałem się, że coś jest z tobą nie tak, kiedy rozmawialiśmy.

Lucy skinęła głową.

– Oddaliliśmy się od siebie, prawda? Kiedy ja próbowałam ratować swoje małżeństwo... A Dan wyjechał.

Arthur wyciągnął rękę i otarł łzę z jej policzka.

– Ale jesteśmy tu teraz razem.

Lucy uśmiechnęła się blado i rozejrzała dokoła.

– Co ja zrobiłam z moim ogródkiem?

– To tylko trawa.

Odchyliła się z powrotem na leżaku, podkładając jedną rękę pod głowę.

– Często myślisz o mamie?

– Cały czas.

– Ja też. Chwytam telefon i już chcę do niej dzwonić, gdy przypominam sobie, że jej tu nie ma. Ale udaję, że jest. Wyobrażam sobie was razem w domu, ona krząta się, ściera kurze albo pisze listy. Gdybym tak nie myślała, to chyba nie dałabym już rady.

Arthur skinął głową. Zerwał stokrotkę i obracał ją w palcach.

– Cieszę się, że do ciebie wpadłem.

– Ja też. Ale muszę zatelefonować do Dana, uspokoić go, że wszystko w porządku.

– W porządku?

– Kiedy wyjechałeś z Bernadette, a potem zostawiłeś mi tę wiadomość, że zaatakował cię tygrys, zadzwoniłam do Dana. Myślałam już, że chyba...

– Co?

– Że dopadła cię demencja albo coś w tym rodzaju.

– Och, Lucy, przepraszam. Sądzę, że z moją głową nie dzieje się nic złego. Ale ta bransoletka coś we mnie obudziła... Potrzebę, żeby dowiedzieć się więcej o mamie. Nie chciałem cię wystraszyć.

Córka przyjrzała mu się uważnie. Miał to samo dobrotliwe spojrzenie, ten sam zaczerwieniony nos co zwykle. Wierzyła, że nic mu nie dolega.

– Cieszę się, że nic ci nie jest – powiedziała z ulgą. – To prawda z tą bransoletką? Te przywieszki i Indie?

– Tak. – Wyjął z kieszeni bransoletkę i podał jej.

Lucy obejrzała z bliska każdą z przywieszek. Pokręciła głową.

– To nie wygląda na coś, co mogłoby należeć do mamy.

– Ale to jej bransoletka. Wiem na pewno.

– No to chciałabym usłyszeć coś więcej. Opowiedz mi o swoich przygodach.

Arthur skinął głową. Wyjaśnił, jak znalazł bransoletkę. Powiedział o tygrysie, podwijając wysoko rękaw, by pokazać rany. O tym, że martwi się o Sebastiana, który zajmuje się starym de Chauffantem, i o tym, że suczka Mike'a ma na imię Lucy. I o wizycie u Pocztovej Very.

Lucy obracała szmaragd w przywieszce ze słońcem.

– Nie do wiary.

– Powinienem dać ci znać, ale to wszystko wydawało się tak nieprawdopodobne.

– Już rozumiem. – Lucy oddała mu bransoletkę. – A dokąd teraz?

Wzruszył ramionami.

– Nie bardzo wiem. Na palecie są inicjały. S.Y. Tamten jubiler nie umiał tego wyjaśnić.

– Musisz szukać dalej.

– A jeśli odkryję kolejne tajemnice, które powinno się zostawić w spokoju? Im więcej wychodzi na jaw, tym więcej jest znaków zapytania.

– Ale czy nie lepiej wiedzieć? Pamiętasz, jak mama przed śmiercią dała mi swoje pudełko w biało-różowe paski, takie po czekoladkach? Jest tam mnóstwo zdjęć. Nie potrafiłam zdobyć się na to, żeby je przejrzeć. Mogę je teraz przynieść... – Zawiesiła głos, jakby czekała na jego decyzję.

Arthur zapomniał już o tym pasiastym pudełku, które Miriam trzymała w szafce nad łóżkiem. Spytała go, czy nie ma nic przeciwko temu, żeby dała je Lucy, i oczywiście nie miał. Pamiętał ludzi i różne rzeczy, ale nie był sentymentalny i nie pstrykał fotografii. Nie zbierał biletów kolejowych z podróży ani pocztówek, ani pamiątek z wakacji. Popatrzył w niebo, a potem na rozkopany trawnik.

– Jak chcesz – powiedział.

Lucy poszła po pudełko, a potem usiedli przy stole w kuchni. Kiedy zdjęła pokrywkę, Arthur poczuł zapach starego papieru, atramentu i lawendy.

Obserwował, jak córka wyjmuje plik fotografii i przegląda każdą po kolei. Przekładała je z uśmiechem. Pokazała jedną Arthurowi. Zobaczył, że jest z dnia ich ślubu. Czarna kędzierzawa czupryna opadała mu na prawą brew, a rękawy marynarki były przydługie, prawie do połowy dłoni. Miriam miała na sobie suknię ślubną swojej matki, przekazywaną

z pokolenia na pokolenie. Jej babka też w niej wychodziła za mąż. Na Miriam była nieco za luźna w pasie.

– Jesteś pewien, że nie chcesz pooglądać? – spytała Lucy.

Arthur pokręcił głową. Nie chciał patrzeć na zdjęcia z przeszłości.

Kiedy Lucy skończyła, zajrzała do pudełka.

– Coś tu utknęło w rogu – powiedziała, próbując to wydobyć kciukiem i palcem wskazującym.

– Daj, ja spróbuję – zaproponował Arthur.

Udało mu się wyciągnąć zgnieciony papierek. Podał go Lucy, a ona go rozprostowała. Był szary, ze spłowiałym nadrukiem.

– Wygląda na kawałek firmowej wizytówki albo stary rachunek. – Przyjrzała się bliżej i przeczytała: – *Le Dé à Coudre d'Or*. Coś tam było niżej napisane, ale zostało oddarte. Pewnie jakieś cyfry.

Popatrzyli na siebie, starając się domyślić, o co chodzi..

– Nic mi się z tym nie kojarzy. – Arthur wzruszył ramionami.

– Po francusku *d'or* to chyba „złoto” – powiedziała Lucy. – Sprawdzę w telefonie.

Arthur wziął papierek.

– Te cyfry oznaczały pewnie rok: tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty. Ten, w którym się z mamą pobraliśmy.

Lucy postukała w ekran komórki, żeby poszukać tłumaczenia. Zmarszczyła czoło i spróbowała znowu.

– Myślę, że coś znalazłam – powiedziała. – *Le Dé à Coudre d'Or*. To znaczy „złoty naparstek”. W Paryżu jest taki butik

z sukniami ślubnymi.

– W Paryżu?

Arthur przypomniał sobie szpilki w mapie wiszącej na ścianie sypialni Miriam. Wielka Brytania, Indie... i Francja. Nie pamiętał, czy szpilka była wbita w Paryż.

Lucy obróciła ekran telefonu w jego stronę. Na zdjęciu widać było uroczy sklepik z gustowną białą, wąską suknią na wystawie.

Arthur miał wrażenie, że serce mu zamarło. To nie mógł być przypadek. Złoty napastrzek przy bransoletce Miriam i kawałek papieru z taką nazwą sklepu i z rokiem ich ślubu. Musiał istnieć jakiś związek. Ale czy był gotów dowiedzieć się jeszcze więcej o swojej żonie? Czy przez to nie poczuje się tylko bardziej skołowany i zraniony, zwłaszcza że ten napastrzek może zaprowadzić go do Paryża?

– Sądzisz, że powinniśmy tam pojechać? – spytała cicho Lucy.

Arthur właśnie się nad tym zastanawiał.

– Wydaje się, że to dobry trop...

– Mama dała mi kiedyś trochę pieniędzy, jak zaczęła dostawać emeryturę. Powiedziała, żebym wydała je na przyjemności, ale nigdy tego nie zrobiłam. „Wydadaj je na siebie. Na coś wyjątkowego. Zakazuję ci kupować za to sprzęt do domu czy płacić z tego rachunki” – zacytowała matkę Lucy. – Pamiętam dokładnie jej słowa. Pomyślałam, że zafunduję sobie coś miłego, kiedy będę miała dziecko, ale jakoś nie było mi to dane... Nadal mam te pieniądze, schowane w słoiku, w mojej szafie.

– Powinnaś wydać je na siebie. Tak jak mówiła mama. Kup sobie coś ładnego.

– Już zdecydowałam, że zrobię prezent nam obojgu. Masz chęć wybrać się do Paryża? Wstąpilibyśmy do butiku z sukniami ślubnymi.

Arthur nie namyślał się długo. Jeśli nawet nie odkryje nic nowego na temat bransoletki, to przynajmniej będzie miał okazję nacieszyć się czasem spędzonym z córką.

– Cudowna perspektywa. Jedźmy – powiedział.



Naparstek

Gdyby zapytano kiedyś Arthura, jak wyobraża sobie Paryż, powiedziała, że tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiał. Widział wieżę Eiffla na podkładkach pod talerze, kupionych przez Miriam za pół ceny na wyprzedaży w Sainsbury, i oglądał kiedyś program o wycieczce po Sekwanie statkiem, którego kapitan najwyraźniej cierpiał na chorobę morską i miał alergię na dogadzanie turystom. Arthur pomyślał wówczas, że woda wygląda na mętną i że gdyby już miał wybrać się w rejs, to raczej na jakimś błyszczącym białym statku z basenem na pokładzie, pływającym od portu do portu po Morzu Śródziemnym. Paryż nie był jednym z tych miejsc, o których marzył.

Jednak Miriam bardzo interesowała się wszystkim co francuskie. Kiedy dostali na to ofertę, zaprenumerowała sobie magazyn „Viva!”, gdzie było mnóstwo zdjęć eleganckich,

tańczących wśród kałuż kobiet, które trzymały w rękach parasole, popijały kawę z malutkich filiżanek albo woziły miniaturowe pieski w koszykach rowerowych.

O ile sobie przypominał, nigdy nie nalegała, żeby pojechali do Paryża. Powiedziała, że wszystko jest tam bardzo drogie. Myślał, że wie to ze swojego czasopisma. On z kolei miał w głowie stereotyp. Ludzie w pasiastych koszulkach, wianki czosnku i bagietki wystające z koszyków.

I znów czekało go zaskoczenie. Tak jakby wszystko, co sądził, że wie, albo co myślał, musiało zostać skorygowane. Paryż był piękny.

Stał na ulicy i chłonał widok jak z pocztówki. Chudy czarny kot śmignął przed nim po chodniku. Biała kopuła Sacré-Coeur lśniła w słońcu jak lukrowany tort. Zza żaluzji okien mieszkania nad kawiarnią dobiegały dźwięki skrzypiec.

Obok przejechał jakiś rowerzysta, pogwizdując ładną melodię. Arthur poczuł zapach świeżego chleba z piekarni i ślinka napłynęła mu do ust na widok wysokiego stosu różowych makaroników i bez na ladzie ze słodyczami.

Płatki kwiatów opadały z drzew, kiedy przechodził przez jezdnię, zmierzając do butik. Lucy nie chciała iść do tego małego paryskiego sklepu z sukniami ślubnymi. Bała się, że powrócą do niej wspomnienia o nieudanym małżeństwie z Anthonyem.

– Wypiję kawę i zjem croissanta w kawiarni naprzeciwko. Poczekam na ciebie – oznajmiła. Po czym dodała: – Powodzenia.

Na wystawie, na białym metalowym ogrodowym krześle, leżała udrapowana suknia ślubna. Z góry zwisała klatka,

w której siedział pokryty białymi piórami gołąb z papier mâché. Suknia miała kolor perłowy, stanik był misternie wyszywany maleńkimi perełkami układającymi się w kształt muszli. Haftowana spódnica przypominała fale. Kreacja godna syreny. Napis głosił: *Le Dé à Coudre d'Or*. A niżej, mniejszymi literami: *Propriétaire: Sylvie Bourdin*.

Arthur sięgnął do dużej mosiężnej gałki u drzwi i odruchowo spojrzął na wierzch swojej dłoni. Niemal przezroczysta skóra z całą mapą niebieskich żył pod spodem. Paznokcie grube i pożółkłe. W szkle drzwi nie widać było odbicia młodego człowieka, który poślubił Miriam. W jego miejsce pojawił się stary, ze zbyt bujną siwą czupryną i twarzą pomarszczoną jak orzech. Jak to szybko zleciało. Czasami ledwie się rozpoznawał. Uśmiechnął się cierpko, stwierdzając, że chociaż przednie zęby pozostały takie same. Trochę krzywe.

Kiedy wchodził, brzęknęły malutkie dzwoneczki. W sklepie było tak elegancko, że aż się wzdrygnął. Biała marmurowa posadzka lśniła pod wielkim jak koło traktora żyrandolem. Szereg sukni ślubnych wisiał na stojaku przy jednej ze ścian. Na złotym tronie, obitym niebieskim aksamitem, siedział malutki piesek, szpic. Miał niebieską, nabijaną ćwiekami obrózkę, w takim samym kolorze jak fotel.

W łukowatym przejściu pojawiła się jakaś pani. Miała na sobie nienagannie skrojony kobaltowoniebieski kostium, a na przegubie dłoni pełno złotych kółek. Oceniał, że jest mniej więcej w jego wieku, choć zadbana cera, umalowane rzęsy i pociągnięte karminową szminką usta sprawiały, że wyglądała

na piętnaście lat młodszą. Platynowoblond włosy były zaczesane w wysoki kok. Miała gibkie ciało tancerki.

– *Bonjour, monsieur* – powitała go śpiewnie. – *Comment puis-je vous aider?*

Arthur poczuł się jak w szkole na lekcji francuskiego, kiedy rozpaczliwie szukał odpowiednich słów. Nigdy nie przykładał się do języków, mówiąc sobie, że i tak nie będzie na tyle daleko wypuszczał się z Yorku, żeby je wykorzystać.

– *Bonjour* – powiedział, ale na tym utknął i tylko uśmiechnął się, żeby jakoś nadrobić swoją ignorancję. – Ja... chciałbym zobaczyć się z *madame* Bourdin, właścicielką butiku.

– To ja, *monsieur*.

– O, jak dobrze. – Odetchnął z ulgą. – Mówi pani po angielsku.

– Próbuję. *Comme ci, comme ça*. – Jej śmiech przypominał dźwięk dzwoneczków zawieszonych nad drzwiami. – Czasami moje słowa nie tak dobre. Szuka pan czegoś na ślub?

Machnęła przed nim ręką, niczym różdżką.

Arthur spojrział po sobie, jakby niemal spodziewał się, że jego ubiór w magiczny sposób zmienił się w strój księcia z bajki.

– O, nie – odparł. – Nic takiego. To już naprawdę nie dla mnie. Przyszedłem zobaczyć się z panią. Tak sądzę.

– *Moi?* – Przycisnęła dłoń do piersi. – Jak miło. Proszę, niech pan siądzie. – Podeszła do białego biurka i wskazała mu krzesło naprzeciwko. Kolejny niebieski tron. – Czym mogę służyć?

Arthur wyjął z kieszeni fotografię i położył ją na biurku. To była ta z Miriam i dziećmi na plaży w Scarborough.

– Od dawna ma pani ten sklep?

– *Ah, oui*. Wiele, wiele lat. Od początku.

– To myślę, że mogła pani znać moją żonę.

Uniosła brew, po czym wzięła zdjęcie i chwilę mu się przyglądała. Potem popatrzyła na Arthura. Zrobiła okrągłe oczy.

– Ojej. To Miriam, *non*?

Arthur skinął głową.

Jeszcze raz przyjrzała się fotografii.

– A pan jest... Arthur?

– Tak. – Serce mu zadrżało. – Wiedziała pani o mnie?

– W dawnych czasach Miriam do mnie pisała. Nie za często, ale i ja nie byłam najlepsza w podtrzymywaniu kontaktu. Jestem dobrą projektantką sukien, ale z pisaniem listów u mnie gorzej. Dała mi znać, że wychodzi za mąż za uroczonego mężczyznę, który ma na imię Arthur. Byłam zaproszona na wasz ślub, ale niestety, musiałam zostać w Paryżu. Opiekowałam się mamą. zaproponowałam Miriam suknię z mojego butik, ale ona włożyła sukienkę swojej matki, tak? Wysłałam jej więc zamiast tego prezent. Malutki wisiołek, który znalazłam w jakimś sklepie z antykami. Złoty napałek. To nazwa mojego butik.

– Moja córka i ja znaleźliśmy kawałek papieru z tą nazwą.

– Do wisiora dołączyłam małą karteczkę z życzeniami.

Arthur wyjął z kieszeni bransoletkę i podał ją.

– To ten wisiołek! – zawołała *madame* Bourdin. – Miriam zawsze nosiła tę bransoletkę. I dlatego, jak tylko go zobaczyłam, musiałam go dla niej kupić.

– Staram się odkryć historie, które łączą się z każdą z tych przywieszek, *madame*.

– *Madame*. Oj. Mów do mnie Sylvie. Zadajesz mi pytania, a nie lepiej, żeby opowiedziała ci o wszystkim sama Miriam? – Jej głos stał się o oktawę wyższy, czekała. – Jest tu z tobą? Minęło tyle lat.

Arthur spuścił wzrok.

– Niestety. Umarła. Rok temu.

– O, nie! Tak mi przykro, tak strasznie mi przykro. *C'est terrible*. Myślałam o niej często przez te lata. Tyle razy obiecywałam sobie, że ją odzukam i odezwę się do niej. Ale ciągle jestem tak bardzo zajęta sklepem i wiecznie było coś pilniejszego. Są jednak ludzie, którzy na zawsze zostają w naszym sercu, prawda? O których się nie zapomina.

– Jak się poznaliście?

– Przez mężczyznę. Miał na imię François.

– De Chauffant?

– Tak. Wiesz o nim?

– Niewiele.

– Byłam jedną z jego dziewczyn, gdy Miriam dla niego pracowała. Żadnej z nas nie traktował dobrze. Kiedy oprzytomniałam i postanowiłam wracać do Paryża, zaproponowałam Miriam, żeby jechała ze mną. Uciekłyśmy więc razem! Nie miałyśmy żadnego planu ani pieniędzy. Jedna wielka przygoda. – Zawahała się. – Na co umarła?

– Na zapalenie płuc. Nagle. Straszny szok.

Sylvie pokręciła głową.

– Była taka dobra. Kiedy się poznałyśmy, bardzo kiepsko mówiłam po angielsku, a ona słabo znała francuski, ale od razu się polubiłyśmy. Wiesz, że pomogła mi założyć ten sklep?

Zawsze chciałam mieć mały butik z sukniami ślubnymi. Razem z Miriam siadywałyśmy na ławce nad Sekwaną i karmiłyśmy łabędzie. Rozmawiałyśmy o naszych marzeniach albo raczej to ja jej opowiadałam o swoich. Zawsze byłam... jak to się mówi? Marzycielką?

Arthur skinął głową.

– Pewnego dnia przechodziłyśmy obok hurtowni. Likwidowali ją. Wyprzedawali suknie ślubne bardzo tanio, całymi pudłami. Na ulicy stała zaparkowana furgonetka i jacyś dwaj mężczyźni ładowali towar. Przystanęłyśmy, żeby popatrzeć. Kiedy samochód odjechał, jeden z mężczyzn, właściciel, zauważył, że jesteśmy zainteresowane, i spytał, czy może chcemy kupić resztę sukien. Miriam nie za bardzo rozumiała, co on mówi, więc tłumaczyłam. Sukienki miały korzystną cenę, choć dla mnie i tak za wysoką. Byłam bardzo biedna, żywiłam się tylko chlebem i serem. Ale Miriam kazała mi się nie poddawać. Poradziła, co mam powiedzieć, i posłuchałam jej. Oznajmiłam mu, że jestem młoda i szukam możliwości sprzedawania sukien ślubnych, a on może pomóc mi odmienić moje życie. Jakoś udało nam się wspólnie go oczarować. W końcu kupiłam dwadzieścia sukien za pół ceny, jaką wyznaczył wcześniej. Dostałam więc cały ten towar, ale nie miałam gdzie tego sprzedawać, żadnego sklepu, a moje mieszkanko było na trzecim piętrze, nad pralnią. Miriam pokręciła głową i powiedziała: „Przecież jest świetne miejsce!”. Powiesiłyśmy suknie na kwitnącym drzewie i sprzedawałyśmy je na ulicy. Wyglądały pięknie, unosząc się w słońcu niczym egzotyczne ptaki. Przechodziło tamtędy mnóstwo eleganckich

pań i nawet jeśli same nie planowały ślubu, opowiadały o nas koleżankom. Zadziałała poczta pantoflowa. Pod koniec dnia zostały nam tylko dwie suknie. I tak zaczął się mój biznes. A raczej powinnam powiedzieć: rozkwitł. Wróciłyśmy do hurtownika i kupiłyśmy kolejne pudło sukien. I tak przez trzy dni. Na koniec miałam już dość pieniędzy, żeby wynająć na trzy miesiące ten sklep. Przez lata interes się rozrósł. Teraz sama projektuję suknie, ale wszystko zaczęło się od tego, jak z twoją żoną zawiesiłam dwadzieścia sukien na drzewie.

– Piękna historia. – Arthur nigdy o niej nie słyszał, ale mógł sobie wyobrazić Miriam i Sylvie jako młode dziewczyny, ze śmiechem sięgające na kwitnące drzewo.

– Kiedy wróciła do Anglii, przez jakiś czas pisywałyśmy do siebie. Ja miałam sklep, a Miriam niedługo potem dzieci. I tak zleciało.

W trakcie tej opowieści Arthur zaczął sobie coś przypominać. Miriam wspominała o przyjaciółce, która ma sklep z sukniami. Nie był pewien, czy dodała coś o Francji, czy nie. Nie robiła więc z tego rozdziału swojego życia tajemnicy. Od czasu do czasu wtrącała coś po francusku – *pourquoi* lub *merci*. Teraz wyrzucał sobie, że nie zwracał na to większej uwagi. Po powrocie z pracy trudno było mu skupić się na czymś więcej niż na filiżance herbaty. Kiedy dzieci leżały już w łóżkach, cieszył się chwilami spędzonymi z żoną. Ale rozmawiali raczej o tym, co się działo w ciągu dnia, nie o przeszłości. Żałował, że nie interesował się bardziej wcześniejszym życiem Miriam.

– Musisz wybrać się ze mną na kieliszek szampana i małe co nieco dla uczczenia pamięci Miriam – powiedziała Sylvie. – Opowiem ci więcej o tym, jak się poznałyśmy i jak się bawiłyśmy. Spędziłyśmy razem tylko kilka miesięcy, ale te wspomnienia pozostały na zawsze. A ty też może mi coś opowiesz. O waszym wspólnym życiu i o dzieciach. Chcę dowiedzieć się więcej o swojej przyjaciółce.

*

Minęła ponad godzina, nim Arthur dotarł do kawiarni, gdzie czekała Lucy.

– Już myślałam, że przesiedzisz tam cały dzień. – Roześmiała się.

Spojrzał na zegarek.

– Rety, nie sądziłem, że tyle to trwało. Siedziałaś tu cały czas?

– I z wielką przyjemnością. Anthony dawał się wyciągnąć najwyżej do Starbucks!

– *Madame?* – Pojawił się przed nimi kelner.

Miał na sobie czarne spodnie i koszulę, a w pasie nonszalancko przewiązany fartuch w biało-niebieskie paski. Z powodu lekko garbatego nosa przypominał trochę amanta kina niemego z lat dwudziestych.

– Jeszcze raz *café crème*, poproszę – powiedziała Lucy.

– Dla pana?

Arthur patrzył w przestrzeń, zagubiony.

– Może kawa? – zasugerował kelner. – Coś do jedzenia?

– Kawę poproszę. Tego mi trzeba. – Arthur odwrócił się do Lucy. – Chcesz zjeść lunch?

Poklepała się po brzuchu.

– Zjadłam już dwa croissanty z czekoladą, więc raczej spasuję. Ale francuska zupa cebulowa wygląda wspaniale. Widziałam, jak ją nosili.

– No to poproszę.

Kelner skinął głową.

Arthur położył serwetkę na kolanach.

– Sylvie poznała naparstek, kupiła go Miriam w prezencie ślubnym. Twoja matka jakiś czas tu mieszkała.

– Ciekawe. Mieszkała w Paryżu, ale nigdy nam o tym nie mówiła. Masz jakiś pomysł dlaczego?

– Nie, ale znam już historię kolejnego wisiorka.

Po kilku minutach na stoliku pojawiły się dwie kawy i zupa dla Arthura. Zajrzał do brązowej kamionki. Na wierzchu była gruba skorupka z sera gruyère.

– Mam wrażenie, że spodobałaś się temu kelnerowi – powiedział, dmuchając na łyżkę. – Widziałem z ulicy, jak na ciebie patrzy.

– Chce tylko, żebym zostawiła duży napiwek. – Lucy zarumieniła się.

– Chyba nie w tym rzecz.

– A niby po co jeszcze miałyby się na mnie gapić?

Arthur wzniósł oczy do nieba. Jego córka wyglądała tak pięknie, z zaróżowionym dekoltem i piegami. Jakby ktoś zdjął z jej twarzy woalkę, a wraz z nią całe napięcie i smutek.

Zastanawiał się przez chwilę, czy jej to powiedzieć, ale nie potrafił tego sformułować. Spojrzał więc znów do miseczki.

– Ta zupa jest naprawdę doskonała – pochwalił. – Nie wiem, jak to robią, że cebula jest taka delikatna.

Siedzieli w milczeniu. Arthur jadł, a Lucy wzięła gazetę, którą przy sąsiednim stoliku zostawił jakiś starszy pan z czarnym pudłem, i zaczęła ją przeglądać.

Arthur przechylił miseczkę, żeby nie zostawić ani kropelki. Ciepło, które czuł w żołądku, i promienie słońca przeświecające przez gałęzie drzew działały na niego kojąco. Uspokoił się, ramiona mu się rozluźniły. Ten wyjazd z Lucy dawał mu czas na przemyślenie wydarzeń ostatnich tygodni. Popatrzył w stronę butiku.

– Wiesz, kiedy tak wędruję i spotykam ludzi, którzy byli częścią życia Miriam, dochodzę do wniosku, że inni zapamiętują nas przez to, co mówimy i robimy. Jej już tu nie ma, ale nadal pozostaje w ich sercach i myślach.

– Ładne spostrzeżenie.

– Nie jestem pewien, czy ktokolwiek mnie będzie tak miło wspominał.

– Nie mów głupstw, tato.

– Nie, nie. Im więcej dowiaduję się o niezwykłym życiu twojej matki z czasów, zanim mnie poznała, tym wyraźniej widzę, że sam nigdy nie miałem żadnych przygód, nie podróżowałem, nie wpływałem na losy innych.

– Ale przecież teraz to robisz. Nie jest za późno.

Arthur wzruszył ramionami.

– Reagujesz emocjonalnie, tato. Nic dziwnego. Przeszedłeś daleką drogę, żeby tu dotrzeć, i dowiadujesz się o mamie zupełnie nowych rzeczy. Ale zapewniam cię, że zawsze będziesz ważną częścią mojego życia. Zawsze będziesz dla mnie kimś wyjątkowym.

Lekko skinął głową, wdzięczny córce za te miłe słowa.

– Dziękuję.

Czuł, że też powinien jej coś powiedzieć. Jak bardzo ją kocha, od chwili, kiedy się urodziła. Miriam bez trudu często to powtarzała. Ale jemu takie wyznania nigdy nie przychodziły łatwo. Kiedy Lucy była malutka i spała, całował ją w czoło i szeptał: „Kocham cię”, ale tu, między ludźmi, w kawiarni, nie mogło mu to przejść przez gardło.

– Ja... no... ty dla mnie też.

– Oj, tato.

Zorientował się nagle, że Lucy obejmuje go za szyję.

– Coś się stało? – spytał.

Pociągnęła nosem.

– Po prostu brak mi mamy. To wszystko. Byłoby cudownie, gdyby mogła siedzieć tu z nami.

– To prawda. – Poklepał córkę po plecach, nie wiedząc, co jeszcze mógłby powiedzieć, żeby coś zmienić.

Lucy pierwsza oderwała się od niego. Zaczęła szukać w torbie chusteczki.

– *Madame?* – Kelner już stał przy niej. Uniósł brew. – Wszystko w porządku? – Rzucił ostre spojrzenie Arthurowi, jakby to on zdenerwował swoją młodą towarzyszkę.

– Tak. Nic mi nie jest. To mój ojciec. Jesteśmy szczęśliwi.

– Szczęśliwi?

– Tak. Bardzo. Dziękuję za troskę. Potrzebuję tylko chusteczki – powiedziała Lucy.

Kelner zniknął, a po chwili znów się pojawił, stawiając na stole pudełko chusteczek.

– To dla pani.

– *Merci*. Bardzo pan uprzejmy.

– Claude – powiedział kelner. – Na imię mi Claude.

– Ja zapłacę – oznajmiła stanowczo Lucy, kiedy już wytarła oczy i wydmuchała nos. – Miałam wydać te pieniądze, na co zechcę. Pamiętasz?

– Tak, kochanie. – Arthur uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że jest pantoflarzem.

Wyszedł do toalety, a kiedy wrócił, zobaczył, że Claude rozmawia z jego córką. Kelner trzymał tacę pod pachą, Lucy uśmiechała się, kręcąc w palcach kosmyk włosów. Arthur schylił się, żeby poprawić sznurowadła, ale widząc, że dalej rozmawiają, sprawdził jeszcze, ile ma euro w portfelu. Claude wreszcie oddalił się od stolika, a Arthur podszedł do Lucy.

– Wszystko gra? – zapytał.

– Tak. Fajnie. – Miała zarumienione policzki.

– Widziałem, że rozmawiałaś z kelnerem.

– A, tak. On... – Odchrząknęła. – Pytał, czy miałabym ochotę przejść się z nim po mieście dziś wieczorem. Dość zaskakująca propozycja.

– Co za zbieg okoliczności! Sylvie poprosiła, żebym zjadł z nią kolację.

Popatrzyli na siebie nawzajem i wybuchnęli śmiechem.

– Mam nadzieję, że się zgodziłaś – powiedział Arthur.



Pokusy Paryża

Arthur nałożył piankę na twarz i wziął maszynkę do golenia. Stał chwilę przed lustrem hotelowej łazienki, wpatrując się w swoje odbicie. Dziwnie było zadawać sobie trud, by dobrze wyglądać. Czekало go spotkanie z obcą kobietą na kolacji, w piątkowy wieczór w Paryżu. Dziwił się, że ktoś tak śliczny jak Sylvie nie ma nic lepszego do roboty.

Palce mu zadrżały. Nie chciał zbytnio się nad tym zastanawiać, żeby się nie rozmyślić. W piątkowe wieczory siadywali razem z Miriam przed telewizorem, z kupioną w barze rybą i frytkami. Ale przecież, jak sobie mówił, on i Sylvie mają rozmawiać o Miriam, dzielić się wspomnieniami. Powinien tego chcieć, a nie tchórzyc.

Starął się nie martwić przynajmniej tym, co będą jedli. Czy we wszystkich francuskich restauracjach serwuje się żabie udka i każde danie doprawia się czosnkiem? Może jednak nie. Przez chwilę ogarnęła go wielka tęsknota za pasztecikami

Bernadette. Brakowało mu jej domowej kuchni i towarzystwa. Miał nadzieję, że Sylvie będzie dla niego wyrozumiała.

Po lunchu w kafejce naprzeciwko butiku poszli z Lucy na zakupy. Rzadko na nie chodził z Miriam. A jeśli już, to krążył pod przymierzalnią, niecierpliwie popatrując na zegarek. Miriam przykładała do niego koszule i spodnie, a potem albo kiwała głową i wrzucała je do koszyka, albo odwieszała. Później ubrania w magiczny sposób trafiały do jego szafy, z rozprasowanymi zagnieceniami i odciętymi metkami, gotowe do włożenia. Podobnie, jeśli w rodzinie były jakieś urodziny albo zbliżało się Boże Narodzenie, dobrze wybrane prezenty pojawiały się na blacie w kuchni, zapakowane w kolorowy papier, przewiązane wstążeczkami, z karteczką: „Od Miriam i Arthura”. W gruncie rzeczy miałyby ochotę kupować coś dla bliskich, szukać czegoś, co mogłoby się im spodobać, ale prezenty to była domena Miriam. I zajmowała się tym z ochotą.

Teraz odkrył, że to bardzo przyjemne. Spacerowali z Lucy bez pośpiechu. Próbowali różnych francuskich serów i gatunków oliwy. Trafili na sklep w likwidacji, gdzie była wyprzedaż, i Lucy uparła się, żeby kupić sobie pięć nowych koszul, dwa swetry i spodnie. Kiedy stał w przymierzalni i patrzył w lustro na swoje odbicie w tych nowych rzeczach, sam musiał przyznać, że wygląda w nich młodziej.

Kupił mały bukietik frezji dla Sylvie i emaliowaną broszkę z czarnym kotem, na szczęście, dla Lucy, kiedy córka tego nie widziała. Na wystawie sklepu z antykami zobaczył prosty sznur pereł i pokazał je córce.

– Pewnie mamie bardzo by się podobały – powiedział.

Lucy zgodziła się z nim.

– Tak dobrze ją znałeś – dodała.

*

Arthur, ubrany w swoje nowe rzeczy, stanął znów pod sklepem z sukniami ślubnymi i czekał na Sylvie. W środku światła były zgaszone i przez krótką chwilę niemal miał nadzieję, że zmieniła zdanie i zrezygnowała ze spotkania. Krążył pod wystawą, starając się nie ścisnąć bukietu frezji zbyt mocno.

Piątkowy wieczór wydawał się w Paryżu wieczorem zakochanych. Minęło go mnóstwo eleganckich, cudownych par w różnym wieku. Uśmiechały się na jego widok. Miał wrażenie, że ich wzrok mówi: „Nie martw się, ona zaraz przyjdzie”.

Dziesięć minut później usłyszał trzaśnięcie drzwi sklepu i pojawiła się Sylvie.

– Przepraszam, Arthurze. Już miałam wychodzić, kiedy odebrałam telefon. Panna młoda wpadła w rozpacz. Głodziła się, żeby schudnąć przed ślubem, i teraz biust nie wypełnia już jak trzeba stanika sukienki. Powiedziałam, żeby się nie martwiła, tylko przyszła do mnie jutro. Jej ślub jest za trzy tygodnie, więc równie dobrze może znów nabrać ciała. Nie sądzę, by większe przeróbki były potrzebne. Może nieco większa poduszczyca w staniku... W każdym razie... – Przyglądała dłonią włosy. – Po co ja ci to wszystko mówię? Chciałam cię tylko przeprosić za to, że musiałeś czekać.

Z uśmiechem wzięła kwiaty. Nachyliła się, by je powąchać, i zaniósła bukiet do sklepu, po czym wyszła i zamknęła drzwi. Zauważył, że ma na sobie ten sam kostium co przed południem, ale dodała do tego naszyjnik z turkusów i kremowy, robiony szydełkiem szal. Trochę się uspokoił, widząc, że nie przebrała się specjalnie do kolacji.

Ruszyli brukowanymi ulicami wijącymi się w dół, w kierunku rzeki. W pewnym momencie Sylvie zachwiała się, a on podał jej ramię, żeby się przytrzymała. Wzięła go pod rękę i już nie puściła. Arthur zeszywniał. Szli razem i wydawało się to bardziej naturalne, niż był w stanie zaakceptować. Zastanawiał się, czy ktoś z przechodzących obok ludzi może ich wziąć za parę, i zrobił się ostrożny. Miał nadzieję, że Sylvie nie traktuje tego jak randki. Uspokajał się, że pewnie we Francji tak już jest. Ludzie są bardziej bezpośredni, można dotknąć czyjejś ręki i zachowywać się serdecznie, takie obyczaje.

Spojrzał na nią. Uśmiechnęła się i sunęła dalej tanecznym krokiem, pokazując gołębia na przewodzie elektrycznym, mural z dziewczyną porwaną w górę przez pęk balonów. Sięgnęła po kilka oliwek, leżących w misce wystawionej przed jakimś sklepem. Pomachała do właściciela krzątającego się w środku i podała jedną Arthurowi. Wziął ją. Zmoczyła mu palce, więc musiał poszukać w kieszeni chustki, żeby je wytrzeć. Potem już trzymał ręce przyciśnięte do boków.

Doszli do malutkiego bistro, gdzie było tylko osiem stolików. Chez Rupert. Sylvie wyjaśniła, że przyjaźni się z właścicielem.

– Powiedziałam, żeby podali nam wszystko, co, ich zdaniem, może nam zasmakować. Mówiłam, że jesteś

Anglikiem o prostych gustach. – Zaśmiała się. – Możemy spróbować każdego dania po trochu.

– To będzie trochę jak tapas? – spytał Arthur.

Poszedł kiedyś z Miriam do lokalnego domu kultury na wieczór hiszpański, zorganizowany, by zebrać fundusze na dach kościoła. Goście zostali powitani szklaneczkami sangrii pełnej kawałków jabłek i pomarańczy. „Smakuje jak sałatka owocowa z alkoholem”, powiedział po pierwszym łyku. Na każdy stół podano po sześć małych półmisek z różnymi specjałami. Razem z Miriam obejrzeli każdy po kolei. Niektórych rzeczy nie potrafił rozpoznać, ale zjedli wszystko. To był przyjemny wieczór, choć w drodze powrotnej musieli wstąpić do baru na rybę z frytkami, bo nadal byli głodni.

– Tak. Jak tapas – potwierdziła Sylvie.

Czekając na jedzenie, wypili zgrabną butelkę merlota i zamówili kolejną. Arthur poczuł się swobodniej, jego obawy zaczęły się rozpląwać.

Zaskoczył sam siebie, próbując muli w maśle czosnkowym i gęstej francuskiej zupy rybnej zwanej bouillabaisse. Jadł cielęcinę w sosie grzybowym, a do tego wypił jeszcze trochę czerwonego wina. I starał się nie myśleć o tym, dlaczego wcześniej nie chciał próbować nowych rzeczy.

Kiedy jakiś uliczny grajek wszedł do baru i zaczął przygrywać na akordeonie, Sylvie uparła się, żeby wstali i zatańczyli. Wszyscy dokoła nich śmiali się z żalonych kroków Anglika, ale Arthur tylko uklonił się i też wybuchnął śmiechem.

Po kolacji Sylvie znów wzięła go pod ramię i tym razem wydawało się to bardziej naturalne. Szli wzdłuż Sekwany.

Zachód słońca był przepiękny, miało się wrażenie, że niebo płonie. Arthur bardzo dobrze czuł się z Sylvie, ale nie potrafił opanować żalu, że nie jest tu z żoną, że to nie z nią się śmieje, nie z nią podziwia ten zachód słońca. Musiał wypowiedzieć jej imię, przypomnieć sobie, że to z jej powodu tu przyjechał.

– Miriam tak by się tu podobało – zauważył.

– Bardzo lubiła to miejsce – odparła Sylvie. – Spacerowałyśmy tu kilka razy, rozmawiając o naszych planach na przyszłość. Miałyśmy tyle młodzieńczej wiary w siebie. Ja zamierzałam stać się najlepszą na świecie projektantką sukien ślubnych. Byłam pewna, że wszystkie sławy i gwiazdy filmowe będą chciały nosić suknie od Sylvie Bourdin. Jednak z upływem tygodni, miesięcy i lat człowiek staje się mądrzejszy. Zaczyna sobie uświadamiać, że marzenia to tylko marzenia.

– Ale przecież masz swój sklep. Odniosłaś wielki sukces. I pomagasz innym spełniać ich marzenia.

– A czy marzenia Miriam się spełniły? Mówiła, że chce poznać mężczyznę, którego pokocha, mieć dużo dzieci i mieszkać na wsi, w domu z wielkim ogrodem.

– Tak mówiła? Nie o tygrysach albo o traceniu głowy dla bogatego pisarza?

– Żartujesz sobie ze mnie czy co?

– Trochę.

Przystanęli i patrzyli na łódź wiosłową, która przecinała lustro wody mieniącej się jak rtęć w gasnącym świetle dnia.

– Mieliśmy mały dom, dwójkę dzieci i mieszkaliśmy na przedmieściu. Obawiam się, że życie ze mną nie było spełnieniem jej marzeń.

– Myślę, że z nas dwóch to ona wiedziała lepiej, co się liczy. Widzisz, ja nie urodziłam dzieci. Zawsze byłam zbyt zajęta pracą. Mam piękny sklep zamiast dzieci. Panny, które do mnie przychodzą, są jak moje córki. Takich jest całe mnóstwo. – Sylvie roześmiała się. – Oby niektóre pamiętały o mnie chwilę dłużej niż tylko w dzień ślubu. Czasami żałuję, że nie miałam prostszych marzeń albo nie znalazłam czasu i na rodzinę, i na sklep.

Trafili na jakiś mały barek rozbrzmiewający śmiechem i usiedli przy jednym z wystawionych na chodnik czarnych stolików z kutego żelaza.

– Nawet ja nie miałam pojęcia, że jest tu taka knajpka! – zawołała Sylvie. – Dzięki tobie, Arthurze, odkrywam nowe miejsca.

Było po drugiej w nocy, kiedy wrócili pod butik. Arthura ogarnęły wyrzuty sumienia, bo uświadomił sobie, jak mało rozmawiali o Miriam. Gadali o Yorku, o Lucy i Danie. Opowiedział Sylvie o Bernadette i Frederice i o swoich przygodach związanych z bransoletką. Z kolei Sylvie mówiła o kochankach, których miała przez te lata, i o tym, jak o mało nie przeprowadziła się z Paryża na wieś, by zamieszkać w młynie wodnym z artystą bez grosza przy duszy, ale oprzytomniała, zanim stanęli na ślubnym kobiercu.

– Mam butik z sukniami ślubnymi, ale sama nigdy nie byłam panną młodą – dodała z westchnieniem.

W miarę jak zbliżali się do sklepu, puls Arthura stawał się coraz szybszy. Czy na koniec wypada pożegnać się pocałunkiem

w policzek? W oba policzki? Uściskiem? Nie był pewien. Milczał, kiedy stanęli pod wykuszowym oknem wystawy.

– To był uroczy wieczór, Arthurze. Dawno już tyle się nie śmiałam.

– Ja też.

Wiedział, że z Sylvie nie musi nic udawać. Czuli się ze sobą tak swobodnie, jak nie czuł się z nikim poza żoną. Były sobie bliskie i to sprawiało, że chciał się do tej kobiety zbliżyć. Miał ochotę dotknąć delikatnych linii zmarszczek wokół jej oczu, pogłodzić policzek. Podeszła do niego. Czuł jej oddech na szyi, widział podwinięte końce rzęs i delikatną bruzdę między brwiami.

Chciał ją pocałować.

Pocałować?

Skąd ten pomysł? To powinno być zarezerwowane tylko dla żony.

Sylvie uśmiechnęła się do niego, jakby czytała w jego myślach.

Jego ręka powędrowała i objęła jej talię. Czy powinien cofnąć się, zanim będzie za późno?

Kiedy tak się wahał, ich usta się zetknęły.

Dziwnie było całować kogoś innego. Wolałby przestać i zastanowić się nad tym, zanim znów się podda, ale nie potrafił się oderwać. Potrzebował kontaktu z drugim człowiekiem, chciał znowu czuć, że ktoś go pragnie. Jej usta były miękkie i ciepłe. Czas uciekał.

Pierwsza cofnęła się Sylvie.

– Robi się zimno. – Zadrżała i szczelniej okryła szalem ramiona. – Może chciałbyś wejść na kawę?

Tego pytania się nie spodziewał. Choć po takim wieczorze naturalne byłoby usiąść i jeszcze trochę porozmawiać. Mógłby zadać jej więcej pytań, tych, które mu dotąd umknęły. Ale to byłoby też niebezpieczne. Czy ona może myśleć o czymś więcej niż kawa?

– Naprawdę muszę wracać do hotelu – odparł. – Lucy pewnie zastanawia się już, gdzie zniknąłem.

Od razu wiedział, że zabrzmi to głupio. Przecież zajmowali osobne pokoje. Nie zobaczy córki aż do śniadania.

– Czy Lucy nie miała spotkać się z tym zaprzyjaźnionym kelnerem?

– Tak. Z Claude'em.

– Sądzę, że twoja córka to już duża dziewczynka.

– Tak. Ale ja zawsze będę się o nią martwił.

– Na pewno Claude zadba, żeby wróciła bezpiecznie. Ma ze sobą komórkę, prawda?

– Tak. – Arthur wyjął telefon z kieszeni. – O, patrz. Jest od niej wiadomość.

Otworzył esemes, który Lucy przysłała dwadzieścia pięć minut wcześniej. Prosiła, żeby się nie niepokoił, bo jest już w drodze do hotelu. Zobaczą się przy śniadaniu, o dziewiątej.

– O, to dobrze. – Uśmiechnął się.

– W takim razie napijesz się kawy?

Arthur schował telefon do kieszeni i przez chwilę nie wyjmował z niej ręki.

– Ja... – zaczął.

Sylvie nie czekała, aż skończy. Uniosła dumnie brodę.

– Rzecz w tym, że czasami czuję się samotna, Arthurze. Mam wrażenie, że czas przecieka mi przez palce. Bardzo chciałabym, żebyś napił się ze mną kawy i może został na noc. Spotykam mężczyzn, którzy są młodzi i właśnie się żenią. Spotykam też ojców panien młodych i bywa, że składają mi propozycje, jakich nie powinni składać. Jestem profesjonalistką i odmawiam. Nieczęsto poznaję ludzi, którzy by mi się podobali, do których coś czuję.

Arthura ogarnęło głębokie, rozdzierające pragnienie. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś coś takiego poczuje. To było cudowne, ale jednocześnie miał potworne wyrzuty sumienia. Bo nie chodziło o pożądanie wobec jakiejś gwiazdy filmowej czy kogoś niedostępnego, co można by zaakceptować w małżeństwie. Sylvie była kobietą z krwi i kości. Piękną. I stała tutaj, zapraszając go do siebie.

Ale chyba postąpiłby nieuczciwie wobec żony.

Ta myśl go uderzyła. Przecież mógł się usprawiedliwiać, że Miriam już tu nie ma, więc jak można uznać to za niewierność? Niemniej wiedział, że potem tak by to odbierał. Sylvie była przyjaciółką jego żony. Może z odległej przeszłości, ale jednak. Nie potrafił zdradzić Miriam.

Zwiesił bezradnie ręce.

– Tak mi przykro, Sylvie. Bardzo chciałbym wejść do ciebie na kawę, ale... – Spuścił wzrok.

Sylvie stała nieruchomo.

– Chyba rozumiem.

– Mam nadzieję. Uważam, że jesteś wspaniała. Jesteś piękną, elegancką, ciepłą, inteligentną kobietą, ale...

– Ale nadal jesteś zakochany w kimś innym?

Arthur skinął głową.

– W żonie. I tak już zostanie, jak myślę. Jeśli kiedykolwiek będzie ktoś inny, czego teraz nie umiem sobie wyobrazić, to nie mogę się spieszyć. Zostanę tu jeszcze tylko jeden dzień. To dla mnie za mało. Jeśli w moim życiu ktoś się pojawi, muszę mieć przekonanie, że Miriam by to zrozumiała.

– Na pewno chciałaby, żebyś był szczęśliwy. – Sylvie wyjęła klucze z torebki.

– Nie wiem, czy potem byłbym szczęśliwy. A chcę być. I chcę, żeby to było piękne. Chcę czuć, że było w porządku.

Dotknęła naszyjnika.

– Może nie uwierzysz, ale były czasy, kiedy nie musiałam prosić. Nigdy. To mężczyźni na mnie czekali, uganiali się za mną.

– Doskonale to rozumiem. Jesteś *très manifique*. – Oboje roześmiali się z jego wysiłków, by mówić po francusku. – Ale... – sięgnął do kieszeni i wyjął bransoletkę – dopóki nie poznam wszystkich historii, nie mogę ruszyć dalej. Nie jestem jeszcze gotów na żadną kobietę poza żoną.

– Honorowy jesteś. – Sylvie zacisnęła usta. – Choć jeśli będziesz kontynuował poszukiwania, możesz odkryć rzeczy, o których wolałbyś nie wiedzieć.

– Już mi się to zdarzyło.

– Może być tego więcej.

Arthur wyczuł chłód w jej głosie. Wziął ją za rękę.

– Jest coś, o czym wiesz, Sylvie?

Zobaczył błysk w jej oku, kiedy zaprzeczyła.

– *Non*. Tak tylko sobie pomyślałam...

– Jeśli coś wiesz, powiedz mi, proszę.

– Jak ci mówiłam, Miriam kilka razy do mnie pisała.

– I co?

Sylvie wstrzymała na chwilę oddech.

– Skoro chcesz dowiedzieć się więcej – odparła wreszcie –
powinieneś poszukać jej przyjaciółki, Sonny.

– Sonny?

– Jeśli dobrze pamiętam, zajmowała się robieniem biżuterii.
Arthur pomyślał o bransoletce.

– Znasz jej nazwisko?

– Hm. Chyba zaczynało się na literę Y. A tak, Yardley. Moja
kuzynka wyszła za mężczyznę o takim nazwisku. Niezłą mam
pamięć, co?

– Tak. Świetną. Sonny Yardley. Inicjały S.Y. są na wisiorku
z paletą. Wydaje się, że to może mieć jakiś związek. Wiesz,
gdzie mógłbym ją znaleźć?

– Nie.

– Czy kojarzy ci się z nią coś jeszcze, cokolwiek?

Sylvie zmarszczyła brwi.

– Jej brat chyba był malarzem, ale poza tym nic.

– Spróbuję ją odszukać.

– Jak ci się uda, może powie ci coś, co chcesz albo czego nie
chcesz wiedzieć.

– Co masz na myśli?

Sylvie wzruszyła ramionami.

– Sam zobaczysz.

Arthur czuł, że Sylvie chce już odejść. Zranił jej dumę. Teraz znów tematem rozmowy była wyłącznie jego żona. Pocałował Sylvie w policzek, podziękował za gościnność, a potem ruszył do hotelu. Było mu ciężko na duszy, żałował, ale postąpił słusznie.

Nocne niebo zaczynało się już rozjaśniać, nabierało szaroniebieskiego odcienia, szykując się do nowego dnia, gwiazdy blakły. Ścisnął palcami bransoletkę i mocno ją trzymał przez całą drogę do hotelu. Zanim wszedł w obrotowe drzwi, przystanął, by poprawić kołnierz, i kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Obrócił się i zobaczył w oddali Lucy z Claude'em. Lucy pocałowała go w policzek i szybko pobiegła w stronę hotelu.

Arthur poczekał i w efekcie znaleźli się razem pod drzwiami.

– O, cześć, tato – powiedziała jakby nigdy nic.

– Witaj. Dobrze się bawiłaś?

– Świetnie. A ty?

Spojrzał na wstające słońce.

– Tak. Było bardzo miło. Choć nie sądzę, że jeszcze kiedyś zobaczę Sylvie. Ja... no, ja... twoja matka...

Lucy skinęła głową i otworzyła drzwi.

– Rozumiem, tato. Claude też był tylko na jedną noc. Czasami tak jest dobrze.



Bukfejs

Dobrze było znów leżeć we własnym łóżku, we własnym domu. Po hostelu, kanapie Mike'a, paryskim hoteliku czy tapetach w pomarańczowo-czarne paski w posiadłości Graystocków nic nie marzyło mu się bardziej niż własna sypialnia. Odnajdował tu spokój, wszystko było znajome, bezpieczne, jak w kokonie. I mógł sobie pić herbatę, kiedy tylko zechce.

Przez jakiś czas myślał o pocałunku z Sylvie, raz po raz odtwarzając tamten moment, kiedy ich usta się spotkały. Nadal czuł, jak miękka w dotyku wydała mu się jej talia, i ciepło jej ciała przy swoim. W dołku rozeszła się fala gorąca. Przesunął dłonie w dół. Kiedy zamknął oczy, znów znalazł się w Paryżu. Wdychał zapach jej perfum.

Dobrze postąpił, że nie wszedł na kawę, ale teraz zastanawiał się, do czego mogłoby to doprowadzić. Co by się stało, gdyby poszedł za nią na górę, do jej sypialni? Kochaliby

się czy też wybiegłby zaraz, niezdolny do zrobienia czegoś takiego? Już nigdy się tego nie dowie. Spędzał noce tylko z żoną. Na myśl, że mógłby być z inną, robiło mu się niedobrze. Ale jednocześnie był ciekawy. Otworzył oczy i przewrócił się na bok, po czym wstał, zdenerwowany swoimi niestosownymi myślami. Ale w jego sercu pozostała szczypta tęsknoty.

Ubrał się w spodnie i koszulę kupioną z Lucy w Paryżu, a tę, która pachniała Sylvie, wrzucił do kosza z brudną bielizną. Kiedy spojrzął na swoje odbicie w lustrze, z zaskoczeniem stwierdził, że wygląda całkiem nieźle. Włosy trochę mu podrosły na czubku głowy. Miriam pewnie już by go poganiała, żeby szedł do fryzjera w miasteczku, ale jemu całkiem się to spodobało. Podniósł dłoń i nastroszył sobie czuprynę.

Przez krótką chwilę myślał o podjęciu swoich zwykłych działań, żeby utrzymać porządek dnia. Złapał się na tym, że popatruje na zegarek, czy to już pora na zrobienie sobie grzanki. Ale potem pomyślał: a gońcie się. Postanowił, że popłynie z prądem, co będzie, to będzie.

W kuchni zjadł jabłko, stojąc boso i patrząc przez okno na ogród. Ze zdziwieniem zauważył, że parkan jest o wiele za wysoki. Czemu razem z Miriam wybrali panele, które zakrywają widok na zieleń u sąsiadów? Niski płotek ze sztachet byłby o wiele lepszy.

Zostały mu tylko trzy przywieszki do rozszyfrowania. Jedynym tropem była teraz Sonny. Sonny Yardley. Choć bardzo się starał, nie mógł sobie przypomnieć, by Miriam kiedykolwiek wspominała o kimś takim.

Zaczął poszukiwania od książki telefonicznej, powoli przesuwając palcem po nazwiskach zaczynających się na literę Y. Znalazł dwa numery S. Yardley, ale kiedy zadzwonił, okazało się, że jeden należy do Steve'a, drugi do Stuarta. Przypuszczał, że Sonny mogła wyjść za mąż i zmienić nazwisko, a może nawet już nie żyje. Sfrustrowany, że nie ma jak kontynuować poszukiwań, wysprzątał dom od dołu do góry. Nie w ramach wypełniania zwyczajowego planu, ale dlatego, że była taka potrzeba. Przez ostatnie dwa tygodnie głównie podróżował, dom stał pusty i na wszystkim zebrała się cienka warstwa kurzu. Podśpiewywał sobie melodię, którą grał tamten akordeonista w barze, w którym byli z Sylvie. Podlał Fredericę i wystawił ją na skalniak, żeby się trochę dotleniła.

Właśnie przygotował sobie kanapkę z szynką i szklanek mleka, gdy odezwał się dzwonek przy drzwiach. Bernadette. Skoczył na równe nogi i przyglądził dłonią nową koszulę. Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby przycząć się, nieruchomo jak posąg, i udawać, że go nie ma. Naprawdę cieszył się, że ją zobaczy. Na pewno będzie ciekawa wieści z Paryża. Kupił jej nawet mały prezent – bawełniany woreczek lawendy z wyszytym ptaszkiem niosącym kopertę w dziobku. Z uśmiechem otworzył drzwi. Ze zdumieniem zobaczył za nimi Nathana, nie Bernadette.

- Hej, tygrysie.
- O, Nathan. Cześć.
- Nie spodziewałeś się mnie, co?
- No... nie. Myślałem, że to twoja mama.
- Nie ma jej tu? – spytał chłopak.

Otarł nos wierzchem dłoni. Jego biały T-shirt miał wyraźny czarny nadruk: „Porady rodzicielskie”.

– Nie, w ogóle nie widziałem jej ostatnio. Byłem we Francji z córką.

Spodziewał się, że Nathan wzruszy ramionami i poczłapie dalej, mrużąc, że pewnie znajdzie ją gdzie indziej. Ale ten stał na progu, jakby go замуrowało. Patrzyli na siebie.

– Może miałbyś ochotę na filiżankę herbaty? – zaproponował Arthur.

Chłopak wzruszył ramionami, ale wszedł do środka.

– Zapraszam. Rozgość się. Czuj się jak u siebie.

– Twój dom jest dość podobny do naszego. – Nathan wszedł do pokoju. Opadł na kanapę i zarzucił nogi na boczne oparcie. – Rozkład taki sam, tyle że mama lubi te swoje jaskrawe kolory. – Przewrócił oczami. – U ciebie jest bardziej neutralnie, spokojniej.

– Tak sądzisz? Mnie się wydaje, że trochę tu staromodnie.

Nathan znów wzruszył ramionami.

– Jest w porządku.

Ponownie zapadła niezręczna cisza, jakby każdy czekał, co powie ten drugi, albo obaj zdali sobie sprawę, że tak naprawdę nie mają sobie nic do powiedzenia.

– Nastawię wodę – odezwał się w końcu Arthur.

Pospieszył do kuchni i przygotował czajniczek z herbatą, a potem dostawił do niego talerzyk herbatników. Kiedy przyniósł tacę do pokoju, zobaczył, że Nathan ogląda zdjęcia stojące na kominku. Było tam kilka fotografii dzieci, jak dopiero uczyły się chodzić, i zdjęcie rodzinne, zrobione w osiemnaste

urodziny Lucy, gdy wynajęli salę w lokalnym domu kultury, a wśród gości pojawiła się i Vera, choć nikt jej nie zapraszał.

– Znalazłeś François de Chauffanta? – spytał Nathan.

– Tak. Byłem u niego w domu. – Arthur postawił tacę. – Pod adresem, który mi dałeś.

– Biała wypasiona rezydencja?

– Zgadza się.

Nathan cmoknął i znowu usiadł.

– Niezły czad odwiedzić żyjącą legendę. Jak tam jest? Pewnie ma mnóstwo książek, co? I snuje się po domu w aksamitnym szlafroku, popalając te cieniutkie nibycygara? Założę się, że jego dziewczyna ma niewiele ponad dwudziestkę.

Arthur pomyślał o wyniszczonym starym człowieku, który siedział samotnie na poddaszu. Nie chciał jednak rujnować wyobrażeń Nathana.

– To była bardzo pouczająca wizyta – powiedział. – Tak, ma mnóstwo książek. Był dość... zajęty. Nie siedziałem tam długo.

– Wziąłeś autograf?

– Nie. Ale dostałem jego tomik poezji.

– Super. Mogę obejrzeć?

Arthur dopiero teraz przypomniał sobie, kiedy widział go po raz ostatni. W pomarańczowym świetle latarni, na ławce w Londynie.

– Niestety, prawie od razu go zgubiłem.

– Ooo... – Nathan pochylił głowę. Grzywka opadła mu na twarz.

Arthur nalał herbatę i podał mu filiżankę.

– Właśnie chciałem cię prosić o pomoc.

– Tak?

– Słyszałem kiedyś, jak Vera z poczty mówiła o jakimś Bukfejsie. Że niby można tam odszukać kogoś po nazwisku. – Albo namierzyć, jak w przypadku Very, która chciała zlokalizować swojego chłopaka z lat szkolnych. – Muszę jeszcze kogoś znaleźć.

– Masz na myśli Facebooka?

– Tak? Prawdopodobnie. Co to takiego?

– Ta baba z poczty ma rację, przez Facebooka można kogoś znaleźć, można tam mieć przyjaciół, publikować status, wrzucać zdjęcia i różne takie rzeczy.

Dla Arthura był to całkiem obcy język, ale kiwał głową, że niby rozumie.

– Dawniej to było wariactwo, ale teraz właściwie każdy jest na Facebooku, poza kompletnymi starcami.

– Szukam pewnej osoby. Sonny Yardley. Znasz te komputerowe sprawy, mógłbyś mi pomóc?

Nathan głośno siorbał herbatę.

– Wieczorem poszukam. Telefon mi nawala. Wiesz, że każdy, kto ma iPhone'a, musi go upuścić? Mój wpadł mi dziś rano do kibla. A coś jeszcze? Ile ten ktoś ma lat?

– Jest mniej więcej w moim wieku.

– Okres jurajski, cha, cha.

– Prehistoryczny, to pewne.

– Zdaj się na mnie.

Pili herbatę, Nathan zjadł wszystkie herbatniki.

– I co, mama gdzieś ci zginęła? – zagadnął Arthur.

– Tak. Pewnie jest w miasteczku, dogląda swoich beznadziejnych przypadków.

– To bardzo dobra kobieta, ta twoja mama.

– Wiem. – Chłopak otworzył usta, zawahał się, po czym odrzucił grzywkę do tyłu. – Zastanawiam się chwilami, czemu chce, żebym studiował tak daleko stąd. Na pewno czasem trudno ze mną wytrzymać, ale... no wiesz, mam wrażenie, jakby chciała się mnie pozbyć.

– Myślę, że po prostu szuka dla ciebie najwłaściwszego miejsca, żeby było ci jak najlepiej.

– Sądziłem, że będzie chciała, żebym poszedł na uniwersytet gdzieś w pobliżu i nadal z nią mieszkał, ale... – Wzruszył ramionami.

– Mówiłeś jej o tym?

– Neeee. Wbiła sobie do głowy, że muszę iść na studia i powinien to być jakiś porządny kierunek. Żebym potem dostał dobrą pracę, bla, bla, bla, piął się w górę, bla, bla, bla. Nie mam pojęcia, po co mi magisterka z anglistyki. Przecież umiem mówić po angielsku, to jaki sens dalej się tego uczyć?

– No... – zaczął Arthur, świadomy, że nie najbardziej nadaje się do tego, by doradzać osiemnastolatkowi. – A co chciałbyś studiować?

Nathan pokręcił głową.

– Jak ci powiem, to nie uwierzysz.

– Niby dlaczego?

– Bo nie. Mama nie chce o tym nawet słyszeć.

Arthur przypomniał sobie, jak siedział z Lucy w ogrodzie i obiecał, że wysłucha jej uważnie, i jaki to był przełom

w budowaniu relacji i odnowieniu rodzinnej bliskości.

– Jestem dobrym słuchaczem – powiedział. – I nie spieszę się, mam cały dzień.

Chłopak zagryzł dolną wargę.

– Znalazłbyś jeszcze trochę herbatników?

– Czekoladowych?

– Wolę markizy śmietankowe.

– Sprawdzę, co zostało.

W kuchni Arthur celowo pokręcił się nieco dłużej, by dać Nathanowi czas. Lepiej, żeby namyślił się, czy chce mówić, czy nie. Zawsze wydawało się, że woli milczeć. Po powrocie do pokoju podsunął chłopakowi talerz z herbatnikami Jammie Dodgers i Party Rings.

– Party Rings! – wykrzyknął Nathan. – Uwielbiam je. – Ale zaraz się opamiętał, bo przypomniał sobie, że to obciach tak się cieszyć lukrowanymi ciasteczkami. – No dobrze, tygrysie... Pytasz, co chciałbym robić po szkole. A ja chcę piec ciasta.

Arthur starał się przetrwać tę wiadomość. Bardzo uważał, by się nie uśmiechnąć ani nie okazać zaskoczenia.

– Ciasta? – powtórzył beznamiętnym tonem.

– Mówiłem. – Nathan dmuchnął w grzywkę. – Kiedy powiedziałem mamie, popatrzyła na mnie, jakbym zwariował.

Arthur położył mu dłoń na ramieniu.

– Wcale nie myślę, że zwariowałeś. Ja cię nie oceniam.

Nathan westchnął.

– Wiem. Przepraszam. Po prostu lubię piec. Zawsze to robiłem. Czasami pomagam w kuchni mamie. Mówi, że pieczenie to nie jest żadna przyszłość. Że powinienem zająć się

czymś pożytecznym. Kiedy próbuję jej tłumaczyć, nic do niej nie dociera. Ona może sobie robić swoje paszteciki i tarty, ale ja nie.

– Pieczenie jest pożyteczne. Można być szefem kuchni albo mieć cukiernię...

– Albo własną restaurację czy linię produktów. Jasne. Ale ona tego nie pojmuję. Stale jest zajęta tymi różnymi ludźmi.

– Ty jesteś dla niej najważniejszy.

Nathan odwrócił wzrok.

– Wiem. Tak przypuszczam. Słuchaj, czy mógłbyś... no... czy mógłbyś z nią porozmawiać? Jakoś ją przekonać?

– Nie sądzę, żeby mnie posłuchała.

– Nie masz racji. Posłucha – rzucił szybko Nathan. – Dużo o tobie myśli. Wiem, co mówię.

Arthur poczuł, że rozpiera go duma.

– Mogę spróbować.

Skinął głową. Bernadette prosiła go, by wywarł dobry wpływ na jej syna, a teraz sam Nathan zwraca się do niego o pomoc.

– Dzięki. Mógłbym cię jeszcze o coś spytać? Ale bądź ze mną szczery – powiedział chłopak.

Arthur opuścił filiżankę.

– Tak, oczywiście.

Nathan potarł nos.

– Czy moja mama umrze?

Arthur aż podskoczył. Herbata chlupnęła z filiżanki na spodnie. Zerwał się i cofnął, a herbata ściekała po nogawkach, jakby zdarzył mu się wypadek.

– Czy ona co?

Chłopak mówił spokojnie.

– Po prostu tym razem chciałbym być lepiej przygotowany. Jak umarł tata, to był szok. Znalazłem odpisy z jej wizyt w szpitalu...

W jakim szpitalu? Arthur nic o tym nie wiedział. Bernadette mu się nie zwierzała. Kiedy odwiedzała go, wszystko zawsze kręciło się wokół niego. Jak się czuje, co zamierza robić. On nigdy nie zapytał, co u niej.

– Nie powinieneś zaglądać do cudzych rzeczy. – Próbował osuszyć spodnie chusteczką.

Nathan wzruszył ramionami.

– Powinna chować to lepiej, a nie zostawiać byle gdzie. Ma się zgłosić na onkologię. Tak to się nazywa? – Nie czekał na odpowiedź Arthura. – Uznałem, że muszę dowiedzieć się o tym więcej, żeby się nią zająć. Sądzi, że ukrywając te sprawy, chroni mnie, ale przez to jest jeszcze gorzej. Myślałem, że wiesz. Musiała ci coś mówić...

– Nie. Nic. – Może i dlatego, że nie słuchał. Przychodziła, a on tylko marudził albo chował się przed nią. Uważał, że to w porządku. Że ona wszystko wytrzyma. – Myślę, że powinieneś z nią porozmawiać – dodał cicho. – Bądźcie wobec siebie uczciwi. Powiedz, co myślisz o uniwersytecie. I że się o nią martwisz. Potrzebna jest wam szczerza rozmowa.

Nathan wpatrywał się w dno swojej filiżanki, jakby czytał z fusów, choć Arthur zrobił herbatę z torebek.

– Mogę się rozkleić. To byłoby żenujące. Nie chcę, żeby coś takiego widziała.

– Jeśli nawet, to nie szkodzi. Proszę, porozmawiaj z nią. Powinienem był częściej rozmawiać z moimi dziećmi. Dopiero teraz próbuję to naprawić. Nie odwlekaj tego tak długo jak ja. Nie pożałujesz.

Nathan skinął głową, jakby pojął, w czym rzecz. Wstał.

– Dzięki, tygrysie. Jesteś w porządku, tak. – Szturchnął go lekko w ramię, trafiając prosto tam, gdzie była rana.

Arthur uśmiechnął się mimo bólu.

Później tego dnia wybrał się na pocztę. Ledwie wszedł, Vera pomachała mu wesoło na powitanie. Spytał, czy widziała dzisiaj Bernadette, ale odparła, że nie. I dodała, że jest nowa wdowa na Bridge Street, którą trzeba podkarmiać, więc Bernadette mogła tam pójść.

*

Kiedy Arthur wrócił do domu, na automatycznej sekretarce migiała lampka. Wcisnął guzik i odsłuchał wiadomość.

„Tygrysie, sprawdziłem tego Sonny Yardleya. To kobieta! A w końcu czemu ja się dziwię? Są dwie na Facebooku, ale jedna ma z osiemnaście lat, kółko w nosie i różowe włosy. Myślę, że ta, której szukasz, wyklada w Scarborough College. Uczy sztuki jubilerskiej. Na jej stronie nie ma prawie nic więcej. Profil raczej podstawowy. I tylko pięciu przyjaciół, cha, cha. Mam nadzieję, że to ci pomoże. Fajnie. To do zoba”.



Paleta malarska

Arthur zatelefonował wieczorem do Bernadette, ale nie odebrała. Zastanawiał się, czy nie obdzwonić znajomych, ale to by mogło wzbudzić jej podejrzania, a Nathan kazał mu przysiąc, że nie wspomni o wizytach w szpitalu.

Pewnie Bernadette jest na zajęciach z tańca brzucha, tłumaczył sobie. Pomyślał, że musi wyglądać całkiem ładnie, kiedy otrząsa się ze swoich trosk, ubrana w lśniące kolorowe tkaniny zdobione małutkimi złotymi dzwoneczkami. Zapisał sobie, żeby zatelefonować do niej następnego dnia.

Oglądając amerykański serial *Agenci NCIS*, który nawet mu się podobał, mimo że trochę za dużo było w nim makabry, wyszukał numer telefonu do Scarborough College. Numeru do wydziału jubilerskiego nie znalazł, ale był przynajmniej do wydziału sztuki i projektowania.

Przesiedział ze słuchawką w dłoni z kwadrans, zanim zebrał się na odwagę, by zadzwonić. Telefon do pana Mehry w Indiach zapoczątkował szereg podróży i cały łańcuch odkryć na temat życia jego żony. W głowie dźwięczało mu zdanie Sylvie, że to, czego się dowie, może mu się wcale nie spodobać. Jeśli Miriam przyjaźniła się z Sonny, co mogłoby go w tym zabołec?

Z bijącym sercem wybierał numer. Nie martw się, o tej porze i tak na pewno nikogo tam nie ma, uspokajał sam siebie.

Odetchnął, kiedy usłyszał automatyczną sekretarkę, która poinformowała, że college działa między dziewiątą a siedemnastą i że można zostawić wiadomość, wymieniając wydział i nazwisko osoby, z którą dzwoniący chce się skontaktować.

Poprosił, by Sonny Yardley jak najszybciej odezwała się do Arthura Peppera. Podał numer swojego domowego telefonu i komórki.

O dziesiątej trzydzięci następnego dnia, gdy wciąż nie było żadnej reakcji, zostawił kolejną wiadomość, a potem jeszcze raz, po szesnastej. Między tymi telefonami próbował dodzwonić się do Bernadette, ale znów bez skutku.

Kolejnego dnia postanowił osobiście zajrzeć do sąsiadki. Kiedy wychodził z domu, Terry kosił trawnik.

– Co tam u twojej córki, Arthurze?

– Wszystko dobrze, dziękuję. Pojechaliśmy na długi weekend do Paryża.

– A, tak. Mówiła. To brzmi fantastycznie.

– Opowiadała ci o naszym wyjeździe? – Arthur zmarszczył brwi. Nie zdawał sobie sprawy, że oni się w ogóle znają. – Kiedy?

– Natknąłem się na nią w szkole. Szukałem swojej siostrzenicy i pogadaliśmy chwilę. – Terry zapatrzył się w dal, a potem znów spojrzął na Arthura. – Może w najbliższym czasie wybiera się do ciebie na jakąś herbatkę?

– Pewnie tak.

– Mieszka... daleko stąd?

– O, nie. Niezbyt daleko.

– To dobrze. Miło, jak rodzina jest blisko siebie.

Arthur skinął głową w kierunku trawnika.

– Dlaczego stale go strzyżesz? – zapytał. – Chyba nie potrzebuje tak częstego przycinania.

– Nie. Ale przynajmniej mam co robić. Lubię, jak wszystko jest zadbane, uporządkowane. Żona ciągle kazała mi kosić, kiedy byliśmy razem.

– Nie wiedziałem, że byłeś żonaty.

– Przeprowadziliśmy się tu z Midlands i jakoś wszystko się rozsypało. Już ponad rok minął od naszego rozvodu. Dość długo jestem sam. Miło byłoby spotkać kogoś, z kim można by dzielić życie. A Lucy... ma teraz kogoś?

– Rozstała się z mężem jakiś czas temu.

Terry pokręcił głową.

– Przykre.

– Tak, było jej ciężko. To cudowna dziewczyna.

– Robi wrażenie bardzo kochającej córki. W rodzinie tak powinno być, prawda? Ludzie powinni się o siebie nawzajem

troszczyć. Przeprowadziliśmy się tu, żeby zaopiekować się moją mamą po tym, jak upadła. Chciałem to dla niej zrobić. Nie mogłem pozwolić, żeby była zdana tylko na siebie albo musiała korzystać z pomocy obcych. Moja żona narzekała na te przenosiny, ale potem całkiem jej się tu spodobało. – Uśmiechnął się kwaśno. – Poznała kogoś innego i zostawiła mnie.

– O, współczuję.

Terry wzruszył ramionami.

– Bardzo starałem się, żeby nam wyszło, ale się nie udało.

– A twoja mama...? – spytał ostrożnie Arthur.

– O, jest zdrowa jak rydz. – Terry roześmiał się. – Prawie codziennie się z nią widuję. Ma nawet faceta. Uroczy gość. Mieszka dwa domy od niej. Chodzimy razem na lunch w niedziele. No nic, lepiej, żebym zabrał się już do roboty, do strzyżenia trawnika i polowania na żółwie. Pozdrowisz ode mnie Lucy?

– Jasne. No to cześć. – Odchodząc, Arthur zastanawiał się, czy pytania Terry'ego o Lucy nie świadczą o czymś więcej niż tylko o przyjacielskim zainteresowaniu, i stwierdził, że jeśli nawet, nie miałyby nic przeciwko temu.

Dotarł do domu Bernadette i zapukał w drzwi. Okna w pokoju frontowym były otwarte, więc sądził, że ktoś jest w środku. Wyobraził sobie, jak Bernadette czai się w holu i chowa przed nim. Jak mógł być tak okrutny i zachowywać się tak idiotycznie? Usłyszał gdzieś w głębi ostre dźwięki rocka, więc zawołał Nathana. Ale na próżno.

Uznając, że byłoby zbyt nachalne, gdyby obszedł dom i zajrzał od tyłu, wrócił do siebie. Na sekretarce telefonu nie migła czerwona lampka. Sonny Yardley nadal nie oddzwoniła.

Będzie musiał wziąć sprawy we własne ręce.

*

W Scarborough College roіło się od studentów. Wszyscy szturmowali główny hol i rozchodzili się bocznymi korytarzami, niczym w kopcu termitów. W tym młodym, tryskającym energią tłumie poczuł się bardzo, bardzo stary. Ci młodzi ludzie patrzyli śmiało w przyszłość, myśląc, że mają przed sobą całe życie. Nie wiedzieli, że mija ono w mgnieniu oka.

Łatwo było sobie wyobrazić wśród nich Miriam. Niektóre elementy mody wróciły – mocno podkreślone czarnym tuszem oczy, ciężkie grzywki muskające rzęsy, krótkie zgrabne spódniczki. Ona przerzuciła się na bardziej dorosłe stroje, kiedy zaczęli się spotykać. Tak jakby odłożyła na półkę część swojej osobowości, gdy się poznali. Zauważył też pewne trendy, które były dla niego zaskoczeniem – kolczyki w brwiach, tatuaże w różnych miejscach.

Zapytał w recepcji o panią Yardley z wydziału jubilerskiego. Kobieta za biurkiem miała przylepioną do jednego ucha słuchawkę telefonu stacjonarnego, a do drugiego komórkę. Mówiła do nich na zmianę. Jednocześnie uważnie studiowała rozłożone przed sobą dokumenty.

– Potrzebuje pani trzeciej ręki – powiedział Arthur, kiedy odłożyła obie słuchawki.

– Co? – Spiorunowała go wzrokiem, jakby zamierzała rozprawić się z kolejnym studentem, który zgubił iPhone’a.

– Jak ośmiornica, żeby poradzić sobie ze wszystkim, co musi pani robić.

– Trafił pan w dziesiątkę. – Kobieta wrzuciła do ust kawałek gumy do żucia. Miała okrągłą twarz i platynowoblond włosy upięte w ciasny koczek. – Pan z klubu srebrnych surferów?

– Surferzy? A co oni tutaj robią?

– Żarty pan sobie stroi czy co?

– Nie. – Nie miał pojęcia, o czym ona mówi. – Szukam wydziału jubilerskiego. Chciałbym zobaczyć się z Sonny Yardley.

– Dzisiaj to niemożliwe. Choruje. Jest na zwolnieniu już od kilku tygodni.

Arthur poczuł rozczarowanie.

– Ale pracuje tutaj, prawda?

– Tak, choć nie na pełnym etacie. To jej ostatni semestr. Wybiera się na emeryturę. Może porozmawia pan z Adamem. On ją zastępuje. Sala trzysta cztery.

Skierowała go do starej części college’u. Kiedy tam dotarł, zobaczył nowoczesne przeszklone foyer. Długi korytarz łączył ten budynek z kolejnym, ceglanym, w wiktoriańskim stylu. Wysokie okna z mnóstwem malutkich szybek, ściany wykafelkowane błyszczącymi płytkami, kremowymi i w kolorze butelkowej zieleni. Miał wrażenie, jakby wrócił do szkoły, jakby w każdej chwili z klasy mogła wyjść jego dawna nauczycielka,

pani Clanchard, groźnie postukując w dłoń drewnianą linijką. Wzdrygnął się i poszedł dalej, czytając tabliczki na drzwiach. Studio ceramiki, rzeźba, sztuka z papieru, szkło. Wreszcie znalazł salę 304.

Wewnątrz była grupa studentów. Jedni stali przy sztalugach, inni siedzieli na drewnianych ławkach. Wszyscy mieli przed sobą białe, czyste arkusze papieru. Pośrodku stał mężczyzna starszy od reszty, w czerwonej kraciastej koszuli i džinsach z dziurami na kolanach. Wbił palce we włosy i trzymał się za głowę.

Arthur dotknął jego ramienia.

– Adam?

– Tak! – krzyknął mężczyzna, jakby jego drużyna właśnie strzeliła gola. – O, dzięki Bogu, nareszcie. Czekaliśmy.

Najwidoczniej pani z recepcji już do niego zadzwoniła.

– Jestem Arthur Pepper. Ja...

– Arthur. Tak. Świetnie. – Adam aż podskoczył. – Słuchaj. Muszę zadzwonić. Żona grozi, że znów mnie zostawi. Jak nie zatelefonuję, to jaja mi utnie. Chodź. Pięć minut i wracam. – Ruszył szybkim krokiem.

Arthur pomyślał, że pięć minut to niewiele, by przekonać żonę do zostania, szczególnie jeśli ta ma nóż, ale podążył za nim.

– Zaczekaj tu chwilę – powiedział Adam, wskazując mu jakąś salę.

Pomieszczenie było wyłożone boazerią. Arthur oglądał kiedyś w telewizji *Harry'ego Pottera* i to wnętrze przypominało mu Hogwart. Stało tu stare dębowe biurko, z blatem

wyłożonym zieloną skórą. Na ścianach wisiały prace plastyczne. Arthur przeszedł się, żeby je obejrzeć. Przy trzeciej (rysunek węglem, bardzo ekspresyjny) zorientował się, że wszyscy modele są nadzy. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Leżeli, stali lub siedzieli. Nie był ekspertem, ale niektóre obrazy uznał za bardzo dobre, o pewnych pociągnięciach pędzla i świetnej kompozycji kolorów, ze znakomitym oddaniem rysów i wyrazu twarzy. Innych nie rozumiał. Wydawały się jedynie zbiorem gniewnych linii i barwnych plam. Wszystkie prace były datowane i wisiały chronologicznie. Chyba co roku przybywało tu kolejne dzieło sztuki.

Zaczął oglądać wystawę od końca, więc najpierw zobaczył najnowsze prace, a dopiero potem te z lat siedemdziesiątych i sześćdziesiątych. Jego uwagę przyciągnął obraz, który wisiał ostatni. W przeciwieństwie do innych postaci, ta kobieta się uśmiechała, jakby nie była zawodową modelką, ale znała malarza i pozowała specjalnie dla niego. Jej piersi sterczały dumnie. Usta były rozchylone. Bardzo przypominała Miriam. Uśmiechnął się na myśl o tym podobieństwie.

I nagle jego uśmiech zgasł.

Przyjrzał się dokładniej portretowi, podchodząc bliżej. Te niebieskozielone oczy modelki, znamię na lewym biodrze. Zawsze go nie znosiła. Przypominało balon do latania, duży okrągły kształt z małym kwadratem poniżej.

Arthur znalazł się przed aktem swojej żony.

– No dobrze. – Do sali wpadł Adam. Przeczesał palcami włosy. – Nie chce mnie słuchać. Cholera. Praktycznie rzuciła słuchawką. Muszę się do niej dodzwonić. Zwykle nie odbiera,

dopóki nie spróbuję z piętnaście razy. Ocenia, jak bardzo mi zależy, po liczbie telefonów. To taka zagrywka, ale jeśli chcę ją zatrzymać, muszę się w to bawić. Boże, jak ja mam już tego dosyć. Ale, ale, studenci zaczynają się niecierpliwić. Chodź.

Arthur wrócił za nim do poprzedniej sali. Studenci nadal stali tam i rozmawiali, wyraźnie znudzeni.

Myśl o portrecie żony nie dawała mu spokoju. Kiedy ona pozowała? I komu? Dlaczego była naga? Oszołomiony, nie bardzo już wiedział, gdzie jest i o co ma pytać. Stawiał kolejne kroki, ale miał wrażenie, że bardziej unosi się w powietrzu, niż idzie po ziemi. Spodziewał się rozmowy, prostych odpowiedzi na temat wisiora w kształcie palety, a teraz odkrył to. Kim właściwie była Miriam Pepper?

– Idź za parawan. A potem zaczynamy. – Adam klasnął w dłoń.

Arthur patrzył na niego nieobecny wzrokiem, nie mogąc zebrać myśli. Kolejna poczekalnia? Gdzie? O, tam. No dobrze. Jego stopy posłusznie ruszyły. Ale wciąż nie mógł się otrząsnąć z szoku.

Tym razem znalazł się za drewnianym przepierzeniem. Stało tu plastikowe krzesło, a na niskim stoliku szklanka z wodą. Zauważył też frotowy szlafrok. Usiadł i czekał na Adama. Przypomniawszy sobie, jak będąc na plaży z dziećmi, Miriam okrywała się ręcznikiem i dokonywała akrobatycznych wyczynów, żeby zdjąć z siebie mokry kostium i włożyć bieliznę. W noc poślubną uparła się, by nie zapalać światła. A tutaj była naga. Obraz jej obnażonego ciała wisiał na ścianie przez ponad czterdzieści lat i każdy mógł je podziwiać. Nie wiedział, jak ma

się czuć. Powinien pomaszerować tam i zerwać obraz ze ściany? A może Miriam byłaby dumna z tego portretu i chodzi tu nie o nią, ale o osobę, która go namalowała?

A kto to taki?

Znów ogarnęła go znajoma już fala emocji – zazdrość, zmieszanie. Po każdym wisioru nabierał nadziei, że następnym razem dowie się o żonie czegoś zwyczajnego, co będzie całkiem zrozumiałe. Co mu dowiedzie, że między nimi wszystko było dobrze. Ale tylko popadał w coraz większe zdumienie. Kiedyś wszystko wydawało się takie proste, a jego ciekawość to zrujnowała.

Rozmowy cichły. Minęło kilka minut. Adam zajrzał za przepierzenie.

– Jesteś gotowy?

– Tak – powiedział Arthur. – Jeśli tylko ty jesteś, to ja też.

Wypił łyk wody. Wyciągnął rękę i dotknął szlafroka. Biała frotowa tkanina zeszywniała od zbyt częstego prania. Minęło kolejnych kilka minut.

Tym razem zajrzała dziewczyna. Miała czarne włosy z amarantową grzywką, spódniczkę w szkocką kratę i motocyklowe botki.

– Adam musiał znowu zadzwonić – powiedziała. – Zastanawialiśmy się, czy jesteś już gotowy.

– Tak. Mówiłem Adamowi. Czekam na niego.

– Ale ciągle jesteś ubrany.

To była najdziwniejsza w świecie, a jednocześnie najbardziej oczywista uwaga.

– No tak.

– Och, Adam ci nie mówił? Zajmujemy się studium postaci.
Arthur zmarszczył brwi, nie bardzo rozumiejąc, jaki to ma z nim związek.

– Rysunki mają zainspirować projekty biżuterii.

– To ciekawe.

– Została nam już tylko godzina i kwadrans, więc jeśli jesteś gotów... włączyliśmy piecyk, jest tam dość ciepło.

Dopiero po chwili zorientował się, o czym ona mówi. Aż go zatkało.

– Myślicie, że... Wzięliście mnie za modela? – wyjąkał.

– No tak.

– Ale to pomyłka. – Gwałtownie pokręcił głową. – Kompletna pomyłka. Przyszedłem zobaczyć się z panią Yardley. Jest chora i recepcjonistka powiedziała, żebym skontaktował się z Adamem. Chciałem pomówić z nim o pewnej bransoletce. Kazał mi czekać w sali z obrazami, a teraz tutaj.

– Nie jesteś naszym modelem?

– W żadnym wypadku.

– Czyli on nie przyszedł? – Dziewczyna zrobiła wielkie oczy. Arthur dostrzegł, że się zaszklily, tak jakby zaraz miała się rozpłakać. – To zgódź się, błagam. Jeśli nie zrobimy tej pracy, nie dostaniemy zaliczenia.

– Przykro mi, naprawdę nie sędzę, żebym mógł pomóc...

Dziewczyna pokręciła głową, ale zaraz wzięła się w garść, wyprostowała i zaczęła go przekonywać.

– Ja też raz pozowałam. Zrobiłabym to teraz, ale muszę rysować. Wystarczy, że tam usiądziesz, nie musisz nic robić. To proste. Siedzisz, a my rysujemy.

– Ale potrzebujecie kogoś gołego?

– No tak.

– Nie jestem modelem.

– To nie ma znaczenia.

– A Adam? Nie mógłby sam...?

Dziewczyna przewróciła oczami.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli w ogóle jeszcze się tu pokaże. Czasami nie ma go przez całe zajęcia. Jego żona to naprawdę wredna jędra. A tak przy okazji, na imię mi Edith. – Wyciągnęła do niego dłoń, a kiedy ją uścisnął, dodała: – Proszę, pomóż nam.

– Jestem Arthur. Arthur Pepper.

Znów przed oczami stanął mu obraz z Miriam. Jak się czuła, pozując? Nie była skrupowana? Zrobiła to, żeby komuś pomóc? Dla pieniędzy? Martwiłby się, gdyby okoliczności zmusiły ją do czegoś, czego nie chciała. Ale ten uśmiech... Wyglądało na to, że całkiem dobrze się bawiła. Jeśli zrobi to samo co ona, może lepiej to wszystko zrozumie.

Miriam miała piękne młode ciało. Jego było sflaczałe, jakby skóra zsuwała się z kości i mięśni, niezdolna już do nich przylegać.

Ale właściwie przed czym on się tak wzbrania? Pewnie nie będzie już w jego życiu żadnych kochanek, żadnych wypadów nad morze. Następny raz, kiedy ktoś spojrzy na jego ciało, może zdarzyć się w szpitalu, jak pielęgniarki będą go myć na łożu śmierci. Czego miałyby się tutaj bać?

Wróciły wspomnienia, słodkie i bolesne. On i Miriam wybrali się na piknik do jednej z zabytkowych posiadłości.

Dzieci były w szkole, a on niespodziewanie miał dzień wolny od pracy, bo jakieś spotkanie zostało odwołane. Miriam zrobiła kanapki i poszli przez las, aż trafili na łąkę pełną maków. Kiedy usiedli, byli zupełnie ukryci wśród traw. Zjedli lunch, a Miriam narzekała, że od upału sukienka się do niej lepi.

– To ją zdejmij – zażartował, grzebiąc w jej koszyku w poszukiwaniu pomarańczy.

Podważył skórę paznokciem kciuka i zaczął obierać. A kiedy podniósł wzrok, Miriam była naga, nie licząc białych bawełnianych majtek.

– Dobry pomysł. – Roześmiała się.

Ale zaraz spoważniała.

Rzucili się na siebie zachłannie, niezdolni się powstrzymać. Jęknął, czując dotyk jej skóry, rozgrzanej i lśniącej w promieniach słońca. Kochali się w pośpiechu. Arthur nadal ubrany, z nią na górze. Potem przez dłuższą chwilę Miriam leżała wśród traw, na wznak, całkiem naga, jakby to było coś najbardziej naturalnego na świecie. Nigdy w życiu nie widział nic równie pięknego.

– Miriam... – powiedział, odzyskując swoją zwykłą przeczność. – Ktoś może nadejść.

– Wiem. – Sięgnęła po sukienkę, wsunęła ją przez głowę i pocałowała go w czubek nosa. – Nie zapomniałeś o cieście?

Jedli przekładany biszkopt i wymienili niewinne, ale porozumiewawcze spojrzenia, odpowiadając na pozdrowienie komuś, kto szedł na spacer z psem.

Choć takie rzeczy nie zdarzały się zbyt często, wiedział, że Miriam potrafi być spontaniczna i szalona.

Ale sądził, że tylko dla niego.

– No więc zrobisz to? – spytała Edith. Potarła nos, zostawiając na nim smugę od węgla. Miała gęste czarne rzęsy jak Miriam. Splotła błagalnie dłonie. – Proooszę, Arthurze.

Zorientował się, że drży. Gdyby nie było tu Edith, ukryłby twarz w dłoniach i zapłakał – za tymi czułymi chwilami z żoną i z powodu poczucia straty, które już nigdy go nie opuści.

– A gdybym się zgodził, mógłbym zostać w bieliźnie? – zapytał w roztargnieniu.

Pokręciła głową.

– Niestety nie. Ben projektuje element pancerza, inspirowany męskimi genitaliami. Potrzebuje szczegółów. Chodzisz na pływalnię? Ktoś widział cię wcześniej nagiego?

– No tak... ale nie pozowałem.

– To zwyczajna rzecz.

– Nie dla mnie.

– Przecież nie będziemy gapić się na ciebie lubieżnym wzrokiem.

Miała rację. Bardziej prawdopodobne, że skrzywią się lub wzruszą ramionami na widok jego golizny.

– Nigdy więcej nie zobaczysz nikogo z nas. – Uśmiechnęła się do niego.

– Niewielka pociecha.

Uniósł jedną nogawkę, odkrywając kostkę. Zawsze miał smagłe nogi, nawet zimą. Zamknął oczy i znów wyobraził sobie żonę w dniu pikniku. Zdejmij to, powtarzał sobie w myśli, naśladując tamte swoje słowa. Pomyślał, jak błyskawicznie się

wtedy rozebrała. Bez zastanowienia. Zdejmij to. Potrafił się na to zdobyć.

– No dobrze – powiedział cicho.

– Świetnie. – Edith znikła za przepierzeniem, zanim mógłby zmienić zdanie.

Arthur zawahał się, zastanawiając się nad tym, co właśnie zrobił, ale zaraz rozpiął koszulę. Pierś miał w porządku, dość umięśnioną, opaloną, z kilkoma kępkami siwych włosów. Miriam mówiła, że jest zgrabny. Nie przypuszczał wtedy, że ma jakąś skalę porównawczą. Opuścił spodnie, a potem ściągnął skarpetki i majtki. W końcu był nagi. Przytrzymał szlafrok przy biodrach i wyszedł z za przepierzenia do sali. Czy jego żona pozowała jednemu malarzowi, czy całej grupie? Kilko studentów podniosło wzrok. Wyraz ich twarzy zdradzał, że mają już wszystkiego serdecznie dosyć. Zbliżył się do krzesła, usiadł i skromnie założył nogę na nogę. Edith skinęła głową, a on niechętnie pozwolił, by szlafrok opadł na ziemię.

Nagle salę wypełniło przyjemne szuranie przesuwających się po papierze ołówków, węgla i gumek. Arthur patrzył przed siebie, skupiając wzrok na kloszu lampy. Był zakurzony, w środku miotał się jakiś owad. Edith miała rację. Czuł się dość swobodnie, niczym jakiś neandertalczyk, który trafił ze swojej jaskini do tej pracowni, i właściwie coś takiego się zdarzyło.

W pewnej chwili wydało mu się, że z za drzwi wygląda głowa Adama, ale nie chciał się ruszyć i popsuć swojej pozy. Było mu ciepło. Mały elektryczny piecyk grzał go i rzucał pomarańczową poświatę na jego golenie. Arthur pozwolił

myślom odpłynąć do dnia tamtego pikniku. Przeżywał od nowa każdą cudowną sekundę. I cieszył się, że założył nogę na nogę.

Po dziesięciu minutach, ktoś zawołał:

– Można prosić o zmianę pozy?

Arthur, nie przejmując się swoją nagością, stanął z luźno zwieszonymi rękami. Patrzył przed siebie.

– A... może jakaś ciekawsza poza? Ta jest jakaś smutna.

– Powiedzcie, co mam zrobić.

Podszedł jakiś młody człowiek. Chwycił rękę Arthura i ułożył je tak, że jedna była wyprostowana, druga zgięta.

– Udawaj, że strzelasz z łuku. Projektuję biżuterię na ciało inspirowaną wojną.

– To ty jesteś Ben?

– Tak.

– Wy tłumacz mi, o co konkretnie ci chodzi.

Te dzieciaki z jego pomocą zaprojektują jakąś piękną biżuterię albo stworzą dzieła sztuki. Kiedy umrze, pamięć o nim może żyć dalej, w wysadzonym klejnotami suspensorium lub przepasce, tak jak wspomnienie o Miriam w tamtej obwieszonych obrazami sali.

I wtedy uderzyła go pewna myśl, dość osobliwa. Zdał sobie sprawę, że chce, aby jej portret pozostał tam na ścianie, nawet jeśli Miriam jest na nim naga. Nawet jeśli pozując, nie wiedziała, że ten obraz będzie przez tyle lat wystawiany na widok publiczny. To było piękne dzieło sztuki. Nie stanowiło części jego życia, ale na pewno było częścią życia Miriam. Powinno być oglądane.

– Świetnie się spisałeś, bracie – powiedział Ben na koniec zajęć. – Chcesz zobaczyć?

Arthur ubrał się i ruszył za Benem i Edith po sali. Dziwnie było widzieć siebie przedstawionego w różnych, mniej więcej dwudziestu, interpretacjach. Jego ciało zostało oddane węglem, pastelami, jako smugi, w pociągnięciach pędzla. Ci młodzi artyści nie widzieli w nim starego człowieka, ale modela, wojownika, łucznika, kogoś pięknego i ważnego. Był ciekaw, co się teraz stanie z tymi pracami. Będą pokazywane w portfolio albo nawet dumnie zawisną na jakiejś ścianie. Za dwadzieścia lat, kiedy pewnie już go tutaj nie będzie, jego sylwetka nadal może budzić podziw. Łzy napłynęły mu do oczu. W niektórych szkicach się rozpoznawał, w innych nie. Jego rysy wydawały się pełne spokoju, w odróżnieniu od tej pomarszczonej, zmęczonej twarzy, która co rano witała go w lustrze.

– Zadowolony? – spytała Edith.

– Naprawdę piękne.

– Żona mówi, że da mi jeszcze jedną szansę. – Do sali przywłókł się z powrotem Adam. Ziemistoblady, przygarbiony. – O, już po zajęciach? – Rozejrzał się wokół, po czym rzucił okiem na zegarek. – Widzę tu kilka dobrych prac, moi drodzy! – zawołał.

Ben i Edith spojrzeli na niego z niesmakiem i odeszli.

– A tym o co znów chodzi? – spytał zdumiony Adam. – Co się stało?

– Model się nie pojawił.

– A ich prace? Przecież... – Urwał, kiedy zorientował się, kogo przedstawiają. – Och...

Arthur poprawił kołnierzyk.

– Nazywam się Arthur Pepper. Może teraz moglibyśmy pomówić o tym, co mnie tu sprowadza. Chciałem zapytać cię o złotą przywieszkę w kształcie palety malarskiej. Ma wygrawerowane inicjały S.Y. Sądzę, że mogą oznaczać Sonny Yardley.

Adam wyjaśnił mu, że college nie prowadzi pełnego rejestru prac studentów. Zatrzymuje jednak niektóre szkice i zdjęcia prac najbardziej obiecujących uczniów z każdego rocznika. Arthur oznajmił, że interesuje go biżuteria z połowy lat sześćdziesiątych. Adam ściągnął z półek jakieś ciężkie księgi, otworzył je i podsunął Arthurowi.

– Powinieneś od razu powiedzieć mi, po co przyszedłeś – rzucił. – Okropnie mi przykro, że musiałeś się tu rozbierać. To drugi taki przypadek. Jak ktoś się o tym dowie, wyleją mnie. Wtedy już na pewno nigdy nie odzyskam żony. Nie mów nikomu, dobrze?

Arthur obiecał, że go nie zdradzi.

– Dlaczego grozi ci, że odejdzie?

– Och, spójrz na mnie. Jestem tylko cholernym wykładowcą w college'u. A ona prawnikiem, dużo wyższa liga. Gdzie mnie się z nią równać. Przez większość czasu jest zajęta pracą. Ale lubi mnie tłamsić, strasząc, że odejdzie. Nie daję rady.

– To musi być męczące.

– Zdecydowanie. Chociaż oboje to uwielbiamy. Seks po tym, jak się pogodzimy, jest niesamowity.

– Aha. – Arthur przerzucał kartki i uważnie przyglądał się szkicom.

– Pewnie robili wtedy takie przywieszki – powiedział Adam.
– Teraz projektują elementy zbroi albo biżuterię na ciało.

– Ben mówił mi o tym. Mój penis może stać się osłoną na nos albo czymś innym – rzucił bez zastanowienia Arthur i wybuchnął śmiechem, bo właśnie wypowiedział słowo „penis” i dopiero co stał przez ponad godzinę nagi przed grupą studentów.

To było niedorzeczne. Adam popatrzył na niego z konsternacją, co wywołało w Arthurze kolejny atak śmiechu. Otarł łzę, która spłynęła mu po policzku. Aż rozbolały go mięśnie brzucha, kiedy śmiał się, wyobrażając sobie, jak Ben formuje mosiądz na kształt jego dyndających genitaliów. Przycisnął palce do dolnych powiek, żeby osuszyć oczy. Stracił wszystko. Jego życie z żoną było kłamstwem.

– Znalazłeś coś? – spytał Adam. – Który rok przeglądasz?

– Hm. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty czwarty. Przepraszam. Dostałem jakiegoś histerycznego napadu.

I nagle znalazł. Odwrócił kartkę i zobaczył misterny rysunek przedstawiający paletę z sześcioma kulkami wyciśniętej farby i pędzelkiem.

– To ten. – Wyjął bransoletkę z kieszeni i położył ją pod szkicem.

Adam spojrział na rysunek.

– A tak. To praca samej Sonny Yardley. Jest wspaniałą artystką. Niezwykle inspirującą. To cudowne, że masz autentyk, który powstał na podstawie rysunku.

– Podobno Sonny choruje, a ja chciałem poznać historię tego wisiora. Dowiedzieć się, w jaki sposób trafił do mojej

żony.

– W takim razie, kiedy wróci ze zwolnienia, poproszę, żeby do ciebie zadzwoniła.

Arthur znów podszedł do portretu żony. Odwzajemnił jej uśmiech.

Adam dołączył do Arthura.

– Ja też najbardziej lubię ten obraz. Jest coś w tych oczach, prawda?

Arthur skinął głową.

– To dzieło Martina Yardleya, brata Sonny. Krótco zajmował się malarstwem. Nie bardzo wiem, czemu je rzucił. – Adam ściszył głos. – Nigdy nikomu tego nie mówiłem, ale właśnie pod wpływem tego obrazu zostałem wykładowcą. W szkole nie byłem pewien, co chcę robić. Uwielbiałem sztukę, ale nie myślałem o tym, żeby zająć się nią zawodowo. Aż kiedyś odwiedziliśmy ten college. Pamiętam Sonny. Nosiła szerokie pomarańczowe spodnie i miała włosy przewiązane chustką. Możesz sobie wyobrazić nas, piętnastoletnich podrostków, jak chichotaliśmy, patrząc na te wszystkie akty. Staralem się zgrywać dorosłego, ale jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak podekscytowany jak wtedy, krążąc po tej sali pełnej malowanych piersi. Pomyślałem sobie, że fantastycznie byłoby zarabiać na życie portretowaniem nagich kobiet. Przychodziłem potem do tej galerii wiele razy i przyglądałem się technikom malarskim, a szczególnie często wpatrywałem się w ten obraz.

– To moja żona – szepnął Arthur, myśląc, jak dziwnie to brzmi, kiedy stoi tu z młodym człowiekiem podziwiającym ten

akt.

– Naprawdę? Niesamowite. Musisz ją tutaj przyprowadzić, żeby to zobaczyła. Powiedz jej, że ten obraz pomógł mi zostać malarzem. I spotkać wiele cudownych kobiet. Czyli ona zna Sonny Yardley?

Arthur popatrzył na niego. Już miał przyznać, że niestety Miriam nie żyje, ale po chwili zmienił zdanie. Nie chciał znów słyszeć, że ktoś mu współczuje z powodu żony. Właściwie wcale jej nie znał. Wydała mu się teraz obca.

– Sądzę, że kiedyś się przyjaźniły – odparł.

Pożegnał się z Adamem i wyszedł z college'u, osłaniając oczy przed jaskrawym słońcem, niepewny, w którą ruszyć stronę.



Bernadette

Kiedy Bernadette zadzwoniła do jego drzwi, wydawało się to nie tak głośne jak zwykle, bardziej przytłumione. Arthur był w kuchni i parzył sobie herbatę. Automatycznie sięgnął do kredensu po drugą filiżankę. Nadal nie udało się mu porozmawiać z Bernadette o marzeniu Nathana, by piec ciasta, i o jej wizytach w szpitalu.

Zanim poszedł otworzyć, rzucił okiem na kalendarz „Cudowne Scarborough”. Następnego dnia miał urodziny. Od tygodni widział tę datę obwiedzioną kółkiem, ale właściwie nie docierało to do niego. Skończy siedemdziesiąt lat. Nie ma co świętować, jeszcze jeden rok bliżej śmierci.

Po wizycie w college’u czuł się głupio. Musiał opanować zamęt myśli, które walczyły ze sobą, szalały, niczym niesforne dzieci. Chciał je uciszyć, chciał, żeby dały mu wreszcie spokój. Zapomniał już, jak to jest nie mieć na głowie nic poza

sprzątaniem i podlewaniem Frederiki, i zaczął tęsknić za tamtymi dniami.

Nie potrafił zrozumieć, jak Miriam mogła być z kimś aż tak blisko, żeby pozować nago, a potem nawet nie wspomniała mu o tej osobie. Rozpaczliwie szukał w pamięci, czy kiedykolwiek zetknął się z imieniem Sonny. Czy Miriam kiedyś do niej pisała? Ale doszedł do wniosku, że ta pani jest mu całkowicie obca.

Dzwonek zadźwięczał znowu.

– Idę, idę! – zawołał.

Był piękny słoneczny dzień, korytarz zalewało złociste światło, a wirujące w powietrzu drobinki kurzu mieniły się niczym brokat. Pomyślał, jak bardzo Miriam lubiła słońce, ale zaraz się opamiętał. Czy naprawdę tak je uwielbiała? Jak w ogóle mógł jeszcze mieć pewność, gdzie jest prawda, a gdzie fałsz, co on rzeczywiście wie, a o czym nie ma pojęcia?

Sonny Yardley będzie dzwoniła do pracy w tym tygodniu, żeby pomówić o swoim powrocie, i Adam obiecał, że przypomni jej, by skontaktowała się z Arthurem. Może to pozwoli mu też wyjaśnić pochodzenie ostatnich dwóch przywieszek – pierścionka i serduszka. Chciał wreszcie skończyć tę swoją misję, załatwić wszystko i kropka.

– Cześć, Arthurze. – Na progu stała Bernadette.

– Cześć.

Spodziewał się, że zaraz wparuje do środka i zacznie sprawdzać czystość korytarza, ale ona nawet nie drgnęła. Pomyślał o tym, co mówił Nathan o jej wizytach na oddziale onkologii. Instynktownie unikał patrzenia jej w oczy, bo obawiał się, że mogłaby z nich coś wyczytać.

– Proszę, wejdz – powiedział.

Pokręciła głową.

– Pewnie jesteś zajęty. Upiekłam to dla ciebie. – Podała mu ciasto w papierowej torbie. – Z borówkami.

Zdał sobie sprawę, że uważnie wsłuchuje się w jej głos. Czy jest zmartwiona, smutna? Zdecydował, że dziś postara się być dla niej szczególnie miły.

– O, cudownie. To jedno z moich ulubionych.

– Cieszę się. Mam nadzieję, że będzie ci smakowało. – Odwróciła się, żeby odejść.

Arthur popatrzył na nią. Jeśli sobie pójdzie, on zostanie sam i pewnie nie oprze się pokusie, by wyjąć szmatki i zacząć pucować blaty. Poza tym chciał się upewnić, czy wszystko z nią w porządku.

– Nie, wcale nie jestem zajęty – powiedział. – Może zjemy razem?

Bernadette przez chwilę stała bez ruchu, ale w końcu weszła do środka.

Arthur zerknął na nią. Miała podkrążone oczy, a rude włosy były ciemniejsze niż zwykle, niemal w kolorze mahoni. Nie mógł wspomnieć o jej wizytach w szpitalu, bo zawiódłby zaufanie Nathana. Starał się nie myśleć o stracie Miriam i o tym, jak by to było, gdyby z jego życia zniknął ktoś jeszcze. Rozumiał, że jest w wieku, kiedy przyjaciele i najbliżsi starzeją się i tracą siły. Poczuł coś podobnego jak wtedy, gdy stał nad nim tygrys Graystocka – palący lęk w żołądku.

Ale powiedział sobie, że pewnie dramatyzuje. Może to tylko tak groźnie wygląda, a chodzi o zwyczajne badania. Próbował

wymyślić, co by tu powiedzieć miłego na początek.

– Nathan mówił, że też lubi piec – rzucił wesoło, zaglądając do torby z ciastem.

– Tak, lubi – potwierdziła w roztargnieniu Bernadette.

Arthur wysunął ciasto na blachę i włączył piecyk, nastawiając najniższą temperaturę, żeby się zbyt nie nagrzał.

– Nie musisz mi już nic przynosić. Wiesz, wyszedłem jakoś na prostą. Nie mam zamiaru się zabić ani pogrążyć w morzu rozpacz. Nie jestem już beznadziejnym przypadkiem. Całkiem nieźle sobie radzę.

Odwrócił się do niej z uśmiechem, pewny, że zobaczy jej uradowaną minę i że Bernadette mu pogratuluje.

– Beznadziejny przypadek? To tak siebie widzisz? – spytała, wyraźnie rozzłoszczona.

Arthur poczuł, że się lekko czerwieni.

– No nie. Wcale tak nie myślę. Po prostu słyszałem coś takiego na poczcie. Vera zauważyła, że lubisz zajmować się różnymi nieszczęśnikami. Mówi o nich „beznadziejne przypadki”.

Bernadette uniosła brodę.

– Ta głupia kobieta nie ma nic lepszego do roboty niż plotki – warknęła. – Ja wolę poświęcać czas na coś pożytecznego i pomagać ludziom, zamiast tylko się gapić i zostawiać ich na pastwę losu.

Widział, że ją uraził. Rzadko się o coś gniewała.

– Przepraszam – wybąkał zmartwiony. – Nie powinienem był tego mówić. To niedelikatne z mojej strony.

– Nie, nie, dobrze, że mi powiedziałeś. Nigdy nie uważałam cię za beznadziejny przypadek. Jesteś uroczym człowiekiem, straciłeś żonę. Sądziłam, że potrzebujesz odrobiny wsparcia. Czy to zbrodnia? Czy to zbrodnia, że pomagam innym i poświęcam im nieco uwagi? Moja noga już więcej nie postanie na tej poczcie. Ta Vera potrafi być czasem okrutna.

Arthur nigdy jeszcze nie widział Bernadette tak wytrąconej z równowagi. Z jej ust znikł obecny zawsze uśmiech. Miała oczy pomalowane mocniej niż zwykle. Grube czarne linie były spękane. Makijaż się nie trzymał. Arthur nie chciał myśleć, że to zły znak.

– Ciasto pysznie pachnie – powiedział cicho. – Moglibyśmy zjeść na dworze. Taka ładna pogoda.

– Zaraz się popsuje – prychnęła. – W tych dniach zapowiadają burze. Czarne chmury i deszcz.

Wstała, podeszła do kuchenki, spojrzała, na jaką temperaturę jest nastawiony piecyk, i trochę ją podkręciła. Wzięła blachę i otworzyła drzwiczki piecyka. Ciasto zaczęło się zsuwać. Niebezpiecznie ześlizgnęło się do połowy. Oboje patrzyli, jak kołysze się na krawędzi. Niczym w zwolnionym tempie zaczęło się łamać. Aż osiągnęło kąt prosty i część spadła na podłogę. Rozkruszyła się po linoleum. Z pozostałej na blasze połówki ściekało owocowe nadzienie. Dłoń Bernadette drżała. Arthur szybko wstał i wyjął jej z rąk blachę.

– Bęc, to na szczęście. Siadaj, a ja posprzątam ten mały bałagan. Wezmę tylko szufelkę i szczotkę.

Kiedy nachylił się, by zamieść, strzyknęło mu w plecach. I wtedy zauważył, że Bernadette tonie we łzach.

– Nie martw się – powiedział. – Została nam jeszcze dobra połowa. Wiesz, nigdy nie byłem pewien, które to są borówki.

Zobaczył, że Bernadette zaciska zęby.

– Niektórzy mówią „czarne jagody”. – Głos jej drżał. – Zbierałam je w dzieciństwie. Mama zawsze to poznawała po moich fioletowych ustach i palcach. Były takie pyszne, prosto z krzaczka. Zwykle zalewaliśmy je wodą i wtedy wychodziły z nich małe ruchliwe robaczki. Jedząc ciasto, zawsze zastanawiałam się, czy któryś tam przypadkiem nie został.

– Upiekłyby się w piecu – powiedział łagodnie Arthur.

– Pewnie wolałyby się spalić, niż utopić. Ale ani jeden, ani drugi rodzaj śmierci nie wydaje się dobry.

– Sądzę, że żadna śmierć nie jest dobra.

Rozmowa zbaczała w niebezpiecznym kierunku.

– Racja. – Bernadette zapatrzyła się w okno.

Arthur też w nie spojrział. Frederica nadal stała radośnie na skalniaku. A płot nadal był zbyt wysoki. Liczył, że Bernadette rzuci jakąś uwagę na temat ogrodu albo pogody, ale ona milczała. Gorączkowo myślał, co by tu powiedzieć, zwłaszcza że wyraźnie zdenerwowała się połamaniem ciasta. Ich jedynym wspólnym tematem było jedzenie.

– Ostatnio w Londynie – zaczął – jadłem bułkę z parówką, siedząc na trawie. Ociekającą tłuszczem i keczupem, z takimi cieniutkimi plasterkami smażonej cebuli w środku. To było coś najpyszniejszego, co miałem w ustach od wieków. Nie licząc twoich pasztecików i ciast, oczywiście. Miriam uważała za szczyt złych manier jedzenie takich rzeczy na ulicy, w miejscu publicznym, a już szczególnie, gdy się szło i jadło. Czulem

wyrzuty sumienia, ale jednocześnie to było wyzwalające doświadczenie.

Bernadette odwróciła się od okna.

– Carl upierał się, żeby w każdą niedzielę był rostbef. Przyzwyczaił się do tego w dzieciństwie. Raz przyrządziłam indyka. A on strasznie się zdenerwował. Tak jakbym obraziła jego tradycje rodzinne. Wołowina w niedzielę to była świętość. Zakwestionowałam całe jego wychowanie, kiedy upiekłam tego indyka. Carl umarł, a ja, w imię jego pamięci, nadal szykowałam we wszystkie niedziele rostbef, choć nigdy go nie lubiłam. I nagle, pewnego dnia, miałam już tego dość. Zrobiłam sobie kanapkę z cheddarem i marynowaną cebulą. Ledwie dawałam radę coś przełknąć, bo czułam się tak, jakbym zdradzała Carla. Ale tydzień później znów zrobiłam sobie taką kanapkę. I to była najlepsza kanapka, jaką jadłam w życiu. Teraz jem, co chcę i kiedy zechcę. Ale za nic nie oddałabym tamtych niedzielnych rostbefów, bo choć nie było to moje wymarzone jedzenie, to Carl był mężczyzną, z którym chciałam siadać do stołu.

Oboje milczeli chwilę, myśląc o swoich współmałżonkach.

– Kupiłem trochę dobrego cheddara w miasteczku – powiedział Arthur. – I zawsze mam marynowane cebulki. Mogę nam zrobić po kanapce, a borówkowe ciasto będzie na deser.

Bernadette patrzyła na niego zaskoczona. Nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Wiesz, że po raz pierwszy proponujesz mi, żebym coś z tobą zjadła?

– Naprawdę?

– Tak. To bardzo miło z twojej strony, Arthurze. Ale nie chciałabym zajmować ci czasu.

– Nie zajmujesz mi czasu. Pomyślałem, że przyjemnie byłoby zjeść razem lunch.

– To wielki przełom, że masz ochotę na towarzystwo.

– Nie ma w tym nic z naukowego eksperymentu. Po prostu pomyślałem, że może jesteś głodna.

– W takim razie przyjmuję zaproszenie.

Tego dnia była jakaś inna. Zwykle ruszała się szybko i zdecydowanie. Teraz wydawała się powolna i zamyślona, jakby za bardzo się nad wszystkim zastanawiała. Spodziewał się walki o to, kto przejmie kierownictwo w kuchni. Sądził, że Bernadette będzie co parę minut zaglądać przez drzwiczki do piekarnika, a on poczyta gazetę. Ale kiedy wyjął ser z lodówki, powiedziała, że rozejrzy się po ogrodzie. Wędrowała po nim, gdy on kroił bułki na pół i smarował je grubo masłem.

Po raz pierwszy od śmierci Miriam miał z kimś jeść w domu i właściwie było mu miło, że nie jest sam. Zwykle Bernadette czekała, by upewnić się, że zje paszteciki i ciasta, które przyniosła. Ale nie przyłączała się do niego.

Znów z poczuciem winy przypomniawszy sobie, ile to razy się przed nią chował i kłął, kiedy jej wypieki lądowały na dywaniku pod drzwiami, a on stał jak słup soli, żeby tylko go nie nakryła. Bernadette była święta. Nie miał pojęcia, jak mogła znosić jego humory i nie położyć na nim kreski.

– Lunch gotowy! – zawołał przez tylne drzwi, kiedy pokroił bułki na ćwiartki i ułożył je na talerzu wraz z kilkoma grzankami.

Ale Bernadette nawet się nie ruszyła. Stała zwrócona w kierunku pól, ze wzrokiem utkwionym w iglicach katedry Yorku.

Włożył kapcie i wyszedł na żwirową ścieżkę.

– Bernadette? Lunch gotowy.

– Lunch? – Zmarszczyła brwi, błędząc myślami gdzieś daleko. – A, tak.

Usiedli przy stole. Od śmierci Miriam nie przejmował się zwykle sposobem podania jedzenia. Po prostu nakładał sobie i jadł, ale teraz z zadowoleniem zauważył, że kanapki wyszły mu całkiem ładnie. Pokroił je na równe części, które luźno ułożył na talerzu. Bernadette usiadła na dawnym miejscu Miriam. Zajmowała więcej przestrzeni niż jego żona. W dodatku była taka kolorowa, trochę jak papuga, z tymi swoimi czerwonymi włosami i fioletową bluzką. Tego dnia miała zielone paznokcie, w kolorze szmaragdu z siedziska na grzbiecie złotego słonia z bransoletki.

– Więc byłeś w Paryżu?

Arthur skinął głową. Opowiedział jej o Sylvie, o butikach z sukniami ślubnymi i o tym, jak Lucy poznała miłego kelnera. Zanim skończyli jeść, wręczył Bernadette zapakowany w różową bibułę woreczek z lawendą.

– Co to? – Naprawdę była zaskoczona.

– To tylko taki skromny upominek, z podziękowaniem.

– Za co?

Wzruszył ramionami.

– Zawsze tyle mi pomagasz.

Rozpakowała, obróciła woreczek w dłoniach i przytknęła do nosa.

– Uroczy prezent – powiedziała.

Spodziewał się, że uśmiechnie się do niego szeroko i poklepie go po ręce. Aż ścisnęło go w dołku, kiedy tego nie zrobiła. To był tylko drobiazg, ale dla niego wielka sprawa, że w ogóle na coś takiego się zdobył. Chciał jej okazać, jak bardzo ją lubi, jak wysoko ceni sobie jej przyjaźń. Zainwestował mnóstwo uczucia w ten mały upominek. Ale skąd ona mogła to wiedzieć? Żałował, że nie dodał karteczki z miłą dedykacją, zwłaszcza że teraz Bernadette przeżywała pewnie trudny czas. Zaschło mu w gardle, próbował znaleźć właściwe słowa.

– Jesteś bardzo dobrym człowiekiem – wydukał z trudem.

– Dziękuję, Arthurze.

Skończyli lunch. Jednak Arthura wciąż dręczył niepokój. Denerwował się i nie był pewien, czy kanapka i ciasto długo utrzymają się w jego żołądku. Zdał sobie sprawę, że nie tylko martwi się o Bernadette, ale też nie może się doczekać, kiedy wreszcie zadzwoni Sonny i odpowie na jego pytania.

– Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, jak wyglądało życie Carla, zanim się poznaliście? – zapytał, zbierając naczynia. Starał się, by zabrzmiało to całkiem naturalnie.

Bernadette ze zdziwieniem uniosła brwi, ale odpowiedziała:

– Miał trzydzieści pięć lat, kiedy się spotkaliśmy, więc oczywiście były już jakieś kobiety w jego życiu. A nawet żona. Nie wypytywałam go, nie chciałam za dużo wiedzieć, jeśli o to ci chodzi. Sądzę, że nie ma znaczenia, czy przede mną był

z dwiema kobietami, czy dwudziestoma. To Nathanem się martwię. Tak wcześnie stracił ojca.

Arthur wiedział, że może zaufać tej szlachetnej kobiecie, swojej przyjaciółce, nawet jeśli tego dnia wydawała się trochę chłodna. I uznał, że to jeszcze nie jest właściwy czas, by zagadnąć ją o te wizyty u lekarzy.

– Chciałeś mi coś powiedzieć? – spytała.

Zamknął oczy i zobaczył siebie, siedzącego nago na stołku, z tym swoim białym, pomarszczonym ciałem. I zobaczył Miriam, uwodzicielsko uśmiechającą się do artysty, który ją maluje.

– Ja... – zaczął, po czym urwał, bo zabrakło mu słów i właściwie nie był pewien, czy chce to powiedzieć. – Po prostu zastanawiam się, dlaczego Miriam ze mną została. Przecież... spójrz na mnie. Nic ze mnie specjalnego. Nie miałem ambicji, żeby piąć się w górę. Nie maluję, nie piszę i niczego nie tworzę. Byłem tylko cholernym ślusarzem. Musiała się ze mną strasznie nudzić.

Bernadette uniosła brwi, zaskoczona jego wybuchem.

– Czemu miałyby się nudzić? Skąd ten pomysł?

– Och, sam nie wiem. – Westchnął. Miał już tego dość, dość tych tajemnic. – Prowadziła tak ekscytujące życie, zanim mnie poznała. I nic mi o tym nie mówiła. Ukrywała to przede mną. Zastanawiam się, czy przez cały ten czas, kiedy byliśmy razem, wspominała Indie, tygrysy, artystów i pisarzy. Pomyśleć, że wylądowała z takim starym nudziarzem jak ja. Zaszła w ciążę i musiała pogodzić się z życiem, które jej ofiarowałem, ale tak

naprawdę chciała pewnie czegoś zupełnie innego. –
Zażenowany poczuł, że łzy napływają mu do oczu.

Bernadette siedziała nieruchomo.

– Nie jesteś nudny – powiedziała spokojnie. – Posiadanie
dzieci i bycie dorosłym samo w sobie jest przygodą. Zobaczyłam
was kiedyś na kościelnym festynie. Zauważyłam, jak na siebie
patrzycie. Ona widziała w tobie swojego opiekuna. Pamiętam,
jak pomyślałam, że jesteście dla siebie stworzeni.

– Kiedy to było? – spytał zaczepnie.

– Kilka lat temu.

– Najwyraźniej się myliłaś.

– Nie – odparła zdecydowanie. – Wiem, co widziałam.

Arthur pokręcił głową. Zdawał sobie sprawę, że żadne
słowa Bernadette tu nie pomogą. Lepiej było nic nie mówić
o swoich rozterkach i trzymać język za zębami, zamiast tak
użalać się nad sobą.

– Nigdy nie wiadomo, co człowiekowi pisane. – Bernadette
wstała, zaniósła talerze do kuchni i zaczęła je opłukiwać pod
kranem.

– Zostaw! – zawołał. – Sam pozmywam.

– Chętnie to zrobię – odpowiedziała łamiącym się głosem.

Arthur zamarł. To brzmiało tak, jakby płakała. Nie
powinien był prowokować wspomnień o Carlu i spierać się
z nią o to, jak było na tamtym festynie. Co teraz robić? Siedział
bez ruchu, sztywno wyprostowany. Bernadette pociągnęła
nosem. Patrzył przed siebie, udając, że nic się nie dzieje. Nie był
dobry w sprawach uczuć.

– Nic ci nie jest? – zapytał cicho.

– Mnie? Nic, oczywiście.

Zakręciła kran. Ale kiedy sięgnęła po ściereczkę, zauważył, że ma załzawione oczy.

Przypomniwał sobie pewną rozmowę z Miriam. Zapytał, co chciałyby dostać na urodziny, a ona powiedziała, żeby nie robił sobie kłopotu, bo ona nic nie potrzebuje. Dał jej więc tylko kartkę z życzeniami i bukietik białych frezji. Tego wieczoru ledwie się do niego odzywała, a kiedy wreszcie spytał, dlaczego jest taka oschła, odparła, że spodziewała się jakiegoś prezentu.

– Ale przecież mówiłaś, żebym ci nic nie kupował – zdziwił się.

– Owszem, ale to tylko tak się mówi. Podobnie kiedy pytasz kobietę, co się stało, bo widzisz, że jest zmartwiona, a ona na to, że nic. To nieprawda. Ale chodzi jej o to, żebyś spytał ją jeszcze raz i pytał tak długo, aż ci opowie. Powinieneś chcieć kupić mi prezent, nawet jeśli powiedziałam, że nie trzeba. Miałaś okazję pokazać, że ci na mnie zależy.

Arthur wiedział więc, że kiedy kobiety coś mówią, czasem oznacza to coś wręcz przeciwnego.

– Widzę, że coś ci dolega. – Wstał, podszedł do niej i poklepał ją po ramieniu.

Bernadette zeszywniała.

– Może tak, a może nie. – Wzięła talerz, przetarła go myjką, po czym ustawiła na suszarce.

Arthur odebrał jej szmatkę. Wycisnął i położył na blacie.

– O co chodzi? Co się stało?

Spuściła wzrok, wyraźnie zastanawiając się, czy mu powiedzieć.

– W zeszłym miesiącu przed zajęciami z tańca brzucha, kiedy się przebierałam, wyczułam guzek w... piersi. Poszłam do lekarza. Skierował mnie do szpitala, żeby zbadać, czy to nie rak. Jutro będą wyniki.

– Rozumiem... no...

Nie wiedział, co powiedzieć. Nathan miał rację.

– Lekarz mówi, że to rutynowe postępowanie i lepiej sprawdzić. Ale moja matka na to zmarła, siostra też miała nowotwór. I najprawdopodobniej ja też go mam. – Zaczęła mówić szybciej. – Nie wiem, jak dam sobie radę. Nathan wyjedzie na studia, a Carla już nie ma. Nie mówiłam nic Nathanowi. Nie chcę go martwić.

– Mogę zawieźć cię na jutrzejszą wizytę...

– Od roku nie siadałeś za kierownicą.

– Moja praca wiązała się z jazdą autem. Na pewno sobie poradzę.

Bernadette uśmiechnęła się.

– To miło z twojej strony, ale nie.

– Tyle dla mnie zrobiłaś.

– Nie potrzebuję rewanżu.

– Nie próbuję się rewanżować. Proponuję ci, że cię podwiozę. I moją przyjaźń.

Zdawało się, że go nie słyszy.

– Nathan ma dopiero osiemnaście lat... Pomyśl, jeśli jest źle... Najpierw Carl, a teraz ja.

– Postaraj się nie martwić na zapas. Przecież nic nie wiadomo, póki nie masz wyników. Wszystko wyjaśni się jutro.

Wzięła głęboki wdech i zatrzymała na chwilę powietrze, zanim je wypuściła przez nos.

– Masz rację. Dziękuję.

– Mogę też podjechać po ciebie taksówką. Nie musisz przechodzić przez to samotna.

– Naprawdę ogromnie miło z twojej strony. Ale ja chcę załatwić to sama.

– Nathan pewnie bardzo się niepokoi.

– Nic mu nie mówiłam. O niczym nie wie.

Arthur był w rozterce, czy jednak nie powiedzieć jej o wizycie Nathana i o tym, że syn się zamartwia. Kiedy zastanawiał się, co robić, zadzwonił telefon.

– Odbierz – rzuciła szybko Bernadette. – I tak już wychodzę.

– Jesteś pewna? Mogą zadzwonić później.

Pokręciła głową.

– Już lecę. Dziękuję za lunch. Było miło.

– O której masz wizytę?

– Jakoś po południu. Telefon dzwoni. W kuchni.

– Powiedz mi, jak poszło.

– Telefon... powinienes odebrać.

Arthur, chcąc nie chcąc, otworzył drzwi. Bernadette wyszła. Patrzył, jak idzie ścieżką przez ogród, kiedy w roztargnieniu podnosił słuchawkę.

Kobięcy głos był czysty i opanowany. Ton tak chłodny, że aż go przeszedł dreszcz.

– Arthur Pepper?

– Tak?

– Podobno pan mnie szukał. Nazywam się Sonny Yardley.



Pierścionek

– Nie jestem zachwycona, że bez uprzedzenia pojawił się pan w miejscu mojej pracy – oznajmiła Sonny. – To wbrew zasadom. Mogłam właśnie prowadzić zajęcia. Ale tak się składa, że miałam zwolnienie lekarskie i naprawdę całe to zamieszanie było kompletnie niepotrzebne. Dopiero kiedy wróciłam, Adam poinformował mnie, że fatygował się pan tu osobiście i mnie szukał.

– Przepraszam. Dzwoniłem wcześniej i zostawiałem wiadomości.

– A ja je otrzymałam. To nie uprawnia pana do nękania mnie.

Arthura uderzył jad w jej głosie. Nie zdawał sobie sprawy, że to, co zrobił, mogło kogoś tak bardzo urazić.

– Naprawdę nie miałem złych intencji.

– No, co się stało, to się nie odstanie. Adam pomógł panu znaleźć to, czego pan szukał? – Jej głos nadal brzmiał ostro.

– Mam bransoletkę, taką z przywieszkami. Sądzę, że pani zaprojektowała jedną z nich, w kształcie palety malarskiej.

– Tak.

– No to, jak mówiłem, nagrywając się na sekretarkę, pewnie знаła pani moją żonę, Miriam Kempster. I pewnie to pani dała jej ten wisiołek.

Sonny milczała. Arthur poczuł się niezręcznie. Zaniósł telefon na kuchenny stół i próbował jakoś nawiązać dialog.

– Dostałem pani nazwisko od Sylvie Bourdin.

– Nie znam żadnej Sylvie Bourdin.

– Też była przyjaciółką żony. Miriam mieszkała z nią w Paryżu. Właśnie Sylvie podsunęła mi, żebym się z panią skontaktował.

– Coś takiego! – prychnęła pogardliwie Sonny.

Arthura zaczynał już denerwować ten jej agresywny ton.

– Pani Yardley, moja żona nie żyje. Od dwunastu miesięcy. Nie wiem, czy pani o tym słyszała. Próbuję zdobyć jakieś informacje o jej przeszłości.

Spodziewał się, że teraz ona powie, jak jej przykro, i przeprosi za swoje zachowanie, ale wciąż milczała. Pomyślał, że musi być naprawdę zła albo trzyma go w niepewności, żeby pokazać, kto tu rozdaje karty. A może po prostu nadal źle się czuje po chorobie. Więc znowu zaczął coś głądzić. Dostał słowotoku. Opowiedział o bransoletce i o tym, jak idąc tropem przywieszek, trafił do Paryża, Londynu i Bath. Zostały tylko dwa wisioriki, o których chciał się dowiedzieć więcej. Pierścionek i serduszko.

Wyczuwał, że ona nadal jest na linii, bo od czasu do czasu coś stukało, jakby o słuchawkę uderzał kolczyk.

– Ot i cała historia – zakończył.

– Nie wiem właściwie, czemu jeszcze się nie rozłączyłam, panie Pepper – powiedziała lodowatym tonem.

– Dlaczego, na Boga, miałyby pani to zrobić?

– Czy żona kiedykolwiek panu o mnie wspomniała?

– Nie. Nie sądzę. Choć może pamięć mnie zawodzi...

– Zastanawiam się, ile jeszcze trupów ukrywała w szafie.

Ma pan o tym pojęcie?

– No... nie za bardzo.

Zdawało się, że mówią odmiennymi językami, a on był już zmęczony tą grą i podejmowaniem tropów, które nie wiadomo dokąd prowadzą.

– Rzeczywiście, wygląda na to, że pan nie ma – powiedziała Sonny. – W takim razie serdecznie współczuję.

– Pojechałem do college'u, żeby panią znaleźć. Zobaczyłem tam obraz pani brata. Jest na nim Miriam. Był świetnym malarzem.

– Tak, był.

– Już nie maluje?

– Już go nie ma wśród nas. Pan rzeczywiście nic nie wie, prawda?

Arthur nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Bardzo mi przykro. To wspaniałe, że pamięć o nim pozostaje żywa poprzez dzieło, które można oglądać na wystawie.

– Nienawidzę tego obrazu. Jest zdecydowanie zbyt figlarny jak na mój gust. Gdyby to ode mnie zależało i gdyby mój brat nie był autorem, to płótno zostałoby stamtąd usunięte. A może nawet spalone.

– O, wydawało mi się, że to piękny obraz.

– Proszę mnie nie rozśmieszać. Naprawdę nie mam czasu na takie rozmowy, panie Pepper.

Arthur nie ustępował.

– Próbuję tylko dowiedzieć się czegoś o mojej żonie. Mam wrażenie, że są rzeczy, o których nie mam pojęcia, o których nigdy nie słyszałem.

– I może tak jest lepiej. Powinniśmy skończyć tę rozmowę. Niech pan swobodnie wyrzuci ten wisiołek w kształcie palety. To część starej historii, o której wolałabym zapomnieć.

Arthur czuł się kompletnie skołowany. Dłoń mu drżała. Kusiło go, by postąpić tak, jak mówiła Sonny. Też myślał o tym, żeby po prostu pozbyć się bransoletki i spróbować żyć jak dawniej. Ale zaszedł już za daleko.

– Moja żona była niegdyś pani przyjaciółką? – spytał łagodnie.

Sonny zawahała się.

– Tak. Dawno temu.

– I Martina też, skoro ją namalował?

– To bardzo stare czasy...

– Muszę dowiedzieć się, co się stało.

– Nie. Nie musi pan. Proszę dać temu spokój.

– Nie mogę. Myślałem, że ja i Miriam wiemy o sobie wszystko, a teraz mam wrażenie, że już nic nie wiem. Jest

wielka biała plama i muszę znaleźć sposób, żeby to wyjaśnić, nawet jeśli usłyszę coś, co mi się nie spodoba.

– Nie sądzę, żeby to się panu spodobało.

– Ale muszę wiedzieć.

– No dobrze, panie Pepper. Chce pan prawdy. To proszę. Pana żona była morderczynią. Jak to się panu podoba?

Arthur miał wrażenie, że spada do głębokiej studni, wymachując bezradnie rękami i nogami. Ścisnęło go w dołku.

– Pani wybaczy. Nie rozumiem – wyjąkał.

– Zabiła mojego brata, Martina.

– To niemożliwe.

– A jednak.

– Proszę powiedzieć mi, co się stało.

Sonny przełknęła ślinę.

– Długo byliśmy przyjaciółkami. Miriam i ja. Razem bawiłyśmy się i odrabialiśmy lekcje. Jak miała problemy w domu, to właśnie mnie się zwierzała. To ja jej wysłuchiwałam i doradzałam, co robić. Ja zachęcałam ją, by wybrała się z rodziną Mehrów do Indii. Kupiłam jej tę bransoletkę na szczęście, zanim wyjechała. Mogła zawsze na mnie liczyć, kiedy mieszkała w Paryżu. Przypominam sobie nawet nazwisko tej Sylvie Bourdin... Miriam i ja regularnie korespondowałyśmy ze sobą podczas jej podróży. Przyjaźniłyśmy się tak blisko, jak to tylko możliwe. Potem, po Paryżu, Indiach i Londynie, Miriam znudziły się wędrówki. Wróciła tutaj. Ale zamiast odnowić relacje, jakie nas łączyły, skupiła się na moim bracie. Czarowała go, trzepocząc rzęsami. Zaczęli spotykać się beze mnie. Po kilku miesiącach się zaręczyli, mieli się pobrać. Wiedział pan o tym?

– Nie – szepnął Arthur.

– Martin chciał kupić jej pierścionek z brylantem, żeby wszystko było jak trzeba. Zaczął więc oszczędzać każdego pensa. A tymczasem kupił jej do tej bransoletki wisiołek w kształcie pierścionka.

– Mam go tutaj. – Jego słowa zabrzmiały tak, jakby to mówił ktoś inny. – A przywieszkę w kształcie palety zrobiła pani sama?

– Tak. To był prezent urodzinowy.

– I mówi pani, że Miriam i Martin byli zaręczeni?

A myślał, że to on był jej pierwszą miłością.

– Przez krótki czas. Do jego śmierci. Auto, które prowadził, uderzyło prosto w drzewo.

– Bardzo mi przykro. Ale powiedziała pani, że moja żona była morder...

– Pożyczyli sobie samochód naszego ojca. Martin nie miał jeszcze prawa jazdy, ale tak bardzo chciał zrobić wrażenie na Miriam, że wieczorem, kiedy rodziców nie było w domu, bez pytania wziął kluczyki. Miriam go sprowokowała. Słyszałam, jak mówi, że ma ochotę na nową przygodę. Miriam, z tymi swoimi umalowanymi oczami, lśniącym, natapirowanym kokiem, modnie ubrana, z perłami na szyi. Młody chłopak, jak on, nie miał szans, kiedy taka zagięła na niego parol. Malował, ale tak naprawdę chciał zostać pisarzem. A właściwie zająć się dziennikarstwem. Kiedy dowiedział się, że ona przyjaźni się z francuskim literatem, de Chauffantem, był zdruzgotany. Chciał jej zaimponować... To był ciepły wieczór. Pamiętam, że słyszałam ptaki, kiedy wychodzili. Ona trzymała go pod ramię. Mówiłam Martinowi, że nie powinien brać auta, ale tylko się ze

mnie śmiali. Miriam kazała mi nie przynudzać, ale jestem pewna, że Martin na moment się zawahał. Ona jednak zaraz go pociągnęła. Zobaczyłam tylko, jak odjeżdżają. Świadek wypadku twierdził, że Martin zbyt ostro wszedł w zakręt. Stracił panowanie nad autem i uderzył w drzewo. Zabrano ich do szpitala. Miriam miała tylko skaleczone czoło. Mój brat był w śpiączce przez trzy tygodnie. Nie miał szans przeżyć. Tylko dlatego, że chciał się popisać przed Miriam, dowieść, że jest dla niej dość dobry. Gdyby nie zwróciła na niego uwagi, nadal byłby tu z nami. Ożeniłby się z kimś innym. Może miałyby dzieci. Moi rodzice cieszyliby się wnukami. Ja im dać ich nie mogłam, ale on pewnie tak.

– Ale to on prowadził... a pani powiedziała, że Miriam...

– Praktycznie go zabiła.

Pomyślał o małej bliźnie na skroni żony. Mówiła, że to pamiątka po upadku w dzieciństwie.

– Czyli nigdy nie mówiła panu o Martinie? Nie wymieniła nawet jego imienia? – spytała Sonny.

– Nie. Nic nie wiedziałem o poprzednich zaręczynach.

– No to teraz pan wie, że żona pana okłamywała.

– Nie okłamywała. Po prostu nic nie mówiła. Odcięła się od przeszłości. Nie wspominała, co było, zanim się poznaliśmy. Myślałem, że nie miała żadnych burzliwych przeżyć i nie ma o czym opowiadać. Ale wygląda na to, że było wręcz przeciwnie. Czy wyszłaby za Martina, gdyby nie stało się tamto nieszczęście? Czy była ze mną, ale myślała o nim? Mimo wszystko nadal bardzo ją kocham. Czasami mam wrażenie, że nie jestem w stanie bez niej żyć.

Sonny odchrząknęła.

– Powinnam pewnie przeprosić, że tak o niej mówię, ale nie zrobię tego. Zrujnowała życie mnie i mojej rodzinie.

– W takim razie ja ze swej strony przepraszam. Za to, co się stało. Jeśli to może mieć jakieś znaczenie.

– Odwiedzała Martina codziennie. Siedziała przy jego łóżku. Nie mogłam wtedy znieść jej widoku. Dostawałam gęsiej skórki. Zawsze traktowałyśmy go jak mojego denerwującego braciszka, a tu nagle ona jest nim zauroczona i mówi mi, że chyba to on właśnie jest mężczyzną jej życia. Chciała się ustatkować. A ja wolałam, żeby poznał jakąś dziewczynę nie tak lekkomyślną jak ona. Właściwie porzuciła mnie dla niego.

Arthur poczuł, że zaczyna się trząść. Niezależnie od tego, czego dowiedział się o swojej żonie, nie miał zamiaru słuchać, jak oczernia ją dawna przyjaciółka.

– Bez względu na to, co pani myśli o Miriam, ona była najdelikatniejszą, najlepszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Byliśmy małżeństwem przez ponad czterdzieści lat. Bardzo mi przykro, że pani brat zginął tak tragicznie, ale mówi pani o czymś sprzed wielu, wielu lat. Osoba, którą pani opisuje, wcale nie przypomina mojej żony. Ludzie się zmieniają. Odnoszę wrażenie, jakby była pani zazdrosna o szczęście własnego brata.

– Tak, muszę przyznać, byłam zazdrosna. – Sonny zaczęła mówić szybciej. – To ja się z nią przyjaźniłam, nie Martin. Nie miałyśmy przed sobą tajemnic. A potem tu wróciła i wzięła go sobie. Porzuciła mnie. Chciała się częściej widywać z Martinem niż ze mną...

Zawiesiła głos, a Arthur milczał. Wykorzystał ciszę w taki sam sposób jak wcześniej ona.

– Jest tam pan jeszcze, panie Pepper?

– Tak. Jestem.

– Ona go zabiła. Nie obchodzi mnie, kto prowadził to cholerne auto. W moim przekonaniu Miriam go zamordowała. Pozbawiła moich rodziców syna, a mnie brata. Przyszła na pogrzeb, a potem nigdy już jej nie widziałam. Nie chciałam się z nią spotkać i zrobiłam wszystko, żeby miała tego świadomość. Wiedziałam, że wyszła za mąż. Napisała mi o tym... jeszcze jeden jej cholerny list. Ona zaczęła nowe życie, ale Yardleyom nigdy się to już nie udało. Mam nadzieję, że to jest odpowiedź na wszystkie pana pytania, panie Pepper. Teraz zna pan prawdę.

Arthur odsunął słuchawkę od ucha. Nie był w stanie znieść już ani jednego jej słowa więcej.

– Kochałem ją, bez względu na wszystko – powiedział. – Naprawdę ją kochałem.

Odłożył słuchawkę i zaszlochał.



Parszywe urodziny

Tego dnia były jego urodziny. Kończył siedemdziesiąt lat. To miał być kamień milowy. Miriam kupiłaby mu drobny upominek, może jakieś nowe prążkowane skarpetki albo książkę. Poszliby do knajpki w miasteczku na dorsza z frytkami czy kanapkę z szynką i musztardą. Wypiliby piwo z sokiem i może zjedli na deser szarlotkę z sosem waniliowym. Jego żona nie lubiła nic wymyślnego. Chyba że tylko tak sądził.

Lucy jeszcze się nie odezwała. Dan raczej nie będzie pamiętał, a Bernadette miała ważniejsze sprawy na głowie. Na pewno też nie zostanie zasypany kartkami urodzinowymi.

Poprzedniego wieczoru kładł się do łóżka, myśląc o Sonny i Martinie, i raz po raz budził się z myślą o nich. Spał niespokojnie. Nie był już pewien, co jest jawą, co snem. Widział Miriam w aucie, śmiejącą się. Martin obejmował ją ramieniem, jakby należała do niego, jakby ją chronił. Arthur wyobrażał sobie kabriolet w kolorze butelkowej zieleni, przelatujący oba

pasy jezdni i wbijający się w drzewo. Wyobrażał sobie na miejscu wypadku siebie, biegnącego na pomoc. Głowa Miriam opadła bezwładnie do tyłu, po czole spływała strużka krwi. Prowadzący auto mężczyzna opierał się twarzą o kierownicę. Szyję miał dziwnie skrzywioną, jakby był źle złożoną figurką origami. Arthur widział własną dłoń sięgającą do głowy tego człowieka. We włosach lśniła lepka, gęsta krew. I nagle Martin uniósł głowę. Zaczął się śmiać jak szalony, ukazując umazane czerwienią zęby. „Zabiła mnie. Twoja żona mnie zabiła. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Arthurze”.

Usiadł gwałtownie na łóżku. Mokra od potu piżama lepiała się mu do skóry. Zdarł ją z siebie, rzucił na podłogę w łazience i choć było bardzo wcześnie, przed piątą, wszedł pod prysznic.

Pozwalał, by woda spływała po twarzy, i stał nieruchomo, starając się odegnać natrętne myśli i wizje. Miriam już nie ma. Zabiła człowieka. Jak to możliwe, że spędził życie z kimś, kogo wcale nie znał? Czy ona kiedykolwiek zastanawiała się nad tym, żeby mu powiedzieć? Co za idiota z niego, że nic nie wyczuł, że nigdy nie spytał o jej przeszłość. Po prostu uznał, że są do siebie podobni, że w jej życiu, tak jak i w jego, nic specjalnego się wcześniej nie wydarzyło. Jak bardzo się mylił!

Wytarł się i machinalnie włożył jedną ze swoich starych koszul i niebieskie spodnie Graystocka. Na zewnątrz było jeszcze ciemno. Rozsadzał go niepokój. Czuł się zagubiony, bezradny, przegrany... beznadziejny przypadek. Cokolwiek postanowi zrobić, nie ma to już żadnego znaczenia. A powinien to być radosny dzień, jego święto. Tymczasem został sam, sam jak palec.

Usiadł na łóżku po stronie Miriam. Otworzył szufladę szafki nocnej, wyjął blok w linie i długopis i bez namysłu zaczął pisać list. Jego żona pisała do Sonny, to teraz i on do niej napisze. Może i Miriam przyczyniła się do śmierci Martina, ale kochał ją przez tyle lat i nigdy nie przestanie, nawet jeśli nie zdradziła mu swoich tajemnic.

Musiał to z siebie wyrzucić. Nie wiedział, co myśleć, czuł się boleśnie dotknięty, ale nie zamierzał ulegać rozgoryczeniu. Musi z tym walczyć. Poprzedniego dnia, wstrząśnięty słowami Sonny, nie zdołał powiedzieć jej pewnych rzeczy.

Droga Pani Yardley!

Kochałem żonę całym sercem. Nie była ideałem, ale nikt nim nie jest. Ja na pewno nie.

Jestem zwyczajnym człowiekiem, niespecjalnie utalentowanym, niespecjalnie przystojnym. Od dawna zastanawiałem się, co Miriam we mnie widziała, ale najwyraźniej coś widziała, i byliśmy szczęśliwi.

Dowiedziałem się o niej rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Nie słyszałem nigdy o Pani i Martinie, podobnie jak o Indiach czy Paryżu. Mógłbym teraz siąść i spędzić resztę życia na zadreczaniu się domysłami, dlaczego mi nie powiedziała. Ale widocznie miała swoje powody i szczerze mówiąc, nie sądzę, że wynikało to z egoizmu albo że chciała coś ukryć. Myślę, że oszczędziła mi tych historii z miłości do mnie.

Może Pani uważać mnie za głupiego, naiwnego starca, ale chcę, żeby zapamiętała mnie Pani jako człowieka, który kochał Miriam i którego ona kochała. Czuję się najszczęśliwszym mężczyzną na świecie, że tego doświadczyłem. Dzięki Miriam stałem się lepszy.

I wygląda na to, że ona musiała też kochać Panią i Martina, i to bardzo...

Pisał i pisał, nie wiedząc już, co się z niego wylewa. Cały gniew, frustracja i miłość, którą czuł do żony, znajdowały ujście w słowach.

Kiedy skończył, okazało się, że zapisał cztery strony. Bolał go nadgarstek, miał oczy pełne łez i czuł się w środku pusty jak wydmuszka. Nie przeczytał nawet całości, bo wiedział, że zawarł tu wszystko co trzeba. Na dole ostatniej strony dodał:

Minęło tyle lat. Proszę, niech Pani postara się poszukać w głębi Swego serca wybaczenia dla Miriam. A jeśli nie potrafi Pani wybaczyć, to przynajmniej proszę pamiętać o przyjaźni, która was niegdyś łączyła.

*Z poważaniem,
Arthur Pepper*

Wyrwał kartki z bloku, złożył i wsunął do koperty. Potem napisał na niej: „Pani Sonny Yardley”.

Podwinął rękaw, odsłaniając przedramię, i mocno się uszczypnął, po czym patrzył, jak skóra wolno wraca na miejsce. Zostały na niej różowe ślady po palcach. Ale miał wrażenie, że to nie jego ciało. Spróbował znowu, tym razem wpijając w skórę paznokcie. Chciał coś poczuć, jakiś ból fizyczny, by przekonać się, że żyje, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Pogoda była paskudna. Z okna sypialni widział niebo w kolorze nasiąkniętej atramentem waty. Przyszły pochmurne dni, jak przepowiadała Bernadette. Ale nie mógł zostać w domu. Na myśl o zamknięciu się w czterech ścianach dostawał klaustrofobii. Żałownie byłoby spędzić tu urodziny. Siedziałby tylko, dumając, co by było gdyby. Czy jego żona przez czterdzieści lat opłakiwała Martina i żałowała, że jest nie z nim, ale z Arthurem?

Od tych pytań kręciło mu się w głowie. Opierając się dłońmi o ścianę dla złapania równowagi, poszedł na dół. Musiał stąd wyjść.

W korytarzu włożył kurtkę i jakieś buty, nie zastanawiając się, czy są odpowiednie na tę pogodę. Ruszając, wetknął list do kieszeni.

Na niebie widać było jeszcze księżyc i gwiazdy. Nikt nie pamięta już, że siedemdziesiąt lat temu urodził się pyzaty chłopiec o imieniu Arthur. Dziś był zwykły dzień, jak każdy inny. Jedyna ważna rzecz, że właśnie tego popołudnia jego przyjaciółka Bernadette dowie się, czy ma raka.

Na tę myśl stanął jak wryty. Z całego serca pragnął, żeby nie była chora. Jak mógłby wytrzymać stratę jeszcze jednej osoby, która jest mu bliska? Zdał sobie sprawę, że w tym trudnym dla niego czasie Bernadette była nie tylko pomocną dłonią. Ale przyjaciółką. Drogą przyjaciółką.

Terry właśnie wychodził do swojego ogrodu.

– Co za pogoda, prawda? Podwieźć cię?! – zawołał, naciągając kaptur kurtki na głowę.

– Nie, dziękuję.

– Dokąd to wybierasz się o tak wczesnej porze?

– Spędzę dzień poza domem.

– Idziesz do Lucy?

Arthur nie chciał wdawać się w rozmowy, więc udając, że nie słyszy pytania Terry'ego, ruszył dalej. Zatrzymał się dopiero przy trzecim przystanku autobusowym i zaczekał na autobus do centrum Yorku. Potem wsiadł do pociągu do Scarborough. Przez całe pięćdziesiąt minut jazdy patrzył w okno. Na opalizującym białym niebie wisiały ciężkie atramentowe chmury.

Kiedy wysiadł na stacji, deszcz zacinał przez gałęzie drzew. Ale to go nie powstrzymało. Ruszył pewnym krokiem

w kierunku college'u. Dotarł tam przemoczony do nitki i podał kopertę platynowowłosej recepcjonistce.

– Ależ pan wygląda! – zawołała, poznając go. – Nie ma pan parasola?

Nie odpowiedział.

– Czy mogłaby pani przekazać to pani Sonny Yardley, kiedy tylko przyjdzie do pracy? To ogromnie ważne.

Odwrócił się i ruszył z powrotem do szklanych drzwi wyjściowych, nie słysząc, jak za nim woła i proponuje mu swoją kurtkę.

Minął studentów, palących, gadających, przeglądających coś w swoich telefonach i szykujących się do kolejnego dnia zajęć. Nie zauważał arkad, gdzie pod pasiastymi markizami schroniły się rodziny, ani nie słyszał elektronicznych dzwoneczków i pobrzękiwania drobnych w otwieranych właśnie budkach z gramami i sklepikach. Kiedy dotarł do plaży, był sam. Nikt inny nie był na tyle głupi, żeby spacerować przy takiej pogodzie, szczególnie nad morzem.

Ścieliło się ono przed nim niczym ruchomy, spieniony szary dywan. Stanął na brzegu i patrzył, poddając się hipnotycznej sile szumu fal. Woda przemoczyła mu czubki butów. Wiatr uderzał go w uda. Nogi w kostkach poczerwieniały i zaczynały boleć.

W ciągu kilku tygodni z rozpaczającego wdowca, usychającego z tęsknoty za utraconą żoną, zmienił się w człowieka pełnego podejrzeń.

Tak dobrze się znali. To właśnie uwielbiał w ich małżeństwie. Byli bratnimi duszami, zgodni w myślach,

emocjach i upodobaniach. Tyle tylko, że nie wiedzieli nawzajem nic o swojej przeszłości. Dlaczego nigdy nie spytał żony o jej wcześniejsze życie? Bo nie sądził, że jakieś miała, taka jest prawda.

Bez niej – co mu pozostało? Lucy. Bernadette. Syn na drugim końcu świata. Ale wielkiej, bolesnej wyrwy w sercu nic nie zapełni. Rozpaczliwie tęsknił za kobietą, którą kochał, której nie znał. Dom bez niej przestał być domem. To tylko ściany, dywan i krzątający się tam głupi stary dziad.

Jak może żyć dalej, skoro już nigdy nie poczuje jej policzka na swoim ramieniu? I nie usłyszy, jak coś nuci, kiedy szykują razem śniadanie? Już nic nie będzie tak jak wtedy, kiedy stanowili rodzinę. Ta myśl ścięła go z nóg, miał wrażenie, że znalazł się na ruchomych piaskach.

Znów zaczęło padać. Najpierw mżawka, osiadająca mu na rzesach, a potem lunęło tak, jakby z nieba wystrzelił na ziemię grad słomek, przez które tryskała woda. Biła go w twarz, spływała po policzkach. Mokre spodnie oblepiły mu nogi. Przyłożył dłonie do ust i krzyknął: „Miriam!”. Jego wołanie porwał wiatr i uniósł ze sobą gdzieś daleko.

– Miriam! – Wołał jej imię raz po raz, choć wiedział, że ona nie może go usłyszeć, że woła na próżno. – Miriam!

Wreszcie umilkł i poczuł się pusty, jakby tylko to wołanie sprawiało, że nie rozpada się na kawałki. Fala zalała mu stopy, woda dostała się do butów. Cofając się gwałtownie, zahaczył o kamień i upadł na mokry piach. W kolanach mu strzyknęło, dłonie i tyłek pacnęły twardo o ziemię. Kolejna fala uderzyła w jego nogi, mocząc go znowu i rozplływając się wokół pianą.

– Miriam – powtórzył znowu, już ciszej, wpijając palce w piasek.

Czuł, jak piasek je wsysa i wymyka mu się z dłoni. Dlaczego nie zostawił Miriam w spokoju, idealnej w jego pamięci? Po co wtykał nos w jej sprawy? Otworzył drzwi, za które nie powinien zaglądać. Tak bardzo żałował, że włożył rękę do tego buta. Ktoś by sobie kupił te botki i miałyby miłą niespodziankę, gdyby znalazł w nich złotą bransoletkę. Może przyniosłaby mu szczęście.

Wyjął ją z kieszeni. Nie znosił jej teraz, nienawidził tego, co zrobiła z jego wspomnieniami. Szara otchłań morza kusiała. Uniósł dłoń, czując w niej ciężar złotej łańcuszka z przywieszkami. Wyobraził sobie, jak frunie w powietrzu i wreszcie wpada do wody, tonie, znoszony prądami, a potem na wieki osiada na dnie, czekając, aż ktoś go odkryje, wyłowi i zacznie się zastanawiać, skąd wzięły się na nim te przywieszki. Tylko że dla tej osoby bransoletka będzie anonimowa. Licząca się jedynie jako ciekawostka, warta tyle co złoto, z którego ją zrobiono.

Arthur zastanawiał się, czy poczułby się lepiej, gdyby się jej pozbył, ale został jeszcze jeden wisiołek, o którym nic nie wiedział – serduszko. Pudełko w kształcie serca, kłódeczka w kształcie serca i przywieszka. Może to ona powie mu, że żona naprawdę go kochała, że ich wspólne życie nie było z jej strony pójściem na kompromis. Może w tym serduszku tkwi odpowiedź.

Powinna.

Ale kusiło go, by wejść do morza z bransoletką. Fale go wabiły. Gdyby zaniósł ją aż na głębinę, zyskałby pewność, że zniknie. Nogi miał już mokre do połowy łydek, to czemu nie zanurzyć się aż do bioder, pasa, piersi, ramion? Dlaczego nie pozwolić, by fale zalały mu usta, nos, oczy, aż na powierzchni pozostanie tylko kępka siwych włosów, które w końcu też zagarnie i przykryje morze?

Kogo by to obeszło?

Kilka miesięcy temu powiedziała by, że nikogo. Ale teraz odnowił relacje z Lucy. Całował się z Sylvie. Troszczyła się o niego Bernadette.

I kiedy pomyślał o Lucy, zmusił się, by wstać. Jest jej potrzebny. A ona jemu. Z ulgą usłyszał chrzęst żwiru pod stopami – nie zrobił tego, do czego nawoływało morze. Lucy. Przeżyła dość tragedii. Poronienie, rozpad małżeństwa, utrata matki. Byłby ostatnim egoistą i starym głupcem, żeby się zabić i dorzucić jej kolejny dramat. Cofał się krok po kroku, aż jego pięty uderzyły o nasyp z kamieni. Przysiadł na nich i popatrzył na bransoletkę. Błyszczała jasno na tle ciemnej szarości skał, morza i atramentowego nieba. Wydawało się, że serduszko emanuje światłem.

Wokół stóp miał krąg wody, bo siadł przy kałuży. Kołysał się na niej malutki szary krab, tak nieruchomy, że wyglądał na martwego. Arthur przyglądał mu się przez chwilę. Krab utknął w pułapce. Wkrótce będzie odpływ. Może wyjść słońce i osuszyć kałużę. Z kraba zostanie wyschnięta krucha łupinka.

Zanurzył palce w wodzie. Krab poruszył jednym szczypcem i znów znieruchomiał. Tak jakby do niego pomachał. Arthur

wsunął dłoń głębiej. Ten mały koleżka odgrywał swoją własną wersję udawania, że go nie ma, zastygając niczym posąg.

– Możesz umrzeć, jeśli zostaniesz w tej kałuży, zdany na własne siły – powiedział Arthur. – Bezpieczniej będzie ci w morzu.

Nabrał w dłoń wody i krab podryfował do niej. Arthur delikatnie podniósł rękę. On i krab przez chwilę patrzyli na siebie. Stworzenie miało czarne przenikliwe oczka.

– Nie bój się – szepnął Arthur.

Zaniósł kraba na brzeg, zaczekał na niewielką falę i położył go na piasku. Mały skorupiak zatrzymał się na moment, jakby chciał podziękować i się pożegnać, po czym bokiem pomaszerował do wody. Nadpłynęła kolejna łagodna fala, a kiedy się cofnęła, kraba już nie było.

Arthur wpatrywał się w puste miejsce po nim. Może ja też utknąłem w kałuży pośród skał, pomyślał. Powinienem być w morzu, nawet jeśli jest straszne i nieodgadnione. Jeżeli tam nie dotrę, uschnę i umrę.

Wyobraził sobie, co powiedziałyby Lucy, gdyby zobaczyła go tutaj, przemoczonego do nitki, ratującego kraba. „Zamarzniesz na śmierć. Chodź, ogrzej się”. On mówił tak do niej, kiedy była mała. Pomyśleć, że ich role się odwróciły. Jakie to dziwne. Przyszło mu do głowy, że Miriam też by to rozbawiło.

Nieważne, co teraz robi. Jest wdowcem. Nie ma nikogo, kto by mu dyktował, jak żyć. Jeśli ma chęć na głupie harce w morzu, droga wolna. Bo niby czemu nie? Machnął nogą, poczekał, aż nadpłyną fale, i zaczął przytupywać i tańczyć.

– Spójrz na mnie, Miriam. – Śmiał się histerycznie, a łzy płynęły mu po policzkach i mieszały się z kroplami deszczu. – Wyglupiam się. Przebaczam ci. Nic mi nie powiedziałaś, bo sądziłaś, że tak będzie lepiej. Muszę ufać, że zrobiłaś tak w dobrej wierze. Żyję dalej. Strasznie żałuję, że ty już nie. Ale pragnę żyć, choć to boli. Nie chcę stać się wyschniętym krabem.

Zerwał się do biegu, a potem to szedł, to truchtał brzegiem, wchodząc w fale i uciekając przed nimi. Lodowata woda przypominała mu, że żyje. Otworzył ramiona na wicher, pozwalając mu przenikać ubranie i szczypać w oczy.

Musiał przebaczyć i zapomnieć. Nie było innego sposobu.

Wreszcie otulił się rękami i szedł pod wiatr, aż dotarł do plażowej kawiarni. Widział, że ciemne chmury się rozchodzą. Wyglądało już zza nich słońce. Na brzegu markizy w biało-niebieskie pasy lśniły krople deszczu. Kałuże na chodniku połyskiwały jak lustra.

Jakaś para otworzyła drzwi lokalu i weszła do środka. Był z nimi zmoknięty foksterier o zmierzwionej sierści. Z ich nieprzemakalnych spodni i kurtek ściekała woda. Jestem tak samo mokry jak oni, powtarzał sobie, ale wiedział, co by powiedziała Miriam: „Nie możesz tam wejść w tym stanie”. Ale mógł. Przebiegł go dreszcz, kiedy przekraczając próg, poczuł na policzkach uderzenie miłego ciepła.

– Rany boskie, ale wyglądacie – rzuciła pani w wesołym żółtym fartuchu. – Musimy was trochę wysuszyć.

Znikła za ladą i przyniosła mu puszysty błękitny ręcznik.

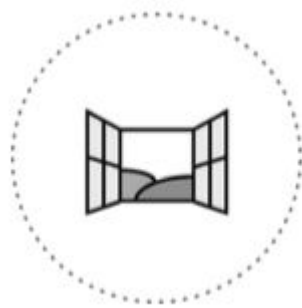
– Niech się pan wytrze.

Podawała tamtej parze nieco mniej świeży ręcznik dla psa.

– Co za zakazana pogoda. Zaskoczył was deszcz podczas spaceru? Tu potrafi się wszystko zmienić w jednej chwili, ot tak. – Strzeliła palcami. – Może być pięknie, a nagle robi się ciemno i okropnie. Na szczęście słońce zawsze w końcu wychodzi, kochani. Myślę, że już się wypogadza. Niedługo będzie ładnie.

Arthur przyciskał do siebie ręcznik, wycierał się i rozcierał. Nadal był przemoknięty, ale twarz miał już suchą. Zobaczył, że młoda para wzięła sobie do spółki jedną czekoladę na gorąco. Dziewczyna miała ciemne włosy, jak Miriam, a chłopak był chudzielcem o zbyt bujnej czuprynie. Dostali swój napój w wysokiej szklance, udekorowany na górze porcją bitej śmietany z czekoladową posypką. Kiedy pani w żółtym fartuchu podeszła, żeby przyjąć od niego zamówienie, poprosił o to samo. Przyniosła mu szklankę z zatkniętym w śmietanę płatkami czekolady i do tego długą łyżeczkę. Siedział przy oknie i obserwował krople ściekające po szybie. Podważył bitą śmietanę i smakował każdy łyk, dmuchając i sącząc gorący, gęsty napój.

Kiedy skończył, poszedł na stację, wskoczył do pociągu, a potem złapał autobus. Mokre ubranie lepilo mu się do ciała, szeleszcząc przy każdym kroku. Zbliżał się do domu, gdy w kieszeni zawibrowała komórka. Bernadette przysłała esemesa: „Zadzwoń”.



Wspomnienia

W korytarzu było ciemno. Arthur wpatrywał się w wiadomość od Bernadette. Zwięzła i konkretna. O Boże, nie, to pierwsze przemknęło mu przez myśl. Miał nadzieję, że jest zdrowa. Szybko zdejmie mokre ubrania i zaraz do niej zadzwoni.

Tak jak się spodziewał, nie czekała na niego żadna kartka z życzeniami. Lucy jest pewnie w szkole i ocenia prace. Bernadette może jeszcze nie wróciła ze szpitala. Był sam.

Kładąc klucze na półce zawieszanej blisko liścia z potpourri, przystanął. Miał wrażenie, że usłyszał jakiś szmer. Dziwne. Na chwilę zastygł i nasłuchiwał. Potem powiedział sobie, że z wiekiem zaczyna mieć przywidzenia, i ostrożnie uchylił drzwi frontowego pokoju. Serce mu zamarło.

Na tle okna dostrzegł zwałistą, nieruchomą sylwetkę. Jakiś facet.

Włamywacz.

Arthur otworzył usta, by krzyknąć, wrzasnąć, wydać jakiś dźwięk, ale nie zdołał nic wykrztusić. Zamknął za sobą drzwi wejściowe, nie było sensu zawracać i rozpaczliwie rzucać się do kluczy. Dlaczego ja, myślał. Przecież nic nie mam. Jestem tylko starym głupim człowiekiem.

Ale po chwili zebrał się w sobie. Za dużo przeszedł, nie pozwoli teraz, by jakiś intruz w jego domu zrujnował wszystko jeszcze bardziej. Cieszył się, że nie ma tu z nim Miriam. Wystraszyłaby się. Zrobił krok naprzód i powiedział głośno w ciemność:

– Nie mam tu nic cennego. Jeśli wyjdiesz od razu, nie zwołam policji.

Coś stuknęło w kuchni. Wspólnik. Arthurowi zaschło w ustach. To już koniec. Dwóch napastników go nie posłucha, nie dadzą się przekonać. Sięgnął po coś ciężkiego, czym mógłby się bronić. Ale trafił tylko na parasol i złapał za ostry koniec, gotów tłuc włamywaczy rączką. Wychylił się bardziej, żeby zajrzeć przez szparę w drzwiach, w każdej chwili spodziewając się ciosu w głowę.

Za nim zapaliło się światło w kuchni. Zmrużył oczy, zaskoczony.

– Niespodzianka! – zawołał chór głosów.

W jadalni byli jacyś ludzie. Zachwiał się i próbował rozpoznać ich twarze, zorientować się, co to za najście. I nagle dostrzegł Bernadette w białym fartuchu. Był też Terry, bez zółwia. I dwójka rudych dzieciaków, które biegają boso.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! – Pojawiła się Lucy i mocno go objęła.

Arthur upuścił swoją broń.

– Myślałem, że nikt nie pamiętał...

– Czekaliśmy tu na ciebie w ciemnościach bez końca. Wysłałam ci esemesa – powiedziała Bernadette.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Wszystko w porządku?

– Pomówimy później – odparła. – To twoje urodziny.

– Jesteś kompletnie przemoczony – jęknęła Lucy. – Terry mówił, że widział, jak się gdzieś dzisiaj wybierałeś. Ale myśleliśmy, że do tej pory wrócisz.

– Musiałem wyjść. Ja... Och, Lucy. – Uściskał ją znowu. – Tak tęsknię za twoją mamą...

– Wiem, tato. Ja też.

Dotknęli się czołami.

Wokół stóp Arthura na wykładzinie zrobiły się mokre plamy. Niebieskie spodnie lepiły mu się do nóg. Kurtka była ciężka od wody.

– Poszedłem na spacer. Złapał mnie deszcz.

– No już. Wyskakuj z tych ubrań i dołącz do nas – poprosiła Lucy. – Ale nie wchodź jeszcze do frontowego pokoju.

– Tam jest jakiś mężczyzna – powiedział. – Myślałem, że to włamywacz.

– To miała być dla ciebie wielka niespodzianka na urodziny – oznajmiła Lucy. Wyjrzała zza ramienia ojca. – Ale chyba już możesz ją zobaczyć.

– Cześć, tato.

Arthur nie wierzył własnym uszom. Odruchowo odwrócił się. Przed nim stał z otwartymi ramionami jego syn.

– Dan... – wyjąkał. – To naprawdę ty?

Dan skinął głową.

– Lucy prosiła, żebym przyleciał. No to jestem.

I nagle czas przestał się liczyć. Arthur chciał tylko znów obejmować syna, być blisko niego. Kiedy Dan wyjeżdżał do Australii, obaj zdobyli się ledwie na to, by poklepać się po plecach. Teraz, tu w korytarzu, objęli się mocno. Arthur cieszył się, że może czuć kłującą brodę syna na czubku swojej głowy, jego silne ręce. Goście umilkli, pozwalając, by ojciec i syn nacieszyli się tą chwilą.

Dan oderwał się od Arthura i odsunął go na odległość ramion.

– Cóż to za strój, tato?

Arthur popatrzył na swoje niebieskie spodnie i roześmiał się.

– To długa historia – powiedział.

– Zostanę tydzień. Choć wołałbym dłużej.

– No, może to w sam raz, żebym opowiedział ci, co tu nawyprawiałem.

Kiedy poszedł na górę się przebrać, słyszał na dole rozmowy i śmiechy. Nigdy nie lubił przyjęć i spotkań rodzinnych, bo było mu głupio, że nie ma nic zabawnego czy ciekawego do powiedzenia. Zostawał w kuchni i uzupełniał gościom drinki albo atakował bufet, kiedy Miriam udzielała się towarzysko. Ale teraz cieszył go ten gwar w domu. Ta

serdeczna, ciepła atmosfera. Właśnie tego było mu tak bardzo potrzeba.

Wyjął z szafy swoje stare spodnie i koszulę, położył je na łóżku i zdjął z siebie przemoczone ubranie. Ale wtedy popatrzył na przygotowany strój. Spodnie starszego pana drapały w kostkach i wpijały się w pasie, kiedy siadał. To, jak się ubierał, było jeszcze jednym z dawnych przyzwyczajęń. Uniform wdowca. Rzeczy, które kupił w Paryżu z Lucy, wydawały się nieco zbyt oficjalne, pogrzebał więc na dnie szafy. Znalazł tam stare dzinsy Dana, z czasów, zanim urosły mu uda kulturysty, i bluzę z napisem „Superdry” na piersi. Uznał, że to zabawne, bo był raczej „Superwet” – mokry jak cholera. Osuszył się ręcznikiem, wytarł włosy, ubrał się i poszedł na dół.

W jadalni, na rustykalnym kuchennym stole, wystawiono bufet – paszteciki, chipsy, winogrona, kanapki i sałatkę. Na ścianie był nalepiony błyszczący urodzinowy transparent. Na krześle Arthura leżała mała sterta kartek i prezentów.

– Wszystkiego najlepszego, Arthurze. – Bernadette złożyła pocałunek na jego policzku. – Nie otworzysz prezentów?

– Później. – Arthur zawsze krępował się odpakowywać je przy świadkach i okazywać należny zachwyt lub zaskoczenie. Lubił odwijać papierki powoli i oglądać spokojnie zawartość. – Ty to wszystko zorganizowałaś?

Uśmiechnęła się.

– Częściowo. Dan i Lucy mają tu spory wkład. Terry obiecał przypilnować tych rudzielców, bo ich rodzice chcieli pójść do kina, więc ta trójka też się włączyła.

– Ale... – Arthur zawahał się. – Co z twoją wizytą w szpitalu... zostawiłaś mi wiadomość. Jak poszło?

– Ciii. Pomówimy o tym później. To twój dzień.

– Ale to ważne. O niczym bardziej nie marzę, niż dowiedzieć się, że nic ci nie jest.

Bernadette poklepała go po ramieniu.

– Jest w porządku, Arthurze. Wyniki są dobre. Guzek był łagodny. I bardzo pomogło mi to, że miałam się czym zająć, uczestniczyłam w planowaniu tej niespodzianki dla ciebie. Lucy do mnie zadzwoniła. Do nas wszystkich.

Arthur uśmiechnął się szeroko.

– Nathan mówił mi, że ci się zwierzył – powiedziała Bernadette. – Przeczytał moje papiery ze szpitala. Cieszę się, że mógł z tobą porozmawiać. W każdym razie tak, jestem zdrowa.

– O Boże. – Arthur poczuł niewypowiedzianą ulgę. Aż mu się zrobiło miękko w kolanach i ścisnęło go w gardle. Wyciągnął ręce, objął ją i przytulił. – Tak się cieszę, że nic ci nie jest.

Była miękka i ciepła i pachniała fiołkami.

– Ja też. – Głos jej trochę zadrżał. – Ja też.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

– Idę, idę! – krzyknęła Lucy.

Kilka sekund później drzwi kuchni się otworzyły.

– Hej, puszczaj moją mamę, tygrysie – powiedział Nathan.

Arthur szybko cofnął ręce, ale zaraz zobaczył, że chłopak się śmieje.

Obciął włosy na krótko i nagle pokazały się jego błękitne oczy. W wyciągniętych dłoniach trzymał coś owiniętego folią.

– To dla ciebie.

– Dla mnie?

Arthur wziął podarunek. Odpakował folię. W środku był tort czekoladowy, tak piękny, jakby pochodził z ekskluzywnej cukierni. Pokryty lśniącem lukrem, z napisem: „Wszystkiego najlepszego z okazji 65. urodzin”.

– Sam go zrobiłem – oznajmił Nathan. – Dogadaliśmy się z mamą. Z radością przyjęła to, że chcę się zająć pieczeniem ciast. Mówiła ci, że ma dobre wyniki?

– Tak. Gratuluję wam obojgu. I patrzcie, patrzcie, co za tort!

– Arthur nie miał zamiaru korygować, że kończy siedemdziesiąt, a nie sześćdziesiąt pięć lat. – Niesamowity. Wygląda pysznie.

Nagle o mało co nie ścięły go z nóg rude dzieciaki z naprzeciwka. Jeden walnął go w łokieć.

– Ej, wy – powiedział Nathan, odstawiając tort. – Uważajcie trochę i włóżcie skarpetki i buty.

Dzieci przystanęły i natychmiast zrobiły, co kazał.

– Potrzebują kogoś, kto by się nimi zajął – stwierdził Nathan. – Terry jest święty, że zgodził się ich popilnować.

Pojawiła się Lucy.

– Tato? Chcielibyśmy ci coś pokazać. To prezent dla ciebie.

– Mam tu mnóstwo prezentów. Jeszcze ich nie otworzyłem.

– To taki trochę większy. Ode mnie i Dana. Jest we frontowym pokoju. – Pchnęła drzwi.

Arthur pokręcił głową.

– Niepotrzebnie robiliście sobie kłopot – powiedział, idąc za nią.

Ujrzał przed sobą feerię kolorów. Wszystkie ściany były obwieszane fotografiami, połączonymi starannie w rzędkie i szeregi niczym próbki farb. A kiedy podszedł bliżej, zobaczył twarze. Swoją, Miriam, Dana, Lucy.

– Co to? – zapytał.

– To twoje życie, tato – powiedziała Lucy. – Nie zajrzałeś do tamtego pudełka w biało-różowe paski, więc przyniosłam ci te zdjęcia tutaj. Chciałabym, żebyś im się uważnie przypatrzył i przypomniał sobie, jakie wspaniałe życie mieliście z mamą.

– Ale... Jest tyle rzeczy, o których nie wiesz. Które odkryłem...

– Cokolwiek to jest, nie zmienia tego, co wspólnie przeżyliście. Tych lat szczęścia. Dostałeś obsesji na punkcie przeszłości, tato. Za bardzo wciągnęło cię tropienie czasów, kiedy mama cię jeszcze nie знаła. I wbiłeś sobie do głowy i serca, że były one dla niej ważniejsze i piękniejsze niż te lata, które spędziliście razem.

Arthur odwrócił się i spojrział dokoła. Zobaczył setki zdjęć, na których byli oboje, on i Miriam.

– Popatrz na swoje życie. Widzisz, jak mama się uśmiecha, jak ty się uśmiechasz? Byliście dla siebie stworzeni. Byliście szczęśliwi. Może nie było tygrysów i jakichś okropnych wierszy albo zakupów w Paryżu. Może nie podróżowaliście do innych stref klimatycznych, ale całe życie byliście razem. Spójrz na to i ciesz się tym.

Zdjęcia wyglądały jak okienka w ogromnym wieżowcu, a każde stanowiło migawkę z przeszłości. Lucy i Dan powiesili je w porządku chronologicznym, więc te przy drzwiach po jego

lewej ręce były czarno-białe, z czasów, kiedy się z Miriam poznali. Przypomniawszy sobie, jak zobaczył ją po raz pierwszy. Weszła do sklepu mięsnego. W zagięciu ręki kołysał się wielki koszyk. Pamiętał nawet jego zawartość – sznurek wieprzowych kiełbasek owiniętych w papier leżał na osełce masła. Wiklina była gdzieś postrzępiona i połamana. Powoli szedł wokół pokoju, uważnie przyglądając się zdjęciom, patrząc na swoje życie, które przesunęło się mu przed oczami.

Bernadette, Nathan i Terry taktownie wycofali się do kuchni i zabrali ze sobą też rude dzieciaki.

Arthur wyciągnął dłoń, by dotknąć jednego zdjęcia. Dzień ich ślubu. On wyraźnie pęka z dumy, a Miriam patrzy na niego z uwielbieniem. Była też fotografia, na której Miriam pcha wózek. Siedzi w nim gaworząca Lucy. I nagle dostrzegł na nadgarstku żony coś błyszczącego.

– Dokąd idziesz, tato? – zawołała Lucy, kiedy wypadł z pokoju i pognął na górę.

– Zaraz wracam.

Pojawił się po chwili z pudełkiem swoich skarbów i wyjął lupę. Skierował ją na zdjęcie, a potem osadził na oku. Na przegubie ręki Miriam widać było złotą bransoletkę z przywieszkami.

– A więc to nie był sekret. Nosila ją – powiedziała Lucy, z bliska przypatrując się zdjęciu. – Nie pamiętam jej.

– Ja też nie.

– Jakoś do niej nie pasuje, prawda?

– Rzeczywiście.

– Ale przecież widzisz, że byliście szczęśliwi, tak? Co ma do tego jakaś głupia bransoletka?

Arthur stał z opuszczonymi rękami. Przepełniała go miłość i duma. Aż mu się w głowie kręciło. To musiało zająć jego dzieciom dobrych kilka godzin, na pewno zużyli sporo opakowań taśmy klejącej, żeby dowieść mu prawdy. Był ślepy. Ostatnie dwanaście miesięcy samotności i surowego przestrzegania codziennej rutyny pozbawiło jego życie barw. Potrzebował czegoś, co wypełniłoby pustkę, i dlatego dostał obsesji na punkcie tej starej złotej bransoletki. Bardzo współczuł Sonny Yardley, która straciła brata. Ale to był tragiczny wypadek. Miriam rozumiała, że musi żyć dalej, i zaczęła nowy rozdział. Cieszył się, że to jego wybrała, aby jej towarzyszył.

Dwa razy okrążył pokój, wspominając, śmiejąc się. Przypomniwał sobie, jak pierwszy raz wziął Lucy na ręce, jak dumny był, wożąc dzieci w wózkach. Zobaczył, jak pięknie wyglądała Miriam na przyjęciu z okazji jego czterdziestych urodzin – oczy jej błyszczały, a było w nich tyle miłości do niego.

– No to jak, jesteście już gotowi?! – zawołał Dan.

– Dan! – ofuknęła go Lucy. – Aleś ty niecierpliwy. Tata jeszcze ogląda.

Dan wzruszył ramionami.

– Pomyślałem tylko, że...

Lucy pokręciła głową.

– No dobrze – dała za wygraną.

– Co? – spytał Arthur. – Co się dzieje?

Światła przygasły. Bernadette potarła zapalkę i zapaliła świeczki na torcie.

Arthurowi serce zaczęło walić. Wszyscy odśpiewali „Sto lat” i podobało mu się, jak różne słowa zabrzmiały, kiedy mówi się, dla kogo są te życzenia. Lucy i Dan śpiewali „niech tata żyje nam”, rude dzieciaki „nasz sąsiad”, Bernadette „Arthur”, a Nathan wymamrotał nie bardzo wiadomo co. Arthur nie spodziewał się, że może jeszcze być tak bardzo szczęśliwy.

Z koktajlem w dłoni usiadł w fotelu. Bernadette uparła się, że przygotuje mu Seks na Plaży. Miał miły słodki smak. Arthur nigdy nie był duszą towarzystwa, ale to nie przeszkadzało, bo teraz goście podchodzili do niego po kolei. Dan przykucnął i wyszeptał, że bardzo tęskni za Anglią. Brakowało mu fasolki Heinza i wsi. Terry wyznał, że zaprosił Lucy do kina w przyszłym tygodniu i się zgodziła. Właśnie grali coś, co oboje chcą zobaczyć. Miał nadzieję, że Arthur nie ma nic przeciwko temu. A on powiedział, że to świetnie. Widział, jak ze sobą rozmawiają, i najwyraźniej dobrze się dogadywali. Lucy śmiała się i nagle Arthur uzmysłowił sobie, że nigdy nie zauważył, by śmiała się przy Anthonym.

– Luce mówiła mi o bransoletce mamy – rzucił Dan.

Bransoletka tkwiła w kieszeni przemoczonych spodni Arthura, leżących na podłodze w sypialni. Nie chciał myśleć o tym cholerstwie. Może powinien był ją cisnąć do morza. Należała do przeszłości, o której wolał już zapomnieć.

– Naprawdę nie chciałbym dzisiaj o tym rozmawiać.

Dan już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nagle wparowała między nich Bernadette i wetknęła Arthurowi

w dłonie talerzyk z porcją czekoladowego tortu.

– Nathan mówił ci, że sam go upiekł? Co o tym myślisz?

Arthur wbił widelczyk w ciasto i spróbował.

– Bardzo smaczny. Twój syn ma talent. Po tobie.

Bernadette cała się rozpromieniła i uparła się, że przyniesie kawałek i Danowi, choć ten starał się protestować.

Do brata przecisnęła się Lucy.

– Powiedziałeś mu już?

– Co takiego? – spytał zaniepokojony Arthur. Dwójka jego dzieci stała przed nim, oboje z zaciśniętymi ustami, jakby mieli dla niego jakąś złą wiadomość. – O co chodzi?

– I proszę. Po kawałku pysznego tortu dla każdego. – Bernadette pojawiła się znowu, niosąc talerzyki. – Dla wszystkich wystarczy.

– Dan? – z naciskiem odezwał się Arthur, kiedy syn został zmuszony do przyjęcia talerzyka z tortem.

– Porozmawiamy jutro.

– Moglibyśmy dziś u ciebie zanoć? – wtrąciła się Lucy.

Arthur poczuł, że rozpiera go szczęście.

– Oczywiście.

– A jutro rano – ciągnęła Lucy – zrobimy sobie naradę rodzinną. Dan ma ci coś do powiedzenia.



Serduszko

Arthur obudził się z kacem. Miał wrażenie, że rozsadza mu mózg. W domu panował spokój, ale słyszał dziwne, choć znane odgłosy. Dan pochrapywał w swoim dawnym pokoju. Arthur czuł, że Lucy już nie śpi i czyta. Kiedy nastawił uszu, miał wrażenie, że słyszy przewracanie kartek. Obrócił się na bok, by spojrzeć na puste miejsce obok siebie.

– Dzieci wróciły do domu, Miriam – szepnął. – Nadal jesteśmy rodziną Pepperów. Nadal cię wszyscy kochamy.

Już zapomniał, ile potrafią pochłonąć płatków i ile miejsca przy kuchennym stole zajmuje Dan. I syn, i córka nalegali, żeby zjadł śniadanie, choć Arthur wcale nie był głodny. Połknął dwa paracetamole, popijając herbatą. Jedli i śmiali się. Dan rozlał mleko, a Lucy cmoknęła z niezadowoleniem, wytarła i nazwała go niezdara.

Arthur patrzył na syna i z trudem rozpoznawał w nim chłopca o pyzatej buzi, z brązowymi, okrągłymi jak guziki

oczami i niesforną czupryną, który podskakiwał z radości, kiedy w telewizji zaczynał się *Muppet Show*.

– Mówiłeś, że chcesz mi coś powiedzieć – przypomniał.

Lucy i Dan popatrzyli na siebie.

– Opowiadałam Danowi o twoich podróżach – wtrąciła Lucy.

– Z ciebie to niezły poszukiwacz przygód, tato.

– Opowiadałam mu też o tej bransoletce z przywieszkami.

– Pamiętam, że mama pokazała mi ją, jak byłem mały.

– Pokazała ci?

– Kiedyś Lucy poszła do szkoły, a ja byłem w domu sam z mamą. Bolał mnie brzuch, pozwoliła mi zostać i oglądać telewizję. Szybko się znudziłem. Poszliśmy więc do waszej sypialni. Mama przykucnęła i wyjęła coś z szafy. To była bransoletka z przywieszkami. Pokazała mi je wszystkie i o każdej coś opowiedziała. Oczywiście, jak to ja, jednym uchem słuchałem, a drugim wypuszczałem, więc nic nie pamiętam. Ale bawiłem się nią całe popołudnie. Potem ją zabrała i już nigdy jej nie widziałem. Pytałem kilka razy, czy mógłbym się nią znów pobawić, ale odpowiadała, że gdzieś ją „odłożyła”. Nigdy jednak o niej nie zapominałem. Najbardziej podobał mi się słoń. Pamiętam, że był w nim taki zielony kamień.

– Mnie też najbardziej podoba się słoń. Szlachetne zwierzę.

– Arthur popatrzył na syna. – A co chciałeś mi powiedzieć?

– Pozostał jeszcze jeden wisiorek do wyjaśnienia?

– Tak. Serduszko.

– To ja je kupiłem – oznajmił Dan.

Arthur upuścił filiżankę. Rozbiła się na podłodze w drobny mak, herbata się rozlała. Lucy poszła szukać szmatki i szczotki z szufelką.

– Coś ty powiedział?

– To ja kupiłem przywieszkę w kształcie serca. No, tak naprawdę wybrali ją Kyle i Marina. Byliśmy na zakupach w Sydney. Mama mówiła mi, żebym bardziej się postarał, jak już chcę przysłać jakiś prezent.

– Często myślałem, że powinieneś z większym wyczuciem wybierać coś dla mamy.

– No i tym razem mi się udało. Przechodziliśmy obok jubilera i zobaczyliśmy na wystawie różne złote przywieszki. Marina chciała się zatrzymać i je obejrzeć, a ja pomyślałem o bransoletce mamy. I wtedy przypomniałem ją sobie bardzo wyraźnie. Tak jakbym znów był dzieckiem i bawił się tygrysem i słoniem. Powiedziałem Marinnie, że może wybrać przywieszkę, którą wyślemy babci do Anglii. Bardzo się ucieszyła. Od razu pokazała to serduszko. Nie wiedziałem, czy mama jeszcze ma tę bransoletkę, ale i tak był to ładny prezent.

– Zaniosem tę bransoletkę do jubilera w Londynie. Powiedział mi, że serduszko jest nowsze niż reszta – wtrącił Arthur. – I że nie jest przyczepione jak należy.

– Pewnie mama wzięła twoje pudełko z narzędziami i przywiesiła je sama.

– Ale nic mi o nim nie wspomniała. Nie pokazała mi go.

– Wysłaliśmy je kilka tygodni przed jej śmiercią. Może chciała ci je pokazać, ale nie zdążyła...

Albo gdyby mi je pokazała, zacząłbym zadawać pytania, pomyślał Arthur. Spytałbym, skąd wzięły się poprzednie przywieszki, a było już za późno, by mi o tym opowiadać. Mogłyby też wrócić przykre wspomnienia związane z Martinem. Może to serduszko sprawiło, że bransoletka znów zaczęła kojarzyć jej się ze szczęściem.

– Pewnie masz rację – odparł. – Oczywiście, powiedziałyby mi o nim.

*

Dan zawiózł Arthura i Lucy do Whitby pożyczonym autem. Dzień był słoneczny, choć wiało, a Arthur tym razem ubrał się odpowiednio, w wywatowaną nieprzemakalną kurtkę i wyższe sznurowane buty. Pożyczył coś ciepłego Danowi. Syn zapomniał już, jaka pogoda bywa w Wielkiej Brytanii.

Przeszli spacerem przez stare miasto i pokonali sto dziewięćdziesiąt dziewięć stopni do wiekowego opactwa. Arthur szedł miarowym krokiem, przysiadając co jakiś czas na ławkach, żeby popatrzeć w dół na pokryte pomarańczową dachówką domy i pensjonaty. Lucy wyciągnęła sobie pasmo włosów z ust, a kiedy dotarli na górę, Dan otworzył ramiona i wybiegł na spotkanie wiatru.

– Hej! Hej! – zawołał. – Ale by się tu podobało Kyle’owi i Marinie!

– Sądzisz, że mógłbyś ich tu kiedyś przywieźć? – spytał ostrożnie Arthur.

Od bardzo dawna nie widział wnuków.

– Przywiozę, tato. Obiecuję. Od teraz postaram się tu bywać co roku. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo zmieni dla mnie wszystko śmierć mamy... Chciałbym cię też przeprosić.

– Za co?

– Czasami dawałem ci nieźle w kość, kiedy chciałeś mi poczytać albo późno wracałeś z pracy. Nie wiedziałem, jak trudno być rodzicem, dopóki sam nie zostałem ojcem. Byłem wredny. – Odwrócił się do siostry. – Wobec ciebie też, Lucy.

Arthur pokręcił głową.

– Nie masz za co przepraszać, synu.

– Nikt nie jest doskonały. – Lucy szturchnęła brata w ramię.

– A już ty na pewno.

– Ała! – krzyknął Dan, udając, że go zabolalo, i roześmiał się.

Przeszli się po cmentarzu i wokół popadającego w ruinę opactwa, po czym ruszyli na wzgórze, z którego roztaczał się widok na morze.

– A pamiętasz, jak kiedyś ja i Lucy poszliśmy z mamą do tej furgonetki z lodami? – spytał Dan. – Jak bawiliśmy się w berka na ulicy? Jechała na nas wielka ciężarówka, ale my nic nie zauważyliśmy. I nagle, ni stąd, ni zowąd pojawiłeś się ty i szarpnąłeś nas za ręce tak mocno, że prawie wyskoczyły ze stawów. Tuż obok z łoskotem przetoczyła się ciężarówka. Uratowałeś nam życie. O mało się nie posikałem z przerażenia.

– Pamiętasz to?

– Pewnie. Pomyślałem, że jesteś jak Superman. Opowiedziałem wszystkim kolegom w szkole. Zupełnie jakbyś miał nadludzką moc.

– Ale tylko pobiegliscie po te lody.

– Chyba byłem w szoku. Zadziwiłeś mnie, naprawdę.

Arthur zaczerwienił się.

– To tutaj. – Lucy przystanęła. – To było jedno z ulubionych miejsc mamy. Pamiętam, że tam jest skała w kształcie głowy psa.

– I ta dalej, podobna do wulkanu – dodał Dan. – Zawsze siadaliśmy na tej ławce i patrzyliśmy na morze.

Arthurowi stopniowo zaczęły wracać wspomnienia, niczym przyjaciele wyłaniający się z mgły. Historie ukryte za przywieszkami nie wydawały mu się już tak ciekawe. Przypominały baśnie z dalekiej przeszłości. Cieszył się, że jego głowa znów staje się pełna jego własnych historii, związanych z żoną i dziećmi.

– Pamiętam, jak kiedyś błagaliśmy cię i błagaliśmy, żebyś poszedł z nami do morza – powiedziała Lucy. – A ty wciąż powtarzałeś, że wolisz zostać i poczytać gazetę. Więc ja, mama i Dan brodziliśmy sami, a tu nagle pojawiłeś się obok. Śmiałeś się i chlapałeś na nas. Mama miała na sobie tę białą sukienkę, która w słońcu robiła się przezroczysta.

– Pamiętam. Ale sądziłem, że zostałem na plaży i tylko patrzyłem na was.

– Nie – zaprzeczył Dan. – Przyszedłeś do nas. Tak cię męczyliśmy, że się poddałeś.

Arthur zastanowił się, jak to możliwe, że wspomnienia są tak ulotne i z czasem wyglądają tak różnie. Zapomina się o czymś, a potem do tego wraca, coś się uwydatnia, a coś tonie w mroku, pod wpływem nastroju. Wyolbrzymiał uczucia,

jakimi Miriam darzyła tych, którzy ofiarowali jej przywieszki. A przecież on nic o tym nie wie. Nie może wiedzieć. Ale za to wie, że go kochała, że Dan i Lucy go kochają, że ma wiele powodów, by żyć dalej.

– Chodź, Supermanie. – Dan poklepał go po ramieniu. – Zejdziemy na plażę się popluskać?

– Dobrze – powiedział Arthur i wziął swoje dzieci za ręce. – Chodźmy.



Listy z daleka

Kiedy po wycieczce do Whitby Arthur wrócił z Danem i Lucy do domu, na dywaniku pod drzwiami znalazł paczkę listów. Były związane poźółkłym sznurkiem. Wszystkie pisane na papierze w kolorze lawendy. Wszystkie otwarte i z ich wyglądu można było wnosić, że czytane wiele razy, poza jednym, leżącym na wierzchu. Ten robił wrażenie niemal nietkniętego. Arthur poznał pismo żony.

Do pakietu dołączona była brązowa koperta ze znaczkiem. Rozerwał ją.

Szanowny Panie Pepper!

Przesyłam Panu trochę listów, które napisała do mnie Miriam wiele lat temu. Pewnie bardziej przydadzą się Panu niż mnie.

Czasami zachowujemy pewne rzeczy nie dlatego, że chcemy, ale dlatego, że trudno się ich pozbyć. Mam nadzieję, że znajdzie Pan tu odpowiedź na niektóre ze swoich pytań dotyczących żony.

Będę wdzięczna, jeśli nie będzie Pan już próbował się ze mną kontaktować, ale przesyłam Panu i całej rodzinie wyrazy współczucia z powodu Państwa bolesnej straty.

Sonny Yardley

– Co to za przesyłka? – spytała Lucy, kiedy oboje z Danem ścigali buty w korytarzu.

– O, nic takiego – rzucił lekko Arthur. – Mogę przeczytać później.

Wepchnął listy do kieszeni. Żona trzymała swoją przeszłość w tajemnicy, bo uważała, że tak trzeba. Był zbyt ciekawy, żeby uszanować jej sekret. Ale niektóre sprawy powinny pozostać w przeszłości i jego dzieci nie muszą o nich wiedzieć... nie muszą wiedzieć o Sonny i Martinie Yardleyach.

– Chodźcie – odezwał się. – Wejdzmy i się rozgrzejmy. Kto ma chęć na kanapkę z kiełbasą i keczupem? A na grę w węże i drabiny?

– Ja! – zawołali zgodnie Lucy i Dan.

*

Tego wieczoru Arthur, już w piżamie, usiadł na łóżku. Obok leżała paczka listów. Z wahaniem ją podniósł. Przez krótki moment rozważał, żeby ich nie otwierać, dać sobie z tym spokój.

Przerzucił je, czytając daty na stemplach pocztowych. Ten na górze był najświeższy. Wyglądał, jakby nadano go wczoraj. Ręce mu się trzęsły, kiedy otwierał kopertę, wyjmował i rozkładał list.

Styczeń 1969 r.

Najdroższa Sonny!

Strasznie trudno pisać ten list. Naprawdę minęły już ponad dwa lata od czasu, kiedy po raz ostatni wzięłam pióro, by do Ciebie napisać? A pisywałyśmy do siebie tak często.

Bardzo tęsknię za naszą przyjaźnią i stale o Tobie myślę. Muszę jednak zaakceptować to, że nie chcesz już, abym była częścią Twojego życia. Choć to dla mnie ogromnie smutne, rozumiem, że tak sobie życzysz.

Ty i Martin byliście obecni w całym moim życiu. Kiedy dorastałam i potem, gdy miałam problemy i gdy podróżowałam. Tak trudno uwierzyć, że Martina już nie ma. I naprawdę okropnie mi przykro ze względu na mój udział w jego śmierci. Próbowałam skontaktować się z Tobą wiele razy. Chciałam przekazać Ci kondolencje i wyrazić swój smutek.

Nadal myślę o Martinie i o tym, co mogło być. Wspomnienia są i słodkie, i bolesne zarazem. Ogromnie tęsknię za Wami obojgiem.

Po długim okresie żałoby próbuję ruszyć naprzód i dlatego jeszcze raz do Ciebie piszę, moja przyjaciółko. Nie chciałabym, żebyś tę wiadomość usłyszała od kogoś innego.

Spotkałam cudownego mężczyznę. Nazywa się Arthur Pepper. Jesteśmy zaręczeni i pobierzemy się w Yorku, w maju tego roku.

To zrównoważony, dobry człowiek. Mogę na nim polegać i kocha mnie. Łączy nas spokojna miłość. Sprawiają mi teraz radość proste codzienne rzeczy. Skończyły się dla mnie czasy poszukiwań. Nie chcę już być nigdzie indziej, tylko w domu. A mój dom będzie razem z nim.

Nie powiedziałam Arthurowi o Martinie, zdecydowałam, że tego nie zrobię. Nie sprzeniewierzam się przez to pamięci Twojego brata, tylko raczej staram się nie żyć przeszłością i krok po kroku budować przyszłość. Nie chcę zapominać o tym, co było, ale pragnę ruszyć dalej.

Jeszcze raz proszę, może jednak zechcesz się spotkać, porozmawiać, pamiętać o naszej przyjaźni. Jeśli się nie odezwiesz, zrozumieć, że odpowiedź brzmi „nie”, i zostawię Cię w spokoju. Mam nadzieję, że Twoja rodzina ma się dobrze i że odnaleźliście pewien spokój.

*Twoja przyjaciółka,
Miriam*

Arthur nie spał do drugiej w nocy. Czytał listy żony. Na koniec wrócił do pierwszego, tego, w którym Miriam zwierzyła się Sonny ze swojej miłości do niego.

A potem brał po kolei każdy list i darł na drobne kawałeczki. Zebrał je z kołdry na dłoń i zawinął w chustkę do nosa, by rano wyrzucić do kosza.

Dobrze znał żonę. Przeżyli razem ponad czterdzieści lat. Czas pozwolić odejść jej przeszłości.



Co znalazłeś, to twoje

Sześć tygodni później

Zanim wszedł do sklepu Jeffa w Londynie, postał chwilę, patrząc na złote bransoletki, naszyjniki i pierścionki na wystawie. Jakie historie miłości, szczęścia i śmierci mogłyby opowiedzieć? A tymczasem czekają, aż ktoś je kupi i stworzy nowe historie.

Pchnął drzwi i zaczekał chwilę, żeby oczy przywykły mu do półmroku.

– Chwileczkę – dobiegł go chropawy głos. Po chwili Jeff wychylił się zza zasłony z koralików i zdjął z oka lupę. – O, witam. To...

– Arthur. – Wyciągnął dłoń, a Jeff ją uścisnął.

– Tak, oczywiście. Byłeś tu z Mikiem i przyniosłeś tę niesamowitą złotą bransoletkę z przywieszkami, która tak mnie

zachwyciła. Należała do twojej żony, prawda?

– Masz dobrą pamięć.

– W mojej pracy oglądam mnóstwo wyrobów jubilerskich. Rzeczywiście pamięć mam dobrą. Zajmuję się sprzedażą. Ale ta bransoletka miała w sobie coś wyjątkowego.

Arthur przełknął ślinę.

– Postanowiłem ją sprzedać i pomyślałem, że może jesteś zainteresowany.

– Jasne! Mogę jeszcze raz rzucić okiem?

Arthur wsunął dłoń do plecaka i podał mu pudełko w kształcie serca. Jeff otworzył je.

– Przepiękna – powiedział. – Jest nawet wspanialsza, niż pamiętałem. – Wyjął bransoletkę i obracał ją w dłoniach, tak jak Arthur, kiedy ją znalazł. – Bez wątpienia kupi ją jakaś pewna siebie dama. Nie po to, żeby się popisywać, i nie jako inwestycję, ale dlatego, że zachwyci się przywieszkami i tym, że kryją w sobie dawne historie. Zdecydowanie chcesz ją sprzedać?

– Tak.

– Znam jedną panią w Bayswater, która zakochałaby się w tej bransoletce. Jest producentką filmową, prawdziwą artystką. To dokładnie w jej stylu.

– Chciałbym, żeby poszła w dobre ręce. – Arthur usłyszał, że jego głos drży.

Jeff z powrotem ułożył bransoletkę w pudełku.

– Jesteś pewien, bracie? To poważna decyzja.

– Dla mnie nie ma ona wartości sentymentalnej. Długo leżała schowana, w zapomnieniu.

– Twoja wola. Ja nigdzie nie uciekam. Jestem tu od czterdziestu lat, jak był przede mną mój ojciec, będę więc i w przyszłym tygodniu, miesiącu i roku, jeśli chcesz to przemyśleć.

Arthur znów przełknął ślinę. Popchnął palcem pudełko w kierunku Jeffa.

– Nie. Chcę ją sprzedać, ale zatrzymam jedną z przywieszek. Czy jeśli zachowam sobie słonia, nadal będziesz zainteresowany?

– To twoja bransoletka. Chcesz słonia, bierz go. Poprzewieszam tylko inne wisiorki, żeby nie było luki.

– To od tego małego gościa zaczęła się moja podróż.

Kiedy Jeff poszedł na zaplecze, Arthur usiadł na stołku przy ladzie i wziął leżące tam czasopismo. Na tylnej okładce zobaczył reklamę bransoletek z przywieszkami nowego typu. Zamiast wisiorków były to ozdobne paciorki, nawleczone na łańcuszek. Reklama sugerowała, że każda kolejna przywieszka powinna upamiętniać szczególne wydarzenie. Tak jak w bransoletce Miriam. Zabawne, jak pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Arthur odsunął magazyn i przypatrywał się złotym i srebrnym przedmiotom dokoła. Były tu pierścionki, które musiały być noszone przez kilkadziesiąt lat i wiele znaczyć w czyimś życiu, a teraz zostały sprzedane i miały iść w obce ręce. Ale w ten sposób zyskiwały nowe życie. Znajdą właściciela, który je pokocha i będzie je nosił. Próbował wyobrazić sobie producentkę filmową, którą znał Jeff. Zobaczył ją w czerwonym jedwabnym turbanie i powiewnej sukni w tureckie wzory. Dobrze wyglądała na jej nadgarstku bransoletka Miriam.

– No to proszę. – Jeff wcisnął Arthurowi w dłoń przywieszkę.

Osobno słońik nabrał majestatu, jakby zamierzał wędrować w pojedynkę. Arthur obrócił palcem szmaragd.

Jeff podał mu zwitek pieniędzy.

– Tak jak ustaliliśmy. Jest tyle warta nawet bez słońia.

– Na pewno?

Jeff skinął głową.

– Dzięki, że o mnie pomyślałeś. A jakie masz plany na dzisiaj? Odwiedzisz Mike'a?

– Spróbuję go znaleźć. Nadal go widzisz?

– Codziennie. – Jeff przewrócił oczami. – Jest kochany, bo stale wpada sprawdzić, czy nic mi nie jest. Jakiś czas temu miałem małą przygodę z sercem. A Mike przyjął na siebie rolę mojego anioła stróża, czy mi się to podoba, czy nie. Codziennie przepytuje, co jadłem i czy gimnastykowałem się ile trzeba.

– To bardzo opiekuńczy młody człowiek.

– Na pewno. Złote serce. Szybko stanie na nogi. Musi tylko trzymać się z dala od tego świństwa, to wyjdzie na prostą. No, a co zrobisz z tymi pieniędzmi, Arthurze?

– Mój syn mieszka w Australii. Zaprosił mnie do siebie.

– Powinieneś skorzystać z tych pieniędzy. Wydaj je na coś, co sprawi ci radość. Pieniądze pomagają gromadzić wspomnienia, ale na wspomnieniach fortuny nie zarobisz, chyba że jesteś antykwariuszem. Miej to na względzie, bracie.

Następnie Arthur wszedł do metra i pojechał na drugi koniec Londynu. Zapukał do drzwi de Chauffanta, ale nikt nie otwierał. Zasłony w oknach na piętrze były zaciągnięte. W kieszeni miał trochę pieniędzy odłożonych dla Sebastiana.

Na progu sąsiedniego domu pojawiła się jakaś kobieta. Pod jedną pachą miała teczkę, pod drugą chihuahue.

– Mam nadzieję, że nie jest pan jednym z tych cholernych dziennikarzy – warknęła, stawiając i teczkę, i pieska na ziemi.

– Nie. Nic z tych rzeczy. Mieszka tu mój przyjaciel.

– Ten pisarz?

– Nie. Sebastian.

– Chłopak ze wschodnioeuropejskim akcentem?

– Tak. O niego chodzi.

– Wyprowadził się parę tygodni temu.

– Ach.

– To była przyjemna ewakuacja, jeśli by ktoś pytał. Wyszedł pod rękę z jakimś starszym panem. Elegancko ubranym. Wydawało się, że są w bardzo bliskich relacjach, no wie pan.

Arthur pokiwał głową. Prześladowała go wizja uwięzionego tu niczym niewolnik Sebastiana. Najwyraźniej jednak chłopak poznał kogoś nowego.

– Przynajmniej nie będzie musiał opiekować się już tym narcystycznym starym bydlakiem – skwitowała.

– Znała ich pani?

– Ściany są cienkie jak z papieru. Dość często słyszałam ich kłótnie. Pisarz wrzeszczał na tego biedaka w sposób naprawdę haniebny. Umarł dziś rano. Wiadomości jeszcze tego nie podały.

– De Chauffant? Nie żyje?

Skinęła głową.

– Znalazł go ten, który tu sprzątał. Młody chłopak przeżył straszny szok. Zapukał do mnie i razem zadzwoniliśmy po karetkę. Ulotnił się, jak tylko przyjechała. A teraz ja czekam, kiedy pojawią się tu dziennikarze i fani. Myślałam, że jest pan jednym z nich.

– Nie. Jestem Arthur. Arthur Pepper.

– No i co, Arthurze, jeszcze jeden dowód na to, że nigdy nie wiadomo, co się komu przydarzy, prawda?

– Racja. Czy mógłbym poprosić o jakąś kopertę i kartkę?

Kobieta wzruszyła ramionami, weszła z powrotem do domu i po chwili przyniosła papier i kopertę.

– Jest i znaczek, jeśli potrzebujesz.

Arthur usiadł na szczycie schodów przed domem de Chauffanta i włożył do koperty cztery pięćdziesiętofuntowe banknoty. Napisał krótką wiadomość. „Na jedzenie dla tygrysów, od Arthura Peppera”.

Zaadresował do lorda i lady Graystocków i wrzucił kopertę do skrzynki.

By zaliczyć kolejny cel podróży, ruszył najpierw na stację metra, gdzie po raz pierwszy spotkał Mike'a. Czuł się teraz jak wytrawny podróżnik, w sportowych butach, z plecakiem i portfelem schowanym głęboko w kieszeni. Nasłuchiwał, czy skądś nie dobiegają śpiewne tony fletu, ale grała tylko gitara. Jakaś dziewczyna, z twarzą pełną kolczyków, siedziała po turecku na ziemi. Pasiasty wełniany szalik służył jej za pasek do gitary. W wykonaniu dziewczyny piosenka *Bridge over Troubled Water* brzmiała przepięknie. Arthur wrzucił dwadzieścia

funtów do pudła gitary, po czym pojechał autobusem do mieszkania Mike'a.

Nie zastał przyjaciela.

Przystanął w korytarzu klatki schodowej w posągowej pozie, bez ruchu. Wytężył słuch i rozejrzał się dokoła, by upewnić się, czy jest sam. Nie było nikogo. Dobiał go tylko odgłos telewizora z któregoś mieszkania na górze. Leciał chyba jakiś teleturniej. Z bijącym sercem zadzwonił do drzwi sąsiada Mike'a. Czekał, ale nikt nie otworzył. Dobrze. Taką miał właśnie nadzieję. Nacisnął raz jeszcze, żeby się upewnić. Po czym przykucnął i wyjął z plecaka swoje magiczne pudełko z narzędziami. Pogrzebał trochę i znalazł zestaw wytrychów. Przejrzał jeden po drugim i wybrał najbardziej odpowiedni do tej roboty. Był dobrym ślusarzem. Wsunął wytrych do zamka i zaczął próbować. Kręcił i nasłuchiwał. Coś lekko kliknęło, przeskoczyło. Udało się.

– Dzień dobry! – zawołał cicho, zaglądając do środka.

Przypomniał sobie, jak bardzo się przeraził w urodzinowy wieczór, kiedy miał wrażenie, że w domu są włamywacze. Miał nadzieję, że tu nikogo nie ma. Nie przyszedł, żeby kogoś wystraszyć albo się siłować. Chciał tylko zrobić to, co należało.

Rozkład pokoi był lustrzanym odbiciem mieszkania Mike'a. Arthur najpierw przyciągnął krzesło i zablokował klamkę. Jeśli ktoś nadejdzie, to mu da czas. Choć ze swoją słabą kostką niespecjalnie mógł ryzykować skok z pierwszego piętra. Musiał się pospieszyć.

Obchodził mieszkanie, wysuwał książki, szuflady. Stawał na palcach, żeby zajrzeć na górę szafek. Wkładał rękę pod

materace i macał. Odkrył stos pism dla dorosłych. Może Mike się mylił i to wcale nie sąsiad ukradł mu rolexa. Jeśli zegarek tu jest, powinien go znaleźć.

Trafił na podejrzane kosztowności rozrzucone po domu. Na parapecie w łazience leżały splątane złote łańcuszki. Sarta laptopów na stole w kuchni. W sypialni na kołdrze cały wybór markowych torebek, ustawionych ładnie jak do fotografii. Wreszcie w szafce nocnej trafił na małe czarne pudełko. W środku był złoty rolex. Arthur wyjął go i obejrzał od spodu. Jak mówił Mike, miał wygrawerowane imię: Gerald. Włożył zegarek do kieszeni. We frontowym pokoju wziął swój plecak, zamknął go i zarzucił na plecy.

I wtedy usłyszał hałas. Jakieś grzechotanie. Dźwięk kluczy wsuwanych do zamka i mocujących się z nim. O, Boże. Arthur zamarł. Tylko jego oczy poruszały się gorączkowo, patrząc to w jedną, to w drugą stronę, kiedy zastanawiał się, co robić.

– Cholerne drzwi, zacięły się – usłyszał męski głos i znów chrobotanie w zamku.

Rozejrzył się dokoła. Krzesło nadal blokowało klamkę.

– Nie jestem w stanie tego draństwa otworzyć – usłyszał.

Nie było żadnej odpowiedzi, więc Arthur uznał, że facet musi mówić sam do siebie. Potem rozległ się odgłos kroków oddalających się od drzwi i stłumiony dźwięk dzwonka. Gość chciał pewnie prosić o pomoc jakiegoś sąsiada.

Arthur odsunął krzesło i rozejrzył się po mieszkaniu. Musiał się stąd wydostać. Ale jak? Podszedł szybko do okna. Zobaczył, że do ziemi są najmniej trzy metry. Na pewno coś strzeli mu w kostkach. Ale nie miał wielkiego wyboru. Mógł

tylko skoczyć, ukryć się albo wyjść tą samą drogą, którą wszedł. Szafa w mieszkaniu była niewielkim wiktoriańskim meblem. Nie zmieści się do środka, a co zrobi, jeśli skacząc, połamie obie nogi?

Zostało jedno wyjście...

Powoli otwierał drzwi, pewny, że lada chwila stanie oko w oko z sąsiadem Mike'a. Jeśli ten człowiek mógł ukraść zegarek i wszystkie te rzeczy rozrzucone po mieszkaniu, to do czego jeszcze jest zdolny? Uchylił drzwi na kilka centymetrów i wyjrzał. Mężczyzna stał w końcu korytarza. Miał na sobie brudny siatkowy podkoszulek i zbyt obszerne portki. Jego skołtunionie włosy były ufarbowane na czarno. Jeśli Arthur teraz wyjdzie, facet na pewno go zauważy. Przeklinał się w duchu za cały ten zwariowany pomysł. Powinien był zostawić Mike'owi jego porachunki. Ale mimo wszystko cieszył się, że ma rolexa w kieszeni. Błyskawicznie zrobił krok na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Zamek zaskoczył cichutko. Mężczyzna nie mógł tego usłyszeć. Serce Arthura waliło. Bumbum, bumbum, bumbum. Tak głośno, że Arthur dziwił się, że ten hałas jeszcze nikogo nie zaalarmował.

Ruszył szybko w przeciwnym kierunku.

– Hej! – wrzasnął za nim mężczyzna. – Czeka!

Arthur przyspieszył. Już widział drzwi wyjściowe, jeszcze chwila i będzie na zewnątrz.

– Hej! – Wołanie się powtórzyło. Arthur słyszał za sobą coraz szybsze kroki. Po chwili jakaś łapa chwyciła go za ramię. – Hej, brachu!

Arthur obejrzał się. Mężczyzna podał mu plastikową pokrywkę z jego pudełka po lodach.

– Chyba coś zgubiłeś.

– Dzięki. – Arthur nadal trzymał w rękach swój magiczny przybornik. Na samym wierzchu leżały wytrychy. – Nie zauważyłem.

– Spoko. – Facet już miał odejść, ale nagle przystanął i zapytał: – Czy to przypadkiem nie wytrychy?

Arthur spojrzał w dół i skinął głową.

– Tak.

Czekał na cios w twarz albo na to, że facet złapie go za rękę i powlecze z powrotem do mieszkania.

– Świetnie. Zaciął mi się zamek. Pomożesz mi go otworzyć?

Arthur przełknął ślinę.

– Mogę spróbować.

Udał, że zadanie jest trudniejsze, niż było naprawdę. Kręcił wytrychem w zamku. Sapał i wzdychał. Wreszcie otworzył drzwi.

– Fantastycznie. Wejdz, napijemy się czegoś – zaproponował mężczyzna. – Chciałbym ci podziękować.

Arthur przypomniał sobie, co mówił Mike – facet wydaje się czarujący, póki się nie wie, że to złodziej.

– Nie ma sprawy – powiedział. – Naprawdę muszę lecieć.

Wychodząc, był pewien, że słyszy, jak tamten coś tam mruczy, zdziwiony, czemu krzesło nie stoi na swoim miejscu.

Zastanawiał się nad tym, by napisać krótki list i dodać do niego trochę pieniędzy, ale wiedział, jak dumny jest Mike. Podniósł więc tylko klapkę nad szczeliną do wrzucania poczty

w drzwiach przyjaciela i wsunął przez nią zegarek. Usłyszał głucho pacnięcie, kiedy rolex wylądował na dywaniku za drzwiami, i sprawiło mu to niebywałą satysfakcję.



Koniec podróży?

- Filtr czterdziestka? – spytała Lucy, patrząc na swoją listę.
- Jest – potwierdził Arthur.
- Balsam do ust?
- Załatwione.
- Z filtrem?

Arthur podniósł granatowy sztyft i przyjrzał się białym napisom.

- Tak. Piętnastka.
- Hm... Może to za mało.
- Starczy.
- Zobaczę, co mam w swojej kosmetyczce.
- To dosyć. Wiesz, bywałem już na wakacjach.
- Ale nie aż tak daleko i nie w tak upalnym miejscu – stwierdziła Lucy stanowczo. – Nie chcę telefonu z wiadomością, że dostałeś udaru słonecznego.

Arthur zmienił temat.

– Wybrałaś się do kina z Terryem?

Lucy uśmiechnęła się.

– Było bardzo miło. W piątek idziemy razem coś zjeść, do tej nowej restauracji w centrum. On też uwielbia dzieci – dodała.

Arthur prosił Terry’ego, żeby miał oko na dom.

– Frederica lubi, jak ją podlać z samego rana, żeby miała dość wilgoci na cały dzień.

– Mówiłeś mi to już pięć razy – powiedział Terry. – I co wieczór będę włączał u ciebie światło i zaciągał zasłony, żeby wszyscy myśleli, że jesteś w domu.

– Dobrze. Jeśli zechcesz kiedyś, żebym popilnował żółwia, nie ma sprawy.

Tak naprawdę Arthur nie miał pojęcia, co robiłby z takim małym gościem, ale czuł się lepiej, że występuje z tą propozycją.

– Wzięłaś okulary przeciwsłoneczne? – Lucy wróciła do pytań.

– Tak.

– Zaraz. Czy to te, które nosiłaś, jak byłam mała?

– Zawsze miałem tylko te jedne. Są dobrej jakości. W szylkretowych oprawkach. – Założył je, żeby pokazać.

– Chyba znów są modne.

Arthur zatrzasnął wieko walizki.

– Mam wszystko. Jeśli czegoś zapomniałem, mogę kupić na lotnisku.

– Tak naprawdę nigdy nie byłeś na lotnisku, poza tym, że odprowadziłeś Dana.

– Nie jestem dzieckiem.

Oboje się roześmiali. To samo mówiła Lucy, kiedy była nastolatką.

– A teraz poważnie, tato. Miesiąc za granicą to długo. Musisz być dobrze przygotowany. To już nie wakacje w Bridlington z mamą.

– No, mam nadzieję. – Roześmiał się. – Marzy mi się inna kuchnia i kultura.

– Rzeczywiście, bardzo się zmieniłeś. Zastanawiam się, co by powiedziała mama, gdyby mogła cię teraz zobaczyć.

Arthur uniósł swoje okulary przeciwsłoneczne.

– Sądzę, że byłaby zadowolona. – Spojrzał na zegarek. – Taksówka spóźnia się już dziesięć minut – zauważył.

– Masz jeszcze dużo czasu.

Kiedy minęło kolejne dziesięć minut, Arthur zaczął się niepokoić.

– Zadzwoń do nich – zdecydowała Lucy. Przyniosła telefon do kuchni. – No tak. Twierdzą, że nie zapisali w rejestrze twojego zamówienia. Przyślą tu kogoś najszybciej jak się da, ale mają ograniczone możliwości. Jest godzina szczytu, możemy czekać nawet godzinę.

– Godzinę?

– Wiem. Zrobi się za późno. Trzeba ruszać. Jak utkniesz w korku... Masz kogo poprosić, żeby cię podwiózł?

– Nie – odparł Arthur, ale przecież miał.

Przyjaciółkę, której mógłby zawierzyć swoje życie.

Bernadette z Nathanem byli pod jego domem w dziesięć minut.

– Wiesz, jak jechać, prawda? – usłyszał jej głos, zanim zadzwonili do drzwi, dryyyń.

– Jak to się dzieje, że ona dzwoni tak głośno? – spytała Lucy. Arthur wzruszył ramionami i otworzył.

– Nic się nie martw, Arthurze. – Bernadette wparowała do środka i wcisnęła mu do ręki małą torebkę. – Kilka świeżych pasztecików na drogę. Nathan dowiezie cię na czas.

Nathan skinął głową. Posłusznie wziął walizkę i torbę podróżną Arthura i załadował je do bagażnika. Potem wsiadł do auta i czekał. Lucy i Bernadette stały w holu. Arthur czuł się jak mały chłopiec, któremu machają na pożegnanie dwie ciotki.

– Zawsze zabieram w podróż kilka batoników zbożowych – dodała Bernadette. – Na wszelki wypadek, gdyby na miejscu nie było do jedzenia nic, co by mi pasowało.

Arthur mocno objął i ucałował Lucy.

– Przyślę ci kartkę.

– Tylko nie zapomnij. – Skinęła głową i wyszła za próg. – Kocham cię, tato.

– Ja ciebie też.

Bernadette wydawała się bliska łez.

– Chyba będę za tobą tęsknić, Arthurze Pepper – powiedziała ze ściśniętym gardłem.

– Masz mnóstwo innych podopiecznych, beznadziejnych przypadków, którymi trzeba się zająć.

– Nigdy nie byłeś beznadziejnym przypadkiem, Arthurze. Po prostu trochę się pogubiłeś.

– Przed kim ja się teraz będę chował?

Oboje zachichotali i po raz pierwszy zauważył, jak jasne są jej oczy. Oliwkowe z brązowymi cętkami. Uwielbiał, jak potrafiła przyjmować życie i tulić je do swojej pełnej piersi, nie puszczając ani na chwilę.

– Nigdy nie postawiłaś na mnie kreski – zauważył. – Nawet kiedy ja sam dałem za wygraną.

Wyciągnął rękę, by ją uściskać. Bernadette chwilę się wahała, ale potem zrobiła krok naprzód. Objęli się i dopiero po kilku sekundach oderwali się od siebie. Miał ochotę przytrzymać ją dłużej i to uczucie go zaskoczyło. Dobrze pasowała do jego ramion, jakby to było miejsce dla niej stworzone.

– Do zobaczenia za miesiąc – rzucił wesoło.

– Tak – powiedziała. – Do zobaczenia.

Nathan świetnie radził sobie w nasilonym ruchu. Wskakiwał w luki, wybierał boczne ulice, parę razy przejechał na żółtym. Cały czas był spokojny. Nucił coś pod nosem i bębnił palcami o kierownicę w takt muzyki, która leciała z radia tak cicho, że Arthur ledwie ją słyszał.

– Dowiozę cię, nie ma strachu – zapewnił Arthura. – Wiesz, moi kumple zazdroszczą mi ciebie. Każdy by chciał, żeby jego dziadek był taki jak ty. Rozumiesz, wszystkie te twoje przygody i w ogóle. Powiedziałem im, że jesteś dla mnie kimś w rodzaju przybranego dziadka, bo własnego nie mam.

Ta rola Arthurowi pasowała i miał ochotę wczuć się w nią jeszcze bardziej. Już sobie postanowił, że po powrocie kupi cukier puder, mąkę i te jadalne błyszczące kuleczki, na

wypadek gdyby Nathan wpadł kiedyś na pomysł, żeby razem upiekli tort.

Oparł się wygodniej i zadumał nad tym, jak bardzo ostatnio zmienił się ten młody człowiek. Oceniał go po włosach, a to była tylko moda, pod którą skrywała się wrażliwa dusza.

– Mama dobrze już się czuje?

– Tak, dzięki Bogu. Martwiłem się, że zostanę, no wiesz, osiemnastoletnim sierotą. Byłoby kiepsko. Dziękuję, że ją wspierałeś. Dobrze wiedzieć, że kiedy pojedę do szkoły gastronomicznej, ma tu kogoś bliskiego, kto jej w razie czego pomoże. Ale w końcu ze Scarborough też nie jest daleko.

– Widziałem tamtejszy college – powiedział Arthur i uśmiechnął się na wspomnienie swojego udziału w zajęciach z rysunku. – Mają uroczy wydział sztuk plastycznych.

– Mogę ci gotować, tak samo jak mamie.

– Świetnie. Tylko proszę, żadnych tortów z marcepanem.

– Bez obaw. Nie znoszę marcepanu.

– Ja także. Ale nie wiem, jak powiedzieć to twojej mamie.

– Też mam z tym kłopot.

Na lotnisku było jasno jak w gabinecie u dentysty, a sklepy obfitowały w biżuterię, misie, ubrania, perfumy i alkohole. Podczas spaceru po terminalu Arthur kupił kilka kulek do gry, pluszowego słonia i przewodnik dla siebie. Otworzył go i na pierwszej stronie trafił na mapę świata. Anglia była tylko małą plamką. Tyle jest do zobaczenia, pomyślał.

Kiedy zaczęli wywoływać pasażerów jego lotu, poczuł się tak, jakby koniki polne grasowały mu w brzuchu. Stał w kolejce, trzymając paszport otwarty na właściwej stronie, jak

polecono. Wolno posuwał się naprzód wraz z innymi. Busik zawiózł go do samolotu. Nie wyobrażał sobie, że będzie aż tak wielki – błyszcząca biała bestia o rzymskim profilu i z czerwonym ogonem. Uprzejma pani o blond włosach, obciętych na pazia, powitała go na pokładzie. Znalazł swoje miejsce. Usiadł i zapiął pasy, a potem zaabsorbowało go to, co się działo dookoła. Pasażerowie szukali swoich miejsc. Coś ogłaszano przez głośniki. W kieszeni fotela przed nim było darmowe czasopismo. Siedząca obok pani zaproponowała mu nadmuchiwaną poduszkę pod szyję i miętówkę. Silniki nabierały mocy. Z uwagą obserwował instrukcje, jak się zachować w razie sytuacji awaryjnej, a potem przywarł plecami do fotela i zacisnął palce na oparciach. Samolot wzbił się w powietrze.

W drogę. Zaczynał kolejną podróż.



Przyszłość

Arthur usiadł na brzegu leżaka i wkopał bose stopy głęboko w gorący, biały piasek. Nogawki kremowych lnianych spodni podwinął do kolan, a luźna biała bawełniana koszula była tylko częściowo zatknięta za pasek. Upał go obezwładnił. Czuł się jak w letargu, wszystko dokoła zwolniło. Pot spływał mu pod pachami, a krople na czole były niczym malutkie szklane paciorki. Podobało mu się to wrażenie, jakby znalazł się w rozgrzanym piekarniku.

Obserwował błękitne morze, jak uderza falami o brzeg, pozostawiając smugi białej piany. Kilku małych chłopców wbiegło do wody w ubraniach, chlapiąc na siebie nawzajem. Wokół leżały do góry dnem drewniane łodzie. Rybacy już byli na morzu i wrócili z połowem. Czuł zapach ryb smażonych w budkach przy plaży. Niedługo przyjdą turyści, w swoich

jaskrawych strojach i koralikach, żeby jeść kolację i popijać piwo z butelek.

Słońce chyliło się ku zachodowi i na niebie mieszały się wstęgi fioletu i złota, niczym na misternie utkanym sari. Drzewa palmowe pięły się wysoko, jak dłonie wyciągnięte ku sklepieniu nieba. Tęcza chust, sarongów i ręczników, wiszących przy budkach na plaży, powiewała na wietrze.

Arthur wstał i podszedł do wody. Czuł pod stopami ciepły, miękki piasek. W jednej dłoni mocno ścisnął słońce, w drugiej trzymał przeczytaną do połowy książkę: *Krótki przewodnik po Indiach*.

To była trudna decyzja, wybrać Goę zamiast Australii. Ale musiał dotrzeć tam, gdzie zaczęła się jego podróż – a zaczęła się od tamtego telefonu do pana Mehry. To wtedy inaczej spojrzał na swoją żonę, inaczej zaczął też widzieć siebie.

Razem z Lucy postanowili, że spędzą z Danem święta Bożego Narodzenia. Córce bardziej odpowiadał wyjazd podczas ferii szkolnych.

Otworzył dłoń i złoty słońce rozbłysnął. Kiedy słońce się zniżyło, tonąc za horyzontem, światło ześlizgnęło się z przywieszki i Arthur mógłby przysiąc, że słoń do niego mrugnął.

– Starzejesz się – powiedział do siebie głośno. – Masz przywidzenia.

I nagle zdał sobie sprawę, że powiedział: „Starzejesz się”, a nie „Jesteś stary”. Czyli to dopiero przyszłość.

– Pan Arthur Pepper! Pan Pepper! – Biegł do niego jakiś mały, najwyżej sześciolatek, chłopiec. Miał uszy odstające jak te

przy filiżankach i sterczącą czarną czuprynę. – Proszę pana! Czas na herbatę!

Arthur skinął głową. Wrócił do leżaka, wsunął stopy w sandały i ruszył za chłopcem. Minęli krowę, która leniwie skubała wytartą skórę z siodełka pordzewiałego czerwonego motocykla.

– Proszę za mną.

Chłopiec poprowadził go przez turkusową ciężką żelazną bramę do ogrodu w podwórzu. Arthur przyjechał tu poprzedniego wieczoru, kiedy było już ciemno, i teraz cieszył się, że ma przewodnika.

Rajesh Mehra czekał na Arthura przy małej fontannie wyłożonej mozaiką. Tryskająca woda przypominała płynne srebro. Na niewielkim okrągłym stoliku ustawiono srebrny czajnik i dwie porcelanowe filiżanki. Pan Mehra cały był ubrany na biało. Nie miał ani jednego włosa na głowie, a głęboko osadzone oczy patrzyły łagodnie.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że tu jesteś, przyjacielu. Tak się cieszę, że do mnie przyjechałeś. Przyjemnie było na plaży?

– Tak. Bardzo. Jeszcze nigdy nie byłem gdzieś, gdzie jest aż tak gorąco.

– Czasami ledwie da się oddychać. Ale teraz można wytrzymać. Miriam lubiła słońce. Mówiła, że jest jak jaszczurka i potrzebuje ogrzać swoje kości.

Arthur uśmiechnął się. To samo powtarzała jemu. Kiedy tylko wychylało się słońce, kładła się w ogrodzie z jakimś czasopismem i łapała każdy promyk.

Usiedli do herbaty.

– Jestem człowiekiem, któremu odpowiadają stałe zwyczaje – powiedział Rajesh. – Lubię pić herbatę o tej samej porze każdego dnia. Mieć gazetę złożoną w taki sam sposób. I daję sobie dokładnie pół godziny, żeby usiąść i ją poczytać.

– O, a ja wszystko popsułem.

– Ależ nie. Wręcz przeciwnie. Od czasu do czasu dobrze robi trochę odmiany.

Arthur opowiedział Rajeshowi o swoich przyzwyczajeniach. O tym, jak z początku dawały mu pociechę, ale potem stały się więzieniem. Już miał wspomnieć, że pomogła mu wyrwać się z nich bardzo miła pani o imieniu Bernadette. Ale właściwie to on sam się wyzwolił. Znalazł bransoletkę. Zadzwoił do pana Mehry. Sam odpowiadał za zmianę w swoim życiu.

– Pamiętam, że Miriam nie należała do osób ulegających rutynie. Była wolnym duchem – zauważył Rajesh. – Wyjątkowa kobieta. Miała dobre życie?

Arthur nie zawahał się ani chwili.

– Tak – potwierdził z dumą. – Opiekowała się tobą. Bawiła się z tygrysami. Zainspirowała wiersz. Wywarła wpływ na sztukę. Była fantastyczną matką. Naprawdę bardzo się kochaliśmy. Była nadzwyczajna.

Począł, aż Rajesh naleje mu herbaty, po czym upił łyk. Filiżanka z cieniutkiej porcelany miała wzorek w malutkie różowe różyczki. Miriam by się nią zachwyciła.

Ich drogi życiowe miały odwrotny przebieg. Miriam była pełna fantazji, temperamentu, szukała wrażeń, a potem wyciszyła się i przy nim znalazła spokój. On z kolei nigdy nie

marzył o niczym więcej niż żona i dzieci, ale teraz siedział tutaj, z sandałami białymi od piasku i opalonymi kostkami nóg. To było coś nieoczekiwanego, ekscytującego. I właśnie jego żona go tu przywiodła.

– Pokażę ci jej pokój, dobrze?

Arthur skinął głową, czując, że ściska go w gardle.

Pokój Miriam był malutki, miał nie więcej niż dwa i pół metra długości i z metr pięćdziesiąt szerokości. Stało tu proste niskie drewniane łóżko i biurko. Białe gipsowane ściany nosiły ślady gwoździ tam, gdzie dawno temu wisiały zdjęcia i obrazki. Arthur wyobraził sobie Miriam przy biurku, jak wygląda przez okno i obracając w palcach kulki do gry, śmieje się do dzieci bawiących się na podwórzu. Pewnie beztrąsko pisała tu listy do Sonny, nie wiedząc, że kiedy wróci do kraju, wydarzy się taka tragedia.

Stał przy oknie i zamknął oczy, wystawiając twarz na ciepło zachodzącego słońca. Kark miał już zaróżowiony i trochę go piekło, tak jak lubił.

I nagle w kieszeni zawibrowała mu komórka.

– Halo, tu Arthur Pepper. Czym mogę służyć? – odezwał się, nie patrząc, jaki numer się wyświetla. – O, cześć, Lucy. Wszystko w porządku. Nie rozmawiajmy za długo. Te połączenia są potwornie drogie. Nie martw się o mnie, naprawdę. Jest tu bardzo pięknie, a pan Mehra i jego rodzina są bardzo gościnni. Mogę sobie wyobrazić tu mamę, jak była młoda. Na pewno czuła się w tym miejscu szczęśliwa i wolna. Miała przed sobą całe życie, tak jak ty teraz. Jak ja. Musimy się nim cieszyć. Tego

by chciała. Dobrze, no to do zobaczenia, kochanie. Cudownie było cię słyszeć. Kocham cię.

Wsunął telefon do kieszeni. Potem uśmiechnął się lekko i położył słonika na łóżku, z powrotem tam, gdzie było jego miejsce. I wyszedł na podwórze.

– Dzwoniła córka – powiedział. – Martwi się o mnie.

– Martwimy się o nasze dzieci, a potem to one martwią się o nas – zauważył Rajesh. – Taka już kolej życia. Ciesz się tym.

– Tak zamierzam.

– Wiesz, że codziennie chodziliśmy z Miriam do miasteczka? Lubiliśmy sobie wtedy kupować po świeżym rogaliku. W drodze do domu wyskubywaliśmy miękki środek i jedliśmy. Pewnego dnia wyznałem jej miłość, a ona była dla mnie bardzo dobra. Powiedziała, że jak dorosnę, spotkam miłość swojego życia i że dopiero wtedy będzie to coś prawdziwego. Oczywiście miała rację. Mówiła, że sama też bardzo by chciała odnaleźć swoją wielką miłość. „Nie pójdę na kompromis”, zaznaczyła. „Tylko raz wyjdę za mąż. Potraktuję to poważnie, poślubię człowieka, z którym spędzę resztę życia”. Przypomniały mi się jej słowa, kiedy spotkałem Priyę i poczułem miłość. To było jak grom z jasnego nieba. Miałem nadzieję, że Miriam też odnalazła swoją. I oczywiście tak się stało, kiedy poznała ciebie. Poszła za głosem serca.

Arthur zamknął oczy. Przywołał w pamięci rzędy i szeregi zdjęć, które porozwieszali dla niego Dan i Lucy. Widział Miriam uśmiechniętą, szczęśliwą. Wróciły słowa z jej listu do Sonny.

– Jestem dumny, że byłem jej przeznaczony, tak jak i ona mnie. Wierzę, że miała takie życie, jakie sama sobie wybrała.

Rajesh skinął głową.

– Chodź. Przejdźmy się.

Poszli nad brzeg srebrzyście mieniącego się morza. Za nimi błyskały płomienie przy plażowych budkach. W powietrzu unosił się zapach grillowanych ryb. Po piasku ganiały się dwa psy. Arthur zrzucił sandały i pozwolił, by fale muskały mu stopy.

– Za Miriam. – Rajesh podniósł w toaście filiżankę z herbatą.

– Za moją cudowną żonę – powiedział Arthur.

A potem stali i patrzyli, jak pomarańczowe niebo ciemnieje, przechodzi w fiolet, i słońce wreszcie znika za horyzontem.

Podziękowania

Na początek kłaniam się nisko superagentce Clare Wallace w podzięcie za jej wyczucie, profesjonalizm i za to, że w ogóle jest przeurocza. A także wszystkim w agencji literackiej Darley Anderson za to, że tak ciepło mnie przyjęli i wspierali – szczególnie Mary Darby, Emmie Winter i Sam Darley. Dziękuję też Vicki Le Feuvre za uwagi na samym początku naszej współpracy.

Za każdą książką stoi wspaniała redaktor, a ja mam to szczęście, że mnie trafili się dwaj najlepsi z najlepszych. Dla mojej redaktorki angielskiej Sally Williamson i Eriki Imranyi w Stanach Zjednoczonych – wielkie dzięki za pomysły, inwencję i opiekę nad Arthurem. Specjalne podziękowania również dla Sammii Hamer, która sprawiła, że Arthur zadomowił się w Wielkiej Brytanii.

Cały zespół MIRA Books i Harper Collins był cudowny, a wkład Alison Lindsay, Clio Cornish, Nicka Batesa i Sary Perkins Bran – by wymienić tylko kilka osób – nieoceniony.

Dziękuję przyjaciołom, którzy czytali wczesny szkic tej książki i nie przewracali oczami. Marku RF, Joan K., Mary McG i Mags B. – jestem Wam bardzo wdzięczna.

Zawsze kochałam książki, a mama i tata zachęcali mnie do czytania, muszę więc powiedzieć: Pat i Dave, bez Was to wszystko nie byłoby możliwe!

Wielkie brawa dla Marka i Olivera, bo wspierali mnie na każdym etapie tej podróży, wierzyli, że mi się uda, i zawsze mogłam na nich liczyć.

Dziękuję też mojej przyjaciółce Ruth Moss – jest taka odważna, silna i wesoła. Często o niej myślę.

1 Angielska piosenka ludowa z XVI wieku.

2 Michael Palin (ur. 1943) – angielski scenarzysta, autor książek podróżniczych i twórca seriali dokumentalnych.



Osobliwe
szczęście
Arthura
Peppera



Phaedra Patrick

